


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Andrzej Żuławski

PERSEIDY

Projekt okładki i stron tytułowych
Maciej Sadowski

Redaktor
Katarzyna Merta

Korekta
Iwona Olszewska

- © Copyright by Wydawnictwo Książkowe
„Twój STYL”, Warszawa 1999
© Copyright by Andrzej Żuławski

ISBN 83-7163-150-2

Wydawnictwo Książkowe „Twój STYL”
Warszawa 1999
Wydanie pierwsze
Skład i łamanie: „Enterek”, Warszawa
Druk i oprawa:

I Co się z nami potem stało

„ – Jedyne, co masz do zrobienia,
to opowiedzenie tak jak jest.

–Ale nic nie jest tak jak jest.”

Jim Harrison, *Warlock*

1

Przyjechali do domu, i on zaczął się przygotowywać do napisania książki. Przygotowywał się jak atleta, to znaczy starał się co dzień mniej pić alkoholu, co dzień później sięgać za tę półkę z książkami, za którą krył butelkę odnawianą w sklepie o trzy kilometry od domu.

Dom był duży i niedokończony, liczył ponoć (zliczył brat) dziewięćset pięćdziesiąt metrów mieszkalnych na czterech poziomach, z których brat chciał zająć poziom najniższy, gdy tylko hydraulicy uporają się z wymianą rur z przemysłowych (miała tam być, gdy dom kupowali, fabryczka) na zwyczajne, i z mozolnym wkuwaniem ich w ściany, kapryśnie to betonowe, to ceglane, a to z pustaków, jako że dom zbudowany został w okresie, kiedy nie było wiadomo, co na rynku się znajdzie.

Poza tym dom był suchy, biały i przewiewny, tym przewiewniejszy, że po kupnie kazał wyburzyć wiele ścian, przerobić wąską kichę kuchni na amerykańską, połączyć ją z jadalnią, i z bawialnią, wydobyć łazienkę z pośrodku murów, gdzie pozbawiona była okna, i wmurować, tam gdzie nowopowstała, wannę pod okno, by kąpiący się mo-

gli patrzeć na konary i igliwie sosen, i na migoczące między nimi bladobłękitne czy rude światło.

Z obrzydliwie zapuszczonego strychu żonie wybudował pracownię z podłogą z sosnowych desek, oślepiającą światłem w pogodne dni, bo w spady dachu kazał wprawić piętnaście stromych okien, tak że ten najwyższy – czwarty – słoń domu był najszczęśliwszy i najbardziej pogodny, i żona mogła w nim spędzać długie godziny na tym, co chciała, z muzyką czy bez, z paleniem *haszu* i pisaniem, z zastanawianiem się nad tym, co ma być dalej, co ma być w ogóle.

W swoim gabinecie wprawił przed stołem okno na całą ścianę, od podłogi do sufitu, ujęte w białą płaską kratę, tak że widział przez nie drzewa od korzeni do szczytu, widział kawałek działki i kilka domów i działek sąsiadujących, ich krzewy, ogrody, porządek i bałagan, i też widział niebo pod sosnami i pomiędzy nimi, i słyszał psy sąsiadów i niekiedy, przy sprzyjającym wietrze, syrenę elektrycznej kolejki przejeżdżającej przez las o kilka kilometrów.

Dom stał w lesie, w którym wystawiono wiele różnych domów, ale wystarczyło przejść trzysta metrów szaropiaszczystą uliczką (do jaskrawożółtego piachu, będącego tu glebą, dosypywano zimą żużlu, by samochody się nie wkopywały), by znaleźć się w parku narodowym ciągnącym się ki-

lometrami na północ, zachód i południe, i wystarczyło przejść nie patrząc kilkadziesiąt pierwszych metrów parku zasianych plastikowymi śmieciami, butelkami i odchodami ludzkimi, by las stał się lasem, wysokopienny i pozostawiony sam sobie, z łachami tego pięknego złotożółtego piachu i modrzewiem i krzakami jałowca, i tam dziecko bawiło się najchętniej i było najszcześliwsze.

Gdy padał deszcz, co początkiem tego lata miało zdarzać się rzadko, jeśli nie liczyć czarnych potężnych burz wyładowujących się gwałtem z dusznego upału, i napędzających wilgotnej świeżości w duszne leśne powietrze (burze obrzmiewały przez cały dzień i wybuchały w nocy, i niebo bielą od błyskania i elektrycznego trzasku), dziecko bawiło się w swoim pokoju na drugim piętrze, największym w całym domu, z nianią, której pokój był obok, albo szło do dwójki dobrze ułożonych dzieci u końca piaszczystej uliczki, a które chętnie się z nim bawiły, mimo że był trochę od nich młodszy, bo też jak na swój wiek nadzwyczaj wyrośnięty i bystry.

Lato miało się ułożyć w schemat pracy rano i zajmowania się dzieckiem po południu, i wieczornych lektur, lub podejmowania gości, a burze wybuchały tylko nocą, gdy jemu zazierało w oczy narastające zrozumienie, że jego żona jest prymitywna, że spodobała mu się wtedy, kilkanaście lat temu, za przedłużającą się dziewczęcość – miała

dwadzieścia siedem lat – i że wiek dorosły, doświadczenie życia, poród i nieuchronne wpisywanie się w kobiecą tradycję rodzinną starły z niej świeży wdzięk i pogrubiały skórę, zmatowiły jej ówczesny blask, a nie dodały koniecznej w jej wieku (ukończyła czterdzieści lat) łagodnej mądrości, taktyki czy iskry Bożej.



On przyjechał na kilka dni przed dzieckiem, żoną i nianią, aby sprawdzić stan zapuszczenia czy gotowości domu na przyjęcie ich, i stwierdził z przyjemnością, że prócz piętra brata wszystko stoi na swoim miejscu, podłogi błyszczą i okna są umyte, ogrzewanie nie wysiadło, a nawet w lodówce znalazł mleko i ser, w piekarniku chleb na ten pierwszy wieczór, i w stojaku nad lodówką wino.

Do robót, z którymi się guzdrał na swoim parterze (ale też do tej pory nie miał pieniędzy na nie) brat wynajął polsko-rosyjskie młode małżeństwo; mąż był wykwalifikowanym murarzem i nawet przez pewien czas prowadził firmę do rozbiórek i zabetonowywań nawet najcięższych, a ona była robotna (to ona była Rosjanką), i jakby obita czy przestraszona, toteż pod dyktando męża czyściła po nim i zmywała nieustannie osiadający betonowy kurz z wkuć i wcięć, jakie mąż przeprowadzał wokół rur na dole, gdy już raz ze

swym ojcem hydraulikiem wymienili te grube na cienkie.

Musiała mieć skomplikowane nieukładne życie, bo drugiego dnia po przyjeździe powiedziała mu, że była po szkole muzycznej i śpiewaczką w zespole i mężatką w Czerkasach na Ukrainie, i że się rozwiodła. Byłam dobrą żoną, powiedziała stojąc tyłem do niego w kuchni, gdzie pitrasiała obiad dla męża i dla siebie, podczas gdy mąż zwoził pieczarkową ziemię do zapuszczonego ogrodu, by szybciej w niej kwiaty wyrosły. Mąż był zarozumiałym osiłkiem w okularach, niższym i szerszym od niej, umiał umiarkowanie wszystko: elektrykę, stolarkę, ogrodnictwo, i on pomyślał, że dobrze by było mieć taką parę jak oni na stałe przy domu, jako że w domach stale się coś psuje lub coś trzeba zrobić czy przerobić, a on do robót manualnych nie miał ani ochoty, ani talentu.

Nie zatrzymał ich jednak nie dlatego, że Rosjanka była niechlujna i sprzątała tylko powierzchownie, na odczep, pozostawiając kurze pod meblami i swoje biustonosze w umywalce u brata na dole, gdzie urządzili – ona i jej mąż – składowisko narzędzi i brudów, skoro póki on i jego żona i dziecko będą mieszkali w domu, o żadnych pracach związanych z kuciem, ryciem, wyłączaniem wody i hałasem nie mogło być mowy. Nie zatrzymał ich dlatego, że trzeciego dnia, na dzień przed przyjazdem jego rodziny, gdy słu-

chał w rozśłonecznione popołudnie muzyki w wielkiej bawialni połączonej z kuchnią, Rosjanka podeszła do niego (zeszła z dwu stopieńków prowadzących do lodówki), wykonała przed nim kilka młodzieżowych tanecznych ruchów z pogranicza groteski, podniosła podartą i brudną półkoszulkę, którą do pracy wkładała wraz z opiętymi szortami na pękatych udach i brzuchu, i odsłoniła piersi, zachęcając, by po nich przebrał rękami.

Była szeroką młodą silną kobietą, tak że wydawała się krępa, choć była od niego zaledwie niższa, piersi miała jak mlecz białe i pożyłkowane błękitnawo, sterczące i tak mięsiste, że trudno je było zgarnąć w dłoni, więc dotyk ich i pieszczczenie mogły być podniecające, jak podniecające było przebieganie ręką po jej kamiennie twardych pośladkach. W międzykroczu miała jednak podpasękę, więc wystawiła język z rozchylonych warg i przymknęła oczy i objęła go twardą ręką za szyję i przygarnęła mocno, i pocałowała go wsuwając ten sprany gruby język mu w usta, i było to jak całowanie wołowej głowy. Poczuł się zagubiony jak dawno nie był, ona rozpięła mu spodnie i wygarnęła płęć i osunęła się przed nim na kolana i wzięła go w usta (mięsiasty wołowy język) i pieściła, aż usunął się i powiedział, że dość, bo zaraz tryśnie, a wtedy ona popatrzyła na niego z wesołym błyskiem w niedużych szarych oczach i powiedziała dziwnie,

dźwięcznie, „no to dawaj”, i połknęła jego siemię i zlizwała je sobie z kącików warg, i wstając poprosiła, by ją pocałował w usta.



Poczuł popłoch i drzenie nóg, i zawstydzenie, bo Rosjanka nie była ładna, i gdy się wycofywał z bawialni – mąż mógł lada chwila nadjechać – wydała mu się szczególnie brzydka, ale gdy popołudniem wrócił dokonawszy zakupów, znów wzięła go w usta, bo podszedł do niej i wyciągnął rękę po jej piersi, i powiedziała „jak ja cię chcę” i położyła się w tył na kanapie, by otworzyć się dla niego. „Nie upaprasz się” powiedziała tym jasnym dziewczęcym głosem, który był najmłodszą w niej rzeczą, ale on usłyszał szmer na schodach i cofnął się na czas, choć potem Rosjanka mu powiedziała, że mąż widział, jak on nad nią zapina rozporek. Mąż, z nadejściem nocy, gdy mieli odjechać do siebie, był speszony i patrzył w bok, on też patrzył w bok i zastanawiał się, dlaczego zajęczym susem zrejterował do łazienki, podczas gdy ona porwała abstrakcyjną szczotkę i wiadro, ale nazajutrz, gdy ją przepętał, Rosjanka powiedziała, że nic się nie stało, czy coś się stało? zapytała, patrząc na niego szelmowsko. „No właśnie” powiedziała, a mąż tylko całą noc wygłaszał do niej kazanie, że żona (byli świeżo po ślubie) powinna być czysta. „Ja jestem teraz święta”, powiedziała.

„Pan nam pomoże wyjechać za granicę” powiedziała, gdy wszedł do kuchni otworzyć sobie butelkę wina. Podeszła od tyłu i otarła się o jego plecy piersiami. Lubiła sama sobie je gładzić, patrząc w szklane odbicie samej siebie w sztychach, zaś gdy przyjechała jego żona, która była wysmukła i zgrabna, długowłosa i zachodnia, Rosjanka powiedziała, patrząc na niego spode łba i szepcząc w sieni, gdzie się na siebie natknęli, „mnie potrzebna by była przyjaciółka” powiedziała, „rozumiesz?”. Powiedział, że nie rozumie, bo był skonfundowany, biło w nim niemiło serce, a Rosjanka powiedziała „lubisz to, czy wolisz patrzeć?”. Wysunęła koniec języka, by pomerdać nim pomiędzy wargami, a gdy powiedział, że wciąż nie rozumie, powiedziała, że wolałaby Ukrainkę czy zachodniaczkę, bo Polki się nie nadają, powiedziała, a jej mąż jej się przyznał, że go to strasznie podnieca. „Co?” zapytał, patrzeć, powiedziała.

W strzępach, tego dnia przyjazdowego i wesołego rozgardiaszu, wyszeptwała do niego przechodząc, że jej mąż to dzieciuch, i że bardzo go ceni za pracowitość, powiedziała, po czym zapytała „proszę pana, czy mi się uda?”. Wziął jej rękę i popatrzył na schizofrenicznie poplątane cienkie linie układające się na tej grubej dłoni w rozszarpany ubogi pusty krajobraz, i powiedział, że na pewno, a gdy ugotowała sobie i swemu mężowi obiad, i siedzieli rozbabrani przy stole ciamkając, z mięsistymi

łokciami na blacie (ona podniosła nogę, i olbrzymie kolano wyrosło nad krągłym monstrualnym udem) wiedział, że wymówi im pracę, jak tylko skończą zwozić ziemię do ogrodu i rozgracować ją po piasku między sosnami.



Tak też się stało. Mąż zażądał wygórowanych pieniędzy – ale tak w Polsce zachowują się wszyscy, jak w Meksyku czy innym dorabiającym się zdemoralizowanym przez spryt i nędzę kraju – zaś on ściał jego wymagania o połowę, wypłacił tę połowę i pożegnał się z nimi, aczkolwiek dopiero w kilka dni później, gdy skończyli budowę piaskownicy dla dziecka (mąż skopał ziemię, wysypał żwir i na żwir położył tonę piasku, a Rosjanka pomalowała deski na zielono), i gdy już odbyły się pierwsze starcia z żoną, która starała się poprzewieszać wszystkie obrazy, jakie z trudem do ścian poprzytwierdzał, rozburzyć rozkład mebli i bezzwłocznie pojechać po jakieś kosztowne a niepotrzebne duperele do miasta, na przykład po olbrzymie gliniane wazony pod kwiaty na tarasy, które nie były jeszcze tknięte, jeszcze leżały na nich ohydne szare płytki lastrico z okresu późnego komunizmu, kiedy to dom był budowany, a on w swych obliczeniach finansowych nie przewidywał ich przełożenia tego lata, bo w domu były ważniejsze rzeczy do zrobienia, jak uszycie i zawieszenie firanek przy

dwudziestu paru oknach, czy połączenie bramy wjazdowej z garażem za pomocą ekologicznego bruksu, w którym rosłaby trawa, a dzięki któremu samochody nie ryłyby podwoziami w rozmiękłym po deszczu piasku.

Przez tych kilka dni starał się unikać Rosjanki i nie rozmawiali więcej, toteż gdy na podwórzu (wsiadł do samochodu) powiedziała tym jasnym śpiewnym głosem, że potrzebują stu złotych, by mąż mógł dokupić mocnej szorstkiej trawy, dał jej z pewną irytacją, mamrocząc, że to i tak wszystko za drogo kosztuje, a ona stała szeroka i zmęczona, z tą bydlęcą lisią głową i ciężkimi ramionami wspartymi w grabie, i zobaczył na jej twarzy wyraz spłoszenia, wyraz uległości i poddania, który wywiozła stamtąd, a który w jej obitym czynnym mózgu zamieniał się na wyraz chytrej i perwersji, gdy stawała się panią wydarzenia, gwiazdą chwili, usłużną bo zwycięską, seks-maszyną. Jego żona omiotła Rosjankę spojrzeniem, gdy przyjechała i powiedziała, że czuje do niej sympatię, zaś Rosjanka przy niej zachowywała się jeszcze bardziej dziewczęco, i podbiegała rozanielona z promiennym uśmiechem na powitanie, i podawała na wyciągnięcie ręki dłoń jak do pocałowania, ruchem damy, z kanciastymi grabkami palców zwisającymi bez czucia, tak że nie wiadomo było, jak jej dłoń uścisnąć, zresztą uścisku nie odwzajemniała.

Pieniądze, jakie miał, miał za ostatnią wykonaną na Zachodzie robotę telewizyjną, ale tych nie chciał ruszać, podejrzewając, że nastąpi – jak mawiała jego babcia, wiejska nauczycielka – czarna godzina, że chmury, które sam cierpliwie zbierał i napędzał wiejącym od siebie coraz chłodniejszym wiatrem, zagęszczą się w czarną skupinę, w której pozostanie sam, bez pracy i bez żony. Było mu wszystko jedno, ostatnie jego reportaże i przedstawienia były coraz gorzej przyjmowane, a po najostatniejszym najodważniejszy krytyk w najodważniejszej gazecie wręcz napisał, że należy go odstrzelić, jak hipopotama, usypiającą igłą hipodermiczną, a taśmę jego dzieła wyrzucić na śmietnik.

Pozostałe pieniądze, jakie miał (ale i te topniały jak lód w kieszeni), pochodziły z podziału po sprzedaży mieszkania ojcowego. Matka wydzieliła synom działkę z uzyskanej sumy i zgodziła się, opornie, zamieszkać w jego mniejszym ale słonecznym dotychczasowym mieszkaniu na Ursynowie. Mieszkanie rodziców w alei Świerczewskiego było za duże, hałaśliwe i coraz bardziej zatrute stężeniem spalin: coraz gęstsze zwały samochodów, autobusów i ciężarówek przewalały się dniem i nocą przez most, i on święcie był przekonany, że wśród drzew bliskiego Puławskiej Ursynowa, w Dolince Służewieckiej cichej i zamieszkałej przez sympatycznych ludzi, którzy zbudowali dzieciom wzgórek do zjeżdżania na na-

rtach i zasadzili przed niskimi cichymi blokami (bez wind) kwiaty i drzewka owocowe, matce będzie lepiej, zwłaszcza że będzie mogła kiedy chce wychodzić na balkonik, opalać starą skórę i wdychać świeższe powietrze.

Matce jednak trudno przyszło opuścić duże i ciemne mieszkanie, w którym z ojcem przeżyła blisko pięćdziesiąt lat, a które, jak powiedział mu brat, gdy zdawał je, opustoszałe, nabywcy, wydało mu się czarną ponurą norą, odrażającą tym bardziej, że pod obrazami i makatkami na ścianach czaiły się ohydne brudy wżarte w tynk, zwłaszcza wokół łóżek ojca i matki, a ściany za regałami i szafami były tym czarnym bezlitosnym brudem przeżarte jak śmiercią. Matka mówiła, że starych drzew się nie przesadza, i że słyszy stąpanie ojca po gabinecie przez ścianę, i że ojciec – cień, kula cienia jak puchu – nachodzi ją, albo przestaje w przedpokoju, co widziała przez szklane drzwi swojej sypialni, i wyrażała tylko nadzieję – gdy wreszcie przekonała się do sprzedaży i przenosin – że ojciec z nią, czy za nią, podąży na Ursynów.



Tak się jednak nie stało, powiedziała po kilku dniach, gdy już jako-tako rozstawiła swe przedmioty i meble, „ojca tu nie ma”. Ojca nie było już przy pogrzebie, tego on był pewien, ojciec rozsunął się

i rozpuścił między drobinami powietrza. W tygodnie i miesiące, a teraz już lata po śmierci, co dzień, czy raczej co noc, czuł on ojcową obecność około godziny ojcowej śmierci, pół do trzeciej nad ranem w zimowym szklistym jasnym księżycowym świetle twardym i surowym jak szklany kamień, i oddychalnym jakby otwarły się dla nich, czuwających, całe uważnookie przestworza i cały obojętny spokój świata, co dzień mierzyć można było ilość ojca pozostającą w kupie, foremną, trzymającą się razem, a teraz nie było go wcale, i bardzo rzadko o pół do trzeciej w nocy budził się, jak budził się co noc przez te trzy lata i jeżył mu się psim strachem włos na karku, wtedy żegnał się znakiem krzyża, i mówił „wszelki duch Pana Boga chwali”, tak jak to ojciec mawiał za życia, bo ojciec jak i on nie wierzyli w Boga, a już zwłaszcza nie w Boga chrześcijan, ale wierzyli w duchy i świętki i obecności i zaklęcia, bo wierzyli, że świat nie jest naprawdę, tylko jest wewnętrzny, i że jego obecność, jak i nasza obecność, są duchowe jedno dla drugiego, jedno z drugiego, jedno i drugie jednym i tym samym, może słowem.

Z Rosjanką i jej mężem pożegnał się, mimo że ogród był na pół rozpaprany, stopy ziemi nawiezionej zwalone pozostały za domem, a tam, gdzie miały ukwiecić się klomby, ział dół żółtego ciężkiego piachu, dzięki któremu tak wysokie tu rosną sosny, tak suche są ściółka i powietrze, i nie ma komarów. Lubił adres tego domu: Stara

Miłosna, Mickiewicza 13, i wydawało mu się, że polubi ten dom, w którym jeszcze nigdy nie mieszkali (raz, zeszłego roku, na Boże Narodzenie, przez dwa tygodnie trzaskającego mrozu, i raz tego roku w kwietniu, kiedy przyjechał tu dojrzeć prac budowlanych, a temperatura spadła – poprzedniego dnia usłyszał w telewizorze prognozę, iż od jutra nastąpią upały – do minus dwudziestu stopni, i przez cały tydzień wiały wiatry i sypały tumany mokrego lodowatego śniegu), kiedy tylko opuszczą go ci ludzie.

Przechodząc unikał ocierania się o piersi Rosjanki, albo odsłaniania na chwilę jej mocnego karku i przeciągania po nim ręką, aż ona znów mu popatrzyła w oczy tymi węgorzowymi oczkami i powiedziała „ja jestem diablica”. Tuż przed pożegnaniem na podwórku i przyjęciem koperty z zaległym zarobkiem, mąż, któremu wróciła buńczuczna pewność siebie (w wojsku jeździł na największych ciężarówkach, tych od rakiet, przy których trzeba pięciu żołnierzy do zmieniania koła, i w ogóle znał się na wszystkim najlepiej, i wszystkich pozostałych rzemieślników i robotli traktował per durnie, choć sam był równie, czy może nawet bardziej, niechlujny, bezmyślny i nieskoordynowany, co oni) zapytał go, jak to jest w telewizji, gdy aktorzy mają do wykonania sceny miłosne, czy się nie podniecają i nie robią tego naprawdę, bo on przecież by się podniecił jak skurwysyn, chociaż nie jest aktorem?



Każdy jest aktorem, odpowiedział. To dlatego, że każdy jest aktorem istnieje w ogóle aktorstwo, nie jest to niezwykle ani nadzwyczajne, aktorzy mają po dwie nogi i chodzą po ulicy, a tylko sami się przezywają aktorami, tak jak pan przezywa się robotem. „Wykwalifikowanym” odpowiedział krępy pękaty mąż Rosjanki w okularach. No dobrze, dodał on, wykwalifikowanym aktorem. Mąż pokręcił bezczelną głową z niedowierzaniem, przecząco, i w krzywym uśmiechu pokazał braki w uzębieniu po bokach (reszta zębów była mała i nieczysta), a on poczuł irytację i powiedział, że gdyby chciał, to sprawiłby ot tutaj, teraz, że mąż Rosjanki zaczęłby się tarzać po skopanej ziemi i nie wiedziałby, że to robi, wstałby po tym tarzaniu i może konwulsji jak gdyby nigdy nic, i patrząc na swe zbrudzone ubranie zapytałby, co się stało?

Uśmiech męża Rosjanki powlekł się grzeczną niepewnością, i mąż zapytał: dlaczego to tak? A on odpowiedział, że każdy człowiek ma w sobie ciemność, o której nic nie wie, każdy człowiek ma też dar wejścia w ciemność, jak w zaświaty, i że trzeba to uznać, bo to wiele tłumaczy, i że stąd się bierze aktorstwo, ze snu, z niebytu podczas snu bierze się samo sedno tego, czy jesteśmy, lub jak postrzegamy świat. Mąż pokręcił energiczniej krągłą chytrą czaszką,

już zupełnie nieprzekonany, więc on powiedział, już teraz niecierpliwie, czy nawet ze złością tą samą, z jaką dał Rosjance sto złotych: spróbujemy? A gdy mąż zawahał się, rechocząc i zerkając na nieruchomą (kamiennie znieruchomiałą i bladą, jak posąg doświadczenia czy wiedzy czy czort wie czego) żonę, on zapytał: tchórzy pan? Co było chwytem demagogicznym, na który mąż Rosjanki nie mógł wobec młodej żony odpowiedzieć inaczej, jak tylko zuchwale.

Może to ojciec męża Rosjanki, jej teść, wprowadził go w tą irytację bardziej niż oni, gdy kroczył gospodarskim ciężkim krokiem po mieszkaniu brata na parterze, wiedząc wszystko jeszcze lepiej niż syn, wrzynając się diamentową piłą w betonowe słupy (pył zalegał wiele tygodni w całym domu i wzbijał się nieuchwytną zawiesiną w powietrze aż do strychu, mimo że nieustannie ścierali ją i zmywali z podłóg i schodów i książek), i przyczepiając nie osłonięte krzywe plastikowe rury do miększych ceglanych ścian wierzchem, nie wiedzieć wedle jakiego sensu, żadnego. Ojciec pracował w miejskim pogotowiu wodnym w Warszawie, i jak sam syn mówił, nie robił tam nic, pogotowie wyjeżdżało kiedy chciało, raz, dwa razy w tygodniu, a tak poza tym nie wyjeżdżało, bo mu się nie chciało ani nie opłacało, więc ojciec męża Rosjanki grał w karty i pił, i czerepu czarnej ulizanej płaskiej czaszki nie mył nigdy, i miał czarne wąsy i stale pogardliwie niezadowolony wyraz twarzy.

Nawet myślałem pójść do ojca na etat, powiedział raz mąż Rosjanki, „tak tam nic nie robi, i czasu ma mnóstwo na wolne robótki na mieście, istna laba” powiedział, „ale wolałem jechać na szmugiel na Ukrainę” – gdzie ostatnio się udali, by sprzedać BMW ojca hydraulika, samochód przerdzewiały i ledwo trzymający się na kołach, ale też skąd hydraulik dorobił się BMW? – „lub rozbierać kominy fabryczne na wolnym powietrzu” powiedział, i może to tam poznał żonę Rosjankę: znaczna część Rosjan mieszka na Ukrainie, bo Rosjanie zaleli pół Ukrainy, jak zalewali od zawsze wszystkie kraje przez siebie zniewolone, „choć tak naprawdę to urodziłam się na Uralu” powiedziała, gdy weszli na górę i mąż zapadł w trans, i go obserwowali.

„Zaoszczędzę panu wybrudzenia się w tej świeżej ziemi” powiedział, zapraszając ich na pierwsze piętro do bawialni, gdzie przez ostatnie cztery dni widział ich obiadujących tłusto i niechlujnie przy ładnym stole, który wypatrzył po długim szukaniu w sklepie z meblami biurowymi. Stół był owalny, na krągłych aluminiowych nogach, i miał wycięcia w blacie oddzielające dwa rodzaje drewna, i był stołem, jakiego nigdy nie widział, choć polskim stołem, bo on od początku meblowania tego domu założył, że tylko to co polskie się w nim znajdzie, nawet ten stół, którego nikt w sklepie biurowym nie chciał kupić za niepraktyczność, bo ołówki mogły w szpary pomiędzy

drewnami powpadać. Na ścianach wisiały polskie sztychy, które miał od lat, i obrazy młodych polskich malarzy, których wypatrywał psim swędem, lub którzy sami do niego dzwoniли, bo go podziwiali w telewizji, gdy przyjeżdżał, ale wytyczony plan nie w pełni mógł być spełniony; zebrał przecież przez te piętnaście lat życia na obczyźnie moc przedmiotów, tkanin z Indii czy malowideł na szkłe z Indonezji, czy naiwnego malarstwa z Haiti lub Voivodiny, afrykańskich rzeźb i chińskich kamiennych figurek i waz z Hongkongu, a też kafle w kuchni i trzech łazienkach były raczej włoskie i hiszpańskie niż polskie, bo polskie były po prostu szkaradne, a on chciał, by dom był po prostu ładny.

A i tak, gdy przybył do niego z wizytą miliarder z Brukseli, który w Warszawie prowadził przez dwa dni w tygodniu interesy od 1978 roku, i stał się dzięki temu właścicielem drapacza chmur w Nowym Jorku na Wall Street, i jachtu na Morzu Egejskim, i domu, który pod Brukselą z żoną zwiedzili, pełnego podłóg z szarego drzewa sprowadzonego z Anglii i obrazów Basquiat'a murzyńskich i prymitywnych z nowojorskiego metra (Basquiat był ulubieńcem znarkotyzowanej elity i odpowiednio umarł na AIDS), miliarder przebiegł po domu obojętnie (na podwórzu nie przywitał się nawet z Rosjanką i jej mężem układającymi podjazd do garażu i wyświnionymi pracą), i on zrozumiał, że dom jest ubogi. Po-

środku biblioteki miliardier powiedział, że Basquiat w tej chwili wart jest majątek, ale że głowę daje, iż za parę lat nie będzie wart grosza (był zaskakująco bystry, i na parę tematów – wina, malarstwa, architektury, poezji – wiedział nieoczekiwanie wiele, jak wiedział wiele o tym, jak funkcjonuje i rządzi się Polska), bo wart jest tylko tyle, ile pokolenie, które go kupuje, a gdy to pokolenie zejdzie ze sceny, dzieci wymyślą sobie innego Basquiat'a.

On postawił afrykańską muzykę z płyty kompaktowej, choć lepiej by było (sprawniej) mieć grającego perkusistę na żywo, który wraz z nim obserwowałby ruchy męża Rosjanki, i poprosił, by mąż zdjął skarpetki (buty i tak zdejmowali na dole w sieni) i usiadł na podłodze i rozluźnił pasek spodni, i by oddychał. Przecież oddycham, powiedział z cwanim szyderstwem mąż Rosjanki, ale on powiedział: nie, proszę oddychać o tak, brzuchem, i nacisnął, schylając się nagle nad siedzącym na podłodze mężem Rosjanki, na jego przepone. Mąż zamilkł i skupił się. „Ja pana poproszę tylko o pięć minut skupienia i słuchania tego, co mówię” powiedział on, „inaczej gra jest nieuczciwa”, a Rosjanka patrząc na męża skinęła wężową głową poważnie, więc mąż się skupił. Teraz się pan położy na plecach, powiedział on, i zdejmie okulary; Rosjanka wzięła okulary męża, a on podjął z tablicy, na której dziecko rysowało, białą kredę, i obrysował ciało leżącego kropkami i kreska-

mi, bo to odizolowywało go od przeszkadzających mu duchów i odizolowywało od wszystkiego, co nie było nim, a przynajmniej robiło wrażenie.

Podniósł poziom muzyki tak, by leżący mąż Rosjanki czuł wibrację basów przez podłogę, i powiedział: teraz niech się pan wsłucha w tę muzykę nawet jeśli się panu nie podoba, ale proszę – powiedział, znów naciskając, tym razem stopą, na przepone leżącego – nie przestać oddychać, proszę oddychać jak najgłębiej, jak najbardziej, aż poczuje pan mrowienie w stopach i dłoniach i zakręci się panu w głowie. Posłusznie mąż Rosjanki oddychał, a on zobaczył w jego oczach wpatrzonych w sufit, że kręci mu się w głowie i szumi w uszach, i powiedział „teraz niech pan wstanie”. Podczas gdy mąż Rosjanki chwiejnie wstawał, narysował szybkim jednym pewnym ruchem koło wokół jego kredowej sylwetki na podłodze i powiedział, teraz niech pan tańczy. Mąż poruszył się niepewnie (miał głowę zwieszoną, jakby się wstydził czy obawiał), a on powiedział „nie, może pan tańczyć nawet nie odrywając stóp od podłogi, niech pan zamacha w rytm rękoma i głową, ale proszę oddychać, proszę skupić się nie na muzyce, ale na oddychaniu”, i mąż niewprawnie począł poruszać rękoma i kręcić głową; „dobrze” powiedział on, „teraz stanie się pan sobą, dopiero teraz to się w panu otwiera, niech pan tam wejdzie”.

Mąż Rosjanki zaczął dyszeć i pocić się obficie na całym ciele i z głowy, i ciało jego poruszało się za rękoma machającymi jak wiatrak, a głowa jego kołysała się z lewa w prawo siepiąc powietrze, a gdy podniósł twarz do sufitu zobaczyli, że ma oczy na pół przymknięte, i w wycięciu powiek łyśka białko. „To jest to” powiedział on, „nie czuje pan żadnego strachu i znalazł to pan i to jest prawdą i ta prawda chce się z pana wyzwolić”. Ruchy męża Rosjanki stały się teraz szalone, ale nie wychodził on z kredowego kręgu i nie tracił rytmu, przeciwnie, wewnątrz słyszanego rytmu wytworzył sobie swój własny, zęby mu też szczękały i wyglądał jak pies, grubogłowy i ze zmoczoną sierścią, aż osunął się: nie, nie upadł, tylko miękko i poniekąd elegancko zwinął się na kolana i na bok na podłodze, skulił się, podciągając nogi pod szczękającą brodę, i począł się turłać z boku na bok od krańca do krańca kredowego kręgu, nigdy go nie przekraczając, a gdy on przykucnął u granicy kręgu i zapytał: jak to jest, co to jest, czym jesteś? Z ust męża Rosjanki wydarł się przejmujący zwierzęcy skowyt, czy płacz, czy dziecinny niepohamowany krzyk, i on położył rękę na ramieniu męża Rosjanki i powiedział: już dosyć.



Mąż Rosjanki przestał krzyczeć i leżał nieruchomo na wznak, a on pozwolił mu odpocząć, by

wzburzony oddech wrócił mu do normy, i skinął na Rosjankę, by mu podała ścierkę z kuchni, którą by otarł mu głowę i twarz. Jeszcze chwilę pozwolili mężowi Rosjanki odpoczywać, i spojrzął na Rosjankę, którą przez cały czas trwania transu się nie interesował, a która snadź stała nieruchomo, nie wiedział, tak był skupiony nad jej mężem i pilnujący go, i będący z nim i czuwający, by nie przekroczyć żadnych granic, do czego nie miał prawa, choć w transie nigdy nikomu, kto jest szczerzy, niczego złego stać się nie może. Rosjanka patrzyła na jego rękę, wycierającą pot męża, a twarz jej była stężona napiętym (napięta wstecz, do tyłu) wyrazem, jakby skóra ściślej oblepiała jej rysy i wystrzała je: zazwyczaj były kartoflowato niejasne, i czuć było, że Rosjanka się wkrótce roztyje, rozedmie, stanie się monstrualnie ciężka i obfita, i straci tę nikłą świeżość, którą jeszcze niekiedy – w śmiechu, w przewrotności – miała. By pokazać, jak jest z nim w komitywie Rosjanka przeciągnęła językiem po ustach, a potem rękoma po tłustych piersiach, a potem sięgnęła sobie pod spódnicę i pokazała mu łono mięsiste, delikatne i jasne, ale on pokręcił głową i powiedział „to byłoby nie fair” i przebudził jej męża, mówiąc mu „teraz wstajemy”.

Mąż Rosjanki usiadł i uśmiechnął się i zapytał „jak tam?”, i zapytał „co tak na mnie patrzycie?”. Gdy żona podała mu okulary wstał, otrzepał kolana spodni i rześko powiedział: czy coś się sta-

ło? On odpowiedział „nie, nic”, i mąż powiedział „no widzi pan”, i roześmiał się wesoło. Czuł się wybornie, widać było, a on powiedział: no to się na pożegnanie napijemy, i wyjął zmrożoną wódkę z lodówki, a mąż Rosjanki powiedział: nie śmiałem panu tego zaproponować. Nawet przyniosłem flacę, powiedział, ale ma pan taką powagę w sobie, że gdy pan spojrzy, to człowiek bezwiednie staje na baczność i się w sobie poci, powiedział z krzywym uśmiechem. Napili się wódki i zagryźli ogórkiem, siedząc przy kuchennym stole (tym razem Rosjanka i jej mąż trzymali się prosto i byli schludni jak na weselu), i Rosjanka pochyliła lisią głowę do blatu i powiedziała, że na Uralu, gdzie się urodziła (jej rodzice wyjechali tam za lepszą *zarplata*, powiedział mąż) widziała prawdziwy sabat czarowników, ona była mała, więc ją dopuścili. Zamilkła, a on zapytał: czym trudnił się ojciec? Był zegarmistrzem, powiedział mąż. W miasteczku? zapytał on. Tam były dwa miasteczka, odpowiedziała, górne i dolne, górne zamknięte przez wojsko, dolne normalne. Broń? Zapytał. Rakiety i takie rzeczy, powiedziała, ale gdy trzeba było mnie ochrzcić, wróciliśmy na Ukrainę, powiedziała, a gdybyśmy mieszkali w górnym, nigdy by nas nie wypuścili.

„Oni mają tam chałupę z bierwion jak ze sto lat temu” powiedział mąż, „na niebiesko malowaną i z obrazami”. „Mężowi bardzo się tam spodo-

bało” powiedziała ona, nie podnosząc wzroku. „Pięknie” powiedział, „obok jest gospodarstwo jej ojca chrzestnego, któremu wybiło dziewięćdziesiąt dwa lata, a goli wóde jak pan czy ja” powiedział. „To on załatwił mi chrzest” powiedziała, „pamiętam, że jechaliśmy konno całą noc, a może dwie noce, bo to było zakazane” powiedziała. „Po to wróciliśmy z tego Uralu” powiedziała, i on wyobraził sobie chudą milczącą dziewczynkę trzepiącą się na wysokim kozackim siodle, lub na derce tylko, pod wieczornym morskim niebem w stepie, siedzącą za łykowatym starym chłopem w garniturze i kaszkiecie i z bosymi na czas konnej jazdy stopami, i pod tym nocnym rozgwieżdżonym bezbrzeżnie niebem jak truchtają od chutoru do chutoru, omijając je, chociaż w nocy milicjonerzy i komuniści i ateści i donosiciele śpią alkoholycznym mokrym snem, oni jadą w kryształowo-czystą nocną jasność po kryjomu do najodleglejszej w stepie stancy, gdzie uparty starowiec miał ją dopisać do świetlnej wspólnoty ludzi.

„Teraz przestanieś mnie nachodzić” powiedziała, gdy mąż poszedł do ubikacji, podciągając po drodze pas na krągłym brzuchu; tak samo powiedziała, gdy go wyssała, z ustami pełnymi jego bieli, ale on, dygoczący od przyjemności i z łomotem w sercu nie spamiętał tego wtedy, teraz mu się przypomniało; „nocą przychodzisz do mnie jak jaki Iwan Groźny” powiedziała, i powiedziała „to tam widziałam krąg czarowników,

a może mi się to tylko wyśniło, jak ty się wyśniłeś, albo mi się zwidziało”. Przy mężu mówiła do niego „proszę pana”, a gdy sam na sam „ty”, i po raz pierwszy i ostatni pożałował, że nie wszedł w jej tłuste zwarte łono, pomiędzy kolumny jej nóg i twarde ogromne pośladki, bo tylko zdążył wsunąć tam kościsty palec, a ona natychmiast zaczęła kwilić i pojękiwać.

2

Było to możliwe dlatego, że żona z dzieckiem i nianią poszli na długi spacer po słonecznym parku otaczającym kilometrami ich dom z trzech stron poza domami sąsiadów, z których niektórzy mieszkali tu od pięćdziesięciu lat i chwalili sobie klimat i ciszę i brak owadów, zaś niektórzy byli nowi i bałaganili w obejściach zagraconych towarem i interesami. Bezpośrednia bliskość sąsiadów wzmagiała poczucie bezpieczeństwa, ale on nie traktował tego domu jako domu na wsi, tylko jako dom w mieście: do tablicy z napisem Warszawa przekreślonym w poprzek było sześć kilometrów, dom stał na właściwym wschodnim szlaku w stronę Moskwy (pierwsza tablica po drodze podawała: Moskwa 1275 kilometrów), tak jak cały ten kraj był i powinien być zwrócony licem do Wschodu, a tylko uszami i potylicą na Zachód, którego nie rozumie i do którego w niczym nie jest podobny.

Pożegnał Rosjankę i jej męża, gdy ów wyszedł z ubikacji, i nie zobaczył ich nigdy więcej, jako że dążył do ograniczenia nawet przygodnych znajomości i do powolnego niewidywania nikogo, co jego żona widziała, ale o niczym nie rozmawiali ze sobą, tak jak sypiali obok siebie w milczeniu i ożywiali się tylko w obecności synka, bo był wdzięczny i wesoły i uwielbiał chwytąć ich oboje naraz za szyje i być przez oboje całowany z obu stron w aksamitne chłodne policzki. Ożywienie seksualne po przyjeździe żony opadło, przy żonie zawsze gasł mu apetyt, ale żądza wobec grubej i brzydkiej Rosjanki przypomniła mu, jak wielkie pragnienie w nim jeszcze żyje, z jaką arogancją jasną siłą. Żona wróciła ze spaceru ze zmęczonym dzieckiem i poszła do siebie na samą górę, on wiedział, że zapali tam papierosa z marihuaną, i że będzie paliła siedząc w oknie na parapecie nad czubami drzew, z podkurczonymi kolanami, a maszynopis jej nowej książki będzie leżał otwarty na dużym pogodnym stole, który jej kupił, by przy nim pisała co zechce.

Poznali się w Paryżu, gdzie ona pojechała na stypendium naukowe, i gdzie ją przyłapał stan wojenny w Polsce, do której – po krótkim wahaniu – nie wróciła. Jego z kraju wyproszono dwa razy: raz gdy w przeddzień Marca 68 nakręcił reportaż o Żydach intelektualistach i ich wkładzie w kulturę polską, za co go wprzódki usunięto z etatu w telewizji, drugi raz gdy po powrocie (wrócił

jednak) gdy nakręcił reportaż o rzekomej religijności Polaków, która to była zabobonna fikcją, czym udało mu się obrazić wszystkich, hierarchię kościelną oczywiście, ale i hierarchię komunistyczną, niechętnie pokazującą bezdenność katolickiej otchłani. Przepracował wówczas (był rok 77) dwa lata jako taksówkarz, potem dostał zaproszenie do Francji, gdzie kiedyś odebrał nagrodę telewizyjną (od ludzi, którzy sobie o nim przypomnieli), i dano mu paszport.

Znał francuski, bo jego chłodny i obojętny ojciec wpoił w nich (jego braci i niego) języki, i po czasie biedowania, dzięki koneksjom wśród znajomych tamtych znajomych, zaczął pracować we francuskiej telewizji, bo skrywał swą polskość (nie, nie ukrywał: skrywał), i zachowywał się jak Francuz, a ta odrobina odmienności w jego patrzeniu (niby z powieści Józefa Conrada) powodowała, że to, co robił na tyle zaskakiwało, by się podobać bardziej. Teraz jednak masa widowni siedzącej przed telewizorami uległa zmęczeniu zaskakiwaniem i odmiennością, i chciała się czuć ogarnięta czymś w pełni zrozumiałym, więc opiekuńczym, podczas gdy on pozostał sobą, obcym, więc z wolna pole, na którym mógł być sobą zwięzło się do powierzchni jego podeszew.

Czuł zimno w sobie. Dokładne okoliczności ich poznania były takie, że przyszli – każde z osobna i każde w innym towarzystwie – do Pallotynów

w Paryżu na wieczór autorski Zbigniewa Herberta, który był zbyt pijany, by czytać swe wiersze zrozumiale, na szczęście znali je i nie szło tu o słuchanie. Ona przysiadła na jedynym wolnym krzeselku obok niego, pozostawiając pod ścianą ówczesnego narzeczonego. On siedział u skrajka rzędka znajomych, wśród których była kobieta, która go wówczas zajmowała. Zaś jej dokładna droga naukowa była taka, że po trzech latach studiowania filozofii w Warszawie (grzech, który i on za młodu popełnił) przerzuciła się na historię, i specjalizowała u profesora Geremka w średnio-wieczności. W Paryżu była, by pogłębić dokumentację do doktoratu o Joannie d'Arc, który był siłą rzeczy doktoratem o bujdzie o Joannie d'Arc, ale wobec stanu wojennego i wyczerpaniu się stypendium musiała szukać innych prac, więc uprawiała tak zwane *menaże*, czyli sprzątała mieszkania, pilnowała dzieci, mieszkała kątem u przygodnych przyjaciół i pisała do szuflady, czyli do plecaka.

Doktorat napisała, ale nie pojechała do Warszawy na obronę, tylko podjęła na Sorbonie studia nad psychologią psychopatii, a później nad szamanizmem, i była teraz w pełni wykształcona. Zamieszkali razem, gdy wyłuskał ją z ramion narzeczonego (narzeczony był jej rówieśny, ale on znacznie od nich starszy, więc ciekawszy w rozmowie), i ona krok po kroku wciągnęła się w jego telewizyjne inscenizacje i filmy, czytała jego

książki i medytowała, paląc moc papierosów. Poprosiła, czy może być jego asystentką i była asystentką sumienną i skuteczną, pracowała za trzech, nauczyła się montażu i elementarnych reguł filmowania, i nakręciła pierwszy własny reportaż o sekcje nazaretańczyków, czekających w Bretanii na koniec świata, a potem dowcipny film o Joannie d'Arc i faszystach, którzy używali jej jako symbolu. Dostała socjalistyczną nagrodę od francuskiego Ministra Kultury i nakręciła krótki własny film fabularny o sobie, ale to było już po kryzysie w ich parze i po ich zejściu się z powrotem.

Po dziesięciu latach życia i stygnięcia przy nim, jego żona wzięła sobie za kochanka operatora, który z nią te filmy nakręcał, i na wyjeździe i w Paryżu uprawiała z nim młody seks (był młodszy od niej), i trwało to rok, a gdy się wydało, on przeżył to znacznie bardziej, niż by kiedykolwiek przypuszczał. Po prostu nie przypuszczał, choć marzył niekiedy (schodząc schodami w starej koślawej kamienicy, w której mieszkali), że ona sobie kogoś znajdzie i da mu spokój, wolną rękę do innego życia, którego potrzebę – niby strach – czuł rozdzierającą w sobie.

Ale dopiero gdy się zeszli znowu, w anormalności nieszczęścia i pustce bez siebie, i gdy urodziło się dziecko (pamiętał, jak weszła do mieszkania z jednym białym kwiatem w ręku, od-

mieniona i uważna, i powiedziała, że jest w ciąży, patrząc na niego nieobecnie i badawczo, i niezbyt, pomyślał, szczęśliwa, on nie poczuł szczęścia ani niczego wyraźnego, raczej chłodną fatalność), skóra jej, obycie i charakter poczęły szarzeć i twardnieć. Stała się szorstka, on budząc się rano widział jej brzydnące rysy i zgasłą twarz, i rozumiał, że stoi w miejscu i nie rozwija się, tylko tkwi w czasie, i że to, co w niej było zapowiedzią stało się kamieniem, a kochać można tylko zapowiedź.

Napisała powieść o tym swoim romansie z młodym człowiekiem – powieść kobiety trzydziestoletniej – którą on pomógł przetłumaczyć na francuski, zastanawiając się nad każdym słowem i nad sensem każdego zdania, ale to, czego się z jej prozy dowiedział, było jeszcze bardziej raniące, niż mógł przypuszczać, choć jeszcze bardziej niejasne, jakby to w niego przelały się jej wody słone, gorzkie i okrutne, czasem mdłe, wody których była pilną rejestratorką i strażniczką. Była nimi wypełniona i zajmowała się sobą, a przeto zupełnie mu obca i obojętna, i to się wydało: zręcznie, inteligentnie i poetycko używała słów i podpatrzeń, ale były to tylko podpatrzenia, i były to tylko słowa. Była prymitywna w tej skali, i nie miał z nią wspólnego języka, odkąd utracił język pedagogiczny, bo teraz ona się naumiała.

Przebywała na strychu i paliła przywiezioną z Paryża trawę i pisała następną powieść, o której nie rozmawiali, i razem zajmowali się dzieckiem, a on patrzył ze strwożeniem, jak kurczą się zapasy pieniędzy i nie wiedział, co ma być dalej. Ona miała kolejne zamówienia z francuskiej telewizji, jedno na film o tych żyjących polskich poetach, z których to jak grzyby wyrastały Noble, i czy Noble te są słuszne czy niezasłużone i jakież to są właściwie ich – poetów – biografie; miała zacząć filmowanie we wrześniu, gdy poeci powrócą z wakacji, potem miała kręcić film o maronitach w Holandii i Polsce (na Żuławach) i w Stanach, a potem chciała nakręcić własny film, chciała zrobić swój własny duży film i przepytывała go, jaki powinna zaadaptować utwór, bo – mówiła – jej fakty są kobiece i niejasne, i on poddał jej „Czerwone i Czarne”.

Popatrzyła na niego nie odpowiadając, ale on zobaczył później, że na jej stole na strychu leży „Czerwone i Czarne”, i że ona ponownie je czyta i sporządza notatki. On zaś nie miał nad czym pracować i nie czytał, bo czytanie przyprawiało go o nerwowe drżenie, a słowa i akapity mieszały się w oczach, zamazując stronę i odpychając książkę od oczu i uniemożliwiając uwagę. Siedział w swoim gabinecie i patrzył na sosny i niebo pomiędzy nimi, albo bawił się z synkiem i oglądał z nim ilustracje (na szczęście umiał „Lokomotywę” na pamięć, i nie musiał się wpa-

trywać w taniec literek), a od czasu do czasu telefonował lub telefonowano do niego w sprawie Stowarzyszenia Polska – Europa, któremu przewodził (na odległość, jak zły duch) młody Żyd miliarder z Brukseli, dla którego było to szylde-
dem w interesach z Prezydentem i ministrami, a ojciec którego (mikroskopijny) uciekł w swoim czasie z getta we Lwowie.

Wiedział dokładnie, że to co było miało się skończyć, kończyło się właśnie, i czekał na ten koniec bez niecierpliwości, jak kiedyś czekał na koniec swego młodego pierwszego małżeństwa, zaciągniętego w Lublinie, gdzie jego ówczesna żona była studentką na KUL-u, a on stawiał pierwsze dorosłe kroki pisząc wiersze i pracując jako inspicjent w skromnym lubelskim teatrze, dokąd dostał się po filozofii na tymże KUL-u i po dwu latach zarzuconej polonistyki.

Pamiętał pokój, jaki podnajmowali w gmachu teatru – gdzie kilka mieszkań przydzielono dyrekcji do rozdysponowania – i jak siedzieli w tym pokoiku w niedzielę nie robiąc nic, nawet się nie kochając (kochali się rzadko, on już nie pamiętał, dlaczego), nie słuchając radia ani nie patrząc w telewizję, której nie mieli, albo pamiętał spacerować przez puste stare i szare miasto, parki i rzekę siwą i odbijającą światło, i swoją własną troskliwość pamiętał, jak prowadził żonę za rękę, trzymając ją coraz mocniej, choć się nie wrywała, szła tylko

przed siebie (laźła) coraz bardziej absurdalnie i coraz mniej świadomie, bo traciła rozum i pamięć i przestawała wiedzieć kim jest, kim są, i co to za życie.



Potem nastąpiły męczące ataki podobne do napadów epilepsji, a potem akty zwierzęcej furii, w których jego młoda żona stawała się niebezpieczna dla siebie i dla niego, i okropne wizyty jej rodziców – była jedynaczką – którzy ze zgrozą patrzyli na rozplakaną, rozwrzeszczaną furiatkę skaczącą do nich, by im wyszarpać oczy czy rozbić czaszkę (raz uderzyła o ścianę głową drobnej matki tak, że matka straciła przytomność), i zamykanie w szpitalu, okresowe i przedłużające się, i powolne narastanie milczenia między nim a jej rodzicami, tego milczenia znaczącego, że to jego wina, że to on spowodował tę straszną zmianę w ich słonecznej córce, i tę otchłań nieszczęścia, choć czym? choć jak? Nie wiedzieli, ale mało wiedzieli o świecie, byli skromnymi katolikami z Janowa, ojciec pracował w zakładzie kamieniarskim, gdzie głównie rył napisy nagrobne, a matka w obejściu hodowała kury i pielęgnowała jarzyny, którymi się żywili.

Potem żona umarła i nie chciano im pokazać ciała, bo żona się zmasakrowała czy powiesiła, nie chcieli powiedzieć. „Lepiej niech na to nie pa-

trzy”, powiedzieli, ale on ich zmusił – wedle prawa – do tego, by odsłonił jej twarz i ręce, a sam odsłonił jej piersi spod prześcieradła i zobaczył sztyletowe rany, które sobie zadała kawałkiem szkła, jaki przemyślnie znalazła i ukryła, i to co szkłem zrobiła ze swoją prostą ładną twarzą, nim się dodusiła paskiem od szlafroka: po nim została na jej szyi czarna ostateczna pręga, którą zapamiętał na zawsze.



Stało się to, bo żona nie wytrzymała pustego ciśnienia, i nie znajdowała w niczym pocieszenia wobec bezmiaru ciszy i beznadziejności trującej ci krew, nie umiała zająć się drobnicą egzystencji ani wsiąść jak trzeba do autobusu, a powyłamywane bruki i pogańskie komunistyczne ceremonie obrażały ją, jak obrażała ją religia strachu i śmierci, uprawiana przez większość dokoła, jak obrażały ją nikłe ochłapy zniebieszczonego mięsa na śmierdzących ladach, jak obrażały ją rzędy butelek z chrystycznym octem w pustych sklepach i obrażała ją partyjna i więzienna tłustość, jak obrażał ją bandytyzm, jak obrażało ją zaszczanie, jak obrażała ją gazeta i jak obrażała ją płaska a bezdenna niewola głupoty i tandetnego myślenia i w pół dowarzonych świadomości i mędrkującego imbecylizmu.

Nie, on jej nie obrażał. Tyle, że przez niego przechodziło to jak powietrze, a na niej zaciskało się jak wilcza szczęka. Mózg jej pękł, tak jak serce pęka w żałobie. Zwykle to mężczyźni zapadają się w takie szaleństwo, lub alkoholizm, lub jedno i drugie na raz, ale po nim przebiegało to jak wiatr, czy raczej: przeciekało jak woda, bo on poruszał się chłodny, czy bez temperatury, i nie kochał nikogo i niczego, kochał jedynie wstecz, gdy już się stało, kochał z zazdrości czy zranienia czy straty, a podczas zajęty był czytaniem, zajęty był dowiadywaniem się i poznawaniem choćby tylko głową, zajęty był swoim pustym sobą, toteż pokochał ją po śmierci dotkliwie i głęboko, i bardzo płakał.

W Lublinie nie pozostał, tylko pojechał do Krakowa, a potem do Warszawy, wciąż jako inspicjent (zrazu w gorszym – Słowackiego – teatrze w Krakowie, i jako asystent reżysera w Starym), a potem zaczęto drukować po pismach wprzód jego wiersze, a potem to, co pisał prozą, okrojone przez cenzurę i zmętniałe, ale jednak, a potem dostał się do telewizji jako pomagier wziętego reżysera od komedii, z którym się zaprzyjaźnił, a potem zaczął sam robić przedstawienia i filmy, dokumentalne i fabularne, za które go ukarano. Nie, nie ożenił się po raz drugi, nie tyle z pamięci dla zmarłej, co dlatego, że mu się nie chciało: jedna tylko, młoda jeszcze aktorka prawie położyła na nim łapę, ale prze-

straszył się sam nie wiedział czego bardziej, jej licznych doświadczeń czy bawolego syna, którego sama wychowywała, czy napisu na ścianie w jej pokoju (wielkimi literami Boże Daj Mi Pogodę Ducha, bo dzielnie żyła z jedną tylko nerką podczepioną hakiem do żeber, i uśmiechała się stale), czy jej zębów, czy drobnych piersi: nie, chyba raczej seksualnych wymagań.

Obracał się wśród teatralnych aktorek i młodych kobiet piszących koszałki-opałki i spikerek z dobrych domów, bo były niemądre i puste i przynajmniej wiadomo było, jak funkcjonują, i że żadna z nich nie ulegnie obłąkaniu i nie zawisnie na nim, do czego on nie miałby ani cierpliwości, ani czasu. W Warszawie zbliżył się do swoich rodziców, z domu których uciekł – wybył – gdy tylko zdał maturę; oddalił się do tego stopnia, że przez pierwsze półtora roku studiów, póki nie otrzymał stypendium od księży, pracował wieczorami i nocą w zakładzie fotograficznym, gdzie wywoływał, odbijał, powiększał a nawet zakolorowywał wszystkie te zdjęcia ze ślubów, bierzmowań, komunii i imprez, które się wydawały ogółowi konieczne, a wszystkie takie same.



Ostatnim filmem, jaki zrobił w telewizji, był kilkuodcinkowy serial według „Dzienników” mło-

dego Żeromskiego, bo były te dzienniki chłopięce i mężniejące najlepszą polską powieścią, kiedykolwiek napisaną, tak uważał. Odcinki poszły na półki, a jego oskarżono o wyuzdanie i pornografię, bo tak, w istocie to, co uratowało nędznego i głodującego Żeromskiego od ześlizgnięcia się w bandytyzm, socjalizm rewolucyjny czy prowincjonalne zmarnowanie, to seks z zaledwie o kilka lat starszą od siebie (czyli bardzo młodą) siostrą jego macochy, *ciotuchną* sfrustrowaną kolejowym małżeństwem z porządnym ale mało żywym człowiekiem, szefem maleńkiej stacji zdeklasowanym (jak ojciec Stefana) po Powstaniu 63 roku, i którą to (*ciotuchnę*) w kokieterii i zakochaniu (fizycznym) i w egzaltacji wierszokleczącej (romans prowincjonalny) wielbił: tak, ale nikt nigdy tak nie wielbił jej urody i jej charakteru, jak ten przerośnięty dryblas-maturzysta, żyjący u jej starszej siostry po samobójstwie niewypłacalnego ojca, toteż *ciotuchna* oddawała mu się, ile razy się widzieli, w Kielcach i nawet tam, w Białej, gdy mąż wychodził na nocny dworcowy dyżur.

W tym tekście znalazł egoizm i namiętność, zazdrość i charakter: o brak charakteru, o kurewskość duszy i ciała Stefan ją, *ciotuchnę*, oskarżał, i chodził do burdelu w Kielcach i do szwaczek w Warszawie, uczestniczył w orgietkach na studenckich poddaszach, jebał kuchty i żony rosyjskich podoficerów, praczki o rękach zrogowacia-

łych od balii, i widział i czuł różnicę – w tej różnicy jest cały cukier miłosny, cała waga złudzenia, i na próżno się zżymasz i wściekasz, a nawet rozpaczasz, gdzie indziej nie znajdziesz tej wierzchniej warstwy miłosnej, poprzez twój seks przeinaczającej się w stworzenie duchowe, tak gotów jesteś pić jej uryny i zjadać jej śluz: jak anioł – i nawet gdy, już w Warszawie, gdzie dostał się, z braku pieniędzy na chesne, tylko do bezpłatnej weterynarii, i gdzie rznął lancetem zwierzęta, podczas gdy rżnięto mu lancetem rękę dotkniętą gruźlicą kości, nawet tam przyjeżdżała, już wydana na pohańbienie i wstyd cudzołóstwa wykrytego, na kościsty palec prowincji wytykający ją, na palec upadku.

Latem był guwernerem tu i tam, i niby Julian Sorel z „Czerwonego i Czarnego” uwodził bogate matki swych podopiecznych, oddające się w burzy mało gustownych uczuć na skórach niedźwiedzich pod kominkiem, ich siostry białe i pulchne, zameżne za wiejskich lekarzy, i zepsute bladoniebieskie panienki z arystokratycznych domów, gdzie roilo się od nieprawych synów, garbatych ekonomów i krwistych dziedziczących pijaków, i gdzie wszystkie oddawały się wszystkim, zwłaszcza komu nie trzeba, z nudy, z francuskich romansów i prostackiej gnojówki, z rosyjskiej nieruchawości, która dodatkowym kirem otulała nasz płaski świat.

Potem ją zapomniał. Była starsza, niż się urwała. Z pewnym szyderstwem opisał ostatnią u niej wizytę, a był ze stendhałowską kochanką i jej synkiem: już też kochanki nie kochał (nigdy jej nie kochał), ale potrzebował jej pieniędzy, a ona – wciąż jak w „Czerwonym i Czarnym” – się go czepiała; już myślał o innych, nie, myślał o pisaniu. Zaś romans hańby i wzlotu, romans seksu, pedagogiczny romans nędzarza i nędzarki wychowującej go (wiednie? niewiednie?) na czystego i wiedzącego, był doprawdy jedynym romansem jego życia.



Toteż oczywiście w tym kraju odcinki filmu wstrzymano. Były demoralizujące, bo prawdziwe, i ohydne, bo pokazujące akt miłosny i kobiece ciało, i męskie ciało, czyli piękne. Do tego kraju wciąż przyjeżdżał stary Papież prawie fizjologiczne androny, jakby nie starczyło tysiącletniego Kościoła, milionów chramów i księży, jakby trzeba było stale od nowa wbijać ten krzywy płot w głowę, drewno krzyża, pieklić się. W dniu zatrzymania Senat odrzucił ustawę zabraniającą znacznych okrucieństw wobec zwierząt, bo w katolickim poglądzie na świat człowiek ma wszelkie prawo, tylko *człowiek* istnieje i ma się przemnażać i żreć i panoszyć, tylko okrutny przewrotny *człowiek*, a nie boskie zwierzę.

Słyszał, jak dziecko bawi się w ogródku z nianią, i wiedział, co pisze żona u siebie na jasnym strychu – tekst o zrezygnowanej równowadze, jaką znalazła, przeszyta wołaniem ciała, wołaniem o kogoś, kto znów byłby świeży i młody, kto by ją dostrzegł, kogo ona by zobaczyła (nie powiedzieliby sobie nic, niby ominęli się wzrokiem) a kto byłby (będzie) jej ratunkiem, jej przeznaczeniem następnym, jej kolejnym sentymentalnym oszustwem, radością jej seksu. W głębi seksu kobiecego jest oko – pisała żona – sperma je przemywa i przez pustą źrenicę dostaje się dalej, wpływa, wypełnia jamę jaźni, ewentualnie knebluje ją dziećmi. O tak, jego żona zajmie się „Czerwonym i Czarnym”.

Zadzwoił telefon, ale on pomyślał, że będzie to dyrektor Opery, który go namówił na wyreżyserowanie „Strasznego Dworu”: mimo że nigdy niczego nie wystawił na nagiej scenie, tylko jak maską czy omastą posługiwał się piórem lub kamerami, ów dyrektor wpadł na to, gdy już zaangażowano dwoje najdroższych Włochów z najświetniejszym stażem (u Strehlera) do rozrysowania dekoracji i kostiumów, i gdy oni już wykonali projekty, nie przeczytawszy nawet libretta (bo po co?) i nieuważnie wysłuchawszy muzyki (bo kiepska), wyznaczony polski reżyser, jemu znany od dwudziestu pięciu lat jako religiant, neurastenik i zgorzknialec, wystawiający kalwaryjne krzyże w każdej inscenizacji, uciekł,

wycofał się i obraził na sztylet, jaki mu dyrektor wepchnął w plecy, zwalniając go ze stanowiska Kierownika Artystycznego obu teatrów, Narodowego i Opery. Reżyser ów nosił nazwisko Iperyt.

Poszło o to, że reżyser Iperyt, (psychopata) wypichcił program działań obu połączonych (po co?) scen jako program Ogromny, z cyklami dydaktycznymi i przywołaniem do życia wszelkich uduchowionych Repertuarów, ale unieść taki program mogłoby tylko pół tuzina największych scen i Oper na świecie połączonych razem, podczas gdy w Warszawie na kulturę pieniędzy nie było, a jeszcze mniej, odkąd z powodów ciemnych rządowych koalicji ministrem został chłop (coś trzeba było partii agrarnej oddać, odsprzedać, coś nieważnego), amator orkiestr strażackich i pszczelarz z zamiłowania.

Dyrektor, który został dyrektorem po zaaranżowaniu paru opłacalnych spektakli tu i ówdzie, oraz znał włoski, wbił nóż w plecy mistycznemu Iperytowi w nagrodę za nierealność programu, i aby ostać się na stołku, co mu się udało, aleć pozostał z teatrem rozbabranym i z kosztownymi włoskimi dekoracjami do Straszego Dworu nie mającymi nic wspólnego ze strasznym niczym, pałacowymi i marmurowymi i strehlerowskimi, i wpadł na desperacki pomysł zaproponowania (przyjechał z Zachodu) tej inscenizacji jemu.

Toteż on umówił się przez telefon na kolejne natychmiastowe spotkanie z dyrektorem i zszedł z piętra na dół, wycalaował chłodne policzki rozbawionego synka (okoliczne dzieci, rozbrykane lub damulkowate, chętnie do dziecka przychodziły, bo też miało duży jasny pokój pełen zabawek, albo żona smażyła z nimi naleśniki z cukrem i jagodami: była wtedy pogodna i dziecinna i sama chętnie je zjadała), wsiadł do samochodu i zamiast do Opery pojechał do Krakowa.



Jechał cztery godziny, choć szosę ostatnio (od ostatniego pobytu) właśnie poszerzono, poszerzono świeżo, bo nie było znacznymi odcinkami na niej kreski i linii, więc samochody i ciężarówki toczyły się po niej poniekąd jak w Rosji, bezładnie, a w połowie drogi zaczął padać deszcz, który zamienił się w ulewę. Deszcz stał się nieprzeniknionym błotem i mgłą, gdy jechał za zarzucającymi i przebijającymi wodę ciężarówkami, a był rześistym czystym deszczem, gdy się zza nich wydobywał, ale ruch na szosie trwał nieprzerwany, ten kraj był w ruchu i pęczniał i aktywizował się po półwieczu martwoty i gnicia, a gdy krajobraz z płaskiego nudnego począł się fałdować i unosić, i buchnęły po obu stronach szosy modrzewie i jodły i perspektywy raz i drugi otwarły się na naczepione o szczyty

czarnych drzew chmury, deszcz przestał padać, stało się bardziej ubogo i bardziej ubogo jeszcze gdy podjeżdżał pod Kraków, i powróciło, przedwieczornie paląc, pomarańczowe pomieędzy zjaśniałymi chmurami słońce.

Nikogo już nie znał w Krakowie, to znaczy wszyscy dawni znajomi pozmieniali mieszkania, i po-przenosili się z wilgotnych podwórzy wokół Rynku czy z Kazimierza do nowych domów, ale myślał pojechać do teatru i poprosić o gościnny pokój, przejść się po Rynku, zobaczyć wieczorne przedstawienie w Starym, spotkać się z tym lub tamtym z wysłużonych aktorów, i może, jak na to się liczy w przygodnej podróży, zakończyć noc z którąś z młodszych i ładniejszych aktorek, które by go rozpoznały, i dla których byłby jeszcze atrakcyjny, nie wiadomo.

Więc załatwił sobie pokój w Starym (zaparkował na placu Szczepańskim), sekretarka dykcji powiedziała „nic się pan nie zmienił”, co nie było prawdą, za co on ucałował jej rękę (powietrze tuż nad jej zgrzebną szarą skórą), i stojąc przy telefonie na jej biurku niespodziewanie dla samego siebie zapytał ją, czy ma książkę telefoniczną i czy mógłby skorzystać z telefonu, na co ona taktownie wyszła, a on odnalazł swoje nazwisko w książce i imię stryja wciąż jeszcze przed nazwiskiem, choć stryj – brat ojca – nie żył od wielu lat. Centrala w Krakowie była wiekowa i przeciążona,

więc wybierał numer kilkakrotnie, zanim ktoś odpowiedział, a ten ktoś okazał się żeńskim głosem córki stryja, jego stryjecznej siostry. Nie widział jej od kilku lat (piętnastu? dwudziestu?), więc nie kojarzył (kojarzył mętnie) z żadną twarzą, ale powiedział, że to on, i że jest krótkim przejazdem, bo rano chce pojechać do Nowej Huty (tak wymyślił), i czy mogliby się zobaczyć? Była po pracy i w domu, więc zamówił taksówkę (nie chciało mu się szukać wśród złomowiska podkrakowskich bloków), i wyszedł przed teatr na Sławkowską i przypomniał sobie, jak dobre pieczywo wypiekała piekarnia na prawo, więc wszedł do niej i kupił tort i kołacz zamiast kwiatów, bo przypomniał też sobie, że stryjeczna siostra ma dzieci.

W taksówce (był wieczór i mignęły mu nierówne, skomplikowane – synek jego wymawiał *skłompikowane* – wieże kościoła Mariackiego, a potem migały inne wieże w pomarańczowym świetle roztopiającym się w niebieskość, w granat, w jedwabne wysycenie przed nocą, inne iglice) jadąc pomyślał, że żyje już tylko dla tej godziny, tej półgodziny czy tych dwu godzin kiedy pisze, reszta jest jak ten wieczór za szybą, roztopia się, i pomyślał o dwu zdaniach, którymi obracał w głowie; jedno brzmiało: „ojciec nie zostawił po sobie historycznego śladu, bo takie znikają”; a drugie: „katastrofizm – nie miał teorii, w odróżnieniu od noblowskich vist”.

Pierwsze zdanie było, bo sporo myślał o tym, że ojciec przeżył ponad pięćdziesiąt lat z tą samą niemłodą i bezwziętną kobietą, i zachował tajemnicę (swoją), podczas gdy ona tajemnicy nigdy nie miała; a drugie było, bo nieuważnie przeczytał ostatnią książkę Miłosza, zbiór artykułów, w których skoczyło mu do oczu parę faktograficznych błędów i omyłek, jak najzupełniej nieważnych, skoro dodała do jego wiedzy (przecież po to się czyta) wiadomość mu nie znaną, że przekład wydanej w Paryżu w 1942 (podczas okupacji!) powieści „Obcy” Camusa wyszedł po rosyjsku w tymże 1942 roku (ale gdzie?) pod tytułem „*Nieznakomiec*”.



Wyciągnął notes z kieszeni i głowił się nad oboma strzałkami, które tam kilka dni temu wyrysował, jedną wskazującą na literę p małego formatu, drugą na P dużego formatu, i co to znaczyło, i czy P nie było skrótem słowa Polska, czy też może zamysłonym a zapomnianym nazwiskiem? Nie umiał się skupić, taksówka podskakiwała, a na obraz kartki notesu napłynął obraz jego śpiącej na prawo od niego w łóżku żony, leżącej na wznak i profilem i długim mocnym ciałem prostaty przypominającej chłopca, tak że – było to nad ranem – poczuł się po raz pierwszy w życiu w łóżku z chłopakiem, i wzmogło to już i tak całkowite uczucie obcości wobec niej, i nieprzywiązania.

Fizycznie była jak jamochłon, co kilka dni potrzebowała (inaczej miała koszmary, bolała ją głowa i tężały plecy) napompowania tłokiem seksu i wypróżnienia z zebranych ciśnień w organizmie, i gdy to się stawało, mogła oddalić się do swoich zajęć, pisanie książki o sobie i czyszczenia domu, a gdy to się nie działo, nerwy spinały się w niej w chaotyczny i wybuchowy pocisk, więc on przewyciężał swą niechęć, by to się odbywało i by był spokój zamiast krzyku, i żeby godziny pisania przemijały, jak gdyby jej nie było.

Taksówka podjechała łukiem, wpierającym go w obicie drzwiczek i klamkę, pod wąski blok sterczący wśród innych bloków, jak gdyby nie byli w Krakowie tylko obojętnie gdzie, w Oliwie czy Szczecinie czy Radomsku, więc zamknął notes przeczytawszy *misologos*, wróg rozumu, jak u Platona, i „model heroiczny: Sienkiewicz, model intelektualny: Miłosz, i model szary”: dalej kreska, nic. Blok był zapuszczony, ale słońce błyszczało zza betonów i wyiskrzało łupież i łaty, i było ciepło i nie tak duszno, jak w pośrodku Krakowa. Zapłacił (kurs był tańszy, niż byłby w Warszawie), szofer powiedział „dzięki” i odjechał, *dzięki* mówili młodzi i studenci i chłopci, a on za późno zorientował się, że taksówka odjechała z tortem i kołaczem na tylnym siedzeniu, o których zapomniał.

Wszedł do bloku i przeczytał piętro przy nazwisku, i wspiał się po schodach, żeby nie pojechać wąską klatką windy, było to niewysokie piętro na szczęście, bo serce zaczęło by go dusić i musiałby przystawać dla odciążenia nóg. Było mu lekko wchodzić; klatka pomalowana była jednostajną żółcią, ale w ostatnim blasku słońca żółta nie wyglądała rosyjsko czy więziennie, była raczej pyszna i renesansowa, jak odnowiony fresk. Za to mieszkanie, do drzwi którego zadzwonił, było po przeciwnej stronie bloku, i o tej porze było szare, bo jedyna złocistość, która się w nie dostawała, to gdy otwarły się drzwi na schodową klatkę, cuchnącą, jak wszystkie klatki w tym kraju, szczykami.



Otwarła mu stryjeczna siostra, i on ją jednak rozpoznał, mimo zniszczenia, jakie kobiecej twarzy przynosi ciężka praca, nieszczęśliwe życie i wódka; pamiętał, że była łagodna, i była łagodna; jego stryj był rumiany i dobronuduszy i miał grube wargi, które jakby przeszkadzały mu mówić; ona jednak miała wąskie długie usta po matce, i tak jak matka mówiła monotonnym jednostajnym cichym ale stałym głosem, szemrała właściwie, tak jak szemrała bez przerw jej matka w pokoju, który dzieliła z babcią; i babcia też, gdy ją zbudziły, zaczęła mówić pieśczołwym wschodnim głosikiem, a on przez chwilę

stał w ich płynnym i absurdalnym rozgadaniu i myślał o stryju, który dobrodusznie się uśmiechał i czytał kryminały, podczas gdy one ptasio szczebiotały w tym babińcu, który lubił, i który był mu zaciszem wobec świata, którego nie lubił, tylko że on nie miał cierpliwości stryja, i swojej siostrze stryjecznej na koniec zamknął usta pocałunkiem, kiedy już przekręcili klucz w zamku drzwi, za którymi zasypiały starsze panie, obie siwe, rozczochrane i tęgie, a oni znów usiedli przy stole, by się jeszcze razem napić, i ona posłała mu otomanę, by się na niej wyciągnął.

Zrozumiał, gdy to robiła (ruch nagich ramion z pościelą, strzepnięcie świeżego prześcieradła, wygięcie jej pleców, gdy je naciągała, i stwardnienie wtedy jej pośladków), że ona nie będzie miała gdzie spać, jeśli go na tej kanapce ułoży, więc wziął ją za rękę i, jakby to była oczywistość, położył ją obok siebie; byli przecież rodziną, a gdy zaczęła (nie przestała) mówić, zamknął jej usta pocałunkiem i, pomimo tego, że sam pił, poczuł suchy smak alkoholu w jej ustach. Ona wstała, poszła do łazienki, podczas gdy on się rozbierał, i wróciła (słyszał bieg wody w muszli, słyszał ślizgi i upusty wody poprzez ścianę z wszystkich tych kubicznych betonowych mieszkań w porowatym bloku) w nocnej koszuli i położyła się przy nim, a on pomyślał, że umyła się zimną wodą, bo była po raz pierwszy świeża,

i gdy zgasiła światło nie widział już jej skóry jakby dziobatej i worków pod oczyma i szaropostrzępionych biednych włosów.

3

Potem nie chciało im się zasnąć, i opowiadali sobie cicho i na przemian, a czasem – gdy ona kontynuowała swój monotony i niezrozumiały o tej porze nocy monolog – jednocześnie o śmierci obu ojców, jego i jej. Nie było jej na pogrzebie jego ojca, i nie wiedział dlaczego, ale nie było też jego żony, która w przeddzień wyjechała: miała napięte terminy filmu, który właśnie ukończyła dla francuskiej telewizji w Warszawie, i on ją uspokoił, że to nieważne, i że to już bez znaczenia, bo przecież z ojcem się pożegnała, gdy tamtej lodowatej księżycowej nocy przyjechała nad ranem i usiadła na łóżku, na którym ojciec, już ubrany w garnitur i w buty (czarne) leżał naprzeciw otwartego (zapach) kwadratowego okna, i chwilę tę przesiedziała sama, bo on wyszedł, by jej na to pozwolić, jako że ojciec ją lubił i ona go lubiła: to znaczy za życia, bo teraz ojca nie było, czy raczej: było go niewiele w tym truchle, choć bardzo dużo w nocnym przejrzystym a przecież gęstym jak dym powietrzu.

Żona przyjechała koło piątej rano, bo pozostawił na stole w ich ówczesnym mieszkaniu kartkę, gdy matka go wywołała telefonicznie o trzeciej. Żona

wraz z ekipą kręciła tej nocy ostatnią scenę do filmu, filmu o lodowatej nocy i o tym, jak on cierpiał, gdy dowiedział się o jej zdradzie i romansie, i jak wówczas uciekł i jak zrozumiał, że celem tego, co mu się przydarza będzie od teraz uparte i bezpowrotne ogołocenie, celem stanie się przede wszystkim samotność, pustka i samotność we dwoje (mimo, że wrócili do siebie i urodziło im się udane dziecko) i – z braku prawdy – niemożność wypowiedzenia jedno do drugiego jakiegokolwiek prawdy; wykarczowanie uczuć nie było ani śmieszne, ani dramatyczne, było nie do naprawienia, nawet pamięć o nich zagięła, nigdy ich nie było, nie było nic, a to jest znakiem i pewnikiem nie wodewilu, ale – jak śmierć – tragedii.

Stało się to wszystko mniej więcej w tym samym czasie, i on wielokrotnie myślał, że ojciec umarł, bo mu pękło serce, gdy to jedno niewielkie pęknięcie dodało się do wszystkich kolejnych pęknięć w jego życiu, i tego jednego (cudzego) nie wytrzymało; nie zapomniał, jak ojciec przyjął (bez słowa) jego przyjazd do Warszawy, i jak on położył na biurku ojca szmatławę pisemko, w którym z zasadzki sfotografowano jego żonę (znaną z częstych występów w telewizji i ładną) zuchwale obejmującą młodego kudłatego operatora w swetrze i jak umieszczono tam zdjęcie owego młodzika, na spacerze wsuwającego jej rękę między uda pod spódnicą, na spacerze w parku z psami, z jego psami, w parku, i jak ojciec zer-

knął na tekst, w którym obsceniczni dziennikarze podali godziny, o których młody człowiek powracał (jego, jej samochodem) do niej na noc, i o której rano, nim przybędzie (jego, jej) gospościa, wybywał. Ojciec nic nie powiedział, i twarz mu zsurowiała, jakby bezsilnie nie chciał, by to mu pokazywano; ale było to, więc ręce ojca (ze starymi plamami na grzbiecie dłoni) poruszały się na biurku i muskały przedmioty stojące tam, odkąd pamiętał, a potem ojciec położył ręce – siedząc – na udach i patrzył skośnie w dół i przed siebie, i on wyszedł.

Mógł się spodziewać, co się stało lub stawało, bo przecież widział, gdy sprzedawał dom, jaki miał (mieli) pod Paryżem, jak żona myślami była gdzie indziej, szczęśliwa i lekkoduszna i jakby się śpieszyła, a towarzyszyła mu w administracyjnych koniecznościach tylko z niecierpliwą a kunktatorską przyjaźnią. On przeżywał początek końca kariery, to wtedy przestano chcieć go zatrudniać, wtedy zaczął się zbyt różnić i przeszkadzać, a że nie miał pieniędzy, dom kupiony dwanaście lat wcześniej (farmę) sprzedał. Akcje żony szły w górę, trzeba jej było nowego, zaczęła nawet szukać domu dla nich innego, już za własne zarobione pieniądze; szukała na północ od Paryża, gdzie jest bardziej wilgotno i chłodniej, (jego dom stał w zbożach na południe), i skąd dojazd był najtrudniejszy, najbardziej zatłoczoną z autostrad; i nie znalazła, za to kupiła mieszkanie na raty

w Paryżu i raz wróciła na górę i powiedziała mu, że ma dla niego przykrą wiadomość i powiedziała mu o tych zdjęciach w brukowcu, który on zszedł kupić na dole w sklepiku prowadzonym przez starego emigranta Węgra i jego przerażająco otyłą i brudną żonę, z kotem na ladzie. Węgier zerkał na niego ze smutkiem i przykrością, i wyraził, nie patrząc mu w oczy, ubolewanie.

Tak to było, opowiedział. A gdy umarł stryj, opowiedział, nawet nie wie, gdzie był i co robił, był za granicą i nie wolno mu było wracać, a o śmierci stryja dowiedział się dopiero, gdy ojciec i matka przyjechali do niego na letnie coroczne wakacje, bo wcześniej, za życia stryja, rodzina mało go obchodziła, i między ojcem a nim był mur obojętnego chłodu i milczenia. Powiedział to wszystko leżąc pod betonową ścianą, opierając palce lewej ręki o brunatnoczerwony kilimek, z głową stryjecznej siostry przy swoim nagim ramieniu, a ona słuchała, trochę wciąż nietrzeźwa (były chyba wszystkie trzy, te kobiety, stale nietrzeźwe, i to pozwalało im żyć, czy raczej przetrwać), i w ciszy pomiędzy tym, co opowiedział, a tym co ona zaczęła w zamian, dziecinnie, opowiadać, zrozumiał, że nigdy więcej nie powie słowa o swojej żonie, nigdy więcej nie rozrusza i nie rozedrga tej struny, która obsesyjnie zawadzała w jego myśleniu, że to się skończyło tu właśnie i teraz, w tym bloku, z tą niemłodą i nieładną kobietą, którą pamiętał dzieckiem, a której więcej nie zobaczy.



Była kobietą sercowych ambicji i uniesień, rozpoznał to po nocnej urodzie, której nikły, bolesny blask zaświecił jak spod skóry, zza lat; twój ojciec i mój ojciec, powiedziała, mieli w sobie to samo, co ty masz: obojętność, aczkolwiek jej formy były najzupełniej różne, uprzejme a nawet pozornie ujmujące u eleganckiego twego ojca, rubaszne i wylewne, powiedziałabym: wschodnie u mojego. Cały mój ojciec był bardziej wschodni od twojego, geny dziadka w nim silniejsze. Ta tatarskość czy litewskość czy skądto tam, co widać w zdjęciach ich stryjecznych braci i dziadka i pradziadka po mieczu, bo kądziel wplątała swój len podlwowski czy podkrakowski, czy nawet ukraiński, jak w przypadku mojej matki i jej matki, raczej tylko ku pokrzepieniu rasy, która wyostrzyłaby się w dekadencją własną karykaturę, co widać z kolei w portretach młodego naszego dziadka, gdyż wyglądał jak Mefisto z operetki wystawionej w Nisku, Lesku czy Turce, powiedziała, i roześmiała się.

Ukończyła medycynę w Gdańsku i musiała od razu szukać zarobku, bo stryja już wówczas usunięto za niepartycypację, niepartyjność i niepopularność (nikt go nie bronił) z architektonicznego biura, gdzie od zarania, od przyjazdu z kresów, pracował na coraz mniej ważnych, co-

raz bardziej stereotypowych budowach; był inżynierem, a skończył jako kreślarz. Zresztą już wtedy budowali, po rekonstrukcji atrapy Starówki – tam jak i tu – same bloki, więc stryj chodził sobie spacerkiem na gdańskie Stare Miasto i oglądał z pokorą niemieckie kamieniczki, które w pierwszym okresie ofiarności odbudowywał z takim pietyzmem i taką przyjemnością; czerpał otuchę z tych ścian, powiedziała, i z fresków, które z kolei rozmalowywali jego stryjeczny brat Aleksander i jego żona Olga, nim się rozpiłi na Akademii Sztuk Pięknych w Sopocie, gdzie byli profesorami (to był azyl). Aleksander umarł od wódki i powodzenia u studentek (był szczególnie tatarski, z tych krępych i niskich, krzywonożych Tatarów), a jedyne słowo, które wymawiał przy oglądaniu ich prac po pijanemu (czyli stale) było „no”, co szczególnie ułatwiało korektę płócien uczniów w jego pracowni, a zwłaszcza uczennic, a potem Olga, zniedołężniała i rozpuchła pojechała do córek do Warszawy, i do śmierci była przydatna swym gadaniem i życliwością, ale już niczego nie stworzyła, po prostu zaniechała.

Jego siostra stryjeczna znalazła zatrudnienie w kolejowym szpitalu, i tak już zostało (przez chwilę pracowała dodatkowo na Pogotowiu, ale to było za dużo, i to tam zaczęła za dużo pić, by ustać na nogach); była to niewdzięczna żmudna praca, więc poznała technika kolejowego i zaszła

w ciężę, ale technik był młodszy od niej i przystojny, i rozpił się z oszałamiającą szybkością, i to brutalnie, bił ją i przestał pracować i zabierał jej pieniądze, to znaczy wszystkim trzem kobietom, jej dziecku i obojętnie czytającemu kryminały jej ojcu, a potem zniknął, zawieruszył się, może umarł, ona nie szukała. Nim stryj zmarł, przeniesiono ją do krakowskiego oddziału, i cieszyła się, że jej ojciec się tego doczekał, przecież cała rodzina pochodziła spod Limanowej, to znaczy od pewnej chwili i czterech pokoleń, czemu położyła kres pierwsza wojna światowa, rozwalając majątek, bo w poprzednich pokoleniach rodzina była z Inflant i Żmudzi, a część z nich była z wędrowniki, z drogi, z zesłań i niespokojności ducha.



Jej syn też okazał się alkoholikiem i nierobem, powiedziała; rzadko bywa, a gdy, awanturuje się wobec trzech bezbronnych kobiet; raz zmieniła nawet zamki w drzwiach, ale syn wrócił z kolegą i z łomem i drzwi rozwalił, a milicja stwierdziła, że ma do tego prawo, bo jest przecież lokatorem w tym mieszkaniu, i wyspała mu mandat tylko za hałasowanie po nocy. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, powiedziała cicho stryjeczna siostra; wstała, otworzyła okno, usiadła przed nim w krześle tyłem do niego i zapaliła papierosa, a on widział księżyc ponad jej głową tak, jak widział księżyc

w czarnoświatlistym niebie, gdy jego ojciec umarł. Mój ojciec umarł cicho, powiedziała, ale w śmierci miał wyraz gniewu, jakby już nie trzeba było udawać; śmierć odziera z formy i wyłazi prawda, powiedziała; prawda jest szorstka, naga i okrutna; w śmierci nie ma uczuć; już nic nie musisz, nikt się nie stara, bakterie nie szamoczą się i nie fermentują w duszy: potem tylko rozłożą obojętne ciało. On wiedział to samo.

„Nie wiem, co ja tu robię jeszcze, i po co to wszystko” powiedziała, „ale może i na mnie spłynęło nieco obojętności z waszego miecza” powiedziała „z ostrza na kądziel”, powiedziała, jakby nie mogła wymówić „z naszego rodu” z solidarności wobec obu starszych kobiet za ścianą, czy z prostej tajemnej wiedzy o nich wszystkich i o sobie. Po chwili powiedziała, ciszej i zasypiając „a może to mnie uratowało przed wszelkimi zakusami na samobójstwo”. Myślał, że przysnęła, gdy odezwała się znowu, sennie i jeszcze ciszej: myślałeś kiedyś o samobójstwie? Kiwnął głową i po chwili poczuł na swoim nagim ramieniu, że ona nie śpi, tylko płacze; a może płacze przez sen, i pomyślał, że byłoby dobrze, gdyby spadł deszcz, gdyby deszcz rozkroplił się o szyby, gdyby śliskie palce deszczu przeszyły susz tej nocy i użyźniły pustynię.



Rano wrócił na plac Szczepański po samochód i pojechał do Nowej Huty, a po drodze pomyślał, ileż to powieści współczesnych, pisanych przez mężczyzn o mężczyznach, opisuje gniew. „Określ swój gniew” mówi żona w powieści Jima Harrissona „Warlock”, a Herzog w powieści Bellowa spisuje swój gniew w niekończącej się serii maniakałnych listów do wszystkich; do wszystkich, do wszystkich, jak z odezwy Lenina; czy Lenin wiedział, dlaczego jest tak zagniewany? Jego gniew dusił, w czasie jazdy, ale nie mógł mu dać upustu, ani nawet napisać o nim, bo jechał, a pisanie jest wynikiem corannego treningu, rytuału kawy, po której go bolał żołądek, i przeczytania paru tekstów cudzych, by się wprawić w literaturę, jak w stan. Nie mógł też się napić zamiast pisania, ani gadać (gdy nie pisał, był gadatliwy), bo jechał, a policja od rana zakładała na takich zasadzki, i paściła się nad ich portfelami.

Mimo nowych rozjazdów, dojazdów i przejazdów pamiętał co i jak w rozkładzie Nowej Huty i pojechał prosto pod klub, i miał nadzieję, że dawny trener jeszcze pracuje. Jednak trener był na emeryturze, a żaden z działaczy, których by znał, jeszcze nie przybył; zawodnikami zajmował się młody człowiek nawet niespecjalnie wysportowany, ryżoskóry i ostrzyżony na grzecznego języka: ten go niby pamiętał, choć on nie pamiętał jego: chłopak mógł być wtedy kibicującym ledwolatem. Z zaciekawionym rozbawieniem, czy

może nawet ironią chłopak patrzył, jak się on w szatni przebiera, a nawet pomógł mu dobrać odpowiedni strój, by pomieścić wydatność jego brzucha, piersi i ramion (poza tym był szczupły: ciała przybywało tylko od przodu, od policzków po podbrzusze, tak że mu się wydawało, iż jego seks maleje i maleje, już nie ze strachu przed życiem, ale z samego nawisu nad sobą).

Chłopak wskazał mu maszynę świeżo oczyszczoną i z silnikiem widać świeżo uregulowanym, bo na szarolśniącej stali zobaczył kropelki przezroczystego oleju, i nawet kopnął za niego starter, jakby z uszanowania dla jego wieku, czy z uprzejmości, czy z ciekawości, co się dalej stanie. Zirykowało go to, więc ruszył z niepotrzebnym wizerkiem i szurgotem, zamiatając beton i żużel tyłkiem maszyny i kładąc ją w pierwszy zakręt za ostro, aby wznieść czarny pióropusz za sobą, ale tracąc szybkość. Od razu przypomniał mu się twardy do bólu nacisk mknącego żwiru na kolano (nawet morze twardnieje przy takiej szybkości na kamień) opancerzone, by się nie starło, i niby dręczony teleskop przyjmujące bicie w tor, i przypomniał sobie manewrowanie butami i ciałem, choć cięższy był niż wówczas o prawie dwadzieścia kilo, i motocykl czuł to, jako że na żużlu, jak i na koniach, jeżdżą młodzi, mali i chudzi.

Po trzech okrążeniach, gdy zaczął nabierać nowej płynności i lepiej wymierzał stopień przechyłu

ciała, i sprawniej panował nad kątami natarcia kół, tylnim, uciekającym w prysznicu żwiru i przednim, przestawionym w przeciwwagę, zobaczył przed sobą szaroczną kurtynę niby wodospad, i jej pęd uderzył go przez powietrze niby kamienny prysznic i zdestabilizował, tak że mało nie wjechał w barierę okalającą bieżnię. Wiedział, że to ten młody chłopak, nie wiedział, czy chce się ścigać z frajdy, czy lekceważenia; upornie pojechał za nim i wyczuł, że chłopak czeka na niego, pozwalając mu się zbliżyć na tyle, by znów, ruszywszy kapryśnie z kopyta, obryzgać go czarnym kpiącym gejerem, mającym wystudzić jego zapły, a może nawet je ośmieszyć.

Toteż wyczekał na następny identyczny manewr chłopca, i gdy ów zwolnił na tyle, że nie mógłby go dopaść po tym, co on zamierzał dokonać, skreślił w pełnym pędzie na środek pola, przecinając je w skos, podczas gdy zdezorientowany przez chwilę przeciwnik szukał go wzrokiem za swym prawym ramieniem, i leniwie podnosząc się kurtyną obraźliwego kurzu. Gdy chłopak się zorientował, było za późno na hamowanie, skręty czy wykręty. On uderzył w jego motocykl przednim kołem, w bok i tył, o centymetr może od uda, które by niechybnie zgruchotał. Było mu wszystko jedno, a raczej: nie, nie było mu wszystko jedno, gniew i podniecenie rozděły się w nim do białej morderczej trzeźwości, gdy zobaczył, stając, jak zrzucony z siodełka chłopak

koziółkuje po torze i uderza, niby narciarz łamiący ręce i nogi w upadku, w barierę, rozrzucony bezładnie, turlający się (ręce, nogi, głowa, manekin) i ogłuszony w samej chwili upadku, podczas gdy rozkręcony jak wściekły jesienny bąk motocykl wykonuje dwa salta w powietrzu i – ciemny – uderza w pleksiglas bariery pięć metrów za nim.



Popatrzył jeszcze na benzynę i olej ściekające wolną tłustą tęczą w węgiel, i odjechał w stronę stajni. Po drodze dopiero poczuł, jak trzęsą mu się ręce i łomocze serce w gardle, a gdy zszedł z motocykla jak dygoczą mu nogi, a na oczach miał woal czegoś białego. Rozebrał się w szatni i położył pieniądze za zniszczoną maszynę na stół, i dopiero wtedy usłyszał chrobot butów chłopca, ciągnącego pocięty motocykl przed oknami ku śmierdzącej potem szatni, i wtedy wyszedł przez korytarz i biuro na ulicę, długo gmerał za kluczami i wreszcie odjechał, zrazu nie wiedząc dokąd jedzie.



Nim ruszył – przez tę chwilę oślepionego stuporu, gdy siedział w rozgrzanym i dusznym samochodzie, i nim zamknął drzwiczki a otworzył okno – zobaczył jednak tę dziewczynę idącą

wzdłuż muru okalającego stadion i wchodzącą w drzwi, z których wyszedł, a zobaczył ją dlatego, że była jedynym przechodniem przechodzącym przed nim, mimo iż w Polsce gdziekolwiek się nie znajdziesz, na jakiejkolwiek ulicy czy w jakimkolwiek parczku, i myślisz, że tu jest pusto, ktoś się pojawia, wszędzie zawsze z kąta wyjdą ludzie, i po sobie wiadomych trasach i skrótach będą się krzyżować ze sobą; ona szła sama jedna, i zwrócił na nią przelotnie uwagę, bo miała na sobie żółty długi zwisający z przodu do kolan wełniany szalik pomimo rosnącego upału. Głowę miała płową i bezbarwną, twarz chyba trójkątną, i była szczupła w szerokoszarej, a może nawet męskiej kurtce i džinsach. Tyle zobaczył, ona weszła, a on ruszył, ale może ta przelotna wizja spowodowała, że na włokącej się w upale trasie Gierkowskiej, którą obrał, to znaczy do Katowic i potem do Warszawy czteropasmówką, która okazała się (roboty) jednopasmówką, raz po raz patrzył na przestające u parkingów – tam gdzie lasy – przy szosie prostytutki, specjalizujące się (to nowina) niby w Stanach Zjednoczonych w kierowcach ciężarówek, i nawet igrał z myślą, by się zatrzymać i pójść z którąś w głąb krzaków, albo ją wziąć do samochodu.

Były na ogół młode i w minimalnych spódnicach i maksymalnych błyszczących botach, z włosami to blond to czarnymi ubitymi w wysokie koki,

smagłe jak Cyganki czy białowiblackłe jak Ukrainki lub Rosjanki, czy może nawet Polki, i stały po dwie-trzy tam, gdzie rozwierały się w las rozjeżdżone krótkie dukty, na końcu których coś było – samochód, koc – na czym przyjmowały, albo nie było nic, odpadki i puszki i zrzucone prezerwatywy pełne mleka, mogli tam też czekać ich przyjaciele, by je uchronić od złego, lub pobić i ograbić pijanego klienta, więc rzecz była ryzykowna, a on nawet nie miał prezerwatywy; nigdy nie umiał posłużyć się prezerwatywą, prezerwatywa i samo naciąganie jej pozbawiało go potencji i pobudzało do niepohamowanego zawstydzanego śmiechu, zaś seks z ustami którejś z tych panienek nie byłby podniecający, bo twarze były najgorszą częścią ich fizyczności, i on mało co by czuł, gdyby, w zapale, zlizywałyby truskawkowy smak z gumy, którą wyjęłaby z koszarnej torebki.

Chciał napisać tę książkę i wiedział, że nie napisze tej książki, i wiedział, że aby móc pisać tę czy inną książkę



Do Warszawy jechał znów cztery godziny, choć nie pamiętał tej jazdy; czuł tylko, jak ciepło słońca wypełnia brzydzący w miarę jazdy krajobraz. Zajechał do domu w Starej Miłosnej, wszedł przez nie zamkniętą furtkę ogrodową

i nie zamknięte drzwi do sieni, gdzie paliło się irytująco nie zgaszone (od kiedy?) światło, i wchodząc po schodach na piętro wyczuł, po rodzaju i charakterze ciszy w domu panujących, że coś się stało. Wszedł aż na samą górę, ale ani na piętrze dziecka, ani na strychu żony nie było nikogo. Zobaczył, że jej papiery zebrane zostały z biurka, które dla niej kupił, i zobaczył, schodząc, że szafa dziecka była opróżniona z ubrań, zostały tylko co niektóre książeczki i zabawki, koń na biegunach, rower, czerwony samochód ciężarowy.

Zszedł na parter i w sionce sprawdził, że zabrała walizki i dużą podróżną torbę dziecka i jego kolorowy nieprzemakalny płaszcz z wieszaka, i swoje buty. Poczłł chłód i ulgę, i napływ paniki. Wrócił na pierwsze piętro, otworzył notes przy telefonie i zamierzył zadzwonić, ale gdzie? I czy należało? Do telewizji? Ekipa jej – francuska – wczoraj wyjechała. Rodzice w Łodzi nie mieli telefonu. Zszedł, wsiadł do samochodu i do Łodzi pojechał.



Gdy wrócił, było po północy. Rodzice przyjęli go z zakłopotanymi minami, więc coś wiedzieli, a on powiedział, że jej szuka. Okazali bezradność: w każdym razie u nich jej nie było. Byli praktykującymi katolikami, ba, dewotami, i on

pozostawał im, pomimo tylu tych lat, obcy. Utrzymywali u siebie starszą siostrę żony, której mąż handlarz splajtował i uciekł, ponoć nawet ścigała go mafia. I jej wyblakłego łódzkiego wielkogłowego synka, który wydał mu się tym razem szczególnie brzydki. Poczęstowali go kolacją i milczeli, albo gaworzyli (mówili cicho i zawsze łagodnie) między sobą. Oboje byli zaczytani w rozmowach z księdzem Pio, które ukazały się po polsku w sześciu tomach. Ojciec miał pójść na nieszpory, matce (otyłej) było trudno chodzić. Klatka schodowa przed ich mieszkaniem była pomalowana różnobarwnie i w kwiaty, kwiaty stały w doniczkach na bambusowych podpórkach, żeby umilić. Blok tkwił niby kara w trzęsawisku identycznych olbrzymich bloków, oni mieszkali na jedenastym piętrze, taki blok nazywa się mrówkowcem. Stało pod nim dużo nowszych niż za ostatnim razem samochodów.

Byli oboje na emeryturze, a żona pomagała im i siostrze finansowo. Wymogów nie mieli, oglądali telewizję, „Tygodnik Powszechny” był dla nich za trudny intelektualnie. Portret księdza Kolbego w oświęcimskim mundurze wisiał na ścianie, i on tym razem ich zapytał, czy wiedzą, co Kolbe drukował w swojej prasie przed wojną, w Niepokalanowie? Żydożerca o poglądach zgoliła faszystowskich, powiedział, zamorzony został w faszystowskim obozie za akt ludzkiej ofiarno-

ści: poszedł na śmierć głodową zamiast innego więźnia, ojca dzieciom. Też wisiał – na ścianie – pasterz, rajfur niepoohamowanie rozrastającej się masy bioludzkiej, ślepy niewolnik genów popatrujący tęsknie na Tatry, po których powinien sobie chodzić w tych grubych butach i przepconych skarpetkach, i przestać rozprawiać o mięsie, językiem miłości, gdy uważa, że prawi o duszy. Mówiąc to ich nie zranił: nie zrozumieli żadnego ze słów, które wypowiedział i patrzyli na niego jakby ranny był on.



Leżeli w samochodzie z głowami na oparciu foteli, ten chłopak żuźłowiec z Nowej Huty i ta dziewczyna, którą rozpoznał po zwisającym jej między uda włóczkowym żółtym szaliku. Samochód ich stał tuż pod bramą, z pyskiem wycelowanym w dom, więc on nie mógł swoim wjechać do garażu, ani stanąć w wąskiej piaszczystej uliczce za nimi, bo by sąsiada – i ich – zablokował. Zapukał więc w szybę i gotów był na to, że chłopak wyskoczy zza kierownicy, i, ledwo obudzony, będzie się starał uderzyć go pięścią, i gotów był na to, że się będzie bronił, i że może ciężarem ciała wyhamuje zwinną lekkość chłopca i jego obrazę, jego wściekłość, i wiedział, że jeżeli chłopak nie trafi go od razu ogłuszająco w twarz, to w miarę bijatyki gniew będzie się w nim rozgrzewał, to znaczy, że bicie stanie się

jedyną sensowną rzeczywistością, a trafienie chłopca tak, by padł, jedynym celem.

Chłopak wyszedł z samochodu jakoś tak nieporadnie i powiedział, że przyjechał, by mu oddać pieniądze, które na stole w szatni zostawił, bo to „moja wina” powiedział, „zachowałem się arogancko i głupio i chciałem pana przeprosić” powiedział, „ja mam pana za największego artystę w Polsce a może nawet na świecie, w Europie na pewno, i wielu nas tak uważa” powiedział „i wiemy, jak panu jest trudno i samotnie, to znaczy odgadujemy, bo pan zawsze trzyma fason i jeszcze wszystkich tych gnojków obraża”, powiedział, „za granicą i tutaj, więc pieniądze panu na pewno są potrzebne”. Była noc i dziewczyna obudziła się, a kiedy wysiadła, okazała się tak wysoka jak oni obaj, i siorbnęła nosem w katarze i zakaszłała, więc zaprosił ich – teraz on nieporadny – do domu, otworzył bramę i wprowadzili oba samochody, chłopiec w bok od drzwi do garażu a on do garażu.

Światła w domu się nie paliły, i on sprawdził, czy nic się nie zmieniło, ale nie, jego żony i dziecka wciąż nie było, i trwał (pogłębiony o nowy strach i nocną słyszalność: pies, powietrze, odległy pociąg) stan zawieszenia. Moja dziewczyna jest z Torunia, a studiuje germanistykę w Bydgoszczy, powiedział chłopak, ja poznałem ją na filmowym festywalu Camerimage,

zresztą tego roku, co pan był przewodniczącym jury, wtedy po to przyjechałem do Torunia, aby do pana jakoś zagadać, pokazać panu co robię, tylko się nie ośmieliłem, a ją przydzielono, jak wiele ochotniczych studentek, do zajmowania się jednym z przybyłych operatorów; „był Czechem i nie mówił po żadnemu, nawet po niemieckiemu” powiedziała przez zatkany nos dziewczyna, „i nie umiałam się z nim porozumieć i nawet mnie unikał, i czułam się jak głupia pizda, a potem ten jego film właśnie dostał pierdolonego Oscara, więc tym bardziej się zbłaźniłam”. Gdy włączała się do rozmowy, w każde zdanie wrzucała ordynarne słowo, a chłopak wtedy albo się czerwienił, albo zezował w bok. „To ja go namówiłam, by załapał tę chujową pracę w Hucie” powiedziała „bo jedyne co wyniósł z tego zasranego swego domu, to że miał od gówniarza motocykl, a nawet mu kupili furę, bo chowali go na pryszczu” powiedziała „takiego białego, i wybijali mu malarstwo z pały, i pchali na pierdolone prawo i żeby stał się jak ten gnój jego ojciec, który na mój widok dostaje przekrętu, bo uważa mnie za wulgarną ścierkę, jako że zbałamuciłam im jedynaka i pogrążyłam go w seksualnym obłędzie”.

Gdy się uśmiechała, jej blada trójkątna twarz marszczyła się w nieoczekiwanie rozliczne fałdy i zmarszczki, ale dopiero gdy pocałował ją w skroń na do widzenia zobaczył z bliska, że

skóra jej jest piwnicznej, a nie jedwabistej jakości, i że włosy jej są pospolicie wątle. Pocałował ją, bo ją polubił, bo mógł słuchać tego, co mówi i nasłuchiwać głosów nocy i odruchowo wsłuchiwać się, czy dziecko na górze się nie obudziło, choć dziecka nie było, byli tylko oni, dorosłe seksualne dzieci (chłopak był jasny i ładny), a gdy chłopak zszedł do samochodu, by przynieść mu zdjęcia swoich obrazów i zostawić maszynopis powieści, którą napisał, on powiedział dziewczynie, że się z nią ożeni, na co ona wykrzywiła twarz w milion małych zmarszczek, że aż oczy jej się (burobezbarwne) splisowały, i powiedziała „gówna prawda”.



Chłopiec wrócił z dołu z albumem swoich obrazów (ich zdjęć) i patrzył, jak patrzę na nie. Ręka, którą mi je podał była krótkopalczysta i szeroka, choć chłopak był smukły. Obrazy wydały mi się dobre. Były też niedokończone, rozburzone, mgławo patetyczne i duże. Przedstawiały złe kobiety z nożami, mężczyzn w chmurach z ostrzami noży wbitymi w ramiona, wniebowstąpienia tych mocnych nagich kobiet, kładących sobie delikatnie ręce na seksy. Było to niemodne malarstwo, prowokujące malarstwo, którego nikt nie kupi (którego nikt nie kupował, powiedział chłopiec), które było z durnej i chmurnej metafizyki i z czegoś, co w naszym kraju określa się jako bezguście,

czy też pornografię. Było nie do obronienia. Spodobało mi się od razu.

– Ja je od pana kupię – powiedziałem.

– Ja je panu dam za darmo – powiedział – Byłoby zaszczytem dla mnie.

– Wezmę ten, ten, ten i ten – powiedziałem – Ale zapłacę. To zdrowiej.

Dom miał duże ściany, wybrałem największe.

– Pan naprawdę uważa, że są coś warte? – zapytał chłopiec chłopięco.

Był podniecony. Krew podpłynęła mu pod skórę policzków, i oczy błyszczały.

– To najpiękniejszy dzień mojego życia – powiedział – Wrócę do Huty i je zapakuje i przywiozę. Albo chyba pociągiem, nie zmieszczą się do samochodu.

– Mam półciężarówkę – powiedziałem – Z dworca łatwo je przewiozę.

Dziewczyna patrzyła to na niego, to na mnie, osunięta z tym szalikiem w kanapie. Od czasu do czasu głośno pociągała pełnym kataru nosem.

– Ja wszystkie pana filmy widziałem – powiedział chłopiec – Po niektórych chodziłem trzy tygodnie jak błędny. Nie jadłem i nie spałem.

Po ostatnim główny polski krytyk napisał, że może on w ogóle nie umie filmować.

– Ja też, jak pan, piszę – powiedział chłopiec.

Wyciągnął do mnie ruchem prawie błagalnym maszynopis. Gruby. Czysto i porządnie przepisany pod czerwoną okładką.

– Zerknie pan? – zapytał.

Zerkam, serce mi się ściska: na kartkach nie ma znaków przestankowych, akapitów ani światel. Zwarta masa słów.

– Jak tylko znajdę spokojny czas – powiadam.

– O, mnie się nie pali – mówi chłopiec.

Jest w zbyt dużym napięciu, w egzaltacji, by poczuć, że coś nie tak. Za to wyczuwa to dziewczyna. Podnosi się z kanapy.

– Trzeba jechać – mówi.

– Och – mówi chłopak zrywając się – Może przeszkadzamy?

Też wstaję.

– To ile pan policzy? – pytam – Za obrazy?

– Za darmo – powiada chłopak z determinacją.

– To niemądre i obraźliwe – mówię – Pan jest artystą, obrazy mi się podobają. Za to się płaci prawdziwe pieniądze, i tak ma być.

– Dycha – mówi dziewczyna – Nie będzie żebrał u tego palanta, swego papy.

On odwraca głowę i mówi:

– Symbolicznie.

– On ma mnie odwieźć do Torunia – mówi dziewczyna – Ja jutro cały dzień mam korki z głuptakami. Bo inaczej nie ma za co studiować. Odjechali, a w sieni na dole wziąłem dziewczynę za rękę, czy też dotknąłem skóry jej ręki, i ona cofnęła tę rękę gwałtownie, jak oparzona, i bardziej, bo wzdrygnęła się cała w strachu czy poczuciu nieprzyzwoitości, pomimo słów, jakich używała i tej całej francowatej bezczelności,

w której było jej łatwiej, i w której na przykład czasem mówiła o sobie „byłem” a tylko czasem „byłam”.

4

Dziewczyna zadzwoniła nad ranem i powiedziała, że przyjedzie pociągiem ale na krótko, dobry powrotny pociąg był o czwartej, a ona i tak dzisiaj straci korki, i z czego włożyć papu do ryja, zapytała, a potem będzie miała sesję i nie będzie mogła przyjechać wcale, więc powiedział jej, że jej zwróci za te korki i za bilet i powiedział: co jest ważniejsze, korki czy my? A ona zapytała: „my?”. I powiedziała ze śmiechem: „gdyby pan widział, cała moja jebana proletariacka rodzina podsłuchuje za drzwiami”, więc ja zapytałem, o której przyjeżdża ten pociąg, a ona powiedziała: o dziesiątej, i odłożyła słuchawkę.

Byłem o dziesiątej na dworcu i ustawiłem samochód z boku pod opieką zapitego bradiagi, a w nawie dworca podszedł do mnie schludnie wyglądający jegomość o zażywej powierzchowności wędkarza, z wielką reklamową torbą w ręku, i zapytał, czy nie miałbym z czego dać mu na śniadanie, a ja odpowiedziałem – co było prawdą – że właśnie dałem bradziadze: jeden człowiek nie nastarczy na wszystkich, powiedziałem niepotrzebnie, a stateczny jegomość odpowiedział szorstko „przecież ja się nie czepiam, tylko kulturalnie za-

pytuję” i wycofał się, podczas gdy w drugim końcu tej absurdalnie olbrzymiej hali, pustej jak lodowisko dla wielkoludów, szaroszczupły starszy pijak beształ ekipę telewizyjną za to, że stracił twarz przed sąsiadami, gdy inna ekipa telewizyjna – wszyscyście tacy sami, mendy – go filmowała złorzeczącego wówczas na coś, co innego.

Pociąg się spóźniał i chodziłem po tym dworcu, patrzyłem w kioski oklejone pornografią i w jaskinie z zamerykanizowanym cuchnącym jadem; mijali mnie wojskowi i ochraniacze, ile wojskowych w tym kraju, i ile żebraków? A gdy zajechał pociąg z Torunia (skądęś tam przez Toruń) nie wyszukałem jasnoszarej (tak ją pamiętałem) głowy dziewczyny wpośród mrowienia się posępnych pasażerów, więc wjechałem na powrót w wielką halę i stanąłem w jej geometrycznym środku, by być zewsząd widzialnym. Dziewczyna wyjechała ostatnia z tej paczki podróżnych, gdy ciżba ich zanikła; wjechała w tym samym szaliku nad dodatkową warstwą kurtek; na nogach, zobaczyłem, miała wielkie narciarskie buty, a na rękach wełniane rękawiczki, i miała czerwony nos i chrypę. Umieram na ten pierdolony katar, powiedziała, i natychmiast stanęła w kolejce gnuśnie przesuwającej się do okienka po bilet powrotny; mnie to nudziło, więc chodziłem tam i sam, patrząc na paczkowane plastikowe zabawki udające śmiercionośną broń w sklepikach obok kas, a gdy wracałem do

niej smarkającej i wycierającej nos, mówiłem do niej głośno jak do córki, a za którymś nawrotem powiedziałem głośno coś, co zabrzmiało kazi-rodczo, więc obejrzały się na nas zmęczone i przestraszone kobiety w tej kolejce, a dziewczyna powiedziała, żebym kurwa się nie wygłupiał, i byliśmy parą.

W drodze do domu przestało padać, a przed domem w wielkiej zbiorczej kałuży w piaszczystej uliczce odbiło się słońce w białych rozerwanych chmurach; zrobiło się pogodnie i ciepło, a ja wciąż nie wiedziałem, o czym mówić do dziewczyny: nie miałem nic do powiedzenia i ona też nie, byliśmy z obcych sobie światów, ja starałem się opowiedzieć kim jestem, ale zabrzmiało to jak lista wydelikacjonnych kłopotów, a ona opowiedziała mi o rodzinie, ojcu alkoholiku, którego matka co rusz wyrzucała z domu, i o swym bracie (starszym) alkoholiku, który po przepiciu posady i żoninych oszczędności zamierzał zjechać do Torunia i pić w ich mieszkaniu, bo gdzie? Mówiła o rodzinie chłopca (ojciec był mecenasem w Krakowie i posiadał campingowe domki nad Wisłą, letniska, i chłopak i ona pływali tam na deskach i żaglach), i że gdyby za chłopaka wyszła (choćby żeby się posrała jego zasrana rodzina), toby też była mecenasową, bo chłopak był po prawie (ojciec mu kazał), a to ona kazała mu wrócić na żużel i malować, czy raczej malować i wrócić na żużel, by stanął na własne nogi.

Ja go nie Kocham, powiedziała. Ja kochałam innego, ale się zabił w wypadku, i jak błędna chodziłam trzy lata i do teraz nie mogę o tym myśleć – jak gadam, to nie myślę; gdczę, powiedziała – aż wtedy musieli mnie izolować, bo dostałam prawdziwego świra, jeździłam do jego mieszkania nocą i paliłam świece i zachowywałam się okropnie, niby jakaś kurwa, i coś z tego zostało, powiedziała. To duży dom, powiedziała w domu, to duży pogodny dom i fajnie, że w nim tyle książek, powiedziała, ale ja nie mogę czytać pańskich książek, co mi mój chłopak wciska, ja je ciskam po paru stronach, tak mnie denerwują, powiedziała, jakbym była zazdrosna o te wszystkie baby, co pan opisuje, i kichnęła tak głośno, że aż głowa w przód jej poleciała i uderzyła w wykładzinę deski rozdzielczej. Jejku, powiedziała, ale katar.

Na katar, powiedziałem jej, mam babciną receptę, z zasady niezawodną. Trzeba wejść do gorącej kąpieli z solą, kipiącej jeśli się zniesie, i wypić w niej ile się da wrzącego mleka z masłem i miodem, a gdy się z wanny wyjdzie, włożyć najcieplejsze i najgrubsze skarpety i położyć się pod najcięższą kołdrą, i wypocić. Pomyślałem – gdy siadła na kanapie z herbatą, pokoje stały przestronne i ciche, puste, było pusto i nie wiedziałem, co dalej zrobić – pomyślałem, że kurowanie jej kataru pozwoli zbić nieco z czasu do jej odjazdu, bo już chciałem, by odjechała. Była po-

myłką, bo wszystko było pomyłką; była ładna, i gdy wydobyła się z tych kurtek zgrabna, udawała chamkę, ale była bystra i powiedziała: ja sama się boję swoich zafascynowań, co przechodzą, jakby je wiatr zdmuchnął, tej swojej pierdolonej niestabilności.

Siedzieliśmy przez chwilę w ciepłym blasku słońca i ona powiedziała: a wie pan, przyznam się do jednej głupoty jeszcze, dla oczyszczenia sumienia: jak nie miałam w ogóle kasy, to zgłosiłam się na konkurs i wygrałam tytuł najlepszych nóg Pomorza, to znaczy moje gibole wygrały, a mój wtedy chłopak posłał moje zdjęcia na konkurs twarzy roku, czy coś takiego do Warszawy, to był taki pierdolnięty szajbus i uważał, że wszystko dobre, by zarobić szmalu, i zajęłam trzecie miejsce, tyle że uciekłam bez nagrody z garderoby, bo już kręciły się tam te wszystkie sępy w smokingach, co to wybierają sobie dupy do zerznęcia. No to dobra, powiedziała, i zapytała: gdzie jest łazienka?



Naparzyłem jej mleka z masłem i łyżką miodu i zaniósłem kubek na górę do łazienki, kiedy ona już leżała w wannie, wypełniając ją na długość ale nie na szerokość; była wąska i zaróżowiona i omijałem ją wzrokiem i udawałem dyskretne zaaferowanie, przyniosłem soli i wsypałem, aż

się zapieniło, i pochylając się do jej stóp dodałem gorącej wody, aż lustro pokryło się parą, a po jej twarzy zaczęły spływać strużki drobnego gęstego potu. Proszę pokazać te nogi, powiedziałem, i uniosłem spod wody jej wąską nieskazaną stopę i jej smukłą łydkę i owalne gładkie kolano, a potem przesunąłem rękę wyżej pomiędzy jej nogi i wsunąłem rękę pomiędzy jej uda, włosy tam były gęste i zapewne jasne, a srom i wewnątrz mięsiste i pełne jeszcze bardziej gorącej mokości niż woda. Ona wysunęła się nieco w górę, z kubkiem, i odsłoniły się z piany jej piersi, i okazały się doskonałe, w moim rozumieniu, bo cięższe spodem niż górą, przeto delikatne (była bardzo młoda), ich zwieńczenie sterczało w górę nawet gdy leżała, piersi cięższe niż jej szczupłe, ba, nawet chude (solniczki obojczyków, kości bioder) ciało.

Spociła się jej głowa i zmokły włosy, a ja patrzyłem i pomogłem się jej wytrzeć i wdziać wszystkie te wełny i bawełny, które z szafy wyciągnąłem (moje i duże), i poszła położyć się posłusznie pod kołdrę. Pot ciurkiem lał jej się z włosów, a twarz była rozogniona, i powiedziałem „dobra, spróbuj trochę zasnąć”, i wyszedłem, a kiedy wróciłem po pół godzinie prześcieradło wokół jej głowy i poduszka były mokre od jej potu, a ona nie spała, więc pogłaskałem ją po mokości wykrzywionej twarzy i zapytałem, czy mogę tam wejść do niej, ona powiedziała „tak” i rozebrałem się,

i wbrew wszelkim zaleceniom babci ściągnąłem z niej wszystko to, co na nią włożyłem, ona się rozwarła i sama nanizła na mnie i zobaczyłem na jej twarzy, co miał na myśli ojciec jej chłopaka, gdy się bał o syna.

Nie chciałem, by się to skończyło, było mi świeżo i nie pamiętałem, kiedy było mi tak lekko, może nigdy, więc po pewnym czasie powiedziałem „o rany”, jakbym przypadkowo zobaczył tarczę zegarka przed oczyma, i powiedziałem „przecież spóźnisz się na ten pociąg”, bo była już trzecia po południu. Dziewczyna powiedziała „o kurwa” tym samym tonem, jak gdyby to było umówione, i rozdzieliliśmy się i oboje poderwali i zaczęli krzątać wokół ubrań i łóżka, i wtedy zobaczyłem chłopca. Stał w drzwiach sypialni, i nie wiem od jak długiego czasu stał, ale chyba wystarczająco długo, bo wyglądał jak lustrzane odbicie jej twarzy, jak śmierć, a kiedy zobaczył, że oboje patrzymy na niego, nie pozwolił tej chwili znieruchomienia się przeciągnąć, tej ostatecznej chwili, tylko obrócił się na pięcie i zszedł po schodach na dwór (drzwi i furtkę zostawiłem jak głupi otwarte), i usłyszeliśmy silnik jego zapalanego samochodu.



Nie wiem, czy gdyby dziewczyna była odziana, zbiegłaby za nim, ale sądzę że nie. Wsiedliśmy do

samochoodu podczas gdy dzwonił telefon, ale ja wiedziałem, że to dyrektor Opery, i pojechaliśmy na dworzec, a po drodze poczułem, że to jakoś głupio i powiedziałem, że odwiozę ją do Torunia. Przez drogę zamieniliśmy niewiele słów; ona siedziała z kolanami pod brodą a potem zasnęła, przynajmniej tak wyglądało, z cienkimi powiekami nawlęczonymi na nieruchome szarobezbarwne oczy, a pod samym Toruniem usłyszała deszcz wachlujący o szyby samochodu i deszcz spływający z dachu, i powiedziała „ale jaja”.

Toruń pamiętałem, choć nie bardzo (raz pracowałem tu przez lato w teatrze obok ceglanego więzienia), jego ceglaną krzyżacką niemieckość, która i teraz nie wydała mi się ani ładna, ani znajoma, no i nabudowano tu tyle tych bloków takich samych i pustych rozjazdów, że nigdzie bym nie trafił. Dziewczyna mówiła „w lewo” i „w prawo”, przejechaliśmy Wisłę masywnym metalowym mostem, i dziewczyna powiedziała „w lewo”; ulica nazywała się Rybaki i wspinała się serpentyną wzdłuż bloków, i o każdym myślałem, że to ten, ale nie, za blokami stało kilka starych domów, kilkupiętrowych i nigdy nie odnawianych, więc czarnych, i dziewczyna powiedziała: to tu.

Wszedłem za nią na piętro, bo pociągnęła mnie za rękę, rękę miała drobnokościstą i bardzo zimną, i przypomniałem sobie o jej katarze, a gdy

zapytałem, ona odpowiedziała, że jest, i na dół zachrypiała i naciągnęła smarków w nosie. „On tego nie przeżyje” powiedziała, gdy wchodziliśmy. Mieszkanie wydało mi się zrazu opustoszałe i bez mebli – zresztą było już prawie ciemno w oknach – duże i nagie, wielkie dwa pokoje z marnymi sprzętami (fotel, telewizor) upchniętymi jakoś tak w kąty, kwadratowa kubiczna pusta przestrzeń. Po chwili z głębi (kuchni? sypialni?) wyszła matka w wytartym szlafroku, czerwono-nosa i łysiejąca i z czarnymi zębami, obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem i powiedziała, że bardzo miło, widziała mnie w telewizji czy gdzie tam, a gdy dziewczyna wyszła z pokoju zapytała „co pan ma do zaoferowania temu dziecku?”, jak gdybym przybył z propozycją finansową.

Dziewczyna wróciła bez szalika, za to z hałaśliwym psem o silnym psim zapachu, i wtedy w półrozwarciu drzwi za nią zobaczyłem jej ojca, to znaczy człowieka bosego i w koszuli i bez spodni, przyłizanego jak to pijacy i ziemistego, poruszającego się bezszelestnie rakiem przez ciemniejszy pokój taki jak ten, i starającego się ostrożnie przemknąć niezauważonym, nie rzucić się w oczy, nie narazić na wyrzucenie z domu. Pożegnałem się z matką i wyszedłem, a dziewczyna odprowadziła mnie z psem, aby psa wyprowadzić, i w sieni objąłem ją (szczupłą) i pocałowaliśmy się, zarzuciła obie ręce na moją szyję (w jednej smycz) i wi-

działem w szarej ciemności jej szarą skórę, a twarz jej splisowała się jak to u niej w grymas ni to śmiechu, ni to kpiny, więc powiedziałem, że będę tęsknił za nią, co było prawdą, i ona odpowiedziała „ja też”.



Odjechałem patrząc jak wysoka stoi z nieswojo wrywającym się psem, i w nocy dojechałem do domu i zobaczyłem samochód chłopca. Chłopiec siedział na kanapie na pierwszym piętrze, tam gdzie siedział, gdyśmy rozmawiali (znów nie zamknąłem furtki i drzwi wejściowych i skończy się to, myślałem, zamordowaniem lub rabunkiem, choć nie bardzo było co do rabowania w tym dużym niezamieszkałym już, czy jeszcze, domu). Był blady i nastroszony i jakby wymięty, i on wiedział, że chłopiec niczego nie ruszał na stole ani w pokoju, książek, gazet, alkoholu, choć przecież nie wiadomo jak długo tu siedział czekając.

– Od razu zobaczyłem, że pan się skrzywił na moją prozę – powiedział chłopiec – Bezwiednie się pan skrzywił, a potem pomyślałem, nie miałem tego refleksu od razu, że nie będę pana obarczał tym gniotem, który może jest świetny a może nie, i że wrócę, by pana odciążyć od tego czytania.

– Ja bym i tak nie czytał – powiedziałem od progu. Podeszedł do blatu w kuchni, nalał sobie wody z kranu.

– Podać coś? – zapytał.

Chłopic sztywno patrzył na niego bladymi oczami.

– Ja ją rozumiem – powiedział chłopiec – i pana rozumiem, choć nie chciałbym później, na starość, być taki jak pan.

– Jaki? – zapytał.

– Skurwysyński – powiedział chłopiec.

– Jest jak jest i ja się z nią ożenię – powiedział, przechylając do ust zimną szklanę.

– Pan już ma żonę – powiedział chłopiec.

– W sensie praktycznym nie mam – powiedział

– w sensie, co kto zrobił dla kogo, nigdy nie miałem.

– Ale dzieci.

– Ale dzieci – powtórzył – Tyle że nigdy nie udało mi się przeżyć ich życia za nich. Innymi słowy

– dodał – nie jestem dobrym ojcem.

– Dla niej by trzeba – powiedział chłopiec. – Ja jestem dobry dla niej.

– Na pewno – powiedział, obserwując chłopca – Rozćwiczona jest jak.....

– Jak każda – powiedział chłopiec.

Nie wydawał się zraniony, to znaczy: nie mógł się poczuć bardziej poraniony, niż był. Powiedział:

– Chciałbym też pana zapewnić, że to nie zmniejsza mojego podziwu dla pana jako dla artysty.

On nie kiwnął głową. Poczul się idiotycznie i przeszedł tych parę kroków do kanapy i usiadł koło chłopca.

– Przykro mi – powiedział – Ale musisz zrozumieć.

– Zrozumieć nie znaczy przyjmować.

– To prawda.

Niespodziewanie dla samego siebie, jakby ten chłopiec był mu młodym bratem, powiedział:

– To wszystko się zaczęło, gdy doszło do mnie, że kobiety mogą zdradzać.

– Co? Zaczęło się co?

– Samotność. Ból serca. Oszłość, obojętność, samotność.

– Tak pan czuje?

Nie odpowiedział, bo myślał o niej, o swojej żonie i o tym, że nareszcie odeszła.

– Sam pan napisał, że jeśli to minie, to nie była prawdziwa boleść

– To nie ja, to Hemingway. Cytowałem.

Chłopiec kiwa głową.

– I że przestanie boleć dopiero ze śmiercią.

– Hemingway.

– Pan w to wierzy?

– Tak w ogóle to tak.

– Śmierć własna czy czyjaś?

Teraz zrozumiał nieruchomość chłopca, i to blade białe, jak z łez wysuszenie.

– Zastanawiałem się, czy panu nie rozbić łba – powiedział chłopiec.

Lekko się przechylił w bok, na lewo, i spod kanapy wyciągnął żeliwny czarny pogrzebacz.

– Przymierzałem się do tego pogrzebacza. Na pięści mógłbym nie uradzić, ze względu na to,

że pan jest tak ciężki... Zastanawiałem się, gdzie i jak pana uderzyć.

– W głowę.

Chłopiec znów kiwa głową.

– Zastanawiałem się, czy ma pan broń w domu. Taki duży dom, żona, dziecko, powinien się pan nocą obawiać. Wtedy by pan strzelił do mnie i obaj byśmy się pozabijali.

– Pisz dalej – powiedział – tylko stawiaj znaki przestankowe.

Czyżby zobaczył cień uśmiechu na ustach tego chłopca? Nie, ani skurczu, ani grymasu.

– Nie musi mnie pan obrażać – powiedział chłopiec.

– Nie ja, ale ona – powiedział.

Nie wiedzieć skąd podnosił się w nim ten sam gniew, obojętny na wszystko.

– Teraz masz dylemat – powiedział – ja ci mówię jak jest, a ty masz w sobie rozgryźć, co z tym zrobić.

– Pan to zna?

– Błąd – powiedział – Ja zamknąłem oczy, czyli, jak to się mówi, przebaczyłem.

Chłopiec milczy chwilę.

– Z miłości? – pyta.

– Z miłości czy ze strachu, bo czuje się to tak samo.

Bardzo szybkim ruchem głowy chłopiec daje znać, że tak, on też tak uważa.

– Chcesz zostać na noc? – pyta on.

– Chce mnie pan położyć do tego łóżka, gdzie ja pan pierdolił?

– Jak uważasz.

– Pierdoli, chuj, kurwa, jebanie, pizda.

– Dokładnie tak – mówi on i wstaje.

– Jak było?

– A nie widziałeś?

Teraz się waży to co ma się stać, może na długi czas, może na zawsze. Chłopiec podnosi się obok niego. Stają bok w bok naprzeciw szklanego stołu. Chłopiec mierzy się w sobie i wykonuje gest głupi, obcy, wymyślony. Uderza pogrzebaczem w blat, ale słabo, tak że szkło nie rozpęka się na tysiąc bryzgów, tylko przez środek i w bok, to znaczy rozpajęcza się, i w jego przejrzystej masie rozszczepia się biała i czarna, nieodwracalna rysa.

To był fałszywy gest, i wszystko stało się fałszywe. Chłopiec wychodzi, bokiem, przeciskając się wzdłuż węższego boku stołu. Nie zabiera maszynopisu: musiałby się oń upomnieć, a może zapomniał. Nie wiem, czy idąc płacze, czy jest nad sobą rozszalony. Teraz widzę, że ma białą sweter i białą koszulę i białe przybrudzone na kolanach i siedzeniu spodnie. Nie zatrzymuję go. Jestem strudzony, a nawet śpiący. Nerwy i otepienie tych wszystkich jazd samochodem. Ołowiane zmęczenie po akcie miłosnym, nawet bez orgazmu. Jestem też głodny. Pogmeram w lodówce. Znów słyszę samochód chłopca, od-

jeżdżający. Może należało go zatrzymać? Może zrobi coś, o czym się mówi, że jest to głupie?

Wychodzę na balkon, ale widzę tylko drzewa przed świtem (widzę drzewa jak sadzę) i jeszcze widzę gwiazdy. Jem kawałek zimnej kury i ser żółty z dziurami, aha, radamer. Może należało porozmawiać z chłopcem o miłoszowym dystansie? Miłosz napisał, że dzieło sztuki tym się różni od czego innego, że ma dystans. Dystans ma też kurwa. Bo otóż tak się dzieje, że jest akurat odwrotnie. Kiedy się to stało? Tu i teraz. Dzieło sztuki pozbawione jest dystansu. Zamiast dystansu jest ironia. Miłosz jej nie ma, jak i poczucia humoru. Ta dziewczyna jest dziełem sztuki, i nie ma dystansu. Ani obity chłopak. Ani jego obrazy. Ani moja książka, którą od jutra zamierzam pisać na nowo.



W nocy zbudził się i zadzwonił do dziewczyny, i powiedział, że mu jej brak, co było prawdą także przez sen. Czuł chłód i niecierpliwość, jakby go ssało w dołku. Telefon odebrała matka bez zdumienia, jakby nie spała. Jej alkoholiczny, nieco rozmazany chrypliwy głos: nawet byś nie zgadł, że kobiety. Zaraz zobaczą, powiedziała. Wyobraził sobie, jak idzie przez puste pokoje, zapalając światło. Żółta lampa w pergaminowym burym abażurze, tę widział. Gdzie dziew-

czyzna spała? Z psem. Idąc matka przekracza ciało zwiniętego na dywanie męża. Rozbudzona dziewczyna ma wystraszony głos, gdy mówi „halo”. Nim zdążyła się zebrać do odpowiedzenia czegokolwiek (jej nasłuchująca w szlafroku, obok, matka), odłożył słuchawkę.



Przyjechała przed południem. Była piękna pogoda, niebo najczystsze błękitu, jak to po deszczu. Bez letniego pylnego oparu, który wyszarza i stępieja. Było błyszcząco. On miał pojechać do Opery, ale nie pojechał, bo wiedział, że ona się pojawi. Może zadzwoni z dworca?. Ale nie, przyjechała samochodem, „z innym kolegą” powiedziała. Usłyszał jej głos z dołu, znów nie zamknął drzwi. Cud, że przeżył noc. I myślał o żonie. Nigdy więcej o żonie. I jak kręciła ten film o nich, zimowej nocy, kiedy umarł jego ojciec. Ojciec nie dożył zobaczenia tego filmu. Ona mu film zadedykowała, i jemu, i ich dziecku, z którym teraz sobie poszła.

A rano przed jej przyjazdem zadzwonił telefon. Matka dziewczyny. Czy ta kobieta nigdy nie spała? Głos: ona gdzieś znikła. Ona będzie teraz pewnie chciała się tam przenieść do Warszawy. Czy pan pokryje jej potrzeby materialne? Nieufność, rajfurzenie. „To jedynaczka”. On schodzi, kiedy słyszy świeży głos dziewczyny z dołu. Wy-

leczyła się z kataru. Obejmuje ją, obcą. „Chyba założymy sobie kółka na palce”, mówi. „Chyba trzeba będzie” mówi ona.

On udaje zdumienie, że ona przyjechała. I szczęście. Ten kolega, co ją przywiózł, kocha się w niej od lat i robi, co mu każą, mówi ona. A właściwie to był moim narzeczoną, w przejściu (w tym ciemnym przejściu) pomiędzy śmiercią tego właściwego, a tym teraz. A teraz mnie złości, mówi ona. „Gdzie jest?” pyta on. „Może by wszedł, kawa, herbata?”. Gdzieś tam siedzi w samochodzie i czeka, mówi ona. „Pobiegnij zobacz” mówi on. Ona się waha. Naprawdę? Nieładnie, mówi on. Ona wybiega. Przez okno widzi, jak dziewczyna biegnie. Po chwili wraca. Sama. Ciężar w nim narasta. „Nie udało się, bo gdzieś sobie pojechał” mówi dziewczyna. Popatrz, mówi on, ja nie mogłem zgadnąć, że przyjedziesz, a za pół godziny zawitają tu do mnie ci ludzie z Opery, kostiumolog, scenografowie. Pół godziny, myśli, to trochę za mało by tak od razu, z marszu, pójść do łóżka.

Rozpina tylko jej spodnie, za ciasne, by się zsunęły z seksu. W kanapie jest słonecznie. Dużo słońca na kanapie i podłodze. Zdążę ci zrobić zdjęcia, mówi. Inspektuje jej twarz krzywiącą się i zmarszczoną i gładką (zuchowatą), dziecinną. Słyszy samochód za bramą, wyziera. Widzi, że to jego brat. Brat przyjechał sprawdzić, czy pocztę dla

niego nie było, z jakąś nową kobietą, jemu nieznaną. Brat był w szortach. Może przywiózł ją na rowery. Rowery stały w garażu, a całe dolne piętro było brata, tyle, że nie zakończył robót. Rury sterowały ze ścian, gruz walał się po podłodze. Może nigdy ich nie zakończy. Brat zaplanował pokoje, dwie kiszki nieustawne, i za dużą kuchnię ze słupem pośrodku. Odtwarzał M3, w którym przeżył dwadzieścia lat. Nigdy nie miał pieniędzy, był nauczycielem. „Otóż są” mówi on z konsternacją do dziewczyny. Ona się zabiera. „A później?” pyta. Cały dzień mam taki, powiada on. Rozkłada nawet ręce. „A ja miałam być w Bydgoszczy od rana” mówi ona. Tym razem nie mówi nawet „pierdolonej”.

Wybiega, idzie do samochodu kolegi, który wysunął dziób zza rogu piaszczystej uliczki. Brat ogłada się za nią. Jest ładna. Jest jak młodość ładna. Brat dłubie przy skrzynce, pustej, wchodzi do garażu, wyciąga rowery. Zawsze mówił, że w kobiecie najważniejsze są nogi. Ta, którą przywiózł, ma nogi jak kloce, jak słupy, bezkształtne. Z czerwonymi plackami – prostokątnymi, po nieudanej epilacji. Twarz ma byle jaką, jest histeryczką, brata nieodparcie ciągnie do nieszczęść i nieudaczy. On się nie porusza w oknie na górze. Oddycha z ulgą. Brat z kobietą znikają w perspektywie uliczki, na rowerach. Brat jest rozwiedziony z ambitną żoną, i ma otyłe nerwowe dziecko, którym się mozolnie zajmuje. A po pół godziny dziewczyny

na wraca i wchodzi cicho do pokoju, gdzie on siedzi przed zeszytem. Nie usłyszał. „Ja wiedziałam” mówi ona „że to nieprawda. Wróciłam sprawdzić. No to teraz nie będziemy się widywać. Życzę panu spokojnego lata”.

Chwilę jeszcze siedział przy stole do pracy, naprzeciw wielkiego do podłogi okna. Widział, jak dziób samochodu kolegi wycofuje się z za zaułka. Ona na pokładzie. Chmurzyło się. Było prawie ciemno. Znów będzie padać. Ulewne deszcze zalały nocą pół kraju. Co jest, jest mu najzupełniej obojętne. Obojętnie przerzuca maszynopis chłopca. Chłopiec rejestrował każde drgnienie tego, co się z nim działo. W nim działo. Jakby to było ważne. Z zachłyśniętą gorączkową temperaturą, nic. Nicość. Bóg stworzył naprzód nicość, by móc w ogóle coś stwarzać. Coś, czyli nic.

Siedział odrętwiały. Patrzył przez okno. Ich drugi brat był malarzem. To znaczy, nie było pewne, czy był malarzem w sensie dobrego malarstwa. Ale malował. I mówił jak malarz – o świetle. Siedząc przy stole w jadalni, która też była kuchnią, brat wypukłymi dużymi oczami wpatrywał się w kąt za drzwiami, gdzie wisiał jego obraz. Nie przeszkadzało mu, że obraz wisi za drzwiami. Obraz przedstawiał kobietę w ciąży. Żonę jednego z nich, wszystkie trzy żony na raz. Jak stoi i oboma rękoma trzyma się za wżębie krzyża – brzuch – jak trzyma obie ręce na plecach, a wypi-

na brzuch do przodu. Twarz żony była niepodobna do żadnej z ówczesnych ich żon.

Jej twarz, pomyślał przy biurku. Pomyślał, że wie, dlaczego nie czuje do dziewczyny niczego: miłości, czułości, pożądania. Czuje gniew. Bo na jej twarzy było wypisane. Co? To, co się stało. W jednej chwili, w grymasie, jej twarz zmieniła się nie z wiekiem, ale z seksem. W miłości jakże ważna jest twarz! W żądy, w szczęściu, pomyślał, którego nie zaznał z żadną, jedno z drugim połączone. Aż śmieszne, że ich młodszy brat prawil, jak ważne są pierdolone nogi, kolumny białej śluzowatej świątyni. Siedzący przy stole znieruchomiały średni brat patrzył na swój obraz, ale ponieważ w oczach miał zez rozbieżny, odezwał się o dwu prymitywnych malunkach wiszących nad szafą. On je kupił w Voivodinie, na północ od Belgradu, nim ci bałkańscy kretyni poczęli się religijnie wyrzynać. Brat powiedział, że jego obraz, i te dwa naiwne obrazy ze śniegiem i pijanymi chłopami mają takie samo światło.



Zadzwoił telefon, i on znów wiedział, że będzie to zdezorientowany i poniekąd wystraszony dyrektor Opery. Więc wstał i powiedział, że zaraz przyjedzie. Rodzinne kłopoty. Żona mnie opuściła. Zszedł na dół, wsiadł do samochodu i odjechał, jak zwykle nie zamykając drzwi. Nie

sprawdził, czy zabrała ze sobą klucze, te swoje. Dyrektor był zręcznym gładyszem, który otarł się o świat. Mówił w językach, pracował jako cośtam (co?) w La Scali, to brzmiało. Dekoracje w przedstawieniach ociekały niechlujną farbą, scena była rozbabrana. Miliardy wydawał na sprowadzenie zagranicznych sław.

Ze „Strasznym Dworem” był spóźniony o rok. Powtórzmy: zaangażowany reżyser i konceptor, Iperyt, dał nogę. Już wtedy, gdy był asystentem przy moich filmach, był mroczny i odcytany. O szerokiej, prawie doskonale okrągłej, szarokartoflanej i obrzękłej, gdyby nie dzioby i sfałdowania, twarzy. Pokryty czarnymi brodawkami. Początkowo, Iperyt był aktorem. Był brzydkim inteligentnym aktorem i przeszedł na reżyserię. Wiele lat nic o Iperycie nie słyszałem. Z okazji dwustulecia Haendla okazało się, że Iperyt, jako jedyny reżyser na świecie, wystawił wszystkie jego opery. Tytaniczny wysiłek, od którego zwariował.

Iperyt mówił głębokim basem i miał pochmurne wejście, i ironicznie siedział przy kawiarnianym stoliku. I uciekł. Na swój sposób uciekł. To znaczy obraził się na dekoracje, które kazał wybudować, i na Dyrektora. Obrażony zapuścił brodę. Ja zadzwoniłem do Iperyty, pytając co się stało. W głosie Iperyty usłyszałem bolesną kobiecość, mimo brody, która słyszalnie drapała

w słuchawkę. Coś bezczelnego w tej jego boleści. „Nigdy” powiedział Iperyt „nigdy więcej”. Powiedziałem, że reżyserowanie, aczkolwiek stworzone dla pyszałków i megalomanów, jest najskromniejszym z wyobraźalnych zajęć. Iperyt powiedział, że jestem grzesznikiem. Siedział przy słuchawce z krzyżem w ręku. Krzyż też leżał na stoliczku i wisiał na ścianie. Do Opery przybywał z wielkim drewnianym krzyżem w kieszeni, nieco wysterczającym, który kładł tam, gdzie przysiadł. Był głęboki. Popierdoliło mu się. „Nadstawiam drugi policzek” powiedział, i odłożył słuchawkę.



Opera była słaba. Dwu facetów wraca z jakiejś sarmackiej zawieruchy, przysięgając, że nigdy się nie pożenią, tylko będą czekali na zew Ojczyzny, po czym się żenią. Muzycznie drugorzędna. Ale on był czuły na dzieła polskiego słowa. I po kilku latach upadania trzeba było zacząć od nowa. Jeżeli zaczynać. Dziewczyna mieszkała na ulicy, której nazwy nie rozumiał: Rybaki. Brat malarz mu powiedział, że najbliższa ukochanemu jego jezioru wieś brodnicka nazywa się Rybaki. Cienkim pajęczym śladem, przejrzystą niteczką, rzeczy się jednak łączyły. Brat tam miał budę bez światła ni telefonu, bo obaj, brat i on, nienawidzili miasta. Na swój sposób, brat i on, żyli tam, gdzie nikt oprócz nich żyć nie chciał.



Samochód ustawił w gęstych szeregach przed fortecą Opery. Po drugiej stronie placu rekonstruowano przedwojenny Ratusz, pod jakiegoś banki. Błyszczał miedziany dach, bo co miał robić? Było słonecznie. W sklepie na rogu Moliera kupił ćwiartkę czystej wódki, pół wypił, resztę schował w dużej kieszeni. Gabinet Dyrektora był rozległy na drugim piętrze, zarzucony prospektami innych oper, z innych krajów. O Iperyście Dyrektor powiedział, że nie umiał być urzędnikiem, tylko że był wizjonerem.

Wokół stołu do narad siedziało ich z dziesięciu, urzędników z brodami i bez. Szukali energicznego frajera. Dyrygent dyrygował w Kanadzie. Tylko kilka dni prób miało być na dużej scenie. Dyrektor zakupił przeniesienie spektaklu „Simona Boccanegry” z jakiejś tam luksusowej Opery, i głowił się, jak na scenę wprowadzić pięciotonową stalową belkę, na której ekskluzywna dekoracja do „Boccanegry” miała zawisnąć. Tyle że po chwili ekspert od partytur zamyślił się, skubiąc bródkę małą i kwaśną, i powiedział, że cenzura wówczas, po Powstaniu Styczniowym pozwoliła zagrać „Straszny Dwór” tylko trzy razy, po czym go zdjęła. Nawet, powiedział, kazali sobie pokazać przedstawienie nieskończone tuż przed premierą, wężąc coś anty.

5

To go zdecydowało. Powiedział, że wróci do domu i przesłucha nagrania, którymi go obrzuciono. Wylewnie dyrektor uściskał mu rękę, panie sekretarki przyniosły kawy. Wszystko było takie same, w teatrze, kinie, telewizji i literaturze. W domu postawił pierwszą płytę z pierwszego nagrania i wiedział już, że zrobi przedstawienie z tego pierwszego przedstawienia dla cenzury. Takie nedorobione, przestraszone, byle jakie, jak on. Zgodne nie z Haendlowską melasą, ale z tandetną muzyką 1864. Przedstawienie, które udaje, że jest czymś, czym nie jest, a przez pory którego wycieka gniewna mgła tego, co nie do pokazania. Jego mgła własna, pomyślał. To było o nim przedstawienie. Był zaprzątnięty. Szybko, przed nieustającą śmiercią, zapisać. Pokazać. Wstał z kanapy i podszedł do lodówki, bo poczuł się zdrowo głodny. Wtedy zobaczył, po drugiej stronie słupa podtrzymującego strop jadalni, wielkie, związane ze sobą sznurem tak, że widział tylko ich szaropłócienne, więzienne grzbieoty – obrazy.

Były to obrazy chłopca, i przedstawiały to, co na zdjęciach, tylko ogromniejsze. Kolory może mniej żywe niż na Fuji, formy mniej precyzyjne, bo powiększone. Tym niemniej olbrzymie ulatujące w niebo kobiety przebijały ich nożami. Palce delikatnie wsparte o seks narysowane były z dürerowską elegancją. Punkt widzenia z dołu,

z podłogi, z pełznięcia. Taki brunoszulcowy punkt poddania się i masochizmu. Jaka szkoda, że tak było. I nie myślisz o swoim ciele, ale myślisz jak od niego, jak od niej, się uwolnić.



Telefon z wiadomością, co się z chłopcem i dziewczyną stało na szosie z Nowej Huty do Torunia zadzwonił w pustym domu zaraz po jego wyjeździe, lecz nie dowiedział się kto dzwoni, i w jakim celu dzwoniono. Był w drodze.

1997

II

Nad wodą wielką i czystą

„Niektóre polana były mokre i zielonkawe, i ogień ryczał dymem, i ktokolwiek podchodziłby do ogniska mógłby się zawahać na widok mężczyzny na wzgórku. Ale nie było tam wokół niczego, nawet religii”.

Jim Harrison, *Warlock*

Ta dziewczyna miała dokładnie takie usta, o jakie chodzi: duże, pulchne, obrzękłe. Gdy przyjechała do nich do pracy, miała też do ramion rozpuszczone blond włosy (później okazało się, że ich masa opadała jej do bioder, ale je w przeddzień przyjazdu modernistycznie obcięła), twarz powleczoną czymś pomarańczowym i za mocno podkreślone brwi, więc pomyślał o niej źle, pomyślał, że jest łatwa i wulgarna, i za ładna. Miała tego dnia poszerzającą jej ramiona marynarkę, i buty na szrudłowatych obcasach, więc wydała się też duża, choć gdy to wszystko zdjęła i zmyła, okazała się szczupłą, a nawet drobna, niewysoka, bo tylko twarz i ręce i stopy miała z większej osoby.

Zajmowała się ich dzieckiem i była wobec niego nieodmiennie wesoła i łagodna, nawet gdy pożerały ją oślepiające bóle głowy. Wówczas jej wąska plastelinowa twarz puchła, pod oczami pojawiały się nieustępliwe obrzęki (gdy naciskała na nie palcami swych wielkich czerwonych rąk, z oczu tryskały łzy), i gdy tylko malec zasypiał, dziewczyna pogrążała się, siedząc przeważnie na

krześle w kuchni, w stan nieobecności. Wtedy jej wielkie nabrzmiące usta zwisały rozchylone, a oczy ślepo wpatrywały się w niebyt.

Miała dziewiętnaście lat, i nie była obecnością uciążliwą, tylko trochę senną, choć głos i śmiech (słyszał jak się śmieje w zabawach z dzieckiem) miała głębsze i bardziej doświadczone, niż sposób, w jaki mówiła. Twierdziła, że jest po maturze, raczej była z jakiejś nieukończzonej zawodowej szkoły i sprzedawczynią w sklepie, dajmy na to z butami. Prawo jazdy za to posiadała, a że najbardziej lubiła wypełniać formularze krągłym urzędniczym pismem, więc posyłał ją samochodem na pocztę z rachunkami: wtedy się czesała i pokrywała sobie twarz tym czymś pomarańczowym, i malowała sobie seksualnie wydane pękłe usta.

Po dwu miesiącach pobytu w ich domu zapragnęła odwiedzić swych rodziców w Stalowej Woli, więc zawiózł ją w sobotę rano na dworzec Wschodni, skąd miała bezpośredni, choć długo jadący, pociąg. Na ten wyjazd ubrała się jak na zakupy i wymalowała, i w jaskrawym świetle tego letniego poranka usta jej lśniły niby mokry poraniony mięsz. Jechali w milczeniu, bo wstali wcześniej rano, i on bardziej dotkliwie niż kiedykolwiek od tych kilku miesięcy, czy lat, odczuwał, że to nie ona, na przykład, była nie do poprawienia, to on był zmęczony. Pracowała

u niego i traktował ją dobrze, i był wdzięczny za dobrą opiekę nad dzieckiem, też czuł się za nią odpowiedzialny. To było tyle. Gdy wysiadała pod dworcem, podniecona tym dwudniowym wyjazdem, na pożegnanie podsunęła umalowaną twarz i pocałowała go miękką pulchnością ust w usta, przelotnie i krótko, ale wprost w usta, czyli wiedziała, jak on na jej usta patrzy.



Nie zobaczył jej więcej, bo spod tego dworca nie wrócił do domu, tylko pojechał do budy brata nad jezioro. Nie zobaczył więcej dziecka ani żony, która dorosła i stała się kobietą walczącą z nim o coś, co nazywała „swoim miejscem”, czy „swoją przestrzenią”. Pewna siebie i zaczynająca każde zdanie od „nie”, jego żona żądała, by się zmienił on, ale na co, i jak, nie wiedział. Wiedział, że zgodnie z planem wpisanym w geny losu jest coraz bardziej sam i coraz mniej zarabia pieniędzy.

Było gorzej: bo jakby zmierzał do zatury, która byłaby oczyszczeniem. Jadąc myślał o tym, co wczoraj widział w telewizji: jak Hitlerem dysponowały demoniczne siły, jakim go napędzały ogniem, jaką energią: wręcz zobaczył na ekranie diabelskie ciało astralne ziejące z pyska Hitlera podczas przemówienia, niby parę białawą, opar czy duszę. Diabeł był jego duszą, to pewne.

Wszystko wychodziło mu, jak chciał, odkąd posługiwać się zaczął siłami diabła, czy diabeł nim. Wszystko się odmieniło, gdy jego diabeł napadł na gorszego diabła, gdy Hitler napadł na Stalina. Diabeł Stalina, jego szatan, był silniejszy. Wystarczy spojrzeć na ostatnie zejście Führera na dziedziniec zrujnowanej kancelarii Rzeszy. Jakby zezwłok chodził, starczy, zmały, wyzuty z treści i bezduszny. Diabeł go porzucił, bo przegrywał: zezwłok Hitlera jeszcze trząsał się i łasił, choć bez guzików, aż do samobójstwa.



Do wagonu brata w Rybakach trafił nie bez trudu, bo był tu raz tylko poprzednio, gdy brat go namawiał na kupno ziemi nad jeziorem, a on tu nie zobaczył nic więcej, niż krzaki i wilgoć. Cofał się więc w polnych drogach, wpadając we własny kurz, aż trafił do wsi, i tam mu otyły blady mężczyzna, stojący z rowerem przy kiosku Ruchu powiedział, jak jechać, bo brat tu był powszechnie znany. Musiał osobliwie tu wyglądać brat z siwymi włosami rozpuszczonymi do ramion, równie barczysty co ów blady mężczyzna, ale brodaty, zaćmiony od rana marihuaną i łagodny, na wszystko patrzący od najlepszej strony i starający się wszystko i każdego zrozumieć w najgłębszych, a nawet morderczych poczynaniach, bo wprzód musiał zrozumieć sam siebie i siebie sobie wytłumaczyć, jako że w je-

go skośnym i burzliwym życiu wiele było do tłumaczenia.

Twój brat ucieka, powiedziała żona, obliczywszy wysoki stopień swej inteligencji (IQ) z podręcznika nabytego we francuskiej księgarni w Warszawie; ucieka w bok, w ryby i las, w ciszę, ucieka w młodych ludzi, wśród których, zwłaszcza w Rybakach, na zadupiu, jest guru, bo na wszystko patrzy pobłaźliwie, ba, życzliwie, z głębi swego niezorganizowanego asystematycznego mózgu od rana tłuczonego młotkiem narkotyku, skoro po zawałach już mu pić nie wolno, powiedziała. To forma ucieczki, tak jak wasz młodszy brat ucieka w pedanterię, schludność, obowiązkowość i złośczenie się aż po rozwód o każdy detal. To dlatego go kobiety rzucają, albo on je, powiedziała po namyśle, wciąż o młodszym, że zajmuje się on tylko sobą, ucieka w siebie, a ucieczek kobiet nie mogą znieść, one które chcą być paniami chwili.

Teraz jego żony nie było, a on dojeżdżał do wagonu nad jeziorem. Ledwo go rozpoznał w wysokich białych trawach, z odmalowanym na zielono dachem i rdzawymi bokami, i przybudówką z przodu na kolejowych smolistych deskach, czymś w rodzaju tarasu czy otwartej werandy, wysuniętej w stronę jeziora poniżej. A też od czasu tamtej wizyty mniej było drzew dokoła, sosny zostały ścięte na zysk czy opał, i wagon stał bardziej na łą-

ce niż podrzucony w lesie, jak poprzednio, ukryty i prawie niewidoczny, gdy brat się w nim ukrywał trzydzieści pięć lat temu.



Brat twierdził, że zdezerterował, by nie brać udziału w najeździe polskich wojsk na Czechosłowację, gdzie wraz z innymi komunistycznymi armiami miały tępić wolnościową miatęż, ale on myślał raczej, że brat w ogóle wojska nie mógł znieść i wytrzymać, jak nie mógł wytrzymać łagodniejszych instytucji, takich jak szkoły, czy uniwersytetu, czy nawet Akademii Sztuk Pięknych, do których noga jego zachodziła tylko po indeks, aż go zewsząd wyrzucono, i wojsko się go uczepiło. Na dowód byłoby, że brat od razu popełnił w koszarach samobójstwo, przerysując sobie przeguby, a potem, w więziennym szpitalu wojskowym po raz drugi, skąd po zaleczeniu go wypuszczono na przepustkę, i wtedy brat nawiał.

Nawiał prosto nad morze. Była ciepła wiosna, ale brzegi Bałtyku były do letnich wakacji opustoszałe: prócz paru kurortów łatwych do skontrolowania nie było poza sezonem gdzie specjalnie mieszkać i co kupić do jedzenia, a plaże zaorywały co wieczór cierpliwie konie bronami ciągnącymi się za nimi, szerokim pasem zgracowanego piasku, na którym ślady uciekających morzem czy morzem

przybywających szpiegów i dywersantów były co rano tropione przez uzbrojone patrole z psami, zaś u brzegu wydm, w tnących szorstkich trawach przebiegał drucik – trzysta kilometrów tego drucika – który, gdy potrącony niebaczna stopą, wywoływał dzwonek w stanicach WOP-u, i alarm.

Brat uciekł jak stał, więc nie miał namiotu ani płaszcz-pałatki, zresztą namiot byłby od razu widzialny, więc tylko na skarpie, w stromym jarze ze słodką wodą, wykopał w ziemi głęboką jamę z dwoma otworami, jak strzelnicami, do patrzenia, nakrył tę jamę gałęziami, mchem i chrustem, i upstrzył liśćmi i badyłami zebranyymi przy suchym opuszczonym mrowisku, tak że ta kupa brązowego przy tamtej nie rzuciła się w oczy. Nie wiem, co w tej jamie robił. Po plaży wiał wiatr, brat patrzył jak ją orano. Potem poszedł przez las kilka kilometrów do wsi nad kanałem i nakupił od rybaków linek i haczyków za grosze (sparciałych linek i zardzewiałych haczyków), i przed zaoraniem plaży przeciągał te linki do morza głęboko w piasku, do nasady zarzuconego kamiennego mola z czasów niemieckich, przy którym, mówiono, cumowały w czasie wojny łodzie podwodne. Wśród olbrzymich narzucanych bloków betonowych żyły w głębokich szparach węgore grube jak udo, powiedział, i czarne, chwytające byle jaką przynętę – owada, glizdę, kulkę z chleba.

W drugiej, otwartej kuchennej jamie brat piekł te węgorze za dnia na małym ogniu, ale nie mógł ich wędzić ze względu na dym, choć krzaków jałowcowych było wokół co niemiara; udało mu się kilkakrotnie złapać parę płastug, mniej tłustych i delikatniejszych od węgorzego mięsa, a raz na tydzień szedł do coraz to dalej położonych wsi, by kupić (za tych parę złotych, z którymi zdezerterował) chleba, jabłek czy sałaty; kapustę i ziemniaki wykopywał przed świtem z pól, starając się ograniczać szkodę i zacierać ślady, i był szczęśliwy, mówił, był przez ten czas nad morzem szczęśliwy, był to najszczęśliwszy czas w jego życiu teraz i potem. Aha, i powiedział, co robił. Pisał wiersze.



Wypakowuję torbę z bagażnika samochodu i wnoszę ją do wagonu. Drzwi są otwarte, klucz jest po wewnętrznej stronie. „Tu nie kradną”, powiedział brat. Nie wierzę w to, ale przecież też nie zamkam swoich drzwi, z tego samego roztargnienia. W każdym razie skąpe drewniane meble, zwiezione z mieszkania rodziców po śmierci ojca i wyprowadzeniu się matki, stoją jak stały u nich, stare, nieporęczne, wybrudzone i wytarte. Te same dwa rozklekotane tapczany, których sienniki ojciec pod koniec już unieść nie umiał, by złożyć lub włożyć podeń pościel: zresztą, cóż to za ciasny polski zwyczaj, by po śnie lub miłości spoconą pościel kisić ca-

ły dzień w ciemności i zamknięciu? Otwieram torbę i widzę, że zapomniałem spakować przybory toaletowe. Trudno, nie będę się golił. Brat też się niezbyt mył, tam nad morzem, a potem tutaj. Zarósł. Był brodaty. Raz tylko potem ściał brodę: gdy go wzięto. Za to nabrałem książek, i teraz ważę je w rękę, choć wrzucałem je do torby, pamiętam, raczej przypadkowo. „Warlock” Jima Harrisona, eseje Herlinga-Grudzińskiego pod minoderyjnym tytułem „Godzina Cieni”. Dlaczego ów inteligent, a i prawy i doświadczony Rosją i łagrem, jest tak słabym pisarzem? Raczej, poprawiam się, tak nudnym pisarzem? A skrywający swą erudycję Harrison, autor efektownych krótkich opowieści, w których jest las i przygoda, i dużo alkoholu i seks, dlaczego nie napisał nigdy dogłębnie dobrej książki, książki, która by przebiła tę samą błonę niedokonania, w której grzęźnie odwrotne pisarstwo Herlinga? Bo zbyt skrywają.

Ludzie różnią się raczej gęstością, myślę z książkami w rękę, nad krągłym stołem moich rodziców, o blacie spurchlonym starością. Kobiety różnią się od mężczyzn dodatkową gęstością. Są gęstsze. Gdy wchodzą, jakby ołów wkraczał. Dlaczego im gęstsze, tym bardziej mnie pociągały? Zmylały? Lekkość, to próżnia. Ciężar złego charakteru, to przynajmniej kamień. Wstrząsa mną dreszcz. Wagon jest od dawna nieopalany. W kącie stoi żeliwny piecyk, tak zwana koza, i drewno jest tam, gdzie brat powiedział, pod okapem.

W drugim kącie stoją porządnie poskładane jego wędki, siatki i sieci. Brat jest wędkarzem. Zna się na tym. Ja nie. Ja bym nie przeżył dwu miesięcy nad morzem, choćby piękną wiosną. Dostałbym zapalenia czegoś, płuc, mózgu, tęsknoty, żalu nad sobą, i zdechł. A przynajmniej zwariował. Brat też zwariował, ale już wcześniej: był wariatem całe swoje życie. Poetyckim wariatem, młodocianym złodziejaszkiem, bumem, kłamcą i łobuzem. Brat ma dobre i obojętne serce, do którego przyjmuje każdego, kto tylko zechce.



Wagon pojawił się w życiu brata w wyniku tego, że rozzuchwalony powodzeniem swego ukrycia nad morzem, czy może tego wieczora mniej uważny, zostawił w zaorany ciemniejącym piasku ślady stóp. Ale nie mógł przecież być roztrągnięty tak całkiem, skoro pozostawił je wstecz, idąc tyłem, stawiając stopy piętą do przodu. Poszedł się wieczorem wykąpać, był to pierwszy letni dzień i pierwszy letni wieczór po dwu miesiącach wilgoci, i woda była spokojna i rozległa, płaska, pełna, biała od bąbelków upału w seledynowej swej zieleni. Więc w ciemności nocy się rozebrał i nagi zszedł się pogrążyć w śliskim tłustym jedwabiu. Nie była gorąca, tylko zimna, ale cieplejsza od powietrza, więc łagodnie przecinał jej powierzchnię masywnymi ramionami. Zawsze wydawał się ogorzały, i zawsze odkąd pa-

miętam miał poradloną twarz. Amerykanie nazywają takiego *an outdoors man*, człowiekiem żyjącym na dworze.

Może już się znudził i chciał przyśpieszyć koniec? Nie, nie myślę, myślę, że samotność, nawet w wieku dziewiętnastu lat, mu nie ciążyła. Miał też swoiste poczucie humoru, przyziemne i absurdalne, i może chciał zadrwić z ich systemu, granic, strachów, opresji i głupoty? W każdym razie rano zaroilo się na plaży. Przez strategiczne dziury widział gaziki z oficerami i kucających przy śladach śledczych. Wyżsi szarżą wpatrywali się przez lornetki w las i jary i skarpe, ale on po wyjściu z wody, (jak i przy wejściu) poszedł daleko w bok, by ślady w skośnej linii prowadziły donikąd, do wydmy. Tak więc obserwował alarm z dość dużej odległości. Tyraliera żołnierzy rozsypała się u stóp wydmy, żołnierze wdrapywali się na zręby mokrego a zsypującego się białą brązowego piachu, i przeczesywali las. Robili to odcinek po odcinku, ale nie wiedzieć dlaczego coraz dalej od jego jamy, i odchodzili niepotrzebnie daleko trzy kilometry do szosy, na której psy niczego w ogóle wywęszyć nie mogły.

Nazajutrz tyraliera przeszła o pięćdziesiąt metrów na lewo przez kosodrzewinę i po stromych zboczach wąwozu, gdzie żołnierze zajęci raczej byli utrzymaniem się na nogach w ciężkich mun-

durach i niezjechaniem do wezbranego tą porą roku strumienia, wbrew naleganiu psów. Zresztą co psy mogły wywęszyć? Nie trenowano ich do tropienia ryb, których zapach był im obcy, wstrętny lub oczywisty, a on cały śmierdział rybami. Dymem i rybami. Toteż skończyło się na niczym, i przypomniało mi się, że gdy ja z okna mieszkania rodziców wystrzelałem wszystkie szyby w ośrodku szkolenia partyjnego na podwórzu, i podobnie zaroilo się od psów i ekspertów i zdenerwowanych oficerów, aresztowano Bogu ducha winnego chłopca z drugiego końca rozległego boku, tak to sobie wymyślili, i tylko dlatego ja musiałem się przyznać, a mój ojciec załatwić przez znajomych (i wysoce partyjnych) lekarzy zaświadczenie, że cierpię na kurzą ślepotę o zmroku i dlatego nie widzę w co strzelam, i zaświadczenie, że z tej wiatrówki strzelałem o zmroku, bo nie jestem zupełnie normalny, jestem dzieckiem wojny, które widziało za dużo, i mam rozszczepione lękiem i śmierciami nerwy. Miałem wtedy trzynaście lat.



Opisał to w jedynej swej nienaukowej książce, którą ośmielił się wydać, i której nikt nie przeczytał. Nie opisał tam całej prawdy swego życiorysu, opisał część prawdy, z postaci prawdziwych utkał postaci fikcyjne, a i tak jeden jedyny wnikliwy czytelnik tej książki, polsko-amerykański Żyd, który też był lingwistą, i z którym

spotkał się na sympozjum w Berkeley, powiedział mu oschle, że należy ona do wątpliwego gatunku autopowieści. Po czym zamilkł, jakby było to bardzo mądre, lub niczym.

Teraz już wiedział, jak jest: że ta masa nieprzebrana rzeczy do opowiedzenia, autopowieści i powieści, sprowadza się do tego, że niczego nie ma do powiedzenia, że wszystko i nic to to samo. Kiedy był bardzo młody i zdał maturę, spędził całe lato w przymorskich trawach, łapczywie i z determinacją czytając Tatarkiewicza Historię Estetyki, i starając się zapamiętać nazwiska i dokonania malarzy, których obrazów nigdy nie widział, bo trzy tomy były bez ilustracji. Rozumiał, że w szkole go niczego nie nauczono, nawet na maturze szachrował z matematyki, która go nie obchodziła wcale. Połknął te trzy tomy i wziął się za przypadkowo wydaną historię filozofii indyjskiej Sarvepalliego Radhakrishnana. Złożył papiery na filozofię i się dostał. Kandydatów było mało. W wielopokojowym ponurym mieszkaniu partyjny kuzyn, hrabia, zapytał go z zaniepokojoną wyższością człowieka praktycznego, po co mu ta filozofia? Potem weszła matka kuzyna, stara, prowincjonalna brzydka i otyła, i żona kuzyna poprawiła okulary na orlim nosie i powiedziała: niech matka wyjdzie, matka śmierdzi. Żona była dużą kobietą o dużym biuście i sztywnych bujnych włosach, stojących wokół jej czaszki jak drucziana wata.

W Warszawie filozofia była marksizmem, tak jak w Paryżu była egzystencjalizmem, a behaviouryzmem w Ameryce. Rychło zrozumiał, że poza panującymi *izmami*, filozofia jest tylko historią filozofii, czyli katalogiem rozpoznań i pretensji ślepego do widzenia kolorów. Gadali o czymś, co nauka obalała, bo nie wiedzieli o czym mówią. Spod płotu o podróży. A potem zrozumiał, że istnieje trzecia droga, ta, która zadaje pytanie, dlaczego te a nie inne słowa zostały użyte, i co te słowa doprawdy (filozoficznie) znaczą. I skąd się biorą w naszym sumieniu. Tak, w sumieniu, pomyślał, gdy się sumiennie biorą. To go zajęło, bo było ucieczką od marksizmu i od historii. Nauczył się greki i czytał Heideggera, i dowiedział się, że poszukujący sensu słów Heidegger był zawistnym, ba nadętym faszystą i karierowiczem, i antysemitą. Ale już wtedy było mu wszystko jedno. Sam był dziekanem i profesorem doktorem lingwistyki stosowanej, i obracał się wśród szarlatańców. Za języki wzięli się matematycy, ci stworzyli komputery. On żałował, że nie kontynuował pisania wierszy za młodu.



Nie kontynuował, bo nie miał dojścia do poetów, którzy mogli by go pouczyć, a ojciec nie zwracał uwagi na to, co pisał. Jedynek krytyk, któremu ośmielił się je pokazać (zadzwoił do domu) nie znał się na poezji: znał się na prozie,

a to nie to samo: wewnętrzny impuls jest najzupełniej odwrotny: w poezji chcesz nazwać rzecz, a nazywasz to, co wobec niej czujesz; w prozie chcesz nazwać to, co czujesz wobec rzeczy, a nazywasz rzecz stworzoną (itd.). Krytyk łagodnie go skrytykował, i zajął się dysydencją (umarł młodo). Przyjmował go wraz ze starszą swą, nieco wąsatą żoną w cichym mieszkaniu na kolacjach kanapkowych, na które on przyprowadzał swą ówczesną dziewczynę, licealistkę drobną jak lalka i uczesaną na chłopca.

Słowa mogły go uratować, ale nie uratowały, bo nie miał pychy w sobie, raczej uważał się za nieudacznika. Zrozumiał, że mógł pisać wiersze, gdy brat pokazał mu swoje po wyjściu z więzienia, bo wiersze brata były sentymentalną brednią. Brat też był oszustem, ale ze swego oszustwa nie czynił zawodu. Obaj, jak ojciec, jak najmłodszy ich brat, uciekali. Czasem w ucieczce przyłapywała ich, i chciała przygwoździć, miłość. To przez miłość brat znalazł trzydzieści pięć lat temu ten wagon. Zaczęło się to tak, że po kręceniu się WOP-u i UB nad morzem przez kilka dni zapanował martwy spokój. Morze szeleściło, zachody słońca były pastelowe, a brat przezornie nie wychodził nad wodę: czuł ciężar oczekiwania. Nie łowił ryb, żywił się chlebem i wykopanymi po zmierzchu z pola jarzynami, które prażył w popiele u skraju lasu, z dala od swej kryjówki. Śladów na piasku nie zaorano:

przestano orać, i on wiedział, że coś się szykuje. Zawiewał je wiatr, więc wieczorem i rano żołnierze odkurzali je zmiotkami do śmieci, ale zacierały się jak wszystko, i traciły wyrazność.

Wtedy przyjechała ona, czy też: wtedy ją przywieźli. To znaczy: zbudził go ruch na plaży. Trzy gaziki, z których dwa zatrzymały się w pewnej odległości, i jeden, który zwolna podjechał do samych śladów, i z którego wysiadł cywil w marynarce, oficer z mapnikiem, i ona. Oficer przecesał włosy, zdjęwszy okrągłą sztywną czapkę, po czym założył ją z powrotem. Tyłem do wiatru cywil zapalił papierosa. W skulonych dłoniach. Ona była duża, wysoka, wyższa od nich, mimo że na sensownie płaskich obcasach. Miała teczkę w rękę, i półprzezroczysty ortalionowy płaszcz ściśle związany w talii, więc wyglądała z daleka jak opakowanie na baleron. Z teczki niczego nie wyjęła. Jej włosy były nieokreślonej barwy, raczej jasne jak piasek plaży, i szybko rozkudłane wiatrem. Kiedy przykucnęła przy śladach, piasek począł obsypywać jej sinofioletowy płaszcz, przykulone ramiona, i przyklejać się drobno do jej twarzy, która z daleka wydała mu się opuchła i biała.



Przy śladach klęczała jak w modlitwie, a nawet twarz bokiem przyłożyła do piasku, podtrzymu-

jąc włosy, by się pod policzek nie dostały. Ci dwaj stali za to ni to w napięciu, ni to w lekceważeniu, zaś w odległości palili pety żołnierze z kałasznikowami, choć może to były jeszcze pepesze? Wszyscy tak stali, a potem ona się uniosła, strzepnęła piach z kolan (zsypywał jej się z ramion i piersi z ortalionowym szelestem), i nie zauważyła, że płaszcz jej się podgiął sztywno na łydkach, i że łydki jej są wysoko odsłonięte, co rozśmieszyło żołnierzy). On zaś przez swą dziurę w norze zobaczył, jak kobieta krótkim precyzyjnym ruchem pokazuje, w jaki sposób ślady zostały wyrobione, pięta-stopa, pokazywała, a nawet równoległe do ich śladów wytłoczyła swoje, zdjawszy uprzednio buty (trzymała je za paseczek w ręku) i idąc tyłem do wody, i po tych samych śladach z wody przez zeżwirowany piasek do piasku starmoszonego przez wiatr.

Oficer i cywil pochylili się i porównywali. Potem cywil zdjął buty i skarpetki (on pomyślał, że nogi na pewno mu śmierdziały mimo suchego wiatru) i zrobił to samo co ona, tylko obok. Poszedł tyłem tam i z powrotem, a potem wszyscy stali i patrzyli na wydmy i las i parowy i wysokie skarpy białego piachu i na ciemne drzewa nad nimi, niektóre z korzeniami jasno sterczącymi z darni nad ich głowami, gdzie piasek zjadły wiatry. Pomogli kobiecie wsiąść do gazika i odczekali, aż otrzepie ona ładne siwe stopy siedząc w otwartych drzwiczkach na stopniu, podczas

gdy cywil otrzepywał swoje i wkładał kolejno skarpetkę i but, stojąc na jednej nodze niby bobian i chwając się, czy to od podniecenia nasypującego mu miału do buta, czy dlatego, że był pijany.



Nie wiedział, co będzie dalej, ale wiedział, że coś się stało, i że coś się stanie, i że oni z braku innej roboty, czy z wyższego paranoicznego rozkazu, nie zaniechają. Postanowił opuścić jamę, i jako tako się otrzepawszy, i odświeżywszy ubranie w mokrych wieczorną rosą trawach postanowił, nim odejdzie, zjeść coś raz jak człowiek, jakby to był koniec, jakby ta jasnowłosa duża kobieta pokazując, jak szedł, wytyczyła mu koniec. Postanowił zjeść cokolwiek za ostatnie pieniądze: było ich i tak za mało na bilet pociągowy, zresztą dokąd dokładnie? Było mu miło nad morzem, bo było morze, kojący stały przelew i szum morza, i pogody, szerokość płaskiego morza w którym odbijał się księżyc i pogrążało się zachodzące słońce, skosem, nożami gasnącego światła bardziej trwałymi od chybotliwości fal.

We wsi wszedł do GS-u zaparowanego o tej porze i pełnego chłopów i rybaków, z których dwu lub trzech już znał, ale było mu wszystko jedno. Na dworze zostawił granatową smugę wiatru pod jasnołazurową smugą nieba, i chmury, wystrzępienie

lasu pod chmurami i cichą szosę, wślizgującą się w noc. Dalej były wydmy i oba jeziora i morze. Wewnątrz była breja żółtej ćmy i męskich odchodów, piwa i wódki, i ten sam więzienny zapach kuchni, co w całym kraju. Było głośno i ciasno, rechotliwie i pijacko, i słyhać było brak słów równie głośno, co głosy, bełkotliwe i lżące. Chciał kupić coś do zjedzenia przy barze, właściwie szynkwasio oblanym piwem, ale okazało się, że to niemożliwe, i że musi usiąść na sali, więc szukał stolika, wszystkie były zajęte, z ogromną ilością butelek i kufli i mężczyznami śpiącymi na blacie czy spadającymi na deski podłogi. Wtedy w samym kącie ostatniego pomieszczenia zobaczył ją.

To znaczy: nie była sama. Byli z nią ten sam oficer i ten sam cywil, tym razem już jawnie pijany i rozogniony jakby sukcesem, i był jeszcze jeden cywil bardziej miejscowy niż miejski, w podobnej szarej marynarce, a ona wciąż siedziała w tym samym płaszczu, i raz po raz podnosiła do ust łyżkę z tym czymś, co jadła, zupą grochową czy flakami, tym czymś burym, i nie mówiła niczego, tylko czekała, a gdy podniosła wzrok zobaczył, że go nie widzi przez odległość małej salki, bo jest krótkowzroczna i nieobecna, i najzupełniej sama.

Wtedy usłyszał silnik gazika zatrzymującego się pod GS-em i pomyślał, że to po niego, po jego śladach, ale żołnierze, którzy weszli, trącając go w zatłoczonym przejściu (młodociany zapach

ich mundurów przebił się przez zatęchłość sali, ale może to dlatego, że on się tak bardzo bał, i zmysły miał napięte do ostatka) wyprężyli się na baczność przy stoliku i najstarszy coś zameldował, a potem przechylił się do pijanego cywila i poufnie mówił dalej, wykonując nawet nie-regulaminowy ruch ręką w stronę drzwi i zapadającej nocy. Mężczyzna wstał, i oficer wstał, zagmerali wokół siebie i coś mówili, ona podniosła ku nim jasne krótkowidzące oczy i oni wyszli, pozostawiając przy niej pijanego cywila w marynarce, który starał się wykorzystać ich nową samotność na chwycenie jej piersi i wymiędlenie jej przez ortalion, ale który osunął się twarzą w przód i zmarł na blacie w nieprzytomności.



Ona przez chwilę siedziała nieruchomo, a potem znów nabrała tego czegoś i podniosła łyżkę do ust, z cichym siorbnięciem, pomyślał, a potem odłożyła łyżkę i chwilę znów na coś czekała, i wysunęła ładną małą rękę nad stół obok głowy śpiącego i ujęła kieliszek z wódką i wypła. Piła tak jak jadła, małymi łykami niezgodnymi z jej obfitym silnym ciałem, z białą szyją i nieco obrzękłymi, nieco opuchłymi rysami, które kiedyś, w przyszłości, staną się po prostu tęgie: ale może przyszłości nie przewidywała. Ośmielił się wtedy wyjść z zapitego tłumu mężczyzn, owi-

nięty w dym i parę z wilgotnych swych ubrań i postąpił krok ku niej, a kiedy podniosła oczy i zobaczyła go, brodatego, młodego i uśmiechniętego, i zmrużyła krótkowidzące oczy, by upewnić się dokładnie, że nie jest stąd, że nie jest jak oni, on zakolebał się na stopach, pięta-palec, jak koń na biegunach, i postąpił dwa kroki do tyłu, by zrozumiała.

Zrozumiała i siedziała nieruchomo, a potem zerknęła na śpiącego UB-eka, i potem zaraz wykonała taki ruch ramionami, jakby mówiła „przykro mi” albo „przepraszam”, ale też się uśmiechnęła lekko (bardzo lekko), jakby tym stąpieniem potwierdził jej domysłność, czy kompetencję, i drugi raz wzruszyła, w zażenowaniu, ramionami, jakby tę kompetencję minimizowała, czy raczej uważała ją za byle co, czy byle jaką, On pokazał jej na migi, że wychodzi, i żeby wyszła za nim, i zobaczył, jak ona znów mruży oczy w przelotnym przestkach, i jak je otwiera nadnaturalnie szeroko, że wyjdzie za nim, bo tak trzeba, bo wypada jej tak uczynić, skoro go (kogoś, uciekiniera, bandytę, szpiega) wykapowała.

Wyglądał na to wszystko razem, i na dworze jej wszystko o sobie opowiedział. Stali niezbyt daleko od GS-u, bo on nie chciał jej przestraszyć nocnym cieniem i samotnością, ale nie uważał, żeby była dzielna bo wyszła, skoro sam zakochał się od pierwszego wejrzenia i czuł i wierzył, że

z nią stało się to samo. Była o kilka lat od niego starsza, może nawet trochę większa, i stała nieco przyciężko w granacie powietrza i siwym poblasku od łuski asfaltu, i tak jak on patrzyła na czarne wysklepienie lasu tam, gdzie było morze, i na płaskie pole odzwierciedlające bezbarwne nocne światło, i słyszała odgłosy nocy w przerwach jego mówienia, sowę, co zahukała i bardzo daleki jazgot przetaczającego się nieśpiesznie samochodu.



Opowiedziała mu o sobie, nie wiedząc kiedy i dlaczego, ni z tego ni z owego. Po prostu przynależał do jej rasy i mówił cicho i łagodnie o urodzie świata, zamiast mówić o swoim strachu i represjach, które go czekały, gdy go pochwyć, a pochwyć musieli. Jej ojciec siedział już długo w więzieniu, złapany aż w 48 za WiN, powiedziała, a on pomyślał, że jego ojciec odmówił udziału w WiN-ie po pięciu latach AK, bo, powiedział, sam wojny z pistoletem nie wygram, i miał dość, miał po prostu dość, trzeba było ożywić życie, jakiegokolwiek by być miało, a nie utrupiać śmierć, która miała dość do roboty bez niego, powiedział. Jej ojciec studiował przed wojną filozofię, ale w czasie okupacji odkrył w sobie ambicje wierszoklety, i w podziemiu drukował, i może to go uratowało przed rozwałką, a może czyjś kaprys, czy też to, że ona od ra-

zu weszła w układ z UB, że będzie im służyła sobą, a była niegłupia, a przynajmniej wykształcona, bo studiowała na tajnych kompletach i potem na Jagiellonce psychologię, tak że rozporządzili, by się z niej wypisała i zapisała na AWF (była silnie zbudowana i łatwiej tam było rozumieć, co myśli), gdzie zrobiła dyplom z chodźstwa.

Pan wie, powiedziała, chodźarze to są ci śmieszni ludzie, którzy pokraccie i pośpiesznie wykręcają sobie biodra, kolana i stopy, idąc jak najprędzej i nie odrywając stóp od gruntu, ci co nie mogą wpaść w kłus, bo to zakazane, więc rolują nogami stopa-palce, stale jedna z dwu stóp jest na ziemi, stopy skręcają się jedna za drugą w nieustannym do mety marszu, podobnie jak palce klawicynisty nie odrywają się na ćwierć sekundy od klawiszy, bo melodia by ustała, i tym się różni chodźstwo od biegu, czym klawesyn od fortepianu, iż gdy pan biegnie, pewną ilość czasu spędza pan w powietrzu, oderwany od ziemi, ma pan skrzydła, i gdy na przestrzeni dziesięciu dwudziestu kilometrów zliczyć by ten czas w powietrzu, okazałoby się, że pan leciał uwolniony, powiedziała, a ja nie, przylgnięta jęstem do ziemi i pełnę jak robak, powiedziała.

Stałam się nawet za ciężka, by chodzić, powiedziała, jak dorastająca baletnica może stać się za ciężka, by tańczyć: wyrosną jej piersi i przeważą

do przodu, i po karierze. Więc napisała pracę magisterską z chodziarstwa, była magistrem chodziarstwa i ekspertem, i łatwo odgadła jego stratagem, tyle że wiedzieć *jak* nie znaczy wiedzieć *kto*, powiedziała, ktoś dowcipny, ktoś młody, kto wcale nie wyszedł z morza, ale może rozpłynął się w morzu, może uciekł? A wtedy winę będzie ponosiła patrolująca wybrzeże marynarka, bo ileż można upłynąć w jedną noc, i jak daleko jest stąd do najbliższej duńskiej wyspy Bornholm? zapytała. Wtedy wziął ją za rękę i zapytał, czy jej ojciec pisze jeszcze wiersze w więzieniu, a gdy kiwnęła miękkim białym profilem na tle czarnego nieba, cofnął rękę i zostawił w jej dłoni zwitek tego, co pisał w jamie nad morzem.



W tę chłodniejszą, a przecież ciepłą noc, nie śmiejąc patrzeć wprost ani na jej twarz, ani na obrys ciała w szeleszczącym, poruszającym się za każdym oddechem płaszczu, zamarzył, milcząc, zobaczyć ją chodzącą. To znaczy, by zaruszała biodrami i podgięła łokcie do góry i ścisnęła przed sobą pięści niby tłoki u lokomotywy, i by poszła, wykręcając stopy, pełnym szybkim krokiem wyglądającym na toczenie się, i by jej grube łydki (te widział) wykrzywiały się pod kolanami na obie strony, jak od jazdy konno, a piersi miękko i ciężko zachybotwały, jak nieopa-

nowane wahadła, aż zaczęły się bujać tak i ją mężczyź, by musiała przez ich ciężar przystanąć. Tak to sobie wyobraził, i pojął, że nie myśli o jej twarzy, ani o jej stopach, tylko o jej piersiach właśnie, i dlatego na nią nie patrzy, żeby oczy nie ześlizgnęły mu się na jej duże i wzdęte piersi w ortalionie. Coś legło między nich takiego, że zamilkli, zrobiło się ciężko, obojgu biło serce niepohamowanie i dławiąco, toteż ona (starsza) odwróciła się i poszła z powrotem, pochylając głowę, a w świetle żółtomdławym z okna gospody rozwarła dłoń i spojrzała na zwitek papieru, i rozwijając go między palcami zobaczyła, że to są wiersze. Wtedy powiedziała, nie odwracając się do niego, tylko patrząc w okno i majaczące złe cienie pijanych w nim ludzi, o wagonie w lesie nad jeziorem, i zapytała, czy ma jakiegokolwiek pieniądze, a gdy pokręcił głową przecząco, co odgadła, wyciągnęła z kieszeni ortalionu bilet kolejowy i podała mu, mówiąc, że pociąg dojeżdża do Brodnicy, a stamtąd już jest blisko, powiedziała, i dwukrotnie powtórzyła, ze wszystkimi szczegółami, marszrutę do wagonu i powiedziała, że im powie, że bilet na plaży zgubiła.

Nie pożegnała się, a on chwilę stał w mroku opryskanym żółtosiwym światłem przez drzwi, gdy ona wchodziła, i patrzył na szerokość jej bioder i fałdy wprasowane w niegnący się siny materiał jej płaszcz, i na jej łydki, gdy mignęły, ciężkie i wypukłe jak butelki, w progu, a potem

odszedł. Szedł przez las w stronę stacji i myślał, że nie będzie czekał na peronie, tylko w zakręcie szyn i krzakach przed nim, a na peron wbiegnie w samą chwilę odjazdu pociągu, nie wcześniej. Stacja była o trzy kilometry, i szło mu się zarazem ciężko i lekko, nawet widział gwiazdy nad szczeliną szosy, a gdy usłyszał wizg nadjeżdżającego samochodu skrył się za pień, i zobaczył, że to jadą dwa samochody, gazik przodem zapewne z oficerem i cywilem, których nie zobaczył za ciemnymi szybami, i drugi większy gazik za nimi, w którego odkrytym zadzie zobaczył żołnierzy kimających jak się dało, i nie wiedział, po co nocą gdzie jadą, na rozkaz instrukcji przysłanej z Koszalina czy Lemborka, i przypomniał sobie, że przecież zdezerterował, a jakimże absurdalnym i tępym i nieszczęsnym i uwłaczającym godności własnej zajęciem było to zajęcie wojskowe.



On stał nad koślawym stołem (do reszty spękanym i rozsypującym się w wilgoci wagonu), który pamiętał z mieszkania rodziców, (przez czterdzieści pięć lat stał tam w pośrodku ślepej jadalni) z książkami wyjętymi z torby w rękę, i dopiero teraz spojrzął na torbę i pomyślał, jak to jest, że odwożąc dziewczynę o pulchnych ustach na dworzec zapakował własną torbę, i co do niej włożył, bo przecież nie wiedział wtedy,

nie mógł wiedzieć, że ucieknie. Z czego dezertował, co zamierzał, nie, nie chciał myśleć słowami o tym, wystarczyło, że wiedział, choć wiedział też, że aby jakikolwiek dzień jutrzejszy miał się z tego wydobyć, trzeba było zdefiniować siebie i chwilę, nadać im sens i kierunek, podczas gdy nie, on czuł się ukojony, w zawieszeniu, czy nawet w locie, choćby ten miał być dryfowaniem, czuł się wolny i wolność ta sprawiała mu chwilową, sytą i jasnowzroczną przyjemność.

To, co przywiózł (nawet wziął nóż do otwierania konserw i konserwy, a nawet pół chleba) wyłożył na stół, i wrócił do bagażnika po maszynę do pisania, którą położył też na stole, choć nie wyjął z futerału; położył ją nawykowo, jak kładł ją zawsze wszędzie, gdzie przebywał; wystarczyło, że leży w swym czarnym zużyтым futerales z plastiku, by znaczyć, że on nie marnuje czasu, że to wszystko jest po to, by być ważne, niby smoczek w ustach niemowlęcia czy butelka w zasięgu pamięci alkoholika. Ryzę papieru położył obok maszyny, i mniejszy zeszyt z notatkami. Po chwili podniósł ów zeszyt i otworzył na chybił-trafił. Przeczytał listę tytułów, bo chyba to były tytuły, i przypomniał sobie, że były to tytuły czegoś, czego nigdy nie napisał: opowiadań, rozdziałów, całych powieści. Było mu żal tych tytułów, nie chciał, by przepadły, dlatego je zapisywał. Brzmiały:

Pater Passus
Indiańska krew
Doktor Dedalus
Pan Kiszka
Trzecia Powieść Polska.

Były to niezłe tytuły, pomyślał. Nigdy nie stał się pisarzem. Pewien młody, arogancki, pederastyczny i jaśniejący erudycją Anglik, Julian Barnes, napisał w modnej (i wątlej) książeczce „Papuga Flauberta” zdanie do zapamiętania: „Łatwo jest, w końcu, nie być pisarzem. Większość ludzi nie jest pisarzami, i bardzo mało złego im z tego przychodzi”. Było to zabawne. Książki stawały się coraz lżejsze, zabawniejsze. Barwne wydmyszki. Dlatego coraz więcej rozigranych kobiet je pisało, coraz mniej mężczyzn. Mówi się, że to mężczyźni są lekcy, kobiety ciężkie swym przywiązaniem do płotu (do płodu). Ciężkie menstruacje, obcowanie z krwią. Bez wyobraźni. Wyobraźnia wypływa im z pochwy z krwią menstruacyjną, i z siemieniem mężczyzn, których przyjmują w siebie. A to nieprawda, pomyślał. Lekcy mężczyźni, ci trutnie, są ciężcy mozolną pracą nad rolą, mozolną pracą nad kartką papieru. Piszą te grube nudne dociekliwe uparte pomyłone strony. Kobiety piszą w najlepszym przypadku te wydmyszki.

Też czas nastał na wydmuchiwanie. Nikt nie ma czasu na czas. Strzępiki, dowcipuszki. Błysk oczka, ślizg łatwego porównania. Głębia jest

w głębokości, olśnienie na powierzchni: już na powierzchni, powiedziałyby one, powołując się na mądrość zen, poetów haiku, mistyków średniowiecznych. Angelus Silesius zobaczył objawienie w łyśnięciu światła na polowie talerza. One też. Te zdolne. Te wiecznie młode. Te wyzwolone od udawania mężczyzn. Odwrotnie, zmuszające teraz pokracznych ciężkich samców do imitowania ich ciętej przenikliwości, co nie przenika niczego. Zmuszające mężczyzn, by stali się kobietami. Kundera stał się w końcu kobietą, pomyślał w wagonie, z tym zeszykiem w ręku. Jedną z najzdolniejszych, kultywującą lekkość. Lekkość, jak powietrze, go zabiła.



Nie chciało mu się wyjść z tego ciernistego, słonecznego wagonu na ostrzejsze słońce na dworze. Chciało mu się rozmyślać nad bezładem własnych notatek. One od pewnego czasu stały się byle jakie. Nic w nich z metodyczności jego prac semiologicznych. Choć w Ameryce, na uniwersytetach Berkeley, Harvardu, a potem Nowego Jorku (dla murzynów) i Illinois (dla chłopstwa) dojrzał, że semiologia jest tylko gratką, by odegrać rolę. Sposobem na, nie sposobem dla. Semiologia była równie dęta, co pozytywne, lub kobiece, myślenie. Umberto Eco był mętym nudziarzem, gotowym napisać dziesięć tysięcy słów o czymkolwiek, o pudełku zapalek. Czyli,

na dodatek, grafomanem. Młodzieżowy gnom Marcuse, siwy i w trampkach i preferujący rewolucję, był tyle poważnym myślicielem, co pierwszy lepszy złoczyńca. A ponury pajak Jakobson? A zawilec Noam Chomsky? Pomyśleć tylko, że w Polsce, za późnego komunizmu, filozofia czy semiologia, jak jeżdżenie samochodem, były ucieczką od nudnego życia i imbecyлизmu! Młodego Marksa studiowało się, bo był młody, czyli czuły na odruch ludzki, na istnienie młodego ciała. *Za* młodego Marksa się wylatywało z katedry: komunizm już był sklerozą. On wyleciał z asystentury, ale wziął go do Wiednia wyrzucony pół-przyjaciel jego ojca, Adam Schaff, piewca młodego Karla i taki filozof jak płot. A stamtąd urwał się na stypendium naukowe do USA.

Masz trzy drogi, pomyślał nieskładnie, patrząc w zeszytik:

- podlizywanie się, ba, kadzenie czytającemu, który kocha to najbardziej, by (jeśli nie jesteś zupełnie głupi) w pogardzie i ukryciu przed ogółem czerpać z tego najwyższe zyski: patrz Chaplin;
- jawnie nie lubić: skazać się przeto na samotność, gdy to zrozumieją, bo na nienawiść portretowanych; patrz Żuławski;
- umarmurzać, ukształtniać, dodawać gęby, wygładzać skórkę, wyłacać kiszki: patrz Noble, katedry, jubileusze.

Wyjął pióro z torby i dopisał: „dla tej zgrai mordczej i złej i przewrotnej”. Na tej smętnej ziemi, której i tak panami pozostaną pasożyty i owady. I gdzie uduchowieni duchem cierpią najdotkliwiej.

Te tytuły mogły być do książki, którą tak bardzo chciał napisać, choć przestawał wiedzieć, o co miało w niej chodzić. Zamiast, pisał z cynizmem coraz większym samobójcze semiologiczne prace, które też na książkę się nie składały. Drukowały je uniwersyteckie kwartalniki, pseudonaukowe i na ładnym papierze. Czytane tylko przez tych, którzy pisali swe prace w oparciu o podobne prace. Lub przeciwko nim, co na jedno wychodziło. Tłum specjalistów żerował łagodnie na sobie, w nieprzeniknionym ukryciu przed światem. Za zasłoną najbardziej litą z możliwych, bo ze słów. Państwo na to wydawało pieniądze, fundacje, gubernatorzy. Tkała się ścisła i pozorna tkanina kultury, co lepsze jest od wojny trującego gazu. No i od kobiet, pomyślał, tych dojnych mszyc, bez których naukowcy by wymarli.

Nie pamiętał, od kiedy go kobiety przerażały. Chyba od zawsze od zawsze. Podchodził do nich (pod nie) jak taternik do Himalajów, bo były. Z tym samym lękiem, z tą samą odrazą wspinał się raz po raz i spoglądał w twardą lodowatą szczelinę, z której należało się wyskrobać samotrzeć. Pięć żon. Żona, co nie dokończyła obrazów, a by-

ła malarką. Żona, co pisała wydmuszki. Żona aktorka, co napisała pół książki o tym, jak go zdradzała z mięsnym gówniarzem. Żona, co też była aktorką, a stała się buddystką i kolegowala się nawet z Dalaj-lamą. Żona, co również była malarką, a stała się bezmyślna: ta była pierwsza, jeszcze w Warszawie, trzy następne w Ameryce. Dwie aktorki, dwie malarki, jedna pisarka. Wszystkie ładne, dwie nawet w swym czasie pięknosciami. Do żadnej nie czuł namiętności. Lubił ich urodę, niekiedy lubił ich rozmowę. Lubił – do czasu – z nimi przebywać. Życie na kampusach układało się – mimo ciżby studentów i profesorskich intryg – w gruncie rzeczy samotniczo. Dużo picia nocnego i dziennego, by zdzierżyć. Alkohol nie sprzyja seksowi. Alkohol jest zamiast, i lepszy. Słowa są lepsze od rzeczywistości. Życie jest sztuką udawania, tyle że w pewnej chwili przestaje się wiedzieć, co udawać należy.

Przybrało to ostateczny kształt, gdy odeszła od niego (uciekła) żona druga. Pierwsza była z młodości, nie wiadomo, po co się pobierali. Druga była z wyboru. Była nawet trudna do zdobycia, musiał ją odbić młodemu profesorowi literatury anglosaskiej. Profesor był jasnowłosy i ujmujący, ale on był gęsty doświadczeniami z wojny i z Polski, z komunizmu, i robił karierę na katedrze filozofii jako *Rebel*, to dobrze brzmiało. Myśl uniwersytecka wahała się między lewicowymi obłomami a francuskim pierdoleniem muszek

w locie: w całkowitej niezrozumiałości słów samych, na których była utuczona, skoro niczego prócz słów nie można poznać, co samo w sobie ma pewną urodę. Żona grała w teatrze w miasteczku opodal, częściowo finansowanym przez uniwersytet, nawet stała się jego gwiazdą. Była jasna i długonoga, miała oślepiający mięsożerny uśmiech. Nikt nie wiedział, że w maleńkości za mało spożywała mleka, i zęby jej i kości były kruche jak jedwabny papier. Gdy odeszła od niego, przestała też jeść mięso, a z młodym mężem, przed nim, żywiła się papierosami, bo na coś czekała.



Dwadzieścia pięć lat trwało zapomnienie o zaskoczeniu, jakie mu odchodząc zadała. Była to zagadka większa i surowsza od jakiegokolwiek, jaką znał. Zajmował się ich dzieckiem, potem dziecko stało się młodym mężczyzną i poszło swoimi drogami. Niedaleko, pomyślał, bo kręciło się w przeręblu płytkiej kultury i buddyjskiej dobroci, jakby było niedowarzone. Niezupełne, nie dość bystre czy ciekawe. Za to silnie rozerozowane. A potem stracił z nim kontakt. Kontakt zachował z własnym bólem, bo ten ból przetrzymał w nim wiarę. Jakąkolwiek wiarę. Dwaj przyjaciele, których wtedy miał (jeden nauczał w Illinois pisarstwa, drugi rysunku, i byli ze sobą) przeniknęli od razu, że jej odejście to

jego koniec. Od jej odejścia datował się jego ześlizg w karierze, mimo że z impetu jeszcze kilka lat jak balon się unosił. A polegało to na tym, że na początku, ponieważ myślał, że ją kocha, kochał słowa. Wierzył w to, co kocha, w nią, w słowa. Jego prace były o tej wierze. Że nie ma poznania bez miłości, że słowa są piękne i zdrowe. Że taka miłość jest największą miłością. Te jego prace były romantyczne i szczęśliwe. O nie, nie były głupie: nigdy głupim nie był, były tylko optymistyczne. Były też szczerze: on naprawdę wierzył, jak wierzy się w wiarę. Wraz z ucieczką (zdradą) młodej żony utracił siłę zaślepienia. Storturowany, przez miesiące i lata nie wydał z siebie niczego, a potem, choćby nie wiem jak się starał, to co pisał (to co wiedział) było o dramacie słów, o kłamstwie słów, o bezradności słów, o ich oschłości, o ich śmierci. Utrata miłosnego do słów stosunku spowodowała, że zszarzał, zgęstniał, stał się gwałtowny. W jego tekstach była agresja przeciwko fałszowi, którą poczęto odbierać jako agresję przeciwko czytającemu. Coraz mniej się z tego wydobywał, coraz bardziej tonął w swej pustyni.

Następne żony były częściowe, choć piękne. Były też coraz młodsze, albo to on się starzał. I były brutalne w swym niezrównoważeniu. Obarczone rykami szaleństwa, niebezpieczne. Przez campusy przelewało się morze młodych kobiet. Niektóre wykładały, większość studiowała. Korzystał z nich,

nie obiecywał wiele, wszystkie oszukiwał. Miał po kilka kochanek na raz, przelotnych, nawrotnych, różnych. Wciąż przypominały mu się coraz inne, które po drodze zawieruszył. Trzeba było wysiłku pamięci, skoncentrowania. Tego brak mu było najbardziej: bo na czym się koncentrować? Kobiety koncentrowały się na sobie, co im zastępowało psychologię. Ta koncentracja wdmuchiwała życia w ich kariery. Życia, tak, ale nie ducha. Żadna kobieca książka, żadna kobieca praca nie posunęła jego wiedzy o czymkolwiek ani o włos. Żadna nie wzbogaciła go informacją czy wzruszeniem. Były ich coraz więcej, i mimo tytułów, były o niczym. Za to głos kobiet był coraz głośniejszy, ich pewność siebie coraz bardziej wojownicza, ich bezwzględność w egzekwowaniu swych prerogatyw coraz bardziej odstręczająca. Do ostatnich swych żon czuł, poza rzadkimi chwilami czułości – gdy przeżywały kłęski – wstręt.



Toteż z czymś w rodzaju *delectatio morosa* zamknął się w rozpamiętywaniu zrad, jakie popełniły. Nastarczyło mu to materiału do wielkiej ilości tytułów („Co by chciało”, „Węże w stawie”, „Zuchwałę remanenty”, „Peregrinus”, „Nowa przyroda”, „Piguły serca i metanoi”, „Biggamia” czy „Irlandzki pies”), karmiło go gorczą i otwierało coraz to nowe złoza nienawiści i wzburzenia. Widział, że nie po nic i nie bez ko-

zery ześlizgiwał się przez te długie lata w piekło: piekło było ich inżynierii. Były jego zawiadowcami i bakteriami, tymi, co w żadnej temperaturze nie zginą. Ostatnia żona odeszła i wróciła, jego brat jej powiedział, że nie odchodzi się od niego bezkarnie: spójrz, powiedział, jak pokończyły tamte. Jedna, piękna, bujna, z rakiem macicy, druga w narkotycznym mantryzmie, trzecia rozproszona na wydmuszki coraz cieńsze, nie mówiąc o tej pierwszej, którą tylko on zmuszał do myślenia. Myślenie ma kolosalną przyszłość: to powiedzonko Lenina cytował on chętnie wytrzeszczonym swym studentom. Jego medytowanie nad stołem zmęczyło się same sobą, myśli skakały niepoważnie. Dlaczego się tak dziś, tutaj, wziął na kobiety? Aha, pomyślał, bo ta biała ładna tęga, która podała bratu namiary wagonu, przecież w końcu też go zdradziła.

Wyjść, pójść do sklepiku w Rybakach (może podjechać?), kupić mleka i wódki. Przedtem sprawdzić, czy działa lampa naftowa. Dokupić nafty. Kupić coś przeciw komarom, płyn, trociczki, tym bardziej, że brat twierdził, że tu nie ma komarów. Brat od dawna postanowił wszystko widzieć w jak najlepszych barwach: kobiety, ryby, marihuanę, obrazy. A on może tu przyjechał dlatego, że okres *delectatio morosa* sam się sobą też zmęczył, kartki się spopielily, rozdział zamknął, ale nie na nowej przyjaźni do nowo odkrytej żony i do jej zmienionego zdradą charak-

teru (stwardniała, rozzuchwiała się, utraciła blask), tylko na obojętności. W rogu wagonu przejrzał wędkę brata, i wybrał spośród nich tę, która wydała mu się najmniej skomplikowana. W pudełku leżały czyste lśniące haczyki. Brat, we wszystkim niefrasobliwy bałaganiarz, wędkowanie traktował poważnie. Tylko jaką na haczyk nałożyć przynętę? I jak nie dziabnąć się w palec?

W palec się dziabnął, i nieco ciemnej krwi wsiąkło w pacynę zgniecionego mięszu chleba, która za łatwo nadziała się na haczyk. Kulka się rozpadła, więc wbił na haczyk twardy miętowy cukierek. Sam cukierków nie jadał, ale jego ostatni synek pakował mu do kieszeni zapasy na później. Pomyślał, że miętowy chemiczny zapach może się jakiejś prowincjonalnej rybie spodobać. Nawet plemniki ponoć poruszają się wedle węchu, kierowane (nos) przemożnym zapachem oczekującego na rozkosz jajka. Jeszcze pomyślał, podnosząc wędkę z podłogi (pachniało smołą i czymś leśnym, jak słońce czy igliwie), jak one wszystkie były dobrymi uczennicami. „Jedna na milion” jęczał o tej jego żonie piszącej nauczyciel w łódzkiej szkole. O niczym piszą doskonałą precyzyjną prozę te prymuski, pustkę otaczają słowami niby skorupką z glazury, z lukru, z lekkości. Bez białka, bez żółtka, bez pisklęcia z krwi i kości.



Wyszedł na dwór i zmrużył oczy pod słońce. Świat był ciemnozłoty. Migały po nim czarnoczerwone plamy. Zszedł z tarasu (dziegciem pociągnięte półokrągłe belki) w trawę, i trawą niżej i dalej, do jeziora. Wątki piaseczek na brzegu jeziora, chlupocik fal maleńkich i rozdygotanych. Nie wiedział, jak to zrobić, więc położył wędkę w trawie i pozwolił lince z haczykiem zanurzyć się w wodzie, ale widział przecież, że przynęta za blisko była brzegu, i że mętnozielona toń była dalej, pełna ślizgających się o siebie, srebrnosiwych rybich ciał. Podjął wędkę i niezręcznie pochwycił dyndającą linkę, i zamachnął się jak batem, by wrzucić haczyk dalej. Położył wędkę ostrożnie na poprzednim miejscu, bacząc, by nie ściągnąć linki, odwrócił się i poczuł silną rękę słońca na swym karku, i poszedł trawiastym zboczem pod górę i na skos, w stronę wsi i sklepiku.

„To pan jest tym bratem” powiedział blady mężczyzna z za lady, ale on uśmiechnął się wymijająco i popatrzył w bok na wódki, bo nie miał ochoty na rozmowę; słowo „tym” zazgrzytało mu w uszach, a poza tym potknął się, wchodząc do cienistego wnętrza i przypomniało mu się, że była przecież jedna pisarka, która mu pokazała świat: Karen Blixen, ale też tylko w jednej książce, na którą się złożyła cała kupa niezwykłości: Afryka, farma pod Kilimandżaro, syfilis, lesbijstwo, alkohol, ostracyzm angielsko-kolonialnej

społeczności, nieszczęsny romans z awanturnikiem, który się zabił we własnym samolocie, wreszcie plajta i wygnanie. *Miałam farmę w Afryce*, to było dobre zdanie. Znakiem spłyce-
nia czasu było, że płytkomądrząca się Szymborska dostała Nagrodę Nobla. Łyk kisielku, papierosek, kolacyjka. Miałki huraganik telewizji, sekundowe migawki, strzępy wiedzy. Białe, konieczne chłodne, winko i zduserowana karma. Poezja ma kopiować rzeczy, jakimi są? Religia, tam gdzie jest filozofią, przyszpila je sprawniej. A filozofia, tam gdzie zajmuje się sednem myślenia, czyli słowami, zabija sens słów zaśmiecający głowę, i otwiera przed patrzącym bez myślenia, przed czującym bez szkoły uczuć, Wielkie Drzwi tego Świata.



Zobaczył wzrok sklepiarza wbity w siebie, ten sam co pod budką, więc zadreptał i pokupował to i owo, olej, mlemix (tak się to nazywało), zapalki. Brat na pewno nie zostawił zapalek w wagonie, a on nie palił. To znaczy udawał, że pali fajkę, czasem, bo dobrze to jest widziane na kampusach, zwłaszcza gdy studenci przychodzą do domu na wykłady w szczupłym, zdolniejszym kręgu. Mocne flirty ze studentkami. Ostrożnie, by nie popchnąć takiej za daleko, w ambicjonalne próby. Ostrożnie też, by nie zorientowała się kolejna obłąkana żona, ta, co nie

kończy obrazów. Nie umie też prowadzić samochodu, jest nieskoordynowana. Długie, miedzianopiękne włosy zaplata w coraz sztuczniejsze wypięcia. Pije i pali ostentacyjnie, na dowód niezależności swego charakteru. Jedna z tych, od których tak naprawdę to on uciekł, a i też po latach. Każda chwilowa i niepełna żona trwała lata całe, niekiedy dziesiątki. W poprzek dziesiątków romansów i zsuwania się z pięter akademickiej kariery. „Jak to było” pomyślał, jest dobrym tytułem, pierwszym, o którym tu pomyślał.

Zapłacił i wrócił do wagonu, idąc wolno w wyboistym pyle. Pył był biały. Nad jeziorem słońce miało zająć, rozpałane, ogień. Zostawił wiktuały na progu i zszedł nad wodę w półmroku, czy coś się na wędkę złapało. Wędki nie było w trawie. Poczul uderzenie serca. Ślad w mule po jej trzonku znikał u progu głębokiej wody. Zdjął buty i spodnie i wszedł w śliskość, która chłodziła, im dalej. Szedł prosto, ryba (jeśli to była ryba) ściągnęła wędkę prosto, uważnie śledził jej ślad. Szedł jeszcze, zanurzył się po pas i wtedy stopą trzonek wymacał. Znów uderzyło mu serce. Palcami stopy objął oślizgłe drzewce, by je podnieść, ale zassało się w lepkiem mule dna. Więc pochylił się i włożył rękę do wody po pachę, i głębiej, zanurzając pół głowy i twarz. Nie otwarł oczu pod wodą: nie, tego by się bał. Wyciągnął wędkę i poczuł, że na jej końcu nie ma nic. Linka lekko i bez czucia przyplę-

nęła do niego, wijąc się, bez miętuska i bez haczyka. Patrzył na miejsce, gdzie to coś odcięło (odgryzło) nylonową linkę, na pół przezrystą w powietrzu i zielonkawą i, gdy się odwrócił, odbijającą w swym szklanym nerwie rudy blask słońca.



W domu (w wagonie) zapalił lampę naftową i gazowy piecyk. Na szczęście butla była w jednej trzeciej pełna, bo zapomniał o sprawdzeniu tego, a sklepik teraz był zamknięty. Mógł oczywiście pojechać na noc do hotelu w Brodnicy, w którym brat spędzał większość wieczorów z pijącą piwo młodzieżą, lub do hotelu w Toruniu (znał jeden, Pod Różą, ładny, skromny i prywatny), ale nie zrobiłby tego nawet gdyby w wagonie było ciemno, i gdyby mógł zjeść tylko kawałek chleba na przyzbie. Był w ucieczce, nie chciało mu się do ludzi, nawet w sklepiku poczuł się zirytowany. Wracało do niego zdanie Teilharda de Chardin: „Świat jest wypełniony i pełen absolutu”. Zależnie od godziny zdanie to wydawało mu się a to świetliście puste, a to bałarskim mitem. Ale miał je zapisane. Zapisywał zdania, tytuły, dziwne określenia, nieznane zwroty. Jedna z amerykańskich uniwersyteckich pięknoduszek, Annie Dillard, (kto je utrzymuje, za jakie pieniądze to robi?) napisała: „nie wiemy, co się tu odbywa”. Chciała, by zabrzmiało to zdumiewająco mądrze.

Słońce zaszło, i tafla jeziora stała się najświetlszym światłem w całej dolinie. Dokoła były łagodne wzgórza, jedną warstwą za drugą, czarny las po bokach i tam dalej, po drugiej stronie jeziora. Zjadł zbyt słone parówki z puszkii i wyjął z torby butelkę wina. Umył szklanę wodą z czajnika (pajaczków w szklance), nalał wina, usiadł w drzwiach. Komar usiadł mu na ręce, widział go, ale dał mu się napić, nim przykre pieczenie nie zmusiło go do spędzenia owada. Zapalił fajkę, by dymem odgonić następne. Podniósł się, urwał kawałek zimnej parówki i podjął z kąta cięższą wędkę brata, o grubszej lince. Wybrał w pudełku tęższy haczyk, który polśniewał miedzią. Ale to tylko płomyk lampy. Zapętlął haczyk na lince, nabił nań parówkę, nie nakłuwając palca, mimo że zrobił to schodząc do jeziora. Wędkę zarzucił jak najsilniejszym ruchem (łysek linki w powietrzu nad głową, bo nylon załapał wyższego, górnego światła po niewidocznym słońcu), a drzewce położył w tym samym miejscu, co poprzednie. Tyle że przycisnął je czterema kamieniami, które wykrył, gdy z poprzednią wędką wracał do domu. Kamienie były prostokątne, a gdy nie były, obłożył je innymi, mniejszymi, z kupy kamieni zwalonej i znaczącej, że kiedyś stał tu dom.

Wrócił do wagonu, otworzył zeszyt z notatkami i napisał, pochylony nad stołem, trzy zdania:
Podróż jako duchowe poszukiwanie.

Przyroda jako lustro wszechrzeczy.

Z intymnej potrzeby.

Przypatrzył im się, napisanym. Dwa pierwsze wydały mu się niedorzeczne. Zostawił zeszyt. Zbierał się do czytania i do snu, bo był wolny, po raz pierwszy od lat bez obowiązku współżycia, kopulacji, bycia razem. Przejrzał stosik książek, które wziął ze sobą (nie poruszał się nigdy nigdzie bez takiej kupki, książki były stale najcięższym bagażem, jaki zabierał). Brał je do ręki jedną po drugiej i oglądał je z przyjemnością. Szykował się do lektury i do zaśnięcia. Którą wybrać do łóżka? Zdecydował się na biografię Roberta Gravesa, bo lubił ekranizacje jego powieści w telewizji, i intrygował go ów rozwihrzony wysoki mężczyzna bojący się kobiet, żyjący z kobietami. Ze skarpetkami różnego koloru na każdej stopie. Czekala go biografia Tomasza Manna niejakiego Heilbuta, którą pobieżnie zdążył przejrzeć w Warszawie, i o której już wiedział, że się z niej tylko dowie, jak bardzo pan Tomasz był pederastą. Ten Halibut był pederastą, i to wojującym, jak wojującym Żydem był Jonasz Goldhagen, autor książki o tym, jak najzwyczajni Niemcy z poświęceniem i rozkoszą mordowali wyłącznie Żydów. Przez chwilę wazył w rękę gruby tom o pyszałku i pijaku, synu Winstona Churchilla, napisany przez Winstona S. Churchilla, wnuka. Zabawny wiecheć, ten Randolph. Jak być synem kogoś, kto się liczy? Dzieci Tomasza Manna były homo, i popełniały

samobójstwa. Carla Fishera biografia Cyrila Connolly'ego, który całe życie uważał się za zero, a którego krytycyzm poważano? I dwie książeczki Annie Dillard, tej od przechytrzonego zdania „nie wiemy co się tu dzieje”. Cytat był z „Piszącego życia”, bo pani Dillard napisała, jak wielu, podręcznik jak pisać, choć nie wiedziała o czym. Choć o czym pisać by nie wiedziały, kobiety nie wiedzą, ale chcą.



Zgasił lampę i poczuł wzmożone kopcenie knota i nafty, i poczuł miękkie a silny zapach taflí wody poniżej i usłyszał wodne ruchy jej brzegów i powietrza, tarcie o szuwary, a w środku nocy obudziło go kwilenie jeżące włos na głowie, bo śmiertelne, chyba zajęcze, pomyślał, ale kwilenie zamieniło się w krótką serię poświstów, takie świsty może wydać tylko nieludzki, obcy dziób, twardy, śliski i rogowy, nie pyszczek, więc pomyślał, że to siadła w trawie przed wagonem sowa, i podniósł głowę, i w ramie framugi otwartych drzwi zobaczył mleczną mgłę znad jeziora, i siwo-księżycowy trawnik, a na trawniku coś niby kobiecinę – czy karlicę – w chuście, dużogłową i przestępującą nieco, więc podniósł się i doszedł do drzwi, a gdy postawił stopę na wysmołowanej belce tarasu, kobiecina wykonała dwa mechanicznie szybkie i kanciaste ruchy grubą głową, i poderwała się. Białe duszne skrzydła jak wata

i biały brzuch omiotły powietrze, które przez chwilę wydawało się mniej chłodne i mniej szklane i mniej wodne; sowa uleciała, niewiarygodnie szeroka, od krańca do krańca skrzydeł szeroka jak samochód, przy którym była usiadła.

Wrócił do wagonu i po omacku położył się na rosyjskim wojskowym łóżeczku z drewna i brezentu, i przypomniał sobie, że brat od niego to łóżeczko pożyczył, gdy zainstalował się na dłużej w wagonie, gdy ten wagon, po zniknięciu specjalistki od chodzenia stał się jego. Takiego łóżka nikt nie ukradnie, powiedział brat, i było to prawdą. Łóżko stało tu od trzydziestu pięciu lat, i wydawało sparciały przegniły zapach, cuch drącego się płótna żaglowego, a gdy leżał, palcami przy drewnianym stelażu wymacał naddarcia i wiszące rozłazące się strzępy, na których prycza się jeszcze trzymała.

Nie bał się nocy. Nie bał się tej jednej nocy, zasypiał i budził się i leżał w niejaśniejącej ciemności, a potem budził się w wilgotnej szarości, a potem w skromnym blasku bijącym przez jedno z okien naprzeciwko drzwi, bo jezioro wtedy mroczyło się gęstym welwetem, ciemniejsze wśród ciemnego, a równa biała warstwa mgły przesunęła się wyżej nad nie, a gdy zbudził się raz jeszcze, zanikła. Bać się będzie w następną noc, na pewno, ale i tak nie zamknie drzwi, bo gorzej jest bać się wewnątrz niż na zewnątrz, go-

rzej w zamknięciu niż na pustej, chłodnej, tajemniczej wolności.



Brat na wolność wyszedł z przegubami pocięty-
mi mocno i głęboko, bo gdy go złapali, w woj-
skowym więzieniu nie symulował samobójstwa,
tylko je popełnił naprawdę, tnąc wzdłuż żył i ar-
terii, a nie w poprzek przez odporne ścięgna, i le-
dwo go uratowali, tyle krwi utracił. Ale go
puścili, to było najważniejsze. Kiedy leżał
w więziennym szpitalu, odwiedziła go ta kobie-
ta. Nie przeprosiła, że go wydała. Nie opowie-
działa też, co z nią było przez czas po jego złapa-
niu. Była tak samo biała i nieco bardziej tęga, czy
opuchła, czy nalana. Pod brodą wytworzyła jej
się zwisająca trochę wypukłość. Nie było jej
z tym brzydziej: była ciężką kobietą, taka jej
uroda. Brat, ścięty infekcyjną gorączką bardziej
niż wpływem krwi, poczuł to znowu, i znowu
mu się jej zachciało. Ale ona powiedziała, że
zmarł jej ojciec, zaledwie wypuszczony. Też cza-
sy się zmieniały. Zamierzała wyjechać. Jakaś
ciotka odezwała się z Australii. Mogła tam zo-
stać nauczycielką wuefu w szkole. W Sidney jest
piękna nowa opera, powiedziała. Na odchod-
nym dała bratu papier, którym notarialnie po-
twierdzała fikcyjny akt kupna (przez brata) ka-
wałka ziemi nad jeziorem, z wagonem i ruiną
domu.

W pół roku później brat dostał z urzędu gminy inny papier, anulujący owo kupno jako nielegalne (brat nie był rolnikiem piątej kategorii), ale wówczas nie miało to już znaczenia. Wieś przyzwyczaiła się do brata i uznała raz na zawsze, że ten spłacheć ziemi do niego należy, cokolwiek urzędy by nie gadały. Tak zostało. W Brodnicy żyła ślepa kuzynka chodziaczki, która pamiętała, jak to wystawiony przez jej dziadka dom, opieczętowany przez UB gdy zaarrestowano jej ojca (prosto z lasu) zmurszał i rozpadł się, tyle razy rozszabrowany przez napływowych sprawców i samą milicję. W końcu ktoś podłożył ogień we wrak domu, i to by było na tyle. Za to teraz przyjechała wojskowa lora z przyczepą (na niej wagon bez kół), i żołnierze zanieśli wagon nad wodę. Tyle młoda kobieta mogła sobie załatwić, i tyle załatwiła. Spędzała tu każdą wolną chwilę. Urządziła jako tako wagon i sypiała w nim i nie bała się, że przyjdą ją zgwałcić. Może nie miało to wielkiego dla niej znaczenia, a może była już gwałcona, choć brat opowiedział, że ta dorosła ładna atletka, gdy do niego do wagonu przyjechała, była dziewicą. Wiedział najlepiej, powiedział, bo sam był dziewicem. Identycznie, z tym samym wzburzeniem i niecierpliwą pasją, biciem serc ze strachu i z gwałtowności, szukali siebie i znaleźli siebie, a gdy pierwszy raz zobaczył ją nagą w świetle nocy leżącej się od jeziora, powiedział, zasłabł od białej urody jej ciała.

Kochali się przez dziesięć dni, a jedenastego przyjechał po nią UB-ek z Brodnicy, któremu przedstawiła brata jako kuzyna. UB-ek był wścibski i czarnooki, i odwiózł ją, a po dwu godzinach przyjechało wojsko po brata, i go zaarrestowało. Przez te dwie godziny dwukrotnie uchodził z wagonu, i dwukrotnie wracał. Jej zapach trwał w pościeli, i lada chwila mogła (miała) wrócić. W Brodnicy UB-ek powiedział mu, że nie mieli dowodu, ale że już teraz mają. Ona wszystko wygadała, bo co tu kręcić, nie dość jej było tarapatów z ojcem-zbrodniarzem, jeszcze musiała dupy dać dezterterowi? A tak wysłała z niego młode treści, i wypróżniony zezwłok prawidłowo porzuciła, niby modliszka jakaś. UB-ek powiedział, że jego pasją są owady. Czy wiesz, gnojku, powiedział, że modliszka nie zjada samczyka po kopulacji, jak twierdzą niedouki, ale podczas? Podczas gdy samczyk ją jebie, siedząc jej na plecach, modliszka obraca ku niemu zielony gładki pyszczek, i zjada mu głowę. Tułów samczyka, chuj samczyka nie przestają pierdolić, a ona spokojnie zjada faceta od góry, powiedział UB-ek. Ja mam pasję do owadów.



Brat, który książek nie czytał, nie wiedział, że UB-ek wykrył to w wydanym po polsku dziele J. H. Fabre'a, „Świat owadów”, za to on przeczytał to przy śniadaniu (kubek kawy, chleb)

w książce Annie Dillard, bo właśnie ten sam passus cytowała. Jedynie to, co cytowała było w jej książce prawdziwie interesujące, bo, jako ekscentryczna prymuska, czytała dużo i dobrze, to znaczy osobiście, skoro jej refleksja („Pilgrim at Tinker’s Creek,”) miała za zadanie przywrócenie sobie zdolności widzenia. Patrzenia. Na przykład patrzenia nie na las w oddali (barwy, cienie, formy), czy na drzewo bliżej (drzewo przewiercone światłem), ale na powietrze pomiędzy, powietrze tuż, pełne pyłu i owadów i babiego lata. (Babie lato on dodał dla zaokrąglenia). Przez kilka lat siedziała w tym najodleglejszym miejscu nad kanadyjską granicą, i patrzyła. Opisywała nie szukając zdania opisującego, ale zdania zabarwionego literaturą. Wyrafinowanego. Biologizującego czas, rzeczy, krajobraz i stworzenie tak, by stały się jej, a przestały być swoje własne. Cóż za absurdalny, drugorzędny, ciężki wysiłek, jakże skromny na pozór, jakże pyszny tak naprawdę!

Odłożył książkę na deski (śniadał w progu) i zszedł do jeziora, bo ciepło słońca mażące się po kartkach i zamieniające je w migotliwe lustro go oślepiło. Woda z góry błyszczała jak nóż, ale w miarę schodzenia omaszczała się cieniem i łagodniała. Ciemna toń ciągnęła się od samego brzegu, dalej była tajemnicza świeżość niezgłębionej głębokości i masy. Ciężar wody leżał w niecce jak kamień w płynie, a niecka się pod

nim ugięła. Rękojeść wędki wciąż tkwiła w białych kamieniach, tyle że ich porządek był nie ten sam, a całość skosem się do skraju wody przesunęła. Kołowrotek, który pozostawił sterujący pionowo w niebo przewrócił się na bok, i wczepił krągłym swym policzkiem pod płaski kamień. Był na wpół wypróżniony z linki, metalowo niebieskiej i napiętej na kamieniu i napiętej nad wodą, i jak drut wbitej pod jej czarną powierzchnię.



Punkt względnej nieosiągalności, najdalszy punkt, pomyślał. Było owo określenie ostatnią rzeczą, jaką przeczytał w książce tej kobiety, Annie Dillard, nim ją odłożył po śniadaniu. Najdalszym względnym punktem dla ryby, która napięła haczącą ją linkę do granicy wytrzymałości (ryby i linki), bo gdyby ważka, przeźroczyista i jakże lekka, usiadła na jej nieruchomo drgającym napięciu, linka by pękła, pomyślał. Toteż wszedł do wody aż po piersi i ujął linkę ciepłą pełną dłonią, bo wydało mu się, że ten miękki dotyk nie spowoduje mechanicznego lodowatego pęknięcia. Ryby są zimnokrwiste, przypomniał sobie. Podciągnął nieco linki od strony drzewca: był przecież silniejszy od ryby, tak myślał. Luz zawinął sobie wokół ręki, a kiedy popuścił i pociągnął jak najlżej od strony ryby leżącej w głębokiej wodzie, poza jego zasięgiem, linka

zacisnęła się i wżarła w jego rękę do bólu, a gdy pociągnął jeszcze, przecięła skórę między kciukiem a palcem wskazującym. Patrzył, jak palce mu sinieją i ciągnął, i ryba tam w otchłani popuściła. Była zmęczona tym długim trzymaniem całego ciała w napięciu, i teraz, gdy jeszcze raz naparł na nią (z dłoni otwarcie leciała do wody krew) poczuł, jak jej ciężar obraca się ku niemu, bo przez chwilę linka zelżała, i on tę chwilę wykorzystał, by zwlec rybę bliżej. Po długości luzu wyczuwał, że to była duża ryba. Podciągnął linkę od strony drzewca i usłyszał klekot wędki w kamieniach, i rżenie kołowrotka niby bzyk owada zaplątanego w muł skrzydłami. Wydobył dłoń z pętli i zrozumiał, że nie ma czucia w niej, i że to dobrze, bo nacięcie, przykre i głębokie, mogło być bolesne. Zdjął koszulę i tak mokrą, zawinął sobie płat jej rękawa wokół ręki, i ręką tą znów nabierając luzu z wędki, zaciągnął sobie na powrót pętlę wokół dłoni.

Był to głupi sposób łowienia ryb, pomyślał, ale było za późno. Ryba szarpała się tam gdzieś, bliżej niż mu się wydawało, targając się w bok i do tyłu, i on poczuł prąd wody od niej na łydkach, zawachlowanie chłodniejszej fali, może mułu, i zobaczył drobne jak wody sodowej bąbelki, czyste i szklane, gazujące do powierzchni. Cofnął się; szedł teraz do tyłu bez wielkiej trudności; ręka z linką, owinięta w koszulę, była twarda i nieczuła jak szczypce, i jednoczyła się

z wodą i ciągnięciem i ciężarem u końca w jedno. Stary człowiek i może, pomyślał głośno ni z tego ni z owego, bo mu się przypomniła hemingwayowskie zmaganie starego człowieka z olbrzymim marlinem, a potem z rekinami. Jego mogły najwyżej obleźć pijawki, a rękę zranił sobie zupełnie niepotrzebnie, bo nie pomyślał. Za to wyraźnie pomyślał zdanie: „trzeba nazywać swe strachy”, i pomyślał, że je zapamięta do zapisania, tak jak brzmiało, bez tłumaczeń.

Piętą poczuł twardszy mułopiasek przy brzegu i wyszedł na trawę. Teraz ciągnięcie linki – cofając się w trawie i obok wędki przekrzywionej w kamieniach – wydało mu się zupełnie idiotyczne. Jakby spod wody ciągnął popsutą zabawkę, albo latawiec, który nie chciał latać, tylko się utopił. Zdumiało go, że ryba, którą zobaczył w buroczerwonej wodzie nie była duża. Roztrącała muł płetwami i ogonem raz po raz z nagłą siłą, jakby się chciała weń zakopać. W wodzie, u samego brzegu była jeszcze potworna, podługowata, z pyskiem zębatego węża, ale gdy wciągnął ją w trawę, miała nie więcej niż pół metra długości, i była szczupakiem. Nigdy nie łowił ryb, ale opowiadał o nich swoim dzieciom, gdy były małe, jak im nazywał wszelkie interesujące ich zwierzęta, w ładnych kolorowych książkach dla nich kupowanych.



Kucnął przy rybie, i patrzył, jak rwany jest jej oddech, i jak jej śledziowe oko wysycha ze śluzu, który był rybią soczewką, i jak twardo wbity jest haczyk w krótszą, górną jej wargę, sztywną i chitynową jak dziób. I co teraz? pomyślał. Trzeba było rybę zabić, aby nie męczyła się więcej, i nie męczyła ohydną agonią uduszenia. Pomyślał, jak puchną jej w wysiłku bolesne skrzela, i pomyślał, co ona myśli i jak go widzi, i czy wie. *Otiosus*: ciemny, pomyślał, niekoniecznie o Bogu. Poszedł, chlapiąc mokrymi nogami, do wagonu, zostawiając śliskie kałuże na podłodze, szukając noża o ostrym końcu.

Znalazł taki w rybackiej skrzynce brata, która stała przy skrzynce z zostawionymi tu farbami. Popatrzył na wygniecioną, powykręcaną tubę pokrytą błękitem, który nie zszarzał, tylko był nieziemsko, czysto błękitny. Popatrzył na głębinną, zwycięską żółć, i na ametyst. Tak pomyślał o kolorze, który widział, kolorze oczu szczupaka. Zszedł po skarpie i przyłożył ostrze noża szczupakowi za głowę tam, gdzie winien być rdzeń, i starał się pchnąć jednym ruchem, ale nie było to łatwe: grzbiet był śluzowaty i wąski. Więc przerznął pacierz jak najszybciej umiał nie sztychem, ale piłą zębów na ostrzu noża, i tylko przez krótki czas czuł ohydę tego, co robi. Potem wrócił na górę i nastawił wody w czajniku, by zawrzała, odwinął rękę z koszuli i zalał ranę wódką, a gdy woda zawrzała, zmoczył w niej su-

chy kęs rękawa koszuli, oddał go i ściśle przewiązał dłoń w poprzek.



Usiadł na przyzbie, która wciąż była w cieniu, bo słońce wspinało się jeszcze nad dach wagonu, choć w wagonie było już nieznośnie ciepło. Wewnątrz zapachy nie były wagonowe – te dawno się zatarły – choć czasem, niespodzianie, mdło i lepko zawiewało (ze ściany, z kąta) stęchlizną dawno wygasłych papierosów, tłuszczem nieżyjących dawno pasażerów. To był pasażerski wagon, z którego wymontowano siedzenia, ale zachowano bezużyteczny kibel. Większość okien, poza dwoma od wschodniej strony i trzema od zachodniej (jezioro), było zabitych deskami. Drzwi po obu krańcach były też zaszczelnione, za to środkowe okno po zachodniej stronie zostało przedłużone do podłogi wycięciem (czym cięto?) i zamienione w drzwi główne, i tam znajdowała się drewniana szeroka przyzba z czarnej kolejowej belki.

Siedział chwilę i patrzył na płaskie i nudne jezioro, na płask oświetlone. Napił się ciepławej wódki, aby się uspokoić. Trzęsły mu się ręce i trząsał się wewnątrz. Podniósł mistycznie-przyrodniczą książkę Annie Dillard (że też jej się chciało) i po raz któryś przeczytał, ileż to rzeczy kojarzyło się autorce z piśmem: nie z pisaniem,

ale ze ściegiem napisanych słów, z rysunkiem samym liter w zdaniu na wskroś nieba, z grafiką myśli, z rysunkiem medytacji. Przeczytał zdanie: „niewinność jest lepszym światem” i poczuł pierzchliwy delikatny przyływ sympatii do tej pańci, u której najgłębiej przemyślane mądrości były de facto najczystszy banalem. Wyraźnie, sam do siebie powiedział na głos: nie śpieszyć się. Wstał i wszedł do wagonu, by zapisać to w notesie. Niespodziewanie dla samego siebie, zamiast tego napisał: to dzieje się po śmierci. A pod spodem: to wszystko dzieje się po śmierci. Dopiero teraz spostrzegł, że napisał to obok zdania Mirandy Seymour, wynotowanym z jej biografii Graves’a: „a czymże jest wartość bez uznania?”

Stał chwilę, i znów zszedł do jeziora, bo pomyślał, że szczupak, niewypatroszony i leżący w trawie na słońcu zacznie się rozkładać, i schodząc pomyślał, że nie będzie w stanie go zjeść, bo szczupak był mu (białomięśny) bliskim znajomym, i że go bezmyślnie, ale zgodnie z istnieniem jeziora, i ze swym istnieniem, zabił. Tym samym nożem rozciął brzuch szczupaka delikatniejszy od grzbietu i jasnobiały, wygarnął kiszki i serce i wrzucił do wody, czego pożałował, bo mógł przecież użyć ich jako przynęty dla następnego połowu, bo chciał nauczyć się rybołówstwa, na pewno, i na pewno chciał na noc zastawić nowe wędki. Poniósł głowę szczupaka, z wielkim trudem wyłupał haczyk ze szczęki twar-

dej jak kość, i poszedł wzdłuż brzegu jeziora trzymając rybę za oskrzele palcem, czując palcem półsztynne półokrągłe ostrza chroniące oskrzela jak kryzą, przez którą wsączała się woda. Myślał szczupaka gdzieś zakopać (pogrzeb), albo po prostu wrzucić go dalej w wodę, dalej jak zapomnienie czy powrót, dalej jak właściwa śmierć. Może szczęśliwie zassie się w mule, a może zjedzą go zboczeni koledzy, to ich sprawa, ich sprawiedliwość. Może rozpozna go, wybebeszonego i bez głowy, własna rybia żona, i uczci, i zawstydzi się, i zapomni, albo sama, piniąc się z otwartej paszczy, rzuci się na jego bezbronne ciało, bo przecież przez cały ten czas wiedział, że ryba, którą złowił, była mężczyzną.



Szedł lekko w słońcu po rżysku wznoszącym się od granicy szuwarów na pukły grzbiet wzgórza polśniewającego złotą słomą, i odwrócił się, by wypatrzeć granicę między tematami: wagon z trawą wokół, szarą a szpinakową później pod wieczór, i polem łączącym się z innymi polami, co parę metrów pokrytym kopami niezebranego siana, wilgotnymi wewnątrz, gdzie trawa zaparza się sama w sobie w żyzne grzęzliwe błoto, a sypkimi po wierzchu jak opylone włosy. Znalazł wzrokiem drewniany pomost wsuwający się (szare drzewo) w jezioro, i postanowił zejść do niego, i cisnąć z niego długą i ciężką (chlapała mu suchym mię-

sistym ogonem po kostkach) rybę w toń, ale schodząc potknął się nieuważnie o skraj kopca zżętej słomy, to znaczy o coś twardego w nim, i wywrócił się na ręce i kolana. Zraniona ręka zaszyła bólem, a głos za nim (kobięcy) powiedział „przepraszam”, i gdy się odwrócił, siadając (rybę wypuścił, i poturlała się, stając w szczecinie słom), kobieta powiedziała: chyba zasnąłam w tym dołku i tym sianie, bo bałam się, że będzie padać, i pół nocy zbierałam to siano, aby się nie zmarnowało.

Była rozczochrana, i białą bawełnianą bluzkę (T-shirt) z nadrukiem *Independence Day* miała na sobie wymiętą, tyle zobaczył, i zobaczył jej ręce, a właściwie przedramiona, bardzo lekko owłosione i silne jak ręce mężczyzny. Tylko jej głos był kobiety, pomyślał, bo bladopopielate silnie jarzące niebo nad głową nie pozwalało mu dojrzeć jej rysów, tylko kształt ciemnej czaszki z włosami ostrzyżonymi tuż nad uchem. Roześmiała się, i zobaczył w cieniu twarzy zebranej jak piąstka zębów, białe, bielsze od zębów innych kobiet – jego żony, której kości były kruche i czerniały w jej ciele, zwłaszcza od urodzenia dziecka, ale też od papierosów i marihuany i ambicji i talentu i burzliwego złego charakteru, i od ślepej ciemnej pewności siebie. Kobieta wstała i otrzepała szorty, i zobaczył jak nogi ma równie muskularne co ręce, proste sportowe niemodne nogi przy wąskich biodrach. Była niewysoka i zebrana w sobie,

jakby bez tłuszczu, chyba bez piersi, z ramionami jak dwie bułki sterczącymi w górę i do przodu, a śmiech jej (stale się uśmiechała) był wesoły, czy też pogodny, w każdym razie chętny i uprzejmy, uśmiech charakteru (usposobienia) nie głębszy, niż błysk białego szkliwa.

Powiedział, że nazywa się tak i tak, i że będzie przez jakiś czas mieszkał w wagonie, a ona kiwnęła głową i powiedziała, że wie, że go widziała od wczoraj, i że jest bratem malarza, powiedziała. Zapytał: skąd wie? A ona powiedziała, bo jest siwy. Wstał i podał jej rękę, było to trochę niezręczne na tym jasnopłowym polu, i było jak ściśnięcie deseczki i twardych szczapek, a ona pokazała brodą rybę, która błyszczała śniętym metalicznym pośmiertnym blaskiem w rżysku, i zapytała „to pan złowił?” Gdy kiwnął głową, ona powiedziała, że jego brat jest świetnym rybakim, powiedziała, zna się na wszystkim, co wodne i leśne i na malarstwie, a on wtedy powiedział, że wiele lat tortur i miejskiego upadania bratu trzeba było, by do tego dojść, i wtedy ona spojrzała na niego z wielką uwagą, z tym drgnieniem widocznej ciekawości, z którego zrozumiał, że między bratem a ową młodą kobietą coś było, coś uczuciowego i może coś z seksu. Patrzyła teraz na wodę poniżej i powiedziała: brat chętnie używa tego pomostu, to proszę, pokazała, stąd łatwo łowić mniejsze rybki, płocie i karaski, powiedziała, i używa też naszej łód-

ki, pokazała palcem (ciemnofioletowym palcem wyciętym w poprzek błękitu nieba) uwiązanej do pomostu po drugiej stronie w sitowiu, powiedziała, gdy chce wypłynąć na nocny połów, bo nocą większe ryby wypływają po tlen na powierzchnię, a może po światło księżycowe i białe światło gwiazd, woda wtedy jest jak mleko, powiedziała, jak czarne aksamitne mleko, a kiedy podnosi się z niej mgła najzupełniej nie wiadomo, gdzie brzeg, i brat wtedy zostaje na noc na jeziorze, a jeśli wraca, to wiedziony tym niesamowitym instynktem kogoś, kto umarł już dwa razy, instynktem duchów, powiedziała.

Opowiedział pani o tym? zapytał, a ona kiwnęła drobną szeroką twarzą, grzywką czarnoniebieskich włosów, i odpowiedziała: tak, ja mu niekiedy pozowałam do obrazów. Zdziwił się i zapytał: gdzie są te obrazy? Bo znał – myślał – wszystko, co brat maluje, ale ona wzruszyła twardymi bułami ramion i powiedziała: pewnie gdzieś są, bo on stale je maluje od nowa, jakby nie malował wciąż tego samego i mówi, że cała przyjemność jest po jego stronie, roześmiała się, i powiedziała: to ja już zabiorę się do tego siana. „Nie jest pani głodna?” zapytał bezsensownie, „gdzie pani mieszka?” Chałupa jest tu, za wzgórzem, pokazała. Mamy tu cztery morgi, powiedziała. To znaczy tyle urząd zwrócił, gdy matka umarła. „Kiedy umarła?” zapytał, żeby podtrzymać konwersację. Jak miałam szesnaście

lat, powiedziała, a on zapytał: a ile pani ma teraz? Nie obruszyła się, ani nie wykonała niczego kokieteryjnego, tylko powiedziała trzydzieści pięć, więc on powiedział, a ja pięćdziesiąt siedem, i ona kiwnęła głową. Ma pani dzieci? zapytał. Dwoje, odpowiedziała, chłopca i starszą dziewczynkę. I męża, dodała, tyle że mąż słabuje, odkąd tu jesteśmy. Za ciężka praca, powiedziała, no i jesteśmy tylko dwoje do tego, do orki, krów i drewna, i nieprzywykli. Teraz też, powiedziała, jest w szpitalu. Podźwignął się, a i serce ma arytmiczne, a i tęskni za Australią, tylko że nie mamy za co tam wrócić, powiedziała, a on zapytał: za czym? Za Australią, odpowiedziała.



Podniósł szczupaka z rżyska i dał jej, i skłamał, że i tak by nie umiał go przyrządzić, „jestem początkującym rybakim” powiedział, a ona się uśmiechnęła i znów kiwnęła czarną śliską głową i powiedziała „pokażę panu wszystko, czego się naumiałam”, a on powiedział „to ja pani pomogę przy tym sianie”, na co powiedziała „dziękuję bardzo”. Pracowali na słońcu do wczesnego popołudnia. Ona mu pokazała, jak zwijać siano w krągłe bele i nie gromadzić bel, bo, powiedziała, teraz pójdę po worki, takie czarne plastikowe na śmiecie, pan wie, powiedziała, i każdą belę zapakuję w worek i może sobie deszcz padać.

On powiedział, że widział takie opakowane czarną folią bele w Stanach, tyle że dużo większe i równiejsze, a ona kiwnęła głową i powiedziała „tak, bo tam to maszyny robią, jak w Australii, a tu takich maszyn nie ma, a gdyby były, nie zmieściłyby się na tym spłachciu”.

Byli oboje zmęczeni i polepieni potem, jemu serce tętniło w skroniach od wysiłku i upału, więc powiedział: trzeba by się wykapać, nie sądzi pani? Ale ona pokazała, że nie i powiedziała: ja się nigdy nie kąpię, to znaczy w tak dużej wodzie. Dlaczego? zapytał. Bo moja matka się utopiła, powiedziała. Kiedy wyjeżdżała stąd, powiedziała, już miała raka, i walczyła z tym ohydny rakiem przez te lata w Australii, ale to zbyt bolało i straciła włosy, i wewnątrz wszystko miała wyżarte i wycięte i mówiła, że teraz jest lekka i pusta, że może przez nią jak chce przelatywać wiatr, i poprosiła raz, by ją zawieźć nad morze, woda jest bardzo ważna dla niej, powiedziała, bo mieszkaliśmy na pustyni, dodała. Matka była instruktorem gimnastyki w szkole, obok był rezerwat aborygenów, i matka ich cierpliwie ściągała, to znaczy dzieci, bo nie chciały się uczyć. Oni za to pięknie malują, powiedziała, pokazywałam bratu jak, powiedziała, i zarumieniła się w spoczonej ogorzałości i słońcu. Nad morzem matka siedziała w tym swoim krzeselku na kółkach składanym, i poprosiła, by ją zostawić na chwilę samą, że chce pobyć z wielką wodą sam na sam,

powiedziała. Tak opowiedzieli znajomi, co ją zawieźli te sześćset kilometrów, bo była lubiana: znajomy był synem jej ciotki, czyli właściwie kuzynem, tyle że nie umiał po polsku, ale też był kuratorem oświaty na okrąg, i to on jej załatwił tę posadę, a potem mnie po niej, jak skończyłam się uczyć. Gdy po godzinie, powiedziała, wrócili po matkę na brzeg morza – zostawili ją na niewysokiej żółtej wydmie z nogami w trawie, takiej szorstkiej i tnącej, jak to nad morzem – krzesło było puste, powiedziała.

Chwilę milczał, bo ona milczała, i zapytał: może poszła w drugą stronę? To duży kraj, dopowiedział głupkowato. Wycierał ręce z potu w spodnie, a ona pokręciła głową przecząco: nie, powiedziała, bo w kilka dni później, dokładnie w cztery, morze wyrzuciło na brzeg jej puste lekkie przewiane ciało, a rozpoznaliśmy ją, bo była łysa, bez peruki. Perukę może nosiła jakaś ryba w morzu, pomyślał bezwiednie. „A co pan tu robi?” zapytała. „Przyjechałem na wakacje” powiedział. „Mamy dom pod Warszawą, który przez ostatnie lata był remontowany”. Kiwnęła głową. „Właściwie” powiedział „był remontowany dla ojca i matki. Oboje byli sercowcami, a tam jest mikroklimat, sosny i piasek. Tylko” powiedział „ojciec nie doczekał”. Pomyślał: nie doczekał się też urodzenia się wnuka, ale doczekał, że on i jego żona zeszli się znowu. Z tego ojciec był zadowolony, bo lubił kobiety. Jemu na tym zżętym polu w spiekocie

i pustkowiu przypomniawszy się żydowski dowcip o Moszem, który się właśnie ożenił. „Nu, a jaka ta twoja małżonka?” pyta przyjaciel Josiek. „Rzecz gustu” odpowiada Mosze, „mnie się nie podoba”.

„Nie” mówi młoda dociekliwa kobieta, „co pan tutaj robi?”, i pokazuje brodą przed siebie. On myśli jej powiedzieć: jestem w ucieczce, ale zabrzmiałoby to zbyt pretensjonalnie, i traciłoby o poufałość. Więc mówi: przez te miesiące chciałbym spróbować tego, o czym marzyłem od dawna: napisać powieść. „Pan wykląda w Stanach” mówi ona „brat mi mówił”. Tak, odpowiada, mam tam *tenure*, jestem profesorem. Do końca życia mnie się nie mogą pozbyć. Mogą jedynie, jeśli się poznają i zniechęcą, przenieść mnie gdzieś tam, na coraz lichsze uniwersytety. O czym, pyta ona, a gdy on nie rozumie, dopowiada: książkę o czym? Myślałem, że wiem, mówi on, myślałem, że była by to taka powieść polska, ale teraz rozumiem, że musiałyby to być kobieca książka. Ona marszczy brwi, nie rozumie. W tym sensie, mówi on, że byłaby to książka strzępów, jakby kleju zabrakło.



Ona nie pyta „co?” czy „dlaczego?”, a on nie pyta, czy ona w ogóle coś czyta, czytała? Mówi: może dlatego, że jeżeli uważnie zajmujesz się słowami, to siłą rzeczy piszesz coraz mniej, zda-

nia, tytuły, cytaty, potem słowa same, jedno na raz. A przecież obserwuje, on, w swoim środowisku, że jest odwrotnie: szarlatani mieszają piórami w papce słów, kupie rzadkiej i mętnej, która rozdyma ich teksty gazem. Tylko kobiety, myśli, swymi ptasimi płazimi mózdkami pojęły potrzebę krótkości, by czas był przyjemniejszy, by nikt nie zdążył wzruszyć ramionami. Ona cicho mu przerywa: to ja już pójdę, i odwraca się z rybą w rękę. Wąska, szczupła, byle jaka. Po co do niej gadał? W głosie, tak, dopiero teraz usłyszał cień, nitkę pospolitego akcentu. Australijczycy mówią jeszcze gorzej, niż polonijni Amerykanie. Australia była więzieniem, kolonią karną, są potomkami zesłańców. Gdy stała obok niego, cieszyła go tym staniem. Uśmiechała się mile nawet gdy opowiadała o matce. Zapomniał jej zapytać, co z jej ojcem się stało. Ściągając siano w te kule podwinęła rękawki T-shirtu z nadrukiem *Independence Day*, i między piersią a pachą, w obnażonym półłukiem centymetrze, skóra jej ukazała się jak mlecz biała.

Zszedł do jeziora i wskoczył do wody jak stał, w spodniach i zegarku. Tylko buty zdjął, a do buta włożył wyjęte z kieszeni pieniądze. Woda była taka, jak chciał, taka jak usta tej dziewczyny, którą odwiózł wczoraj na dworzec: śliska, chłodna i głęboka. Poruszał się w niej z rosnącą przyjemnością, w miarę jak studziło mu się ciało. Zanurzył twarz i pojął, że zapomniał zdjąć

okulary. Cudem przywarły mu do nosa, gdy zanurkował. Pływał dość dobrze, ale teraz męczył się łatwo. Wyszedł na brzeg w błocie po kostki, i przyjrzał się przez krople na szklach szarej, podługowatej łódce z wiosłem na dnie. Była sucha. Wrócił rżyskiem do wagonu, trzymając buty w rękę, aby stopy mu z błota obeschły, i skłulił je idąc tysiącem bolesnych nabić.



Zjadł pasztet drobiowy z puszkii, wodnisty i szary, i napił się wódki z butelki, pomimo upału. Nie zamierzał zresztą wyjść znowu na dwór, przynajmniej nie zaraz. Czuł ciężar w mięśniach rąk i nóg, i piekł go kark. Piekł go też nos, piekło czoło i piekły oczy. Gdy spojrział w notatki, nad kartką rozmasały mu się czerwone pękające koła. Zdążył przeczytać: „pogoń za stylem jest praktyką społeczną najwulgarniejszego rodzaju”. To Robert Graves, oczywiście o literaturze, pod wpływem demonicznej Laury Riding, polskiej Żydówki z Nowego Jorku, której stał się, rzucając żonę i dzieci, niewolnikiem i lokajem, bo uważał, że go uwolniła od wszelkiego fałszu. Podniósł oczy i pomyślał z nagłą jasnością, że on nigdy – tak jak i jego ojciec – nie czuł się ani zniewolony, ani uwolniony. Nie wierzył w karę, bo nie wierzył w grzech. Był obojętny, jak zwierzę, drzewo, powietrze czy woda. Wewnątrz czego? Wewnątrz, i nie nad, ani pod, tylko obok.

Dlatego nie zaznał zazdrości o sukcesy innych, dlatego nie zrobił tej kariery, dla której robi się karierę. Ojciec wykładał na uniwersytecie i pisał męczące swą jednostajnością, na szczęście rzadkie teksty, też dlatego, że był obok, czyli w środku. Było mu wszystko jedno, jaki to uniwersytet: jak trzeba było, oklaskiwał nawet hunwejbínów, którzy przyszli w faszystowskich moczarowych cholewkach wytrzebiać Żydów i obniżyć i tak niski, niezmiernie niski poziom. Pomyślał o ojcu, jak go – było to przed pierwszym jego wyjazdem do Stanów (NYU) – wiózł pożyczonym samochodem do Legionowa, gdzie stały za murem ceglaste koszary, w których siedział jego brat. On tam nie wszedł nigdy. Czekał w samochodzie pod bramą. Całą drogę czuł, jak obowiązek tej wizyty u samobójczego syna mu ciąży: ojciec milcząc zapadał się w coś ciężkokamiennego, najzupełniej nieruchomego, co zobaczył znowu, niedawno, w jego twarzy, gdy umarł.

Byli z dużej, małomajątnej, inteligenckiej od trzech pokoleń rodziny. Ośmiu ich było wypisanych w encyklopedii PWN, pisarzy, malarzy, kompozytorów i działaczy socjalistycznych. Ojciec miał wielu braci, wszystkich uzdolnionych: tylko on i jego syn najstarszy zajęli się filozofią, bo byli mało twórczy, a jednak ciekawi sposobu, w jaki można byłoby się przemknąć cierpiąc jak najmniej. Jego brat, młodszy syn ojca, został ma-

larzem, co bardziej było w rodzinnych genach. I męczył się. Gdy go wojsko wypuściło ze swych brudnych szpon, brat zapił się na dwa lata, sprzedając po kolei wszystko, co było w rodzinnym domu jeszcze cennego, a potem znikł. Naprzód był tak zdolny, że zdał dwukrotnie na ASP, nigdy nie trzymając wprzód ołówka czy dłuta rzeźbiarskiego w ręku. Ale znikł. Trzeba było dwudziestu lat tułaczki i demolki, by znów stał się sobą, ogłuszony klinicznymi śmierciami, wypadkami i zawałem, by pogodził się z tym, z czym miał się pogodzić: ze sobą. Malował nie bacząc na to, jak się maluje, i wypowiadał się nie bacząc na to, co inni powiedzieli (że może już to powiedzieli). W lesie był szczęśliwy. Objechał pół świata, czy nie był nigdy nigdzie, na jedno wychodziło. W tym wagonie zacząłem rozglądać się za obecnością brata.

Wielu schowków nie było: jeden nad kibelem, pełen starych toreb i podartych sieci i pajaków. Wyszedłem i obszedłem wagon, przyglądając mu się ze wszystkich stron, i znalazłem. Od tyłu, szpara pomiędzy podłogą wagonu a ziemią była uszczelniona rzędem wysmołowanych belek, z których jedna nie była półokrągła, ale gładka, bo była deską. Deska ta była ruchoma, a za nią widniała przestrzeń wymoszczona kilkoma warstwami folii plastikowej. Opatulone w folię leżały tam, chyba wilgotne i pulchniejące i parciejące, płótna, które brat malował, gdy nie był tu z rodziną, z sy-

nami i żoną, ale sam. Na wszystkich płótnach była ona, czarnowłosa i chłopięca, ale naga, rozrysowana erotycznie, z rozchylonymi, z otwartymi udami, z potem zebrany na podbrzuszu, z palcami podgiętymi w seks, z twarzą odwróconą wstecz lub wpatrzoną w malującego, w kochającego, w penetrującego ją. Z miłosną twarzą.



Seks nadzwyczajny jest tylko wtedy, gdy możesz bez obrzydzenia czy niechęci patrzeć w twarz tej, którą bierzesz, która cię bierze w siebie, którą kochasz. Gdy ta twarz podnieca cię bardziej nawet od jej ciała, gdy darem staje się to, że tak piękną twarz możesz posiadać, gdy darem jej uroda, gdy czujesz wdzięczność i zaskoczenie i dumę i szczęśliwość, że taką twarz dane ci jest oglądać w miłości, gdy miłość jest twarzą. Zdarzyło mu się to raz i przelotnie, ze studentką, którą źle potraktował ze strachu przed żoną (która to była?) i obowiązku wobec małżeństwa. Tu widział to namalowane. Rozłożył te duże kwadratowe płótna w trawie w półokrąg, i stawał kolejno nad każdym. Było ich prawie dwadzieścia, i widział w nich to, co powiedziała młoda kobieta: niektóre były malowane po kilka razy, ale to dlatego, by lepiej odtworzyć akt miłosny, by utrwalić ślad powtarzalności i niepowtarzalne – jak woda – uczucie miłosne, i cud tej twarzy. Obrazy nie były abstrakcyjne, o nie,

choć to, co czujesz w miłości jest najsilniejszą abstrakcją. Swego napiętego i rozoranego ciała używasz, by swą spermą wykreślić pismo Boga.



Złożył obrazy, a składając zobaczył na odwrocie któregoś napisane (szarobeżowe płótno, czarna farba) słowo *chiaroscuro*. Teraz obrócił resztę obrazów: na każdym było napisane to samo. Chiaroscuro. Malarzy uczy się, co chiaro, jasne, i oscuro, ciemne. Czyli chiaroscuro, to ciemno-jasna, jak światłocień, tyle że żeński, kobiecy. Ona to była światłocieniem, światłociemna, czy malowanie? Starannie zawinał obrazy w folię i wsunął je tam, skąd je wyciągnął. Założył skrytkę deską i siedział przez chwilę w cieniu wagonu (słońce przechyliło się na drugą, południową stronę) z brzęczeniem w uszach i kręczeniem w głowie. W jego wąskich stale drożnych naczyniach krew przepływała jak wodospad. Już wiem, pomyślał, od kiedy zaczął się upadek. Nie od tego, gdy ona, tamta, jasna, młoda, mnie młodego opuściła. Tylko od tego, że od daty tego opuszczenia przestałem starać się o piękno. Przestałem je z siebie wytrącać. Piękne historie, piękne teorie, piękna przestrzeń, piękne marzenia znikły z mojego widnokągu. Przestałem je widzieć. Przestałem o nie zabiegać. Bo przestałem w nie, jak w miłość, wierzyć. Przestałem się ludzić, i straciłem blask.

Podniósł się z wysiłkiem i obszedł wagon, dotykając (trzymając się) jego metalowych boków, chłodnych z tyłu a nagranych z przodu. Jakby oślepl. No ale czy piękne jest na przykład „Czerwone i Czarne”? zapytał siebie, i usłyszał dźwięk swego głosu, jakby powiedział to pod wodą. Piękne pismem swoim, odpowiedział sobie, nie anegdotą, ani charakterami bohaterów. O to chodziło. Aby była piękna, literatura musi być najzupełniej, najczyściej, krystalicznie prawdziwa. Jeśli nie jest kłamstwem, wysiłek upartego pisania – mój Boże, nie opisywania, pisania – ubierze ją w swoje piękno, w piękno czystego bólu. Przystanął i pomyślał, że użył słowa Bóg. Doprawdy z nicości, pomyślał. Utkani z niczego. Gdy wszedł do wagonu, na oślepl, prawie po omacku zapisał w notesie: to, co teologowie chrześcijańscy nazwali skandalem istnienia, jest jego szaleństwem. Doprawdy ex nihilo, napisał, bo rzeczy przedstawianej nie ma, nim (póki) nie zobaczysz.



Kto to chce, byśmy wykonywali ten obłąkany taniec ex nihilo, czyj to nieustanny oddech, myślenie bez myśli, podtrzymuje to, co się z nicości wykuło, i jak wszechogólnie szalony musi być Jego bezcielesny wysiłek, by podtrzymywać sobą najdrobniejszy deseń tego rozżartego, a trzymającego się razem chaosu? Kto to chce, abyśmy uważali, że coś jest, kto nas w to zdumienie

wyposaża, kto pisze tę książkę, tę wolę, ba, ten Testament o życiu, Biblię tej śmierci? Teraz widział kartkę przed sobą: dlaczego pisać na niej, dlaczego zapytywać, dlaczego się starać, skoro leżała przed nim otwarta Księga Boga, cierpliwa i storturowana? Świat jest bardziej myślą niż maszyną, tyle że ta myśl nie jest naszą myślą, my myśleć tak nie umiemy, my umiemy katalogować obłąd.



Obrócił się do drzwi, bo poczuł cień na swoich plecach: cień był chłodniejszy od ciepła lejącego się z dworu. W drzwiach stała ona, czarnowłosa. Miała w ręku gazetę przesyconą tłuszczem, a w gazecie usmażonego w dzwonka, opieczonogo w mące szczupaka. „To dla pana” powiedziała „pomyślałam, że pan mało co ma tu do zjedzenia”. Podeszła do półki i zdjęła z niej talerz i zdmuchnęła zeń kurz, i położyła na nim gazetę z rybą. Spojrzała na jego otwarty notatnik, i na książki ułożone w stertę obok, i zapytała: nie ma czegoś do czytania po angielsku? Stęskniłam się za angielskim, powiedziała. Podeszedł do łóżka i podjął z podłogi biografię Graves'a i jeszcze z podłogi przy drzwiach książkę Annie Dillard o przyrodzie i patrzeniu, podczas gdy ona niepewnie brała do ręki miękkie i twarde książki ze sterty, i obracała nimi w ręku, jakby nie dowierzając, że to są książki właśnie. „To wszystko do

pana pracy?” zapytała. Chciał odpowiedzieć, że tak, na swój sposób, świat utkany jest z różnorodności i prawie wszystko w nim jest ciekawe, ale najciekawsze jest życie innych ludzi: spis tego, co z nimi się stało i dlaczego. „Nie ma pan nic do czytania?” zapytała ponownie, i nie było to pytanie kapryśne czy dziecinne, ale uparte, ciemne. Chiaroscuro była *oscura*, połową.

Na chybił trafił otworzył książeczkę Annie Dillard i przeczytał głośno: „w osiemnastym wieku, gdy wykształceni Europejscy turyści zwiedzali Alpy, rozmyślnie zawiązywali sobie oczy, by opancerzyć się przed oczywistością okropnej nieregularności Ziemi”. Podniósł oczy i popatrzył, jak ona stoi nieruchomo, z głową lekko opuszczoną i oczyma wpatrzonymi w niego, przezuwając coś, jakby miała za złe, więc otworzył książkę w innym przypadkowym miejscu i przeczytał na głos: „jestem okropnie zdolna do zbliżenia się do jakiegokolwiek niewinnego podczas przyjęcia, i niby stary marynarz, do wbicia w niego dzikich, błyszczących oczu i powiedzenia: czy pan wie, że w głowie gąsienicy najzwyklejszej ćmy jest dwieście dwadzieścia osiem odrębnych mięśni? Biedak zmyka. Ja nie pleplam: ja chcę mu odmienić życie. Wydaje się, że posiadam organ, którego brak innym: coś w rodzaju maszyny do trywialności”.

Tym razem nie spojrzął na nią. Trywialność była słowem, którego mogła nie znać. Więc powie-

dział: to napisała kobieta uważna i obserwująca, i bijąca z tego różową piankę. Ale czy zauważyła pani, co było wspólnego w tych dwu przypadkowych fragmentach? Popatrzył na nią, ona nie odpowiadała. Powiedział: słowo *okropny*. Znów wykladał. „Myślałam” powiedziała „że pan jako profesor będzie miał jaką książkę do czytania. Żeby było rażniej” powiedziała „a nie tak jak jest”. Dał jej tom opowiadań Ethana Canina, „Cesarz Powietrza”. To są takie ładne gładkie nieco sentymentalne opowiadania, powiedział. Wypolerowane i sprytne. Bardzo się podobają. To bardzo młody pisarz. Ona obróciła książkę bez przekonania, ale zobaczyła zdjęcie Canina na odwrocie, podobnego do Kennedych, uśmiechniętego, z przedziałkiem i w krawacie, i powiedziała: przystojny.



„A pan jest podobny do brata” powiedziała, nieco mniej napięta „tyle, że jest pan starszy”. „Wie pani” powiedział po chwili „jedynym dobrym momentem ostatnich moich lat było, jak fizycy teoretycy z MIT-u zwrócili się do nas, semiologów, byśmy wypowiedzieli w słowach to, co podkrywali w sprawie cząsteczek najmniejszych, tych, które nie istnieją w żaden sposób, ale bez których nie byłoby niczego w ogóle. Te cząsteczki nie są już materią, ale duchem. Podstawowa cegiełka wszechbytu jest duchowa. To

było ciekawe” powiedział, „i nie do wypowiedzenia. To była powieść. To był” – zawahał się – „właśnie Testament”. Nie miało dlań znaczenia, czy zrozumiała, czy nie. Jej twarz była opowiadaniem o miłości. Jest tam parę miłosnych opowiadań, powiedział, pokazując książkę, którą trzymała, będą się pani podobały. Stała nieruchomo, więc wyciągnął rękę i dotknął jej szyi. Nie poruszyła się, więc zrobił to, na co miał od pierwszego jej zobaczenia ochotę: ujął ją za łokieć i podniósł i odchylił jej rękę, i palcami przesunął po półksiężycu oślepiająco białej skóry między jej piersią a ramieniem.

„Mój mąż jutro wychodzi ze szpitala” powiedziała, „i odbiorę też dzieci od krewnych”. „Przyjdę później” powiedziała, kierując się do drzwi. Obróciła się i oddała mu książkę. „Ja już wiem” powiedziała, „że sprzedamy tę ziemię. Ten mój kuzyn, co handluje w sklepie, ma na nią chrapkę. I wrócimy z mężem do Australii. Będę uczyła te dzieci w rezerwacie, a mąż będzie liczył nocą gwiazdy. To taki chłopak” powiedziała. Miała przekroczyć próg, gdy on ją zatrzymał. „Proszę” powiedział „proszę nie wracać. Ja” powiedział, a gdy spojrzała na niego, szeroko i pytająco, zobaczył kolor jej oczu i ich zdziwienie. Powiedział: „ja proszę nie. Pani jest wielką miłością mojego brata”. Jej oczy były dokładnie takie: jasne. *Chiara*. „Przyjdę panu pomóc zarzucić linki na węgorki. Weźmie pan koc. Możemy

przebyć noc w łódce na jeziorze” powiedziała „i liczyć gwiazdy”. Wyszła, przeszła parę kroków po stoku łąki, odwróciła się raz jeszcze i powiedziała: dlaczego ja pana spotkałam? Powiedziała to spokojnie, ale w tym cichym jeziorowym krajobrazie wszystko było słychać, muchy, ptasi skrzek i rybnie koła na powierzchni wody. „Czy pan myśli” zapytała „że mi się uda? W życiu” powiedziała „czy mi się w tym życiu uda?”



Stał najzupełniej bezradny. Potem wpisał to zdanie w zeszyt, pod słowem Chiaroscuro: *stał najzupełniej bezradny*. Usiadł w drzwiach i niespiesznie, i metodycznie wypił całą resztę wódki. Położył się na deskach i sechł w zapachu wędzonego czarnego drzewa. U krańca deski widział trawę i przebierającego w niej owada. Annie Dillard wynotowała zdanie Johna Cowpera Powysa: „nie ma powodu, by odmówić światu roślin pewnej powolnej, niejasnej, niepewnej, szerokiej, leniwej półświadomości”. Zaświtało w nim, przeniknęło go, że ta kobieta, Annie Dillard, ta irytująca infantylna pisząca kobieta była jedyną jego ostoją tutaj. Była mu przyjaciółką. Zasnął, a gdy się zbudził, wiedział, że nie napisze książki, po którą przyjechał, tej drugiej powieści o sobie po tamtej, młodzieńczej, bo w śnie się rozpuścił i rozszedł, i sporządził wypisy z księgi Pana Boga.

Zasnął znowu, ale pomiędzy jednym a drugim zaśnięciem wydało mu się, że ją widzi, jak zawią-
ja w czarne żałobne worki żółtą słomę, którą ra-
zem zbierali. Więc gdy przyszła po niego, nie
zdziwił się, że trzyma pęk takich pustych wor-
ków pod pachą, jakby miał jemu je założyć na
głowę. Worki były jednak do wysłania dna łódki,
bo żadna łódka w żadnej wodzie nie jest zupeł-
nie sucha, a oni mieli na tej spędzić noc. Wziął
koce, które były w wagonie, a ona pokazała mu
ruchem ręki szpadel w kącie, i pokazała, idąc
przed nim, miejsce w miękkiej trawiastej ziemi,
niżej i prawie nad samą wodą, gdzie kopać,
i skąd wykopał czystoróżowe, gołe, jakby nowo
narodzone glisty na pół rozsiekane, na pół wra-
cające w głąb czarnej, sutej i rozruszanej ziemi.
Te robaki bez obrzydzenia poćwiartowała
ostrzem szpadla, i wróciła do wagonu, i ze
skrzynki z rybackimi przyborami jego brata wy-
jęła długi rząd haczyków u końca linek uczepio-
nych niby włosy do linki poprzecznej, a tę linkę,
długą na pięć metrów, podwiązała do rozkrzyżo-
wującego się krzyżaka z drzewa wyszarzałego
częstym moczeniem w wodzie. Pokazała mu
szklane dwie kule za drzwiami kibla, brązowe
jak butelki piwa i spowite w siatki z powróśla,
i on je posłusznie podniósł, i pokazała mu, by
zrzucił spodnie, i sama zrzuciła szorty i poszła,
migając nagimi chłopięcymi pośladkami równie
białymi co półksiężyc skóry przy jej piersi, i mi-
gnęła przed nim czarnym cieniem łona, dymną

nocną zasłoną łona, między pogrubionymi pracą udami, i on poszedł posłusznie za nią.



Wysłali łódkę czarnymi plastikowymi foliami najściślej jak umieli, a koce złożyli w dziobie wiszącym wyżej nad wodą. Ona bez trudu wypchnęła wąską łódkę z cmokającego błota, a on usiadł na środkowej ławeczce i wyjął spod nóg wiosła, które włożył w dulki. Wtedy ona siadła na płaskim tyle, i pokazywała mu drobnymi ruchami silnych rąk, by płynął bardziej w lewo czy w prawo, bo płynął tyłem do rozległości jeziora, a przed sobą miał jej skryte między uda łono, biel jej skóry i noc, i dopiero, gdy mu pokazała, by przestał wiosłować, rozejrzał się i zobaczył, że noc zeszała ze wzgórz i lasu, że noc podniosła się z jej seksu i ze śliskiej powierzchni jeziora jak kostucha owinięta w kryjący trupie ciało całun, i że woda lekko, dynnie, mgielnie oddychała.

Teraz zobaczył, że łódź wyhamowała w miejscu, gdzie węższa część jeziora, nad którą stał wagon, wlewa się w o wiele szerszą i nieregularną wodę, tak wielką, że zapadające w noc wzgórza uniesione po tamtej, najdalszej stronie, wydały się nie wyższe od siwego porostu zbóż. Nie było tej skali z niczym porównać, bo nie było nad wodą niczego ludzkiego, żadnego domu. Od jeziora wiało ciepło, i powietrze stało w najzupełniej-

szej wieczornej nieruchomości, puchnąc mrokiem i wilgocią, i on pomyślał, że nie zauważył nawet, kiedy słońce zaszło, chyba wtedy, pomyślał, gdy zamroczyło go ciemne słońce jej płci.

Nie pytał jej, czemu milczy, skoro sam milczał. Zobaczył, dlaczego pocięła robaki tam, a nie tu, zwijające się w pętliczki każdy na swym haku, tu byłoby w pomroce trudno to wykonać, ona nie była rybakiem tak doświadczonym, jak jego brat, który zrobiłby to po omacku. Rozkrzyżowała stelaż ze szklanymi kulami i zarzuciła całość z kotwiczką w wodę, i patrzyła, jak lekki ciężar linek i haczyków i ciał robaczych wyprostowuje znikające w toni włosy do pionu, zaś drugą z kul przywiązała do rufy na długim sznurze, zwiniętym na dnie łódki. A potem wysunęła obie stopy do przodu wzdłuż burt łódki i rozchyliła uda, by on patrzył w jej seks, jakby była mądrzejsza niż była i dobrze znała jego starość. Nie musiała patrzeć na jego seks, widziała jego seks patrząc, jak on na nią patrzy, wspólny seks nocy i dnia, i nieudanego życia. Bezsensowny seks tego świata otwierał się jak kryjówka, kara i nagroda, jak zbrodnia, w której nikt nikogo nie ogałaca czy uśmierca na dłużej, niż na wejrzenie w siebie i dowiedzenie się, jak głęboko ukryta w ciemności, *otiosa*, jest poza słowami jasna miłość.



I tyle. Leżeli na kocu i plastikowych workach, a gdy ją zapytał: dlaczego milczysz? potrząsnęła tylko czarną głową i białą twarzą. Jej ciało było bledsze od kwaśnego mleka, podnoszące się wokół łódki, i fosforyzujące bardziej niż gwiazdy, które przysłaniało. Nic się między nimi nie stało, nic się nigdy nie mogło stać, tylko dotykały się całą długością ciała (ona wparła mu krótkie stopy w stopy), jakby czerpała przyjemność z jego pożądania, jakby jego płęć wparta w jej udo potwierdzała jej własną miękkość, jakby jego pragnienie czyniło świat bezpiecznym. Mgła zawijała się nad nimi i tłumiła szelesty. Nie było wiatru. Życie nocy słycać było to bardzo z daleka, to bardzo blisko, może to łódka kręciła się jak zabawka, w koło. Teraz on już na pewno nie wiedział, gdzie jest ich brzeg. W strzępach przed oczami czasem zabłysnęła gwiazda, pędząca z nimi w cień. Szklana kula tępo uderzyła o burzę i znów poczęła się oddalać, sama woda była ze szkła.

Dopiero brzask począł rozwiewać mgłę nad jeziorem. Waty mgły czepiały się koca, w którym ona przy nim spała. Cicho popłynęli pod słońce, które było różowozieloną plamą. Ona wyciągnęła linki z wody, cały osprzęt, drewna i kule. U haczyków były dwa węgorze, gruby czarny, i jaśniejszy bardziej delikatny. Wiły się, za daleko od siebie, by się objąć. Całą noc tak się wiły, stary i młody, czy raczej: młoda i stary,

mądry i doświadczona. Stary miał w sercu rozpacz, a co ona czuła? Odhaczyła węgorze, tak je trzymając za głowy, by jej nie pokąsały. W krótkiej rufie łodzi była kłapa, pod nią mulisty pojemnik, w które je wrzuciła. Umyła ręce ze śluzu, podczas gdy on wiosłował. Płynęli wzdłuż brzegu, ziemia parowała. Nie było już szkłiscie, jeszcze nie było duszno. Wciągnęli łódkę na brzeg, oboje wskakując do wody: dopiero teraz on sobie przypomniał, że byli wciąż półnaczy. Przy pożegnaniu (dlaczego mieli się żegnać?) ona popatrzyła mu prosto w oczu i zapłakała. Otarła usta i powiedziała: „pan jest taki sam jak on. Głęboko obojętny”. Widać to, co dla niej ważne, mówiła tylko na odchodnym. Z jedną nogą już w innym świecie: on też musiałby kogoś zostawić, coś rzucić. Siebie? „Ja właśnie” chciał powiedzieć, ale ona jeszcze raz pokręciła głową przecząco. Powiedziała: to się już nie liczy.



„Zostawiłam u pana szorty” powiedziała, i pochyliła głowę. Poszli razem, on nieco przed nią, by jej nie zawstydząć swoim patrzeniem, i by nie myślała, że się ślini za nią. Wagon wyłonił się zza grzbietu wzgórza, ale gdy wyłonił się do połowy, ona przystanęła, bo przed wagonem, w skos i w trawie, stał nieznamy samochód. Widać stał tu dłuży czas, bo pokryty był gęsto kroplami rosy,

a szyby miał wodą zamazane i zaparowane od środka. Jego samochód stał nieco dalej za wagonem, więc ona cofnęła się o krok i powiedziała cicho: to nie szkodzi, potem mi je pan rzuci tu przy stogu, pokazała. Oddaliła się szybko. On zawinął się w koc i patrzył za nią. Potem podszedł do samochodu, zobaczył jego szwedzką rejestrację, i zobaczył przez lzy płynące po szybach głowę kobiety śpiącej za kierownicą: kobieta była bardzo młoda i chyba ładna, ładniejsza od czarnowłosej prostytutki, z którą spędził-nie spędził noc, i równie jasnowłosa, jak tamta była ciemna.

Wszedł do wagonu (drzwi były otwarte) i zrzucił koc, i włożył spodnie i zebrał z podłogi szorty prostytutki, i zapisał w otwartym notesie:

szalone i złe muzy

biedne i szalone muzy

i zapisał zdanie, które mu się przypomniało w czasie notowania tego, a było to zdanie wypowiedziane do niego przez fizyka z MIT-u podczas układania słownika półistniejących, a półnieistniejących rzeczy i zjawisk (zjawisk bez ciała, zjawisk czystego ducha), metafizycznego słownika bliskiego mowie mistyków, stojących na słupach w pośród pustyni syryjskiej nieruchomo na przykład w III wieku i żywiących się robakami, które z nich wypadały. Zdanie – zapisał – brzmiało: „jest złudzeniem myśleć, że można cokolwiek badać wprost: bada się jedynie swe własne badanie”.

Postawił wodę na kawę i zaparzył kawę i nalał dwa kubki kawy i wyszedł z nimi, patrząc jak dymią w pajęczynie rozpiętej nad trawami mgły, i zapukał w szybę samochodu jednym z kubków i zobaczył, jak dziewczyna otwiera oczy bez drgnienia i bez strachu, może oteńpiona najgłębszym snem, i jak obraca twarz ku niemu przez mokrą szybę i zobaczył jak bardzo jest piękna, piękna jak marzenie o bezcielesności, taka była jej twarz. Usiadła w fotelu prosto i przeciągnęła oboma rękami po tej twarzy i w tył po włosach, chwilę je przytrzymując napięte i zlizane rękoma na kark, i zobaczył jak szczupłe ma palce i wąskie przeguby i cofnął się, by mogła otworzyć drzwiczki samochodu, i by mógł jej podać kubek kawy.

Nie ma innego ringu, pomyślał, innego pola nie ma, jeśli nie chce się partycypować w świecie brutalnej głupoty, prócz pola słów i pola seksu, pola miłości, uniwersytety są tylko kryjówką, pomyślał, i pomyślał, że nie poda się do dymisji, jak mu się wydawało, tylko pozwoli, by go relegowano coraz niżej i dalej, bo nie miało to znaczenia, odkąd znalazł (teraz) drogę ucieczki w głąb, tam gdzie wszystko się łączy, każda ciekawość, każdy chaos, każde pozorne nieuporządkowanie, przypadek, jezioro, ciało, lektura. To życie, tak, warte było przeżycia bez gniewu i bez żalu: z rozwiązanymi rękoma. Pomyślał, stojąc z kubkami kawy w obu rękach, że może

przeżyje je tutaj, może nigdy stąd nie wyjedzie, i przypomniało mu się następne słowo do zapisania, przywołane z głębi tutejszej pamięci jak z głębi wody (ciemnozielonej, podczas gdy samo słowo wydało mu się i siwe, i czarne zarazem): *rękopłochy*, to znaczy umykający spod ręki.



Dziewczyna wyszła z samochodu (kolana do przodu, bokiem w fotelu, wąskie opalone kolana z podłużną łękotką znaczącą długie szczupłe nogi), a on ponad dachem samochodu zobaczył stojącego ciężkiego białego mężczyznę rozkraczanego nad rowerem, i patrzącego na nich. Był to sklepikarz, rozpoznał, wszędobylski i świńskowłosy, który powiedział na głos: przyjechałem spojrzeć, czy wszystko w porządku, na co dziewczyna odwróciła się z uśmiechem i odpowiedziała równie głośno: wszystko w porządku. „Ta pani o zmroku zajrzała do sklepu i pytała o wagon brata i czy pan w nim przebywa” powiedział sklepikarz, jakby chciał pokazać rozum, „a ja powiedziałem, że tak, bo pana opisała, i całą noc myślałem czy wszystko w porządku i żeby się tej pani nic nie stało” powiedział, patrząc na niego jak na satyrę, a w głosie jego była nieufność i coś w rodzaju złego rozdrażnienia. „Ta pani już odjeżdża?” zapytał sklepikarz z nadzieją, a ona powiedziała „ależ nie” i powiedziała „właśnie spożywamy śniadanie”, biorąc

kubek z kawą w obie ręce, i powiedziała „dziękujemy panu”, zmuszając niechętnego sklepikarza do podźwignięcia roweru, zasiądła zwalistym tyłkiem na skrzypiące siodełko i chwiejne odjechanie przez siwy leśny piasek. Tłuszcz podrygiwał mu podczas jazdy wokół bioder, a on, patrząc za sklepikarzem pomyślał, że w porównaniu to on jest piękny, szczudłonogi i siwy: byli piękną rodziną mężczyzn o głowach jak rozdrażnione ptaki, mądrzy i głupi, zdolni czy pu-stogłowi, bystroocy.

Dziewczyna wróciła do niego spojrzeniem, i on znów zobaczył niewiarygodnie gładką, jak wypo-lerowaną w trójkąt jej twarz, i oczy, o których myślał zrazu, że są piwne, a były ciemnozielone, koloru takiego, jakiego nie ma w świecie ludzi, może tylko w świecie zwierząt, może egzotycznych węży czy spokojnych, pewnych siebie, władczych owadów. Wiedziała jak jest ładna i jakie wywiera wrażenie, wąska i wysoka, równie wąska jak on, ale nie chłopięca, z ciałem bardziej dojrzałym od twarzy i okrągłą i długą szyją i małymi wysterczającymi spomiędzy gładkich włosów uszami. „No to się panu przedstawię” powiedziała „bo myśmy się właściwie nigdy nie widzieli, to znaczy trzymał mnie pan do chrztu, ale potem stosunki między moją rodziną a panem się popsuły, gdy wydał pan tę książkę, w której pan ich opisał” powiedziała „z obrzydzeniem” powiedziała „pan ich nazwał jak? Pornografami”, uśmiechnęła się pełny-

mi ustami w trójkątnej litej twarzy i powiedziała „ja rozumiem, co przez to chciał pan powiedzieć, ale nie miał pan racji” powiedziała. „Dlaczego nie weszła pani do środka?” zapytał. „Bo drzwi były otwarte” odpowiedziała.

To znaczy: nie ma w nich zamka, pokazała, widząc, że nie rozumiał, i nie mogłabym się zamknąć, a gdyby był zamek, to pan nie mógłby się dostać, bo mam twarde sen, powiedziała. Więc zamknęłam się w samochodzie. „Któremu można rozbić szybę”, powiedział. Ponad jego ramieniem patrzyła na jezioro. „No ale jest pan i ja jestem” powiedziała, i tak sobie gaworzymy, a ja przyjechałam obarczona misją. By sprawdzić, powiedziała, czy pan żyje. To znaczy, co pan ma zamiar zrobić i czy pan wróci do domu. Do jakiego? Zapytał. Do niej, do pańskiej żony, powiedziała, i czy wasze dzieci wciąż mają ojca. Nie odpowiedział, więc zrobiła przeproszający ruch ręką i powiedziała: tak się złożyło, że byłam jedyną osobą w rodzinie z samochodem i na tyle zainteresowaną, by się w tę krótką nocną podróż wybrać, powiedziała.

Zainteresowana czym? zapytał. Tak sobie stali. Powiedziałam panu, powiedziała. A było to tak, że pańska żona, której przecież nie znam, zadzwoniła do pańskiej matki. Myślała, że miał pan wypadek samochodowy. Dzwoniła na policję i po szpitalach. Była wzburzona pana nie-

obecnością. Wczoraj były imieniny pańskiej matki, wiem że to pana nie obchodzi, ale moi dziadkowie byli u niej. Moja babka z ogromnym trudem wspięła się po schodach. Wtedy zadzwonił pański brat z życzeniami z Londynu i matka mu się poskarżyła, że nikt nie wie, co się z panem stało, i brat powiedział, że chyba wie, gdzie pana szukać, więc dziadkowie zadzwonili do mnie i poprosili, bym do pańskiego brata ja zadzwoniła, to mi wytłumaczy drogę.

Jego ja znam, powiedziała, byłam na wernisażu jego wystawy na Rynku Nowego Miasta. Powiedział, że chciałby mnie namalować. Półuśmiechnęła się w kubek. Kawa pewnie już była zimna. No więc jak? zapytała. Z czym wracam? Odchrząknął. Było mu trudno wymówić pewne słowa. „Czy ona chce, bym wrócił?” zapytał niezdarnie. Ja nie wiem, odpowiedziała dziewczyna. Ale chyba nie. Pan jest zimnym obojętnym zamkniętym w sobie człowiekiem i mało kto pana lubi, tym bardziej kocha. Taka była pana książka, która poraniła ludzi. To czyją właściwie jest pani córka? zapytał. Nie pamięta pan, powiedziała. Jest pan moim ojcem chrzestnym i czymś w rodzaju kuzyna. Czy wuja. Bo rodzina po stronie matek jest wujowata, no nie? To jest tak, że pańska matka i mój dziadek są ciotecznym rodzeństwem. Ich matki były siostrami. Dziadkowie mieli czworo dzieci. Jestem córką starszej z dwu córek. Pan jest jej rówieśnikiem.



Kiwnął głową. Jej dziadka, hrabiego, spłaszczono przez czas i najzupełniej głuchego widział na tymże wernisazu brata. Widać przyszedł przed jej przybyciem, albo po jej odejściu. Pod ścianami stała cała kupa tej odległej niesympatycznej rodziny, ale on po raz pierwszy z (nieoczekiwanym) zainteresowaniem patrzył, jak ów przewodniczący im staruszek w jasnym garniturze jest dziarski i przyjazny, wyrozumiały i serdeczny, fotografujący wszystkich i wszystko, obrazy, bufet, młodzież i brata. Tak, byli pornografami za komunizmu, w Partii i na stanowiskach. Dziadek o pięknej twarzy był prawnikiem i redaktorem Dziennika Ustaw. Służebne pornograficzne zajęcie. Przyjaźnili się, ojciec i on, od dziecka. To dzięki tej przyjaźni przez płot w Drohomilu ojciec poznał siedmioletnią matkę. Ojciec przecież też posługiwał. Rozmnożyli się, przeżyli. Mają wnuki i prawnuki. Żyją jak żyli, pornograficznie, czyli moralnie.

„Wie pani” powiedział niespodziewanie „tę noc spędziłem na jeziorze w łódce, i przypomniałem sobie, patrząc zrazu w gwiazdy, że przecież, gdy brat zdezerterował i potem tu przyjechał, ojca akurat w domu nie było. Wysłano go, czy sam się zaproponował, z wykładami etyki na uniwersytet hanoiski. Miał je prowadzić po rosyjsku, ale już po tygodniu przeszedł na francuski, który wszyscy

rozumieli. A tymczasem w mieszkaniu koczowało WSW z takim młodym wiejskim oficerem, który poczuł się zażenowany sytuacją. Obłaskawiła go moja matka. Siedzieli przy pustym stole w jadalni i dużo ze sobą rozmawiali. On opowiedział jej swój krótki głupi życiorys, ona swój pięćdziesięcioletni. Ze śmierciami, bólem, głodem, i z obojętnością ojca. I wyobraziłem sobie, w nocy na tej łódce, jak mu mówi o swym samotnym i nieszczęsnym życiu. Że lubiła śpiewać i tańczyć i grać na fortepianie, że była dumna z ojca i z jego uniwersyteckiej kariery, ale że nigdy nie dzieliła jego gustów. Że kochała tandetę. Że ta tandeta wytarta i stała zdusiła jego ambicję, zamazała jego myślenie. I że widać on tego potrzebował, bo nigdy od niej nie odszedł, tylko stał się właśnie taki: niezdolny do okazywania uczuć. Zajęty coraz bardziej samotnym, coraz bardziej obcym jej trwaniem”.

„Dlaczego pan mi to mówi?” zapytała. Bo przyjechałem tu, powiedział, w ogóle tu przyjechałem z ambicją napisania tej książki. „I to byłaby właśnie ta książka?” zapytała. Ta, i o nich i o moim bracie, powiedział. „Jak by się nazywała?” zapytała. Szukałem tytułu, powiedział. Notowałem krótkie zdania, pojedyncze słowa, paradoksy. Ale niepotrzebnie, bo wiem, że jej nie napiszę. Dlaczego? zapytała. Bo powinien ją napisać ktoś, kto jest lepszy ode mnie. „W sensie serca?” zapytała. Nie, powiedział, lekko się od niej odwracając, w sensie sumienia.

Patrzył na jezioro matowe i barwy nieba, i na koronę ciemnych wzgórz rozjaśniającą się grzbieta mi, a ona powiedziała: Emerson napisał takie zdanie: „zjadłem świat”. Odstawiła kubek na dach samochodu i patrzyła tam, gdzie on patrzy. Zdumiał się. Pani studiowała po angielsku? Tak, powiedziała, w Szwecji. Ja przecież, powiedziała, nawet się urodziłam w Szwecji, a gdy pan mnie trzymał do chrztu, matka mnie przyjechała pokazać rodzinie, i tam wróciłyśmy. Matka sprowadza swych rodziców, moich dziadków, corocznie. Ubiera ich, wysyła do lekarzy, prowadzi na spacer i do kina. Zarabia tam od początku sporo. „A pani ojciec?” zapytał. Nigdy mi nie mówiła, odpowiedziała. Jeden z pierwszych klientów.

Milczeli chwilę. Więc chodziłam do dobrych szkół i mogłam pójść na uniwersytet, powiedziała. I nie? zapytał. Pokazała, że „nie” głową. Jej trójkątna twarz, piękna do bólu. To istnieje, pomyślał, i poczuł igłę w sercu i ten smak w ustach, metalu, trucizny, pustki. „Przejęłam pałeczkę po matce” powiedziała. „Robię to samo. Nazywa się to call-girl. Teraz ja dużo zarabiam”. Chciał powiedzieć: nie dziwię się, ale zbyt duży ciężar leżał mu na sercu, by mógł zakłapać ustami. „Żeby nie czuła, że robiła coś złego. Żeby nie czuła się osądzona” powiedziała dziewczyna.



Ale mnie pani osądza, wykrztusił po chwili. „Bo trzeba ich lubić”, powiedziała. Trzeba ich lubić. Za co? zapytał. „Im się udało” powiedziała. „Co?” zapytał. „To, co się panu nie udało. Dlatego mam żal do pana. Dlatego przyjechałam. By ktoś panu powiedział”. Nie patrzyła na niego. Powiedziała: teraz pojedę. Nie wyciągnęła do niego ręki. Powiedziała, zwracając się do niego uważnie: kiedy dziadek zdawał egzamin adwokacki, tak się zdennerwował, że zrobił w spodnie. I zemdlał. A kiedy mu umarł ojciec, sam wypisywał klepsydry całą noc, a rano je rozklejał po mieście. W czasie wojny był w AK, a kiedy pojechał wypocząć z żoną do sanatorium, zawalił się na nich leżących w łóżku sufity. A kiedy zapragnął wycisnąć sobie wągier z nosa, złamał sobie palec, powiedziała jeszcze z uśmiechem. „Ile razy ich widziałem na mieście”, powiedział on, „nieśli do domu klozetowy papier. A gdy postanowiłem zdawać na filozofię, odmawiali mnie od tego, drwiąc, że to na co? I gdy zacząłem publikować pierwsze swoje prace, zapytywali, kiedy zacznę pisać dla ludzi” dopowiedział.

Uśmiechała się bardzo lekko, jakby do ducha tego, co przez jego słowa przemawiało. „Kiedy wrócimy ze śmierci, nie wrócimy jako ludzie” powiedziała. Znieruchomiał. „Zasługujesz na wielkie cierpienie” powiedziała. Odpowiedział: już je wywołałaś. Wysunęła rękę i zdjęła kubek

z dachu samochodu, i oddała mu. „Co będzie cię bardziej bolało” zapytała: „czy gdybym zażądała pieniędzy, moją zwykłą taryfę, czy więcej pieniędzy, czy gdybym to zrobiła za darmo, czy odjechała?” Gdybyś odjechała, powiedział. Kiwnęła jasną lśniącą głową. „Tak będzie” powiedziała, i wsiadła do samochodu. Przekreśliła klucz w stacyjce. „Będziesz mnie szukał” powiedziała w otwarte okno. Twardo i prosto powiedziała, bo tego się naumiała: „i nie znajdziesz”.



Wyobraził sobie matkę w tej jadalni i ruch jej ust, i wyobraził jej słowa do spłoszonego trochę młodzika w mundurze, trochę rozchełstanego, podczas gdy w pokoju obok siedzieli trzej żołnierze i wydawali zapach, a ich tępe metalowe hełmy leżały grubo i głupio u ich stóp. Matka się rzadko uśmiechała. Była ciemna i zacięta i nie żyła w tym świecie, tylko w innym, w którym była bohaterką bolesnej krzywdy przez wszystkich uznana. Popatrzył za samochodem, którego dach wydoستاł się, tam, na pełną drogę. Zaniósł kubki do wagonu, przeczytał ostatnie notatki, podniósł szorty z ławki i wyszedł je położyć, gdzie mu przykazano. Złożył je na ściernisku i wrócił do swego zmętniałego samochodu, i wyjął z kieszeni w drzwiczkach grubą skórzaną rękawicę, praktyczną przy dolewaniu oleju czy dotykaniu czegoś

gorącego w silniku, a zimą służącą do ściągania śniegu z dachu, gdy zadzieje się zmiotka. Zszedł na sztywnych nogach do łódki i włożył rękawicę i wyciągnął kolejno węgorze ze skrytki i, tak jak myślał, oba wczepiły się tarką ząbków w palec rękawiczki, ale jej nie przegryzły.

Nióśł je lśniące i wciąż wilgotne, a w wagonie wrzucił do wiadra, i zszedł raz jeszcze do jeziora z czajnikiem, którym nabrał wody, i wylał tę wodę na węgorze, by nie cierpiały. Wiły się w wiadrze, łuskając czernią i bielą, i motylą żółcią podbrzuszy, i patrzył na nie długo, aż zobaczył, że gruby i większy zmienia się, że jego czarnozielona skóra jaśniej, że węgorz zwolna ale wyraźnie srebrniej, jakby stawał się swym własnym duchem, jakby w całunie przeźroczystej białodziecinnej wierności i starczego marzenia wybrał się w ostatnią swą podróż. Ten drugi, samiczka, ciemiejąca dopiero, młoda i pewna swego, dopiero się temu przyglądała. Nigdy nie mieli być ze sobą, ani seksualnie się poznać, bo na duchowiejącego samca przyszedł czas miłosnej wędrówki do miejsca, gdzie się urodził. A kiedy ona po latach też tam popłynie, jak sen srebrna, kochająca i naga, by sprawić sobą przyjemność innemu, on o tym nie będzie wiedział, bo będzie martwy.

Usiadł na przyzbie i w popołudniowym słońcu czytał cytaty, które wplatała w swą emfatyczną

prozę Annie Dillard, zaprzyjaźniona kobieta. „Śmierć swego ja, o której piszą wielcy pisarze, nie jest gwałtownym aktem” napisała. A dalej: *fuge, tace, quiesce*: ucieknij, zamilcz, uspokój się. I notatkę Abby Mojżesza z piątego wieku: „idź, posiedź w owej celi, a twoja cela nauczy cię wszystkiego”. Zamknął książkę i położył ją na podłodze i wiedział, że nie będzie więcej niczego czytał. Cytaty są, by dowiadywać się od nowa, że jest możliwość pisania, tak bardzo gwałtowna, tak co dzień młoda, tak najzupełniej niepotrzebna. Masz rozdzielać z drzewa Złego i Dobrego, a ściślej: masz wysoką możliwość dzielenia na piękne i brzydkie, okrutne i dobre. Tylko tyle. Nasze głowy, jasne i ciemne, gładkie i pokraczne, samym czubkiem czaszki kąpią się w gwiezdnych niebie. Nawet w dzień tak biały, jak ten. W pobok jest ocean, Morze Sargassa, tylko to dzielimy, tylko to jest nasze.



Wziął ciężkie wiadro z węgorzami i zszedł na dół, a po drodze zobaczył, że szorty zostały zabrane. Wszedł do wody po kolana i przechylił wiadro, a węgorze wychlupnęły zeń, lżejszy najpierw, potem srebrnobiały. Mgnienie spirali w wodzie, ondulacja cienia, zieleń. Czerń. Odwracając się, zobaczył w pełnym słońcu parę, idącą skosem przez rżysko. Mężczyzna, ze sterczącymi chorobliwie włosami, był rekonwalescentem. Cza-

rnowłosa kobieta w szortach trzymała go przez pól, a on opierał się o jej ramiona. Był bardzo chory, dlatego tak ciężko pracowała. Przed nimi jedno, obok niego drugie dziecko szło w ich rytmie, czasem tylko podbiegając. Kucnął, by go nie widzieli, ale brzęknął o ziemię wiadrem. Młody człowiek zwrócił twarz ku niemu (patrzył ze słońcem) i zawahał się, i wykonał głową coś w rodzaju skinienia, czy ukłonu. Młoda kobieta wykonała znak palcami ręki, którymi trzymała jego rękę na swoim ramieniu. Powiedziała dość głośno w tym cichym i rozległym krajobrazie: „mąż mi powiedział, że dziś w nocy zaczynają się Perseidy”. On podnosił się zwolna, aby nie pomyśleli, że go na czymś zdrożnym przyłapali, a ona rozumiała, że nie zrozumiał, co do niego mówiła. „Spadające gwiazdy” powiedziała „dziś w nocy zaczną spadać gwiazdy”.

Na samym szczycie stoku między żałobnymi stogami pojawił się sklepikarz na rowerze, i oni skręcili ku niemu, podczas gdy dzieci – chłopiec i dziewczynka – niechętnie zostały z tyłu. On wrócił do wagonu i położył się na sparciąłym wyrku brata, i z tą raną, która się nie zagoi, zasnął. Gdy się obudził, obudził go chłód, i całe ciało czuł zdrętwiałe. Mleko podnosiło się pulchnym kozuchem z jeziora, a nad jego głową, gdy wyszedł, bardzo małe i spalające się w siarczanym ledwo uchwytnym błysku, spadały przez czerń nocy i rozhaftowanie nieba, kamien-

ne gwiazdy. Przelatywały to tu to tam, i jego oczy zaczęły gorączkowo szukać ich po niebie, a spadały tak często, że pomiędzy jedną zapalającą się smugą a drugą, śmiertelną, serce jego uderzało tylko raz.

1997

III

Czerwone i czarne

„Nawet zarażeni, pomyślał,
nie zachowują się jak zarażeni
przez cały czas”

Jim Harrison, *Warlock*

„Odwłok piewika” wydało mu się tytułem dobrze oddającym jego miłe zaskoczenie. Znalazł to określenie w złożeniu „mycetony w odwłoku samicy piewika”, etc, więc obrócił kartkami, by odszukać, co znaczą „mycetony”, i przeczytał, że to po angielsku *mycetones*, „grupy mycetocytów tworzące nerwowy związek z jelitem, ciałem tłuszczowym lub narządami rozrodczyni”. A wyżej znalazł, że mycetocyty (*pseudovitelus*), to komórki do „przechowywania *symbiontów*”. Szukając pod literą „s” *symbiontów* w tym słowniku nie znalazł, a potem zauważył, że więcej tam było takich niechlujstw i przeoczeń. Wrócił do hasła o mycetocytach i wpatrzył się w słowo *pseudovitelus*, kojarzące mu się z pseudocielakiem: *vitello* to po dziś dzień cielę we Włoszech. Symbionty pozostały tajemnicą, nie chciało mu się dokopywać do nich w innych słownikach, tak było lepiej, że nie wiedział: kojarzyły się z symbiozą, ale raczej ze stworzeniem sztucznym, z robotem stworzonym przez człowieka w dalszej przyszłości, a przybywającym zemścić się za swe krótkie złe życie z kosmicznej przestrzeni.

Teraz już wiedział, co będzie robił tego lata.

Podróż trwała długo. Samolot nie mógł w tej gorącej wakacyjnej porze wystartować na czas z San Francisco, a potem długo nie mógł posadzić się w Nowym Jorku parnym, brudnym i rozwrzeszczanym, a potem też nie mógł wylecieć z nowojorskiego korka, tak że przybył do Warszawy z wielogodzinnym opóźnieniem, wraz z chmarą lądujących jak na złość jednocześnie innych rejsów: kolejki, czekanie, bagaże, zwarty i nieprzystępny tłum wypatrujących za bramką. Było późno w noc, ale brat stał cierpliwie u końca tłoczącej się ciżby, duży, ciężki, w okularach i siwy. Nie miał na sobie całej sutanny, tylko pół: coś w rodzaju czarnej koszuli z białą krągłą wywijką i krótkimi rękawami. Do paska miał przytroczony turystyczny woreczek na klucze, pieniądze i dokumenty, a on, nim objął tęgiego brata, ze zdziwieniem przeczytał na woreczku napis *Nike*.



„Jak żona?” zapytał brat, a on odpowiedział „coraz lepiej”. „Wciąż taka zajęta?” zapytał brat który był biskupem, i on odpowiedział „coraz bardziej, zwłaszcza latem. Oni latem tam kręcą te wszystkie filmy”. W Hollywoodzie lato trwa właściwie przez cały rok, i to dlatego tam a nie gdzie indziej powstał przemysł filmowy. A zimą

padają tylko przykre szare deszcze. „Jak mały?” zapytał brat. Mały jest duży, powiedział, w te wakacje pracował jako ratownik na plaży w Fort Lauderdale, aby nie zaciąć do reszty nad tym komputerem, powiedział. „To na którym on już jest roku?” zapytał brat, a on odpowiedział „który z nich?”, bo nie wiedział dokładnie.

Mało co wiedział dokładnie, odkąd jego żona odeszła od niego, zabierając obu synów, a on poczuł, że skąpany został jasnym lodowatym przebijającym światłem, podobnym – tak to sobie wyobraził – do tego, o którym pisał Borys Pasternak, gdy odwoływał się do „czystych rezerw duchowych”. Wynotował to sobie z jego tomu korespondencji z gruzińskimi przyjaciółmi, jak notował, odruchowo i profesjonalnie, wszystko to, co się zgadzało. Dopiero potem (teraz) zauważył, że zgadzało się coraz mniej, a raczej – czy lecz – że to on wyłapuje i zapisuje to, co się, w zgrzycie, grymasie, wstyd powiedzieć: w nędzy uczuć, nie zgadza.

Kółka walizki stuknęły po przejściach, pasach dla pieszych, wąskich jezdniach obłożonych macherskimi taksówkami, i w betonie parkingu, zaszurzały w obszernej smutnej windzie, bo brat nie znalazł miejsca dla samochodu na dole, tylko gdzieś tam wyżej. Walizka była ciężka, bo pełna słowników, i twarda, by się nie wymięły. Były też w niej koszule, swetry i sportowe buty, skoro mie-

li z bratem spędzić tydzień w lesie nad jeziorem, gdzie jako młodzi ludzie zwykli byli z rodzicami rokrocznie spędzać kęs lata. Bratu udało się wydzwonić i odnając tę samą leśniczówkę, właściwie nadleśnictwo, w Puszczy Piskiej. Może domyślał się, że coś z nim jest nie tak, i z jego opowieściami o żonie i synach, których już nie miał, więc zaproponował te rekolekcje – jak żartobliwie je nazwał – aczkolwiek wiedział jakim skurczem wstrętu kwituje brat lingwista wszelkie terminy praktyk brata biskupa. O nawracaniu brata lingwisty nie było od trzydziestu lat mowy, o dyskutowaniu nad sensem sensu – rzadko. Trzeci brat miał dojechać gdy tylko upora się z tym, co robił tam, gdzie to robił, a gdzie, oni obaj mętnie tylko wiedzieli.

Było w każdym z nich to coś skrywanego, tajemnica serca i przemilczeń, i tak było lepiej. Brat biskup był wciąż przekonany, że on regularnie wykłada w Berkeley, choć coraz częściej przebywał w kraju, i tylko od czasu do czasu (od odejścia żony i zestarzenia się i alkoholizmu) jeździł do gorszego uniwersytetu w Lawrence, Indiana). Na Berkeley zachował skrytkę pocztową, bo bracia porozumiewali się po staroświecku – jeśli w ogóle – listami, a w razie telefonu czy faksu, zajmująca jego dawne mieszkanie młoda koleżanka (była studentka) odpowiadała, że teraz go nie ma, ale oddzwoni, i wydzwaniała go w Indianie, skąd on odpowiadał na apel.

Dlaczego tak się stało, nie starał się zrozumieć. Nie łudził się też, że powróci do dawnej katedry i więzienia, odwrotnie, czuł się lepiej w rozrzedzonym swym nowym życiu, i myślał o sobie, jeśli o sobie myślał, jak o żaglowcu, który wypłynął na puste i jałowe wody w ciszy i przeźroczystości, pod bardzo wielkie i bardzo chłodne niebo. Po drodze z Indiany przejechał tylko przez Berkeley i przesunął się po kampusie różnym krokiem w swej tweedowej marynarce i ładnych mokasy-nach, gracko odpowiadając na profesorskie ukłony i starając się nie widzieć spojrzeń, jakie za nim rzucano. Zebrał pocztę ze skrzynki i odwiedził była studentkę, teraz tłuściejącą i w okularach, i po godzinie nieuważnego seksu, w którym najlepsze było, gdy ni z tego, ni z owego znalazła się na czworakach nad nim i wessała się w jego płeć, budząc go przekornie do złudzeń i wspomnienia – może dlatego, że nie widział już jej obcej twarzy, tylko silne i bardzo białe pośladki – on wżarł się pomiędzy jej pośladkami w ładny seks i krągłe otwory i zatargał się w tym chciwym miękkim mięsie jak stary pies, poczuł dawno zapomnianą frenezję kopulacji, ten samotny punkt styczności, jaki miał jeszcze ze światem.



Potem wstał, i swoim zwyczajem obszedł pokoje i przejrzał czasopisma (naukowe) i książki zawałające jej (niegdyś jego) biurko, i podczas gdy

ona się myła – w łazience zbyt małej, by się tam zmieścili razem, zresztą nie chciał oglądać jej nagiej – wyciągnął z kupy polskich książek słownik morfologii owadów, który go zajął. „To dla ciebie” powiedziała młoda profesor, była studentka, wychodząc z ręcznikiem z łazienki, „dostałam go przypadkowo, ale że po polsku i mnie nieprzydatny, zachowałam go z myślą o tobie”. Z płci spływała mu długa lepka pajęczna ślina na udo i dywan, więc poszedł się umyć, a potem – już na sedesie – otworzył ten słownik i wpadł na określenie, które go zaskoczyło, a zaskakując, dotknęło. „Dźwigacz głaszczka wargowego” przeczytał (*palpiger, palparium, squama palpigera*), dygotać, macać, pieścić, dotykać, tak, być może gładzić, właśnie od tego się podniósł, tyle że jego dźwigacz nie mieścił się już w apetycie, ale w przestרחu.



Brat odnalazł samochód, który był czarny, jak na księdza przystało, i mercedesem, jak na kościół, który się na ludzkiej biedzie tuczył. Brat by tylko łysnął niecierpliwie okularami, gdyby to wypowiedział, albo cicho by odsyknął, że nie w tym jest rzecz, nie tędy wojna. On by zapytał: a kędy? I tak by się zaczęło. Ale było późno w noc, i brat w dodatku powiedział, że musi jeszcze niespodziewanie wrócić do Lublina, więc że go podwiezie do domu, na szczęście jego dom

stał na trasie Okęcie-Lublin, więc on powiedział tylko: a miałem nadzieję, że pojedziemy prosto na Mazury, bo opustoszały i martwy dom go straszyl, ale brat pokręcił z przykrością tęgą siwą głową i powiedział: wydzwonili mnie na lotnisku, i jednocześnie zabrzmiał brzęczyk telefonu z torebki na jego brzuchu, z której wyjął przed chwilą kluczyki mercedesa. „O właśnie” powiedział, i prowadził samochód jedną ręką, mięsistymi palcami, na jednym biskupi pierścień, podczas gdy słuchał co mu w słuchawce telefonu mówią. Działo się to w spirali zjazdnej (w ślimacznicy) parkingu, mercedes omiatał beton światłem reflektorów, brat zapłacił (torebka) na bramce nie przerywając słuchania – nie była to rozmowa, bo odmrukiwał tylko „mhm” i „tak” – podskoczyli na kolczatce żółtych zębów mających przebić opony nieplacącym i wyjechali w noc.



Chętnie jeździł na te sporadyczne semestry w Indianie, bo w Warszawie doczekał się takiego lęku, że nie sposób mu było poruszać się bez skurczy w łydkach, zeszywnienia karku, plam w oczach. Też nie spał i wstawał w pośrodku nocy, jak obity kijami, i kuśtykał przez puste pokoje i po schodach po mleko czy po widmowy jakikolwiek obraz w telewizji. Na dachu domu była antena paraboliczna, i manewrując przyci-

skami pilota słyszał jej mechaniczny jęk, gdy się przestawiała, z tego samego na to samo międle-
nie. Było tak, odkąd był sam, i pamiętał o zażół-
conych wielkich sińcach na udach swej żony,
i karteczce z napisem „seks to ty”, zapomnianej
przez kochanka, który o nim do niego w liście
napisał, że jest *nikim*, czyli też nicością.

Przez czas jego nieobecności dom nie stał nie-
zadbany, przewijali się przezeń bracia, ten
z KUL-u i ten z malarstwa, a też był pod opieką
sąsiada, Świadka Jehowy i eks-inżyniera żyjące-
go od wielu lat bez nerek, bo nawet na prze-
szczepach tworzyły mu się rakowe guzy. Eks-in-
żynier co drugi dzień jeździł na dializę krwi jego
samochodem, aby samochód niegnił w bez-
czynności, i za to opiekował się trawnikiem czy
piecem czy przeciekami z dachu. Był wysoki
i barczysty, ziemisty i starty codzienną słabością
i operacjami, małżeębny, i w przedramię miał
wpuszczony raz na zawsze metalowy wentyl do
podłączania w maszynę czyszczącą mu zapasku-
dzającą się coraz bardziej krew.



Dom stał w lesie, a on stale przypominał sobie,
podjeżdżając, jak dom znalazł i kupił w gorączce
złudzenia, że będzie chodziło o nowe życie,
o przebaczenie, o litość, o sprawiedliwość nawet,
myślał, bo rzekomo to on pierwszy odwrócił się

od młodej, ale krzepnącej, nudniejącej, pospolitej żony, a ona – twierdzi – wiele czasu się męczyła ze sobą i z jego nieudanymi alkoholycznymi zamknięciami się i próbami pisania, nim zassała się w mięsną cewkę seksu z młodym mężczyzną, nim ów ją przebił, przepchał i zatarł i zachwyił swym ciałem, nim zaczęła to ciało miłować i nim – o tym, co z młodym kochankiem robiła – powiedziała, że tylko to ją interesuje.

Więc odruchowo może dlatego go zajął słownik znaleziony u profesor byłej studentki, że większość, jak natychmiast skojarzył, użytych w nim terminów miała konotację seksualną, fizjologicznie seksualną, na przykład *acinus gruczołu pidigalnego*, choć było to hasło jak najbardziej niezwiązane z seksem, ale na przykład z nogami czy skrzydełkami, ale w samolocie obliczył że tak, blisko dwie trzecie tekstów dotyczyło tak czy inaczej tej domeny (*okolica mikropilarna* ja-ja motyla, przeczytał), co zważywszy na inne czynności życia owada, było pouczające. *Syfon samicy*, przeczytał, *kolce brzeżne*, *trzon woskowy* i *palisada z trzonów*, *pseudokulus* (nibyduppek?) *pierwogonka*, *gruczoł wciągalny*, *wzgórek dodatkowy* (*mons Supraveneris*), *komora genitalna*, *gonopor wtórny*, *przewód wytryskowy* (no, no) *kielich* czy *nić końcowa*.

Oczywiście nie rozumiał, co te wszystkie terminy właściwie znaczą. ale po raz pierwszy w swej

pedantycznej karierze, karierze semantyka wglębiającego się w sens słów, postanowił, że nie będzie się dowiadywał, co owe makaroniarskie i skundlone określenia wyrażają. Ani skąd się wzięły. Ani kto jak je powymyślał. W tym zdumiewającym żargonie greki wymieszanej z angielszyzną, kanciastych i wulgarnych spolszczeń i pseudołacińskich nowotworów tkwił ironiczny zamek, a on obsesyjnie szukał klucza. *Rynarium orzęsione, sensille (zmysłówki) dzwonowate, pseudosensorie* (gdy czujesz na niby), *citeumifilium* (coś z miasta, *city*, i synów, albo *filandryczne*, (wąskie i długie, dziewczęce). *Ciała brzuszne*, przeczytał, były między sobą połączone pierwszą *komisurą*. Komisura to szczelina, tak, ale i współczucie, czyli litość, od „martwić się razem” *commisere*. Nawet słuch owadów zmuszał do zastanowienia: *jama tympanialna* i jej *otwór, mięsień błony dźwiękowej, worek powietrzny, nerw chordotonalny*, a *chorda* to struna, *przezmianki*. Dodekafonia zmysłów, transhumacja żądz, przemienialność czucia.



Kosmodromiczne lodowate Żwirki i Wigury, opróżniona Trasa Łazienkowska. Wcale te mercedesy nie są takie wygodne. Tylna oś im się trzepie, i mercedes podskakuje jak kolejowy wagon. Tunelik, ślizg zakrętu, rozlany, na prawo wyciszona konstrukcja z klinkieru, zamek cza-

rownic, kościół jakiejś sekty pesudochrześcijańskiej, podobno. Niewidoczna szaronocna Wisła. Dalej jaskrawe znaki kapitalizmu, salony samochodowe białe jak w Tokio i stacje benzynowe jak nocne lądowiska. I las. Do tego lasu ojciec chętnie chodził na spacer. Jak długo żył. A on tu kupił dom. Drugie światła na drugim skrzyżowaniu. Stara Miłosna.

Lubił tę nazwę, jak lubił adres Mickiewicza 13. Był najzupełniej samotny w Starej Miłosnej, już nic więcej stać się nie miało. Jadąc przy milczącym i zaabsorbowanym (ten telefon) bracie, pogmerał w siebie i poczuł, jak przez ten semestr nieobecności, Indiana University, Lawrence, Kansas, był nieobecny właśnie. Polska literatura ma być o polskim wiedzeniu. A on zawodowo zajmował się polską literaturą, choć nie umiał jej pisać. Brat – kościelny brat – skreślił w prawo i w lewo, i las zgęstniał i zrzędlł po bokach, aż zajęchali. Przychylając się, by mu pomóc otworzyć drzwiczki, brat wydał z siebie zapach zmęczonej wody toaletowej. On wysiadł i wyjął walizkę z kufra. Brat mu podał klucze do domu. W pobok świeciły się okna w domu Świadców Jehowy. Żona Świadka była operowa, i wybuchła chętnie perlistym gardłowym śmiechem. Miała duży biust i włosy zalakierowane w czarny kask, i nosiła złoty paseczek do błękitnej sukni. Była śpiewaczką w chórze operowym, ich trzeci brat znał ją z przedstawień i prób, na które przy-

chodziła pierwsza i pozostawała do końca, nawet gdy nie miała w nich brać udziału, w krzeselku z boku, umalowana i czekająca, tęga, cicha, na drobnych stopach, bo kochała teatr, powiedział trzeci brat, ten co miał do nich dojechać po wystawieniu dekoracji do „Strasznego Dworu”.

„Jedź pierwszy” powiedział brat biskup „jutro jak tylko zechcesz, kiedy się wykokosisz. Ja jak tylko” powiedział, przechylony do drzwiczek mercedesa. Policzki mu zwisały, oczy były za okularami spłoszone. „Tam rozgrywa się jakaś tragedia” powiedział „z jednym z moich studentów, a właściwie z kobietą” powiedział, „która, okazało się, w nim się kochała”. „Znałem go spod Wałbrzycha, moja pierwsza, pamiętasz, parafia, ale on wtedy odszedł, bo stracił wiarę, a potem wrócił z przekonaniem. Z wewnętrznym przekonaniem” powiedział „wartościowy, inteligentny, wrażliwy, a zdaje się, że ona go zabiła. Ja” powiedział „jestem prodziekanem, a też” powiedział „tam panuje rozgardiasz, a przecież” zawahał się „tam trzeba teraz tej kobiecie pomóc, bo zabiła go w kościele”.



Otworzył furtkę i przeszedł obok swojego stojącego w chłodnej trawie samochodu, i otworzył dom ze skomplikowanych zamków i wniósł wa-

lizkę do sieni i wwąchał się w płone zapachy domu, zapachy drewna i pasty rozległego powietrza wyczyszczonego na jego przyjazd i wyczyszczonego przez noc. Nie zapalił światła na schodach – dom był wielopiętrowy – i słuchał trzeszczenia stopni pod stopami, i patrzył na piętrze w granatowy blask okien, i w blask księżyca w granatowej nocy, i zgadywał sylwetki drzew wybujałych aż po dach i tej nocy nieruchomości, i patrzył w śliski poblask poświaty na podłodze i meblach, na szkle stołu, i na miękką tępą farbę obrazów na ścianie, obrazów brata nieczytelnych w mroku ale gęstych, jakby ściany były otworami na ciemniejsze piekło.

Stał w zupełnym milczeniu nocy i nasłuchiwał, ale kątem oka widział czerwone światełko mrużące na telefonie, znaczące, że ktoś się nagrał, i zastanawiał się, czy to ktoś włączył ostatnio maszynę, czy też on zapomniał ją wyłączyć wyjeżdżając, i elektroniczny wabik czy mruga tak od pół roku. Podszedł do telefonu, ale zamiast wysłuchać tego, co się nagrało, wcisnął klawisz wymazujący wszystkie apele, a potem wcisnął klawisz włączający maszynę z powrotem, bo wtedy nadawała krótkie powitanie z prośbą o nagranie wiadomości, wypowiedziane głosem jego żony. W ciemności wysłuchał szybkiego głosu żony, ale nie słuchał go, tylko głosu młodszego synka dobiegającego z tła, z głębi pokoju, gdy anons żona nagrywała. Odwrócił się

od telefonu i podszedł do lodówki (światło, po otwarciu drzwiczek, jak w kostnicy), wyjął butelkę wódki i podszedł z nią do kanapy, zrzucił buty i położył się na kanapie i napił się wódki prosto z szyjki, lodowatej, i patrzył w lodowaty sufit, i wódka nie pozwalała lękowi go ogarniać, i zasnął, chyba zasnął, bo każda noc i każdy dzień były półjawną przeprawą przez uparte wydarzenia i nieodwracalnie gęste sytuacje, w których nie rozpoznawał niczego, siebie, osób, miejsc, intrygi ani sensu akcji.



Rano zjadł to, co znalazł w lodówce (czy to Świadek Jehowy, czy jego szczebiocząca żona go zaoopatrzyli?) i wyszedł, nie przepakowawszy nawet walizki, a gdy wkładał ją do bagażnika zobaczył żonę Świadka Jehowy podlewającą o tej wczesnej porze ogródek. Żona zamachała ręką i zaśpiewała „kochany, jak się cieszę, czy pan sam, czy z rodziną?”, a on podszedł do siatki odgradzającej ich posesję i ucałował jej pulchną krótką dłoń, i powiedział, że żona i synkowie dojadą. „To cudnie” powiedziała żona Świadka i zaśmiała się gardłowo, kładąc maleńką dłoń na swej obfitej piersi, a zza jej utrefionej w wysoki kruczoczarny kok głowy on zobaczył wysoką szczupłą jej starszą córkę, wychodzącą na dwór ze swą siedmioletnią siostrą, i zastanowił się przez chwilę, czy wszystkie trzy są też Świadkowymi Jehowy, i co to znaczy.

Odwrócił się ścigany ich wzrokiem i wszedł do samochodu i wyjechał, mechaniczna brama otworzyła się ze zgrzytem i pewną czkawką, jakby niepewna swego, z szurgotem metalowych zębatek i trybów, bo skonstruował ją chory Świadek Jehowy, niegdyś inżynier, dopatrujący się w wydarzeniach takich, jak powódź, czy krach giełdowy znaków niechybnego końca świata, a dziś czepiający się życia.

Te kobiety były ładne, tęga i szczupła, ale on do kobiet nie czuł wiele, prócz nieuważnej wrogości. Parę razy próbował z nowo poznaną nawiązać romans, wezwał nawet raz i drugi którąś do domu, ale już w pierwszej minucie na dworcu czy w kawiarni, w pierwszym rzucie oka, w przerwie między dwoma słowami powitania było dlań jasne, stawało przed nim z zimną drażniącością, że była to pomyłka, że nie czuje do tej kobiety, do żadnej kobiety, pożądania ani nawet sympatii, i że każda chwila obcowania z nimi będzie męką. Nie wydawał im się smutny, potrafił się śmiać, a nawet zabawić, jak gdy wykładał udawał energię i krwistość, które miały mu zjednać studentów – zwłaszcza, odruchowo, studentki – ale gdy wychodził do ubikacji w uniwersyteckim korytarzu, to alkohol był siłą napędową jego swady. Gdy wracał do domu, kończył się upijać, i dzięki temu niczego nie musiał pamiętać, z pamięci wymyślały mu się obrazy tego, co zrobił i kiedy poszedł spać, i co czy-

tał, i czy czytał przed snem, w pamięci tkwił mord na nim dokonany, sprawiedliwie czy nie, ale raz na zawsze.



Pod siedzeniem samochodu turlała się rezerwo-
wa butelka, z której się napił, jadąc, a w kiesze-
ni lewych drzwiczek leżał woreczek goździków,
które przeżuwał, by ewentualny policjant nie
wyczuł z jego ust zapachu alkoholu. Pojechał do
Śródmieścia ulicami coraz bardziej zatłoczonymi
i odczekał do dziesiątej, by otworzyła się szkol-
na księgarnia na Kredytowej, przed którą mło-
dzież odsprzedawała sobie od rana zużyte
i tańsze podręczniki. Uważał tę księgarnię za
ważną i często do niej zachodził, chętniej niż do
tych, które nadymały się na nowomodę pisania
i wątle snobistyczności, bo tylko tu znajdował
książki podstawowe, o których gdzie indziej na-
wet nie wiedziano. Tym razem nabył Słownik
Odkrywców i Podróżników, słownik Mitów
Świata, i z przyjemnością stwierdził, że na pół-
ce, obok albumu o chomiku syryjskim, stoi ów
Słownik Morfologii Owadów, który go tak zajął
od Berkeley. Zawahał się nad podręcznym le-
ksykonem Pisarzy Antycznych, ale pomyślał, że
to nie na teraz. Wziął zamiast Małą Encyklope-
dię Lasu, bo przypomniał sobie, że jedzie do la-
su. Patrzył uważnie po tłumie młodych ludzi
kręcących się wokół stoisk, ale nie dostrzegł

wśród nich – wysokich, ale raczej krępych – żadnej twarzy ładnej, żadnego pięknego ciała. Do działu książek dziecięcych nie wszedł, mimo że spojrzał w jego głąb: nawet gdyby odruchowo był kupił książeczkę dla młodszego synka, nie wiedziałby gdzie ją wysłać, ani jaką, synek pozostał dla niego tak mały, jak gdy został zabrany, a przecież przez ten cały czas rozstania musiał wyrosnąć.



Nie ociągał się z odjazdem, ale przed samym ruszeniem wyjął z torby i otworzył gdzie bądź ten zajmujący słownik, i przeczytał zapis *patagium*, kojarzący mu się z Patagonią, a potem *korema* i jej *skleryt*, kojarzące się z bohaterką imieniem Korema i jej Sklerytem: gdzie? W Patagonii. Kto? Korema, z nim, ze Sklerytem. W słowie *skleryt* mogła być i skleroza, zeszywnienie wiekiem czy z charakteru, ale raczej sztylet, zadający razy, coś z odbytu (twardy mocny kochanek), też coś jasnego – kler, clair, chiaro. Sklejenie z bratem biskupem, czy rozjaśnienie starcze. Patagonia mogła podobnie być podwórcem pięknej greckiej willi, na której przejeżdżano białe ciepłe konie, patataj patataj. A obok było gimnazjum dla chłopców, dla jego synów, szkoła. Zajęło go na chwilę hasło *oviruptor*. Seksualny członek rozrywał w tym słowie jaja (*ovi*) lub jajniki, dokonywał ruptury, pęknięcia, rozstania. Wielo-

mówne się wydawały typy rureczek jajnikowych: *panoistyczny*, co nakazało myśleć o panteizmie, ale i o paranoi; *meroistyczny*, może od Merowingów, bardziej średniowieczno ciemny?; *politroficzny*, czyli muzyczny od polifonii, wieloraki w swym brzmieniu, na pewno piękny; *telotroficzny*, od Tellus, ziemia, pogaństwo, wulkan, przy tropach; i *akrotroficzny*, kojarzący się i z akrobacją, i z akrostychami w literaturze, i z czymś księżycowo odległym, przestrzennym, z trofeum przyniesionym z astronomicznej dali, ze świetlistego a obcego przestworu.

Potem rozłożył mapę i przypomniał sobie drogę, i pojechał.



„Nić końcowa” dręczyła go na postoju, gdy zachciało mu się zrobić siusiu. Nie mógł się oprzeć otwarciu słownika. *Gemarium*, *trofocyt*, *chorion*. *Plazmatyczny powróżek*. *Zatyczka follikularna*, jej nabłonek. *Ciało żółte i zamknięcie analne*. *Eukoniczne narządy oka opozycyjnego*. *Superpozycyjnego*. *Gonady i drogi wyprowadzające samca*. Zakręciło mu się w głowie. Nie widział słów, widział plamy. Plamy biegły po rzadkiej brzezynie za otwartymi drzwiczkami samochodu. Trzymał słownik na kolanach i tępo patrzył na mrowienie cieni po słonecznych liściach. Wiał bardzo lekki, letni wiatr. Tajemni-

czy świat dramatu w krajobrazie równie skomplikowanym, co wewnętrzny. Wadliwe widzenie – uboczne – okiem półślepych, pół jasnowidzącym. Nić ciągnąca się, on z ręką na tej nici gdzieś w połowie, gdzieś poza połową, gdzieś w trzechczwartych, gdzieś, ale przed końcem jej biegu.

A pośrodku? Co było w środku, wewnątrz, tam gdzie tajemnica? Plamy wirowały drobniej i dotkliwiej, opuścił wzrok ku otwartej kartce. Była bielsza od kory drzew, druk na niej był czarniejszy. *Rzekoma komórka krystaliczna*, przeczytał. Tak, nawet jeśli to złudzenie, to by się zgadzało. *Rabdom*. A przynajmniej – tak być powinno. Czyste. *Rabdom*, jak pies, sługa, nędznik, parch, i dom. Czy plazmatyczny powrózek i nić końcowa, to to samo? Powrózek trzymający przy złudzeniu, przy jego płazmie, rzyganie plazmą, pępowina wiążąca z nieobecnością, prowadząca do ostatniego brzegu, prosta w ciemnym labiryncie, gdy życie umarło?



Jadąc myślał (jak zwykle obsesyjnie) o zdradzie żony, a zdrada objawiała się w jego mózgu jako namiętność dwu ciał, co ze sobą robią i jak to robią, fizjologiczne podniecenie, z biciem serca i zachwyceniem samą skórą drugiego. Miłość. Był chory na miłość, tę cudzą. Był chory na jeszcze co innego, co wypatrzyła jego stara przyja-

ciółka, *slavistka* na Uniwersytecie Indiana. To właściwie by być trochę z nią, dla długich rozmów i wspólnego sączenia alkoholu tam chętnie jeździł. Ona była Żydówką, i nosiła ostentacyjne peruki, lśniące i olbrzymie, wiewiórczo rude, podczas gdy jej twarz była jak mrowisko i pajęczyna utkana na kartofelku. Też była relegowana tu, czyli dalej. Napisała niepopularną pracę o tym, że wieszcz polskiej poezji, Mickiewicz, był Żydem, a bardziej skomplikowanie – frankistą, a on o Franku, o słownictwie Franka, uściślijmy, napisał w swoim czasie niepopularną pracę semiologiczną, i tak się zeszli.

Patrzyła na niego pół szklanymi, pół maślanymi oczyma, zwiastującymi nadchodzącą śmierć, aż powiedziała: u ciebie nastąpiła ruptura progu, zerwanie ze światem, *relegatio ad insulam*, wygnanie na wyspę. Bąknął coś o Stevensonie i „Wyspie skarbów”, ale ona odpowiedziała: „nie. Bezludną wyspę, na którą w Rzymie sam się skazał kapitulujący cesarz, lub gdzie też zsyłano zdradzieckie żony. Gdzie usychały”. Jego przyjaciółka była jak on, odczytana, choć w swych pracach trzymała się jednego tematu – żydowskiego – podczas gdy on pod pretekstem bogactwa i różnorodności słów dłużył w czym popadło. To była różnica: ona była prawdziwą pracownicą akademicką, a on wciąż szukał swego powołania.

Oczywiście wiedział, jak jest, bo oczywiście czuł, co kiedy go rozśmiesza najbardziej Seks nie, na pewno. Bardziej alkohol, bo uwalnia, zamiast wpędzać w więzienie, choć pierwsza godzina w seksie podobna jest do pierwszej godziny picia. Potem następuje ta sama udręka, na szczęście u pijanego samotna, czyli bez kłamstw. Alkohol nie zabija seksu, zabija orgazm. Toteż przez moment interesował się słownictwem wielkich alkoholików, Norwida, Joyce'a, Carvera, Cheevera, Faulknera, Andrzejewskiego, Broniewskiego, Gałczyńskiego, Churchilla, Poe'go, Hemingwaya. Nie alkoholizm (sama lubiła wypić) wprowadził jego przyjaciółkę na trop, ale te nazwiska. Dlaczego sam nie piszesz? zapytała go, późno wieczorem. Siedzieli w jej gabinecie przy stolyczku pod ścianą. Wielkie biurko założone było książkami na metr w górę. Półki zavalone, okno otwarte, zapach prerii, zapach trawy kampusowej, gwiazdy rodzące się nad nowoczesnymi dachami. Przecież nie przestaję, odpowiedział. „Nie, nie”, parsknęła i zamachnęła się głową. Peruka przesunęła jej się na drugie oko. „Nie mówię o tym pseudoscholastycznym bełkocie”. Z czegoś żyć trzeba, wymamrotał. „Ale serce ci jednocześnie zsycha się i krwawi, że nie piszesz jej”, powiedziała. Było to żydowskie zdanie. Jej kogo? zapytał. Powieści polskiej powiedziała, tej powieści, której



Pomylił się w Myszyńcu, źle skręcił, i odtąd mylił się wielokrotnie. Drogi były wyścielone nowym asfaltem i nie oznakowane tak jak niegdyś. Wrócił do Myszyńca i pojechał jak trzeba było, w prawo i w lewo na Rozłogi, ale w Rozłogach znów obrał zły kierunek, i zamiast na Cisinę pojechał na Turośl, i trzeba mu było skosem powracać w stronę Karwicy, drogami, których wówczas nie było wcale. Wtedy z Cisiny do Karwicy jechało się po czymś, co przypominało koryto górskiego strumienia, z narzuconymi i turlejącymi się białymi głazami. Stara niemiecka szosa wytłuczona była na gruz, i pamiętał chrzęst pod oponami, i bolesne uderzenia kamieni o spód pożyczanego samochodu. Jechało się trzy na godzinę, prędzej pieszo, ale innej drogi nie było, za to nadleśnictwo stało w czymś, co wyglądało jak serce puszczy. A z Karwicy do nadleśnictwa wiódł ziemny leśny dukt wyścielony igłami sosen i odpryskami gałęzi, i korą drzew, właściwie szlak leśny, pyłący w upale i wchłaniający szaro deszcz.

Teraz i ten dukt był asfaltem. Nie było serca puszczy, nie było puszczy, był asfalt, a w Karwicy pstrzyły się kioski z frytkami i smażalnie ryb, i nawet wietnamski stał kiosk z tanim jadłem, wszystko to na szczęście zamknięte po sezonie. Odnalazł nad samym jeziorem nowy dom pani Musi, już nie ostatni z kraju, tylko obudowany domami ciągnącymi się w obie strony dalej i da-

lej za zawinięcia skrzydeł jeziora, wszystkimi brzydkimi, niektórymi w stylu góralskim. Łodzie chlupotały o paliki przystani, nie poskładane jeszcze na zimę. Woda była szara, światło w niej przebijało się bladozielone i żółte, gdy wiatr rozgarniał chmury nad głową. Jezioro było tu wąskie, między oboma skrzydłami, jednym ciemnołowianym, drugim seledynowym. Pani Musia przez tych dwadzieścia lat bardziej się roztyła niż postarzała. Pomyślał on, że wtedy była młodą kobietą. Ile mogła mieć? Pod trzydzistkę? Teraz miała nowego męża, o głowę mniejszego od niej, z przyczesaną kościstą czaszką. Wciąż wydawała turystom obiady, i wciąż wydzielala ten sam tłusty zapach podwójnych podbródków, wyblyszczonej skóry, malutkich ust z mysimi ząbkami, wylażającej spod pachy bielizny, schabowego. Lira nóg, wałek talii, bezkształtne biodra i apetyt seksualny. Jedna z jej licznych córek pomagała jej jak dawniej, długa i bezbarwna, z ciemnymi pieprzami na twarzy, podobnie jak matka pozbawiona właściwego podbródka i kuchennie blada.

Zobaczył siną gwiazdę blizny w kącie dekoltu pani Musi, i przypomniał sobie (jednocześnie pojawiły się w jego świadomości trzy słowa, nowe i bezsensowne, ale uparte: „uszczerzenie dwu ciał”, i nie podobały mu się, i nie chciały odejść) jak to samochód wartburg, jakim pani Musia dwadzieścia lat temu jechała z mężem nadleśni-

czym, nabił się na oblodzonym leśnym dukcie (kopy wysokiego śniegu) na wóz, z którego zwisały zrąbane świeżo sosny, i jak czub jednej z nich przebił przednią szybę sunącego niepohamowanie na czterech zablokowanych kołach niby na łyżwach wartburga, a przebiwszy ją, jak przebił panią Musię i przebił oparcie jej fotela, przyszpilając Musię doń. Pani Musia siedziała przebita na wysokości obojczyka, tuż nad sercem, i problemem się stało, czy wyciągnąć drewniany kół z niej, czy też nie, bo kół ją przebijał, ale stanowił też coś w rodzaju zatyczki dla krwotoku. Końcem końców drzewo piłą przecięto, i nadleśniczy bez przedniej szyby po lodzie zawiózł panią Musię trzydzieści pięć kilometrów do najbliższego szpitala. pani Musia wyżyła, nie wyżył nadleśniczy, tylko młodo umarł na zawał serca, zużyty piciem wódki i denerwowaniem się o Musię, którą przyłapywał z przygodnymi wczasowiczami lub z polującą w sezonie generalicją, w tak zwanych niedwuznacznych sytuacjach, to znaczy z gołą dupą i portkami spuszczoneymi na kostki, i tkwiącymi, jak kół, w pani Musi, tyle że nie pod obojczykiem, ale tam gdzie wszystko się zbiega, w żyznych żuławach jej rzek.



Pani Musia się wzruszyła, czyli spociła nieco bardziej. „Tyle lat” powiedziała, i wróciła do karmienia ostatniej garstki wczasowiczów, którzy

jeszcze nad jeziorem się obijali, a i oni mieli z końcem tygodnia wyjechać, powiedziała. Wtedy pani Musia przeniesie się na zimę do Szczytna, gdzie mąż jest emerytem, a córka wróci do Olsztyna, gdzie pracuje w jakiejś restauracji, czy bibliotece, nie rozumiał, bo nie słuchał. Zjadł schabowego z ziemniakami purée i zasmażaną kapustą, i zapił kompotem, i pani Musia nie chciała od niego pieniędzy, tylko dała mu pęk kluczy od nadleśnictwa, do którego wołała już nie zaglądać, powiedziała, odkąd ją po śmierci męża wyrzucono, bo serce ją boli, a w chwilę potem podeszła do niego córka pani Musi i on ze zdumieniem stwierdził, że córka mówi do niego per „ty”, czyli pewnie zawsze byli w podobnym wieku, ale on tego nie zauważył, kiedy na lato przyjeżdżał do nadleśnictwa z kolejnymi młodymi kobietami jasnymi i długowłasyymi. Była niegłupia i było coś lisiego w jej twarzy, stałe zastanowienie nad swoją przegraną, czy też olsztyńską wygraną, cokolwiek by to znaczyło.

Pożegnał się i odjechał, zaś na odchodnym nowy mąż pani Musi powiedział mu, że powinien kupić tu dom w puszczy lub nad jeziorem, wszystko tak szybko się rozwija, że wkrótce w jeziorze będzie szczerze płynne złoto, powiedział, i pokazał mu złoty sygnet na małym palcu lewej ręki, a przesuwająca się z talerzem pierogów w korytarzyku pani Musia wyszeptała doń konfidencyjnie, wpierając go w ścianę biustem, „mąż jest

szlachcicem”, co zdaje się było obecnym zajęciem męża, prócz oczywiście spółkowania z panią Musią, dla której spółkowanie było zawsze kotwicą istnienia, jak łóżko portem. Męża nadleśniczego, pamiętał, odcinano ze sznura czy wyławiano z jeziora, czy szukano błakającego się po nocy w ciemnym lesie, ale pani Musia wyglądała jak piec, a mąż nie żył. Nie powiedział córce pani Musi „wpadnij”, bo wydawała woń naczyń i wyrażała zamyślenie nad losem, a on nie chciał żadnej kobiecie młodej czy starej dać opowiadać czegokolwiek, bał się jak ognia tego, co wynika z zamyślenia kobiecego nad sobą, powietrze pełne było takich wspomnień, gęste wirującym w nim pyłem ni tęsknym, ni miłosnym, pył czasu posuwał się nad szosą i jeziorem, i on, wyjeżdżając na dukt prowadzący do nadleśnictwa, przymykał pod jego natarczywością oczy.



Toteż odwrócił w drugą stronę głowę, gdy przejeżdżał obok (z lewej ręki) dwu białych domków z obejściami, też należących do nadleśnictwa i najwyraźniej opustoszałych, a na podwórku nadleśniczówki, nim wysiadł i nim się rozejrzał, otwarł, by się uspokoić, słownik morfologii owadów i wyczytał hasło o szczecinkach czuciowych i o narzędzie równowagi, o biczyku i o ciele centralnym, o kolcu oddechowym (ten odczuwał), o mięśniu otwierającym i fałdzie zamykającej,

które w nim pracowały w rytm przyływu i odpływu, i o *intymie*, o której nie musiał się dowiadywać czym jest, bo była i kobieca i nieobecna, umiejscowiona u zbiegu jej ud i jego duszy, tam gdzie ramię dźwigni, przeczytał, pozwala ci uzyskać wyjściową formę hipotetyczną, przeczytał, nim obmacają prawdę odnóża głowowe, w procesie cefalizacji, dzięki której cały świat stanie się twoją głową, bo nigdy niczym innym nie był, i schityni się, zesklerycieje, zamrze w suchej a bolesnej puszcze, karmiony okiem złożonym i otworem potylicznym, rozchylającym się wtedy, gdy ktoś – komisarz miłości, ona – strzeli ci w czaszkę z tyłu. Frontoklipens, przeczytał, jakby męski klitoris umieszczony był za czołem, brzeg krający, i haustellum, tak, jednym haustem i wobec za wielkiego ciężaru, za wielkiego rozkrojenia, się napił.



Dopiero wtedy wyszedł na podwórze i wwąchał się w zapach lasu, sucho i płowo otaczający nadleśniczówkę. Wyplamiona rdzą żeliwna kłódka krzywo wisiała na drzwiach, które były pruskie i wąskie w ceglanej pruskiej ścianie. Nadleśnictwo było dużym budynkiem, w okresie świetności letniej mieściło kilkanaście rodzin po pokojach, i wydawało, siłami pani Musi, trzydzieści do czterdziestu dodatkowych obiadów dla zjeżdżających się letniskowiczów. Potem wszyscy

siedzieli na ławkach wzdłuż czerwonoceglanych ścian i palili papierosy, i mówili o polityce i patrzyli na młode bociany, uczące się wyfruwać z gniazda nad drewnią. Raz młody bocian spadł i skoczyła mu na pomoc niebaczna młoda kobieta, która wzięła go na ręce, i rodzice bocianka nie chcieli go więcej dotykać ani żywić, nawet po nastawieniu mu zwichniętego skrzydła i umyciu w wodzie jeziora. Trzeba go było karmić chlebem i czym się dało samemu, ale on zapomniał, co się dalej stało. Młoda kobieta stała się jego żoną i zdradziła go, jasnowłosa, bo on wolał pić i czytać i zajmować się literaturą bardziej niż jej seksem.

Otworzył zamek z kłódki, i wchodząc zastanowił się, dlaczego klucze są w posiadaniu pani Musi, a nie kogoś z lasów państwowych, czy kogoś z organizacji turystycznej, która się z lasami procesowała, by wybudować tu bazę turystyczną. Ta baza, zamajaczyło mu, mogła nigdy nie powstać. Mogli we trzech – bracia – odkupić ten potężny dom i odrestaurować to, co trzeba, tak jak ojciec ich chciał przez dwadzieścia lat odkupić którychś z białych domków po drodze, gdy tylko opuszczają je wyjeżdżający wreszcie do Niemiec – wypuszczeni – Mazurzy. Ale nigdy nie umiał, nie umiał nigdy niczego pozytywnego, i w jednym mieszkaniu przemieszkał czterdzieści pięć lat z żoną, która go kiedyś, za młodu, zdradziła, a nawet odeszła przez rok do innego,

bardziej krwistego mężczyzny. Ktoś kiedyś stwierdził uczenie – kto? – że dopiero gdy partner twój, miłosny, odejdzie od ciebie i do ciebie wróci, będziesz wiedział, że naprawdę ciebie wybrał, i że nie wybrał cię przypadek. Było to jedno z najbardziej przewrotnych zdań, jakie kiedykolwiek posłyszał, ale uczepił się go jak religii, by wytłumaczyć chrześcijański dar wybaczenia poprzez przyjęcie swej własnej winy za cudzą zdradę, czy jak tam. Ale otóż nie był chrześcijaninem, tak jak jego ojciec nie był, i należało to zmieścić w kraju a to komunistycznym, a to dennie katolickim, i zmilczeć, bo tak naprawdę to wierzyli tylko w to, czego się nie da powiedzieć, bo byli poganami.



Złożył walizkę i wyjął z niej papiery w dużym pokoju na dole, i postanowił nie wchodzić na piętro, gdzie przez tyle letnich wakacji przemieszkiwał. Przyzwyczał się do dużych pokoi, a te tu, niegdyś dyrekcyjne, czyli pani Musi i biurowe, były największe. Stały w nich niemieckie ciemnokafłowe piece, jeden szpinakowaty, drugi granatowy, trzeci brązowy, i postanowił nagrzać we wszystkich trzech przed przyjazdem braci, bo powietrze w domu było skisłe zestałą wilgocią, okna nigdy nie otwierano, a gdy przeciągnął ręką po kocu kryjącym łóżko, wyczuł jego przykrą mokrość. Pootwierał co mógł, drzwi i okna,

i wyszedł na słońce i poszedł do drewnutni, gdzie tak chętnie się wieszał nadleśniczy, i gdzie tak chętnie jęczała pani Musia pod generałami.

Pachniało myszami i kałem sowim, i nietoperzami i ich uryną, a sterty drzewa pod ścianami zdążyły się były oblepić pleśnią i mchem, i otulić w wielowarstwowe szare pajęczyny, ale siekiera były wbita w pniak pośrodku, zaś drzewny miał, trociny i szczapki miękko podejmowały stopy, i po jednym kroku obracały się, przylepliwę, suchym jasnym podbrzuszem, jakby były nowe, jakby były z tamtego słonecznego lata.



Potem siedział na ławce i bardziej niż patrzył słuchał poskrzypu lasu i sukiennych ruchów wiatru w gałęziach, bo wokół nadleśnictwa stały dęby i buki, cały ten las był niegdyś, dawno, dębina, choć teraz był przemożnie sosnowy, wielokrotnie sadzony i wycinany, żółtososnowy i suchożywczy, i tylko daleko w jego głębi, nad tajemniczymi jeziorkami, do których drogę znał jego średni brat, trwały jeszcze staroleśne ostępy, których nie ruszano, gołopienne, katedralne, złożone i też pogańskie, pogańskie jak wszystko co nasłuchujące, jak wszystko, co oddycha i współżyje, jak wszystko co skromne. Bez miłości i bez okrucieństwa, pomyślał. Jak wszystko, co myśli. Pomyślał, bez wilgoci. W suchym czy-

stym powietrzu, które w biały dzień miało uduchowioną konsystencję wody. I jej wszystko przyjmującego światła.

Na kolanach trzymał otwarty słownik, i teraz pochylił głowę i poszukał oczami słów, które by mu mówiły to, co chciał usłyszeć, i przypomniał sobie jak to w Lawrence, na Uniwersytecie Indiana wziął się do czytania „Dzienników Pisanych Nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, i jak zmęczył się tym gruzem, tymi gruzami stale tymi samymi, powtarzalnymi i powtarzanymi, tragicznymi, bo były, wojenne, łagierne, komunistyczne, obczyźniane, cmentarne, i tragiczne, bo nic z tego nie zostało, bo nawet gruzy tamtego czasu były niepotrzebne. Toteż wiedział, dlaczego tak się wykluczył z polityki, o, nie na tyle, by też nie zostać w odpowiedniej chwili antyinteligentkiej usuniętym z Uniwersytetu, gdzie nie przestał wykładać jego ojciec, ale nic więcej. Rana miłosna nie jest zasłana oschłymi gruzami, jest frywolną raną wobec siebie ale i tak jest raną losu, i tak cię zabije, pomyślał.



Fossa metapluralis, przeczytał. Podniósł butelkę wódki spoza ławki (przy nodze) i napił się. *Gulamentum*. Gulgul. (*Goulot*, to szyjka po francusku. *Goulument*, to łapczywie). Przyjęzyczek. Smak. Odezwał się sztylet brzuszny. *Labellum*.

Clithrum, zesklerytowana przednia część nadgębia. *Epizygum*, *zygum*, nie, to nie z Witkiewicza, to to, co w nim czuło. *Fragma*, fakt, pomyślał. Pompa ślinowa, pętlice sztyletów, jad wsączał się w fałd fragmalny. *Klinik*, *hamulus*, *wędzidelko*. Skleryt klerykalny, jak u jego brata, intergenitalny, jak u jego żony. Lemieszowaty, jak u jej kochanka. Ejakulator, spermoteka, przeczytał i wstał i stał chwilę, odurzony w popołudniowym słońcu. Na tym podwórzu. Biblioteka, nasunęło mu się. Usiadł i zobaczył na białej kartce: *trójkąt wtrącony*. Ona, on, oni. Spermatorfor, czyli to co samczyk wprowadza w narządy płciowe samiczki. W waginę tuliformię, w tulipan tulący. Gdy się rozpieści *atrium vaginalne*, sień, i gdy ku niemu podniesie się henia: tylna błoniasta część przewodu torebki kopulacyjnej umożliwiająca, przeczytał, *wysuwanie okolicy*. *Metazona*. Zona metafizyczna. Fizyczna. Zona żona. *Tergit*, przeczytał, to część wtórnie oddzielona.

Za jego plecami zadzwonił telefon, i on odwrócił się do dzwonnka, i uderzył skronią i nosem w ścianę za ławką, zanim zrozumiał, że trzeba wstać i odszukać stopieńki do drzwi, i drzwi, i pójść – trzymając się ściany – korytarzem i wejść do pokoju, który był niegdyś gabinetem, i trafić w dzwoniący czarny telefon na pustym okurczonym biurku. „Jak tam?” zapytał brat biskup. „Upijam się powoli powietrzem i wspo-

mnieniami” odpowiedział, bo wiedział, że brat usłyszy płatanie się jego języka, usłyszy kołatkę niezbornych myśli w akustycznej pustce jego czaszki. Chciał mu powiedzieć: śwędzi mnie postscutellum zatułowia, albo, bliżej teologii, fałd parapsydialny, co kojarzyło mu się z absydą. Albo: odczuwam wenę marginalis, na marginesie marginalną. Najbardziej krwawią praestygma, stygmaty najstarsze. Archedykcon, pomyślał, bo był w tym i archetyp i dykcjonarz i dykcja, a razem brzmiało to kościelnie, jak funkcja brata. „Co?” zapytał brat. On chciał odpowiedzieć: kłębek czułkowy. Albo ciało brzuszne. Straszliwy nerw powrotny. Czuł znowu kolec oddechowy, i majaczyło mu się tajemniczo powtarzające słowo „przetchlinki”. Trzymając drętwo słuchawkę i bojąc się odezwać więcej, pomyślał o narządzie słuchowym w goleni szarańczaka, i o bolesnej, spłaszczonej głowie plu-skwiaka różnoskrzydłego. Prokliget to tergite X pierścienia odwłokowego samicy chrząszcza. Na przykład: jej tergite był...

„Słuchaj” powiedział brat. „Słyszysz mnie?” zapytał, a on zdobył się na wychrząknięcie „ahm”. Pokój był słoneczny, a w wypróżnionej biurowej biblioteczce wałały się za szkłem brudne papiery. „Czy wiesz, co ja czuję?” zapytała jego żona podczas ich ostatniego, przypadkowego aktu miłosnego, kiedy właściwie ją zgwałcił, „czy wiesz, co ja myślę? Czy wiesz, o kim ja myślę?”

Było to nocą w drugim z tych białych domków w lesie, w tym, który tak usilnie i nieporadnie usiłował nabyć jego ojciec. Rok rocznie tu przyjeżdżali. Las po filozofii, grzyby po marksizmie. Dlaczego ojciec nigdy nie zrezygnował? Nigdy nie rzucił – nie oddał – legitymacji partyjnej? Dotrwał do końca? Stale taki sam, odległy. Nawet nie czytający wiele, unurzany w wewnętrznych krajobrazach. Sumienny profesor w drętwomowie. Autor haniebny artykułów o swych przyjaciółkach z AK, potem o swych przyjaciółkach Żydach, gdy trzeba było. Aby się uratować? Nie, aby trwać w wewnętrznym krajobrazie. Autor nieoczekiwanie delikatnych książeczek wydanych pod pseudonimem, jednej tuż po wojnie, drugiej w latach stalinowskich, trzeciej tuż nim umarł. Były literaturą, łagodnymi opowiadaniem, w których „ja” nie było „mną”, on sobą, ona nią. A przecież. Były wszystkie trzy o żonie ojca, jego – ich, braci – matce. I bolesna dramatyczna rysa przebiegała pod ich stoicką spokojnością. Były o wierności i urodzie i ciszy. O lesie i ziołach i zgodzie. To dlatego, pomyślał, trzymając klejącą się i brudną słuchawkę telefonu, że były o zdradzie.

Był to przemilczany temat. Dlatego oni, bracia, nigdy o tym nie rozmawiali? Cóż dopiero z rodzicami? Kodem w domu było uprzejmie milczenie. Ojciec uprzejmie wykladał etykę marksistowską. Lewicował przed wojną we Lwowie,

trudno było nie, pisywał do czerwonych gazet. Po okupacji poszedł do tych samych ludzi, tych samych redakcji. Dostał profesurę naprzód w Szczecinie, potem Poznaniu, potem w Warszawie. Ale dwa lata przedwojenne i pierwszy rok okupacji spędził sam. Żona, ponoć poślubiona w 1937 – ale nikt nigdy nie widział ich ślubnych papierów – porzuciła go dla innego. Potem wróciła, odnalazła się, czy jak tam. Z tą słuchawką w ręku on wiedział, dlaczego ojciec ją przyjął. Była wesoła. Skromnego pochodzenia (sekretarka), z podmiejskiej rodziny. Była ładna i miała wzięcie. Była z czegoś wyzwolona. Była wyzwolona ze strachów. Nawet w późnej starości zachowała kobiece ruchy, policzki, rękę. Wiedzieli oboje to samo, ale cios ojcu zadany nie zbliżnił się nigdy, pomyślał. Ojciec był na pół samotny i na pół sparaliżowany, uderzony, zaparty, bo wewnątrz tej rany w sobie widział tylko to, co ona z tamtym robiła.



„Już wiem” chciał powiedzieć bratu, który nie przestawał mówić w słuchawce. Ale brat powiedział, że ta kobieta tego chłopaka naprawdę zabiła – zastrzeliła – w akademickim kościele, powiedział, i że spokojnie i cicho weszła potem do zakrystii, szukając azylu, powiedział. Kościół był o tej porze prawie pusty, półzeschłe dewotki nie zrozumiały w ogóle co się stało, huk je tylko roz-

jazgotał, a ich jazgot jakby pokrył opanowane wejście tej kobiety do zakrystii, gdzie usiadła i zaczęła, aż wpadnie wikary a potem proboszcz, i zawezwą kogoś z hierarchów, bo, powiedział brat, ona poprosiła o azyl. Chwilową przerwę, powiedziała, bo popełniła grzech a nie chce wypaść z boskiej sfery, powiedziała, w którą weszła, zabijając.

Brat zamilkł, i on poczuł (poprzez dystorsję alkoholem i błogosławioną fikcją pijaństwa) stan napięcia brata, stan zaskoczenia nagiego i zimnego gorszy od czegokolwiek, co z życia brata znał, i brat powiedział „słuchaj”, ja z nią przed nocą przyjadę”. Chciał odpowiedzieć, resztką przytomności, że brat zostanie oskarżony o współudział, o dopomożenie zbrodniarce w ucieczce, ale bał się, że brat mu odpowie „jestem odpowiedzialny za zbawienie jej duszy”, i napięcie serca zamieni się w ideologiczny frazes, więc z pomocą wódki nie powiedział nic. Odłożył telefon i zwrócił się do oszklonej szafy, i przechnął szklaną szybkę i podniósł pierwszy brunatny papier z brzegu i przeczytał „tyczkowina – żerdziowina – drągowina – las”, obok widniały cyfry, i ukląkł, sam nie wiedział dlaczego, czy to nogi nie trzymały go dość pewnie, czy dlatego, że nie mógł wytrzymać już dłużej.



Nie spał długo, ale gdy się obudził słońce z podłogi przeniosło się na ściany, żółte, i obudził go późnopołudniowy chłód. Podniósł się i bolały go krzyże, i z niemałym trudem zakulał, by zapalić w piecach polanami, zniesionymi z drewnutni, i gazetami, obficie i brudno zasłanymi po podłodze. Zamknął też okna, ale mocniejszy, bardziej wonny, wilgotniejszy zapach od podwórza i lasu wypchnął go na dwór. Tam gdzie słońce padało, było ciepło, na przykład na twarzy. Ale tył głowy, czy plecy, stygły. Poczul poszcypywanie ukrytego w głębi powietrza chłodu. Wrócił do pokoju po czapkę, szalik i kurtkę. Wyszedł z obejścia i poszedł wzdłuż płatu zapadającej się w dębinę ziemi, rozgraczonej przez dziki. Niegdyś pani Musia hodowała tu kapustę, kartofle i marchew, i koper i majeranek, i co rano biadała, że znów nocą obzarły się jej warzywami warchlaki, bo to dla nich doświadczone truże obruszały deski płotu. I tak było. Dalej był kawał szerokiego, chciałoby się rzec dwupasmowego duktu, las tylko z prawej strony, a z lewej szkółka schorowana i karłowata, szarosiwa, zbita w tępą gęstwinię wyschłych starczych upiorków, posadzony a nierozsadzony nigdy lasek młodych trupów, zmarłych w dzieciństwie i uczepionych siebie łamliwymi badyłami gałązek omszałych trumienną zgnilizną. Ale dalej, w prawo, węższy dukt tylko przez chwilę prowadził wzdłuż tego cmentarza sierocych drzew. Kwartał łączył się ze starymi kwartałami

sosen wysokopiennych, wonnych i gęstych, rozkraszonych wieczorem, każącym mrużyć oczy przed blaskiem pomarańczowych pni.

Tu szedł, słuchając pyłu leśnego zsuwającego się po butach, kroków lżejszych niż w piachu a cięższych niż w kurzu, i wdychał silny zapach ożywionych jesienne roślin, wybijałych po obu stronach dróżki, i ściółki samej, i pni, i igieł. Roztarł kiść suchomięsistych igieł w palcach, i palce mu się bezpowrotnie zakleiły. Nie było jak w lecie, dusząco, w lecie należało jak najszybciej dobrnąć do jeziora, a na leśny spacer iść w niepogodę, lub po zachodzie słońca. Teraz przerozległą ciszę rozdarł ogromnie daleki pociąg, i on sobie przypomniał, że była tam linia kolejowa, o dwadzieścia kilometrów stąd stacja w lesie, na której z rzadka pociąg przystawał, szyny proste jak sanna, czarnowysokie sosny po obu stronach, wycięcie w niebie, rudy żużel, jakby przed pociągiem przeszedł stary ogień. Tak się kiedyś z bratem zgubili w lesie, szukając grzybów, że kołując i znajdując się w coraz bardziej to nieznanym, gęstym i zarosłym wysoką trawą, i porozszczepianymi liściastymi drzewami ostępach, doszli w pośrodku nocy, i w deszcz rozpadany, do tej stacji, i stamtąd dopiero umieli wrócić drogą błyszczącą jak mokry metal do domu, skąd wyruszyły na wszystkie strony szukające ich patrole domowników.



Pamiętał, że szli w nocną ulewę i potem w kryształ niewidocznego powietrza nie rozmawiając, ale nasłuchując, noc i las były szczególnie rozległe a cisza była tak cicha i tak pełna wokół nich, że aż wydająca własny głos, głos milczenia przeżyty echem i echemi, głos zgody z Bogiem, myślał może jego młodszy brat seminarzysta, głos absolutnej abstrakcji, jaką jest materia, myślał on. Wtedy jak i teraz pomyślał, że świat jest zamysłem, który momentalnie się otoczył erupcją nieodpowiedzialnego ciała, ciężko chory na ból, na mord i wypotwornienie, na zęby i żuchwy i zjadanie głów podczas stosunku, na okropieństwo kształtów. Podstawową komórką materii jest niemateria, mówili zaskoczeni fizycy Uniwersytetu Indiana. Utrać zamysł, a wszystko pryśnie, rozpadnie lub zawali się na sobie i w jednej chwili zniknie, i przestanie ci się wydawać nieobjęty gigantyczny rezerwuar rozhułkanych gwiazd i systemów w szaleńczej rozpędzonej przestrzeni, stanie się niczym, bo jest niczym, nie ma rzeczywistości prócz tej, którą zdołasz zobaczyć i utworzyć, nie ma rzeczywistości: ta w której, ulepiony ze złudzeń, tworzysz swoją mydlaną bańkę, wymaga ciebie jako świadka. Jest to sztuka bez aktorów i bez autora, ty, oddychając jak ryba na powierzchni określasz jej powietrze i jej wodę.



Stał nad gałęzią skrzypu leśnego i widział, jak zżerają się dwa owady, to znaczy nieco większy zżerał wykręconego w agonii nieco mniejszego, z którego wyciekało coś żółtego, i wzdrygnął się, cały ten las był pełen mrowienia i śmierci i tortur, każdy owad pokryty był wsysającymi mu się w ciało, składającymi jajka w jego oczy pasożytami, robaki cieńsze od włosa zalegały mu kiszki, każdy oddech wchłaniał, wraz z miliardem bakterii, milion agresorów, liście wydzielają truciznę, a drapieżnicy udawali liście, a on drapieżca stał w czapce i szaliku i wsłuchiwał się w chrzęst mordowanego pancerza, a kiedy oderwał się i ocknął i podniósł oczy i przeszedł bezmyślnie parę kroków po ścieżce pomyślał wyraźnie, po raz pierwszy dla siebie, że świat *jest* boski, że słowo to chromało i znaczyło nie to, co zwykle znaczyć, bo znaczyło zdumienie, że zamysł nie jest niczym ale obecnością, jest krystalicznym wyrysowaniem esu-floresu świadomości przestrzeni w przestrzeni, czasu w czasie, ów es-flores tkwi jak mróz w głębi każdego skrawka przestrzeni i czasu i materii, równocześnie przezroczysty, giętki i elastyczny, nieprzenikniony, maleńkim lustrem odbijający swe ukrycie, gdy nastąpi, przez sekundę łaski wejrzenia, ujrzanie jego oczu na oczy.



Nie zachwiał się, nie poczuł się zamroczony, ale przez chwilę stał widzący a oślepli, nie chcąc się poruszyć, jakby ruch mógłby go wytrącić z tego nierozumnego zrozumienia. Kiedy wreszcie przestąpił z nogi na nogę, zobaczył, że światło zaledwie przechyliło się – dymnie, miękko – bardziej w stronę cienia. Było mniej ostro i mniej wyraźnie, piach drogi jarzył mniej jaskrawo, a w powietrzu pojawiły się zapóźnione, rozbudzone na czas wieczoru pozaletnim słońcem, owady.

Szedł, zataczając niby kwadratowy krąg – bo rewire lasu krzyżowały się pod kątem prostym – tak, aby wyjść przed zmierzchem nad samo jezioro. Było o dwa kilometry – nie był to długi marsz – szersze tu i rozkładające się lewym swym, mocniejszym skrzydłem w rozłożysty szorstki jedwab, bardziej niebieskie niż za dnia, wymięte drobno wiatrem, którego powiewu nie czuł tu u góry, gdy wyszedł na bindugę, to znaaczy na nagą wytratowaną skarpe, z której strąca się poobrzynane i okrzesane pnie sosen do wody. Pnie za dnia turlały się, wznosząc miękki pył drzewny i piaskowy, i ogałacając skarpe z trawy, obijały się jak balony i wchluptywały w wodę z płytkim bryzgiem, i uderzały o siebie, zanim – w tygodnie później – flisacy poczną je zbijać w tratwy i spławiać po jeziorze tam, w stronę Pisu, do tartaku. Oni w lecie pływali wśród nich i na nich, wdrapywali się na nie i zrzucali

z nich, krągłych i od razu śliskich, w grze miłośnej ze swymi nowo nabytymi partnerkami, z młodymi żonami i dziewczynami nie do zdobycia, a potem ze swymi dziećmi.

Jego obaj synkowie postawili w szarym piaseczku brzegu pierwsze rozdygotane kroki – tłuste nóżki pionowo rozbijające chłopot przybrzeżny – a potem żona dojrzała, a on, chociaż przecierpiał i przełknął pierwszą zdradę po pierwszym synu, mimo że nigdy nie umiał o niej zapomnieć, ugiął się po drugiej, świat wyparował mu z rąk bardziej jeszcze niż jego ojcu, pomyślał, i zatraciły się znaki przyczynowe między czynami, między słowami, przestał rozumnie kojarzyć sens ze stylem, jego wykłady były tylko rozpaczliwym powtarzaniem niegdyś wygłoszonych poglądów, naumiane na pamięć, wygdakane papuzim dziobem, i gdyby którykolwiek ze studentów mu przerwał, pytając o to, co słyszy, zagubiony nie umiałby nazwać wątku, ani podać podstaw swych poglądów.

Poglądy stracił. Gdy przez to ostatnie półrocze na Indianie poproszono go o przeprowadzenie seminarium o twórczości Gustawa Herlinga Grudzińskiego, czego nie mógł (filozof, sławista, lingwista) odmówić, tyle, że poprosił o tygodnie zwłoki dla przygotowania się, a przez te tygodnie drętwiejąc w czymś w rodzaju przestרחu, czytał wszystko, co GHG napisał i wydrukował i nie

umiał nawet sformułować wobec siebie, czy to było dobre czy złe pisanie. Jedno wydało mu się niejasno jasne: że GHG jest poważnym żyjącym, poważnie spisującym w nieprawdopodobnym miejscu (Neapol) trumienne rozliczenia z trumiennym światem. O, tak świat rozumiał! Łagier, waleczność, Monte Cassino, śmierć żony malarki, druga żona córką poważnego Benedetto Croce, samotność. Powaga GHG to odstręczała go, bo tylko wdzięk czy frywolność przyciągają (lub uroda, patrz ojciec, pomyślał nagle), to budziła niechętny, jałowy szacunek. Czy można szanować za powagę? Bólu i myślenia? Zasług trzeźwości? Talent, ten chochlik, jest w zaskakującym tonie obnażania siebie jak się chce, powiedział wtedy, w rzadkiej chwili przytomności, do swej przyjaciółki sławistki.

Jego przyjaciółka odpowiedziała mu, że w Polsce, którą odwiedzała raz do roku, poziom zapotrzebowań inteligencji jest taki, że właśnie pyszną się prozą GHG, niby cofnięciem do czasu, gdy rozsądek i umiar i zdyscyplinowanie w omawianiu na przykład masakr wojny są metrem z Sèvres, miernikiem, sztancą. Że wypadając z pustych pokoi komunizmu i zapominając o jego piwnicach pełnych krwi, i o torturach samym sobie zadanych, jest uczciwie wejść do uczciwej biblioteki, spisanej przez upartego człowieka na upartym prowincjonalnym wygnaniu: prowincje się zbiegły. Nie rozumiał tych myśli, ale się ich uczepił. Za-

notował to, co ona mu powiedziała, nauczył się na pamięć, to wykładał. Tyle, że jednocześnie chciał otrząsnąć się z GHG właśnie jak z gruzu, jak otrząsnął się z lat komunizmu, ze służebności (służalczości) ojca, z uporów emigracji, jak i z niepoczytalnych wdzięków i zawijania nogami tych, co uprawiali inteligentkie tańczenie, i cielistych ambicji swojej żony, i bardzo chciał, by ostatni rozdział jego książki nie napisanej był wolny od tych niepotrzebności, otwarty na nic, na kojącą obecność Boga, czyli nicości.



Zamyślony, choć nie były to myśli, zszedł stromizną skarpy nad samą wodę, gdzie był wilgotny cień, gdzie woda, brzeg i krzaki dzikiej mięty i trawa były smutnopłowe, i dopiero gdy popatrzył w najdalszy widnokrąg jeziora zobaczył błyszczzenie nieba, jarzenie płaskie i twarde i ciągnące się do krańca horyzontu, tam gdzie jezioro rozszarzało się jak morze. Po jego prawej skarpa opadała, a przed samym nawrotem lasu wyrównywała się z nim prawie na płask, więc wspiąć się na nią było łatwiej, i tam poszedł, a potem prostym duktem z wyrębem po lewej ręce i ze słońcem grzejącym w plecy, i swoim własnym długim cieniem jak wąż pełznącym po śladach w piasku, a gdy doszedł do poprzecznej mroczniejszej ścieżki wiodącej przed obejście nadleśnictwa zrobiło się ciszej i jeszcze ciemniej

i bardziej gęsto, słońce już tylko poblaskiem skrzyło za gęstą ścianą czarnych sosen, a nad ścieżkę wyfrunęły, z obejść nadleśnictwa, jego stodół i drewnitni i strychu, nietoperze.

Latały nisko i obficie, najzupełniej bez głosu, i jak trudno było nie zgubić oczyma wzorów i poszukiwań ich lotu! Latały nisko i niepłochliwie nad nim, były pewnie dziećmi i prawnukami nietoperzy, które wylatywały na nocny łów wtedy, gdy było w zwyczaju wieczorne spacerowanie po tej pogrążającej się w tajemnicy mroku ścieżce, na której wiązały się przednocne romanse, lub na której rozchodzono się, krzycząc i obrzucając oskarżeniami, podczas gdy małe dzieci już spały, a starsze bawiły się najlepiej w półciemności dymnej i wielorakiej, a jego ojciec siedział na ławce na podwórzu paląc papierosa, sztywny, suchy i milczący i pogodny, na pozór tak pogodny, w śmiertelnym zaprzyjaźnieniu z tym pełnym nocnego dymu a bezbrzeżnie smutnym powietrzem.



Szedł coraz wolniej i coraz bardziej miękko w miękkim piasku i elastycznej pokrywającej ścieżkę ściółce, jakby coś go czekało, i nawet poczuł uderzenie serca mocniejsze i napływ wyciekającej śliny do gardła, gdy wdał się w ciemniejszy przesmyk wysokiego lasu tuż przed dojściem

do nadleśnictwa. Zwrócił oczy w bok i one tam stały, nieruchome jak krzaki ale gęstsze od mroku, najzupełniej zastygłe w ciepłym ruchu, trzy czy cztery, bał się obracać głową, by je zliczyć, by ich nie przepłoszyć. Zwierzęta bez barwy o tej porze, ze szklście maślanymi, wpatrzonymi w niego oczami, z welwetowymi pyskami podniesionymi ku niemu, jakby mokry nos na ich końcu, podobny do grzybiego kapelusza, był radarem, z różkami, sierścią, oddechem, z miriadą muszek stanowiących samo powietrze wokół ich pysków i oczu, z miliardem wszy wżerających się w skórę, z robakami i jajami robaków w trzewiach, żer dla mniejszych, same łowne, bojące się dzikiego psa i wilka, toczone bólem liszajów i chorób, a przecież, widział to, tak, piękne, dla jego czucia tak piękne, że nic nie jest piękne w porównaniu, piękne do wzruszenia, do serca, które biło mu teraz w uszach. Tylko dlatego, że je zobaczył.

Postąpił w zwolnieniu o krok za wiele, i sarny poderwały się wszystkie na raz, ta pierwsza może o skrawek sekundy wcześniej od innych, i mech zatętnił pod ich solidnym ciężarem, białe plamy zadów w podskakujący zygzak między krzakami, ciemność, w ciemności na pewno stanęły i obróciły się niewidzialne dla niego, i śledziły go, a on wysłepiał się niewidzącymi oczyma w gęstwinę nocy i lasu, i chciał się ukorzyć, chciał zgiąć się na tej ścieżce w przynależności i niedostępności, jakby doświadczył cudu.



Wszedł na podwórze, gdy ta dziewczyna, córka Musi, wybiegała z domu, a na podwórzu warczał nierówno silnik samochodu, którym przyjechała, a w którym to na tylnym siedzeniu siedziała wśród pakunków i toreb spiętrzonych po dach obfita Musia. Dziewczyna (kobieta), której imienia zapomniał, już wsiadała do samochodu – miała prowadzić – gdy go dostrzegła, wchodzącego w obejście, więc przystanąła, a gdy podszedł, powiedziała, że matka pomyślała, jak to on na pewno niczego nie przywiózł do jedzenia (pościel zasłała wcześniej), więc że mu zostawiają resztę stołówkowych wiktuałów, z którymi by i tak nie wiedziały, co robić, ona w Olsztynie, dokąd wraca, a matka z mężem (tu uśmiechnęła się powściągliwie, ale bez sympatii) w Szczytnie, dokąd ich po drodze podrzuca. Samochód był wartburgiem żółtym z łatami rdzy na bokach, i on przychylił się do okienka, a mówiąc pani Musi „dziękuję” zastanowił się, czy to ten sam, w którym to Musię do siedzenia przyszpiliło, ale nie mógł tego sprawdzić, bo na przednim siedzeniu siedział przylizany mąż pani Musi i łyskał sygnetem. Przez otwarte okienko wyczuł zapachy stołówki, naczyń i długiego gotowania, i ucałował rękę pani Musi tłustą i wilgotną, a małą, i podniósł się, by podziękować jej córce. I znów go uderzyło, że ta kobieta była grubo po czterdziestce, z płaskim czołem i dwoma słaby-

mi warkoczami, długą szyją i chudością nie przypominającą otyłości matki, ale skórą taką samą, bezkształtnymi wargami, pieprzami rozszanymi po twarzy, i tym czymś lisim czy beznadziejnym, co kazało mu powiedzieć: no to się jakoś spikniemy. Ona kiwnęła głową i wcisnęła mu w rękę karteczkę zwiniętą, przygotowaną, na pewno z jej telefonem, i nie powiedziała nic, tylko znów kiwnęła głową, i na chwilę do niego, zmarnięta w ciemności przywarła, płasko i twardo, jakby oboje byli pobici, jakby tylko im to zostało. Znał ją od maleńkiej, ale był dla niej zawsze panem, był z rodziny myślicieli i artystów, a ona była ze stołówki durnej matki. Odwróciła się, usiadła za kierownicą i odjechali, a on nie otworzył nawet karteluski, tylko zmiął ją i wyrzucił z dłoni i stał chwilę, czekając, aż z szumem nocy napłynie czysty spokój.



Zapalił światło w kuchni i zobaczył wszystkie te wiktuały, w plastikowych zużytych torbach, i inne owinięte w gazetowy papier, niektóre już ugotowane, i nawet dwie butelki z barszczem i jedną, mniejszą i bardziej pękatą, chyba po śmietanie. Z czymś zielonym, co skosztował, wsadzając palec w szyjkę, a co było zupą szczawiovą. Zastanowił się, kiedy ostatnio jadł zupę szczawiovą – sam chętnie gotował, gotowali obaj jego bracia, tylko ojciec był do gotowania

niezdolny, a matka zbyt leniwa i rozpieszczona – i nie pomniał, może tu, w leśniczówce, któregoś odległego lata, kiedy młode kobiety kąpały się w rozświetlonym jeziorze, a oni – bracia – chodzili po lesie spierając się o sens życia, bo tak byli od siebie różni.

Wrócił do pokoju, usiadł na łóżku i sięgnął po słownik morfologii owadów i napił się wódki. Przyoczki przebiegały przez hasła, gruczoł receptakularny obmacywał je i prześwietlał mrocznym, napływającym z okien światłem, na które, jak na nocne dźwięki ciszy i rozległości, uczulone były jego anteny. Zaskoczył go termin „hipotetyczny stawonóg”, a gdy położył się na znak powróciło do niego hasło „metazona”, której dotknięcie odczuł na spacerowej ścieżce, i choć, tak, cynglem wystrzeliwującym wzruszenie były tam ciężkie i patrzące w niego zwierzęta, to przeźroczyść tego, co go wówczas opanoowało, nie była wobec nich, czy dzięki nim, ale jakby przeciw, czy pomimo, pomimo absurdu mięsnej masy, wskroś wszystkiego.



Zbudził się w pośrodku nocy pod tą samą żarówką i w podobnej ciszy, w której nawet nie obtłukiwała się o lampę nocną ćma, bo było chłodno, późnojesienny chłód podniósł się z nocą i umorzył owady, o których przypomniał so-

bie, jak latem trzeba było zamykać okna i wytłuc je przed snem gazetą po ścianach. Zbudziła go zmiana w powietrzu na dworze, szarożółty poblask zaledwie mżący w kąt jednego okna, i dochodzący zza okna szmer czy skrzyp, skondensowanie poruszającego się po ćmie na podwórzu ciała, szurgnięcie buta po piasku, pojęk drzwiczek samochodu, półuchylonych i otwieranych szerzej, nawet kaszlnięcie. Pomyślał, że to przyjechał brat, bo złodziej zachowywałby się ciszej, lub bardziej zdecydowanie. Wstał i poczuł, ile wypił przed zaśnięciem i w ciągu dnia, i poszedł ciemnym korytarzem, aby przyzwyczaić oczy do ciemności, ku drzwiom na podwórze. Zobaczył nieduży samochód na środku podwórza obok swojego, owinięty żółtym światłem z okien i lśniący, nie pokryty wilgocią, a więc świeżo przybyły, tylko dlaczego go nie usłyszał?

„Ostatnie, nie wiem, chyba sto metrów przejechałam na martwym biegu” powiedziała kobieta przez otwarte drzwiczki (widział ją półsiedzącą na miejscu kierowcy i malującą sobie usta, z głową wzniesioną do zasłaniającego jej pół twarzy lusterka, i jej nogę w białych spodniach przytrzymującą drzwiczki samochodu, tak aby światło się wewnątrz paliło), „samochód wtoczył się tu ostatnim wysiłkiem, już bardzo powoli i stanął, a ja nie wiedziałam, czy mam zatrzeć wobec tych zapalonych okien, może popełniłam

niedyskrecję o tak późnej porze, więc raczej weszłam, skoro nikt się w oknie nie pokazał, i zaszłam i zajrzałam przez uchylone drzwi pokoju, gdzie pan spał, ale nie ośmieliłam się pana obudzić, więc cofnęłam się i pomyślałam, że może zacznę jakoś tak drobno hałasować, i że pan usłyszy” powiedziała. „Dlaczego?” zapytał, „dlaczego co?” odpowiedziała. „Dlaczego nie ośmieliła się pani?”. Wtedy uśmiechnęła się weselej tymi ukarminowanymi ustami, i powiedziała: pan mnie naprawdę nie poznaje.



Była nieładną kobietą, pomyślał, tyle widział w bocznym, ryjącym głębokie cienie w jej twarzy świetle z okien, i była niemłoda, może nie tak stara jak on, o parę lat młodsza, ale czy to wiadomo przy tym całym makijażu, jakim kobiety w tym wieku pokrywają sobie twarz? Miała zalakierowane czarno włosy, karminowe paznokcie rąk i, tak, stóp obutych w złote, bezsensowne do prowadzenia samochodu i bezsensowne w nocnym staniu na wystudzonym podwórku nadleśnictwa, sandałki. Jej twarz była, zależnie od tego, czy się ją widziało na wprost, czy trochę z profilu, zarazem puciołowata (policzki) jak i szczupła (długi nos, suche kości szczęki, szpiczasty podbródek). Widać, że wiele i bezskutecznie się w życiu odchudzała, pomyślał. Leniwy biały sweter, tak gruby jak cienkie były sandałki, zakrywał jej biodra,

i gdy się odwróciła, kształtny ale szeroki – za szeroki, nie do wychudzenia – zad. Ale była miła, pomyślał, było coś podstawowo, od zawsze miłego w jej uśmiechaniu się i krągłych kobiecych ruchach, do których nie był przyzwyczajony: przyzwyczajony był do energicznych młodych kobiet robiących karierę, do ich szorstkich, lekceważących lub władczych ruchów, do ruchów własnej żony, która własny film ponoć reżyserowała w Los Angeles, do kobiet nerwowo palących papierosy, do kobiet myślących i chciwych, do kobiet.

Dlaczego uznał, że ona jest niemyśląca? Bo łagodnie, i z cieniem afektacji przesunęła ręką po nienagannie zaczesanej lśniącej głowie, i wciąż uśmiechała się, przebierając palcami w torebce, do której składała szminkę za puderniczką i wodą toaletową, którą się odświeżyła? Czuł jej zapach, był chemiczny w świeżej obcości nocy, przypominał miasto. „Naprawdę strasznie mi przykro, że przeszkodziłam” powiedziała „i starałam się odjechać, ale nic a nic nie rozumiem się na samochodach, a on mi zgasł definitywnie” (użyła słowa definitywnie) „tuż przed nadleśnictwem, o tu” pokazała, na wysokości tych dwu domków, o których on nie chciał myśleć, „no i masz babo placek” roześmiała się. Zęby miała równe i zadbane, w każdym razie wyglądały na własne, pomyślał wpatrując się z ulgą, że nie będzie musiał odwracać od jej szybkiego uśmiechu spojrzenia, będzie mógł, gdyby mieli

konwersować dalej, patrzeć na jej lśniące usta, wykrojone w łagodny łuk kącikami do dołu, i podnoszące się do góry na zębach prześwielonych gwiezdny blaskiem jak rentgenem, mlecznych i tylko trochę niebieskawych.

„To znaczy” powiedziała „ja jechałam do pani Musi, by spędzić w Karwicy kilka ostatnich dni tej pięknej pogody, ale pani Musia wycięła mi numer, zwijając kram wcześniej niż co roku, a pan wie, jak trudno się do niej dodzwonić, czy dogadać przez telefon”. Nie zdążył kiwnąć głową, gdy ona pociągnęła dalej: „albo mnie się dały pokićkały” powiedziała, „choć jestem raczej z racji swych zajęć akuratkna, w każdym razie zastałam drzwi zamknięte i całą Karwicę wymarłą, i postanowiłam pojechać do Mrągowa, by przemocować, i oddać samochód do warsztatu, by przestał czkać”, powiedziała „a pan wie, że tędy jest dobry skrót do szosy” powiedziała, i znów zanim zdążył przytaknąć powiedziała „do Mrągowa, bo jest tam otwarty przez cały rok pensjonat, choć trochę za drogi dla mnie, nowobogacki z nartami wodnymi, ale na jedną noc mogłabym się szarpnąć” powiedziała, „jako że w Piszcu, który jest bliżej, nie ma przecież nic” powiedziała, „a gdy jechałam tędy” pokazała, „samochód zgasł mi definitywnie” powtórzyła „i zobaczyłam zapalone światło w oknie, więc rezolutnie wjechałam, i ucieszyłam się” powiedziała, „że są tu ludzie, ale nie rozumiałam, jak

to się stało, przez ostatnie trzy lata przecież handryczą się o to nadleśnictwo, i Musia machnęła ręką, i tak to smutno i w porzuceniu stało” powiedziała, poprawiając sobie kask włosów nad skronią. Na rękę miała obrączkę i pierścionek, ale nie porodzinny, tylko z „Jubilera”. Samochód był nienajnowszym japończykiem. „Z jakiej racji pani zajęć?” zapytał. Ona spojrzała na niego spokojnie, i zobaczył, że twarz ma, pod warstwą pudru, humorystycznie dziecinną.



„Jestem polonistką” powiedziała, „wie pan, jest taki zawód bez zawodu, gdy się nie naucza w szkołach, trzeba imać się tego, co się nadarzy” powiedziała, „już ojciec się zżymał na ten mój żałosny wybór, cóż kiedy ja tylko w świecie słów czuję się u siebie w domu. Słowa” powiedziała „umieją mi przymglić niedobry świat” powiedziała „i potrafię się naślodzić jednym zdaniem do zachłyśnięcia, gdy to zdanie nazywa świat” powiedziała. „Nazywa świat?” zapytał nieostrożnie. Było mu zimno, nazywanie świata wydało mu się zamiarem absurdalnym, jak i jej afekcja, zgrzytem, fałszem, egzaltowanym pustogadaniem. „By powiedzieć coś o tekstach, które starają się zachować precyzyjną, niespodziewaną zdolność określania, piszę coś rozmazanego, papkę przymiotników, jakby wszystko to, co tak jasno a uważnie rozumiem, zamieniało się pod

moim piórem w kobiecą mgłę” powiedziała. „Jakieś wielokropki, wykrzykniki”, uśmiechnęła się, „i jeśli nawet ja rozumiem intuicyjnie, co chciałam przez to powiedzieć, to nikt poza mną, czyli nie jestem pisarzem” powiedziała. „Dlaczego pani mi to mówi?” zapytał z niecierpliwym, już podszytym ironią zdumieniem. Wtedy ona powtórzyła „pan mnie zgoła nie pamięta?”.

Wpatrzył się w nią i pokręcił głową przecząco, bo jak jej powiedzieć, że coraz mniej kogo poznawał, zapominał nazwisk i zdarzeń, zapominał treść książek, numery telefonów i całe epizody z własnego życia, ogałacał się do kości z samego bycia i samego zastanowienia, nawet tego bez słów i bez przypisanych im znaczeń, a w tym ogałacaniu słowa i skojarzenia nabierały nieoczekiwanej barwy, łącząc się z rezerwuarem napełnianym przez całe pracowite życie, ale wyonaczając każdy sens pierwszy, wybiegając daleko w pole i donikąd, w pole marzenia, w pole zatruty odpowiedzialności, w puste pole. „Nie” powiedział, „nie kojarzę”.



„Przyjeżdżałam tu z pierwszym mężem od pierwszych wakacji, które państwo tu spędzali” powiedziała „pan, pańscy rodzice, bracia, młode i zmieniające się” uśmiechnęła się „żony, kochanki, potem dzieci” powiedziała. „Byłam wte-

dy na studiach, tak okropnie chuda, pewnie szkaradna. Musia uważała, że należy mnie dopychać kluchami, bo mi kości sterczą przez ubranie” powiedziała, „a mój mąż nieledwie lepiej wyglądał, jakoś tak ze studencka omszały, milkliwy, pełen życia wewnętrznego tak zachwyconego i zbuntowanego zarazem, że umiał okazywać tylko coś w rodzaju pogardy, wzgardy dla rzeczywistości, kłamstw, komunistów, filistrów, tchórzy, wzgardy, tak” powiedziała. „Musieliśmy stanąć tak chudą odstręczającą parę, że nas nie zauważano, mieszkających w namiocie najczęściej o tu” pokazała palcem w głąb podwórza, gdzie warzywny ogród kładł się pod stare dęby, „bo nas nie stać było na pokój, żyliśmy własnym życiem i czytaniem i ja go bardzo kochałam” powiedziała. A potem on umarł i przez rok czy dwa lata nie przyjeżdżałam, nie pamiętam”, tu przesunęła ręką po czole, bo podmuch chłodu zwiął jej na oczy kilka zalakierowanych włosów, „pojechałam raz sama, ale to było nie do zniesienia, i na następny rok przyjechałam z drugim mężem, to znaczy” powiedziała, „z tym, z którym się nigdy oficjalnie nie pobrałam osiemnaście lat” powiedziała, i już nie byłam tak chuda” powiedziała „i coraz mniej byłam chuda, niestety” powiedziała, „ale on był bardzo dobry, wielkolud prawie, więc może pan skojarzy taką śmieszna parę, on duży a ona mała, miałam zawsze takie czarne włosy zaczesane w kok, a on był raczej turystyczny i chodził trochę przygar-

biony, taki zwalisty” powiedziała, „może pan nas przez te lata i wspólne tu stołowanie, a nawet mieszkanie, gdy mąż zaczął lepiej zarabiać” powiedziała, „sobie przypomni?”.

Wydało mu się, że jak przez kilka szyb, i nudo, widzi ową parę nieostro, rozbarwioną lekkim światłem, wychodzącą ze stołówki na ciepłe powietrze, oddalającą się w las, on z ręką na jej ramieniu, ona niska, młoda, zapewne młoda z tym czarnym warkoczem. „Nie” powiedziała „nigdy włosów nie ścinałam, kobiety ścinają włosy po pierwszy dziecku, jakby chciały się w ten sposób odmłodzić, a dają tylko znak, że się zestarzały. A ja nigdy dzieci nie miałam” powiedziała. Bez żalu, a jednak? Zdjęła paproszek z białego swetra, biały w nocnym świetle. To, co on oczami przypomnienia dojrzał, było z jej słów, a nie z pamięci. Nie, nie pamiętał. Może jej uśmiech, radosny w tej szerokiej pulchnej twarzy, którą zachowała? Twarzy ofiary, twarzy kobiety poddanej losowi, zgodnej z najgłupszym mężczyzną. Kobiecość. „Ja przyznam się” powiedziała, „że przez cały czas się w was podkochiwałam. To znaczy w panu, ale i w pańskich braciach, a nawet w pięknym waszym ojcu, we wszystkich, nawet w waszym życiu, w kobietach, które obdarzaliście swoją uwagą. Byliście jak czarne ptaki, czarne bociany, jastrzębie czy orły. Z tymi oczami. Z tymi nogami” zaśmiała się, tym razem zasłaniając sobie miękkie usta ręką. Pulchną ręką.

ką z wylakierowanymi paznokciami. „Było to bardzo idealistyczne z mojej strony. Platoniczne. Niezauważalne, prawda? A przecież zaprzyjaźniałam się z każdą porzuconą przez was kobietą, żoną czy konkubiną, która od was odchodziła. Niektóre z tych związków utrzymuję do dziś, z tymi, które żyją, i z tymi, które zeszyły”. Przeżegnała się drobnym ruchem, pod szyją, i ręka jej została tam, przy pulchnej szyi i krzyżyku.



„Ja bowiem kocham sztukę” powiedziała”, a pańska rodzina jest w niej skąpą. U pańskiego ojca, po studenckim debiucie w poezji, nurt ten leżał równolegle, a dokonał się wtedy, kiedy marksizm się przewiał i filozofia w Polsce jakby oniemiała. To wtedy ojciec pański napisał te swoje wciąż drobne, ale najdoskonalsze utwory. Jakże bardzo smukłe, a pocieszające dla ducha, i jakże pięknie w polszczyźnie wysłowione. Pański brat średni zaczął drukować w prasie katolickiej te finezyjne a przejmujące eseje, jakby z młodym olśnieniem inteligencji, z żarzącym światłem podejmował to, co najlepsi, ci najbardziej jaśni, Teilhard de Chardin, Küng, von Balthasar mężnie, ale też delikatnie, wytrasowali. Pański brat najmłodszy publikował wiersze tak obiecujące, wciąż tuż tuż przed eksplozją i rewelacją. A potemście zamikli. Jakby wszyscy razem, w tym samym czasie. Ja każdej pańskiej

pracy, każdej kolejnej uniwersyteckiej książki czekałam. Stawały się coraz bardziej nerwowe, hermetyczne. O, wciąż jeszcze w nich wyczuwałam to zimne piękno, piękno doskonałego języka. Ale coraz częściej jak poblask, jak światło księżycowe, jak coś – zawahała się – co się oddała. „Ja” powiedziała, „jestem polonistką, a te dwa lata u pańskiego ojca to był dodatek do doktoratu. I nigdy nie znajdowałam w tym, co pan pisze, wiele szczęścia. Tyle, że czekałam” powiedziała. „Na co czekałam, nie wiem. Choć wiem. Oglądałam pana i widziałam pańską nieobecność, i widziałam pańskie abstrakcyjne życie, więź z ojcem, przyjaźń z braćmi, najzupełniejszą obecność wobec tego, co poniewierało nasz kraj, a przecież obecność, i się nie doczekałam. Ani ojciec, ani pan, ani bracia nie dopisali”. „Czego?” zapytał, i usłyszał swój ochryply głos z przykrością, kołatkę zębów, suchotę języka.

„Ja przepraszam” powiedziała, „nie wiem, co mnie napadło. To bardzo niemądrze z mojej strony. Ja przepraszam. To jakieś nachalstwo”. Obróciła się lekko w bok i otarła policzek końcem palców. „Ale to spotkanie” powiedziała „poruszyło całą moją młodość, i dalej”. „Czym zajmował się pani mąż?” zapytał, żeby coś powiedzieć. „Ten pierwszy był jak my wszyscy” powiedziała „w opozycji. Partia pseudotaterników, przemycających zachodnią emigracyjną literaturę. Siedział w więzieniu, angażował się we

wszystko, co było anty. Strajki, KOR, latający uniwersytet. Co tylko. Znaleziono go roztrząskanego na klatce schodowej w Krakowie. Myśleliśmy, że to milicja, konfidenti, bandziory. Do dziś mimo procesu nic nie udowodniono. „A dziś? zapytał. „Dlaczego pan pyta?” powiedziała, „chce się pan zasmucić? Drugi mąż był działaczem na szczęblu kultury. Pracowitym, ofiarnym, w Partii. Wizerunkiem uczciwego człowieka. Takim, co pisze do Nowych Dróg, a chce awangardowych teatrów. Długie lata minęły zanim, zakochana w jego prawości, a był dzieckiem proletów i wiedział, co to nędza, zrozumiałam, że do działalności w kulturze przeszedł z UB. „I co wtedy?” zapytał. „Nic” powiedziała „nastąpił wewnętrzny rozwód”. „Ale nie zewnętrzny?” zapytał. „Proszę pana, wyrokować można z twardych zagranic, ale to przepląca się chorobą, którą nazywam chorowaniem na zło. Rozwód wewnętrzny był tylko przypieczętowaniem faktu, że prawdziwie nigdy go nie kochałam. Wydobył mnie z tragedii śmierci po tym, i” zawahała się „pan się uśmieje, troszczył się o język polski. Robił, co mógł dla Marii Dąbrowskiej. Nawet was otaczał delikatnym płaszczem opieki. Przecież żyliście jak europejscy panicze”.

„Tyle, żeśmy za to płacili” powiedział szorstko. „Mnie dwukrotnie z kraju wyrzucono”. „Znalazł pan wzięcie w lepszej zagranicy” powiedziała.

„Bo umiałem” odpowiedział oschle. I dodał „brat, jak pani zapewne wie, dwukrotnie popełnił samobójstwo. Był za zdolny. Rozpił się. Słowa od niego odeszły. Dlatego stał się malarzem, by wiedzieć nie myśląc. „Jak pan?” zapytała. „Może jak ja. Jak ojciec” powiedział. „Czy to nie pani mąż go sugestywnie nakłaniał do pisania w gazetach paskudztw o ostatniej linii Partii?”. „I miał spokój” odpowiedziała, „by zachować wewnętrzne skarby.” „I stał się przeto” powiedział, najzupełniej niechcący „otchłannie milczący, nawet wtedy, gdy mówił”. „Oтчłannie milczący” powtórzyła „jak to frapująco napisane”. Zachnął się. „Może wejdziemy” powiedział „ta rozmowa nie ma końca. A rozumiem, że pani nie może odjechać”. „Ja wcale nie chcę odjeżdżać” powiedziała.



„Piszę o was hasła do słownika biograficznego” powiedziała, gdy weszli do kuchni. „O całej rodzinie. Z ojcem zdążyłam jeszcze przed śmiercią porozmawiać. Z braćmi. Dziś rano” powiedziała „byłam w Operze, gdzie brat ustawia dekorację do Straszego Dworu. To on mi powiedział, że macie zamiar, jak powiedział, posiedzieć nad wodą. Nierozumnie” powiedziała „przyjechałam. Ja tu co roku przyjeżdżałam przez ostatnie lata, kiedy wyście przestali. Może jestem bardziej wierna” powiedziała. „Czemu?” zachry-

pieł. Ona stała czarnowłosa i obfita w tym białym puchatym swetrze, jakaś taka najzupełniej absurdalna, z torbą w rękę, której nie pozwoliła mu wynieść z bagażnika. Jej krągła twarz ścięła się od wewnętrznej suchości, i powiedziała „to nie wszystko. To mój drugi mąż był sprawcą śmierci pierwszego. Czy go sam katował na tej klatce, czy dał polecenie i przyglądał się. Tak trafił na mnie, że przyjeżdżałam do męża do Krakowa. To wszystko wyszło na jaw podczas procesu. Tak więc chodzę sama po świecie. Zatrudniam się przy encyklopediach i gdzie tylko powstają jakieś słowniki czy leksykony. I staram się, by były po ludzku napisane. Z pana bratem biskupem współpracowałam przy słowniku teologicznym, który robili w Krakowie księża jezuiti. Żaden poza nim po polsku nie umiał pisać”. Spojrzała na leżącą na stole encyklopedię leśną. „Tu też znajdzie pan moje nazwisko w stopce redakcyjnej” powiedziała. „To było miłe zajęcie, lubię las. Miłosz napisał: „*leśne życie obok sąsiedniego, polowego*” zacytowała. „Użył takich ładnych słów: narestują szczupaki. Albo: oścień, ponowa, jedlina. Zapamiętuję sobie takie nazwy, jak *obumilek spłaszczony*, *rizophagus depressus*. Obumilek, to ja, spłaszczona” zaśmiała się. „Ryżowy figus w depresji”. Śmiała się, gdy się śmiała, szczerze, otwarcie, pomyślał. „Ale najlepszym wydał mi się” powiedziała, „niecierpek popolity: *impatiens noli tangere*”.

Patrzył zdumiony na tę pulchną krąglooką kobietę, którą zajmowało to, co jego. Ale jego z pustki graniczącej z obłędem, a ją z czegoś stałego, podobnego do rozkochania. *Impatiens noli tangere*, powiedział sobie, nie wolno więzić niecierpliwego. Uśmiechając się do siebie. „Czy zapamiętała pani coś z jezuickiego słownika, co godne by było uwagi?” zapytał. „Bardziej imiona niż pojęcia” powiedziała. „Na przykład Alfejusz z Pizydii”, powiedziała, i roześmiała się znowu. Jej zęby były mokre i gładkie. „To brzmi seksualnie” powiedziała „nieprawda?” Coś ironicznego w spojrzeniu jej pustych, jakby wyplakanych oczu, skośnie i spodełba. „Imię *Chryzogon* też było niezłe”, powiedziała. „Jakoś chciwie zmysłowe, jak pies co się we własny ogon gryzie. Albo *Amfileusz*, nieodparcie mi się kojarzący z francuskim *enfiler*, wymawia się tak samo, a *enfiler* znaczy przenikać kobietę w akcie płciowym, i to raczej analnym”. Patrzyła uważnie na niego, a on poczuł się nieswojo. „Czy ja pana szokuję?” zapytała, „bo jeśli, to przepraszam”. I dodała: ach, i podobało mi się imię *Charytyna*. Jest w nim i *caritas*, i harowanie, i coś uporczywego, jak kataryna. W sumie daje to litościwą kobietę, rozładowującą żołnierzy gratisowo z napięć pożądania. „A pani?” zapytał „jak pani na imię?”. O, brzydko, powiedziała. Henryka. „Henia” powiedział.



Nad czym pan teraz pracuje? zapytała, gdy wróciła z pokoju, który jej wskazał, bo było w nim ciepło od brązowego pieca. Wróciła bez swetra, i z jedwabną chusteczką zawiązaną niegustownie na szyi, węzełek pod uchem, które było małe i krągłe. Odsunęła się, zapachniała. Chciał jej opowiedzieć, że nad niczym, ale zmieszał się i zamilkł. Nad narządem gębowym entognatycznym, pomyślał. Sztyletem brzuszny albo gimnoparią, kojarzącą mu się z parzeniem w sali gimnastycznej. Pomimo swych lat, ta kobieta – Henia? – przypominała mu koleżanki z licealnej klasy, które chłopcy podpatrywali z balkonu na lekcji gimnastyki. Jak wymachują białymi nogami w czarnych rozłożystych majtkach. Czasem w rozkroku migwały im zarośnięte czarne płci. Nieoczekiwanie poczuł, jak porusza się w nim wyrostek paranotalny. Przeplecze zsuwało się z *panticulusa*, twardniał wysunięty *trochantyn*. *Mieczyk* zapiersia wpierał się w opone pulsującą, a *anapisternum* i *bazysternum* rozdymały się nerwowo, nie mówiąc o stawie saneczkowym. *Trigonum copulatrix*, słaby skleryt kopolacyjny połączony z grzbietową częścią penisa, zapamiętał, bo przywiódł mu na myśl skojarzenie z trójkątem. I chciało mu się śmiać.

Odchrząknął i powiedział „wyrzuca nam pani, żeśmy się nie spełnili. Myśmy, myślę, dobrnęli do siebie. Tu nie ma więcej pretensji. Są strzępiki, cząsteczki podstawowe. W tej ciszy” zawahał

się „jest Bóg”. Patrzyła na niego pusto i nieufnie, i powiedziała: ja zupełnie nie rozumiem, co pan mówi. Toteż stał wysoki i ciężki i chciał powiedzieć tej obcej irytującej kobiecie, że on sam nie wie, co mówi, bo sam nie wie, co myśli. Ja się topię, chciał powiedzieć. Czy dlatego ona też tu przyjechała, by go przebadać? By się przebadał? Jest za późno. Nie ma lekarstwa. Powiedział: kiedy wykładałem o pisarstwie Herlinga-Grudzińskiego, w dwunastu tomach jego literatury chorej na śmierć znalazłem tylko jedno zdanie. „Jakie?” zapytała. Tylko to w nim się odstało, toteż zacytował: „w jego sercu otworzyły się na powrót wszystkie dawne i świeże rany”. „To też pani historia?” powiedział „z tym pierwszym mężem zabitym na schodach i pani wyjściem za mąż za mordercę, czy tak?” Miała bardzo duże, przesadnie duże piersi i była bardzo krągła w biodrach, nie krytych teraz swetrem, jakby chciała się mu pokazać. Pokruszony beton, sterzące i śmierdzące cegły, rdzawe żelbety wpadające w rwącą i brudną, zbełtaną i przyziemną dziką wodę, pomyślał. Nawet ruiny ich są szkaradne. „Źle się pan czuje?” zapytała. „Zwyczajnie” powiedział, bo uchwyt (wyrostek paranoi-dalny, pomyślał) zelżał na tyle. Jedyne, co formułowało mu się w głowie, to: nieprzyzwoitość. Nieprzystawalność. Nieobecność, chciał powiedzieć: nieważkość. Czyżby usłyszał, jak głośno wymawia: retraktor pęcherzyka wciągalnego?



Ona, stojąc przed tym stołem z wiktuałami, odwróciła się półprofilem do okna, ciężko i ze zdecydowaną pretensją (złoty paseczek od zegarka) i tym ładnym altem powiedziała „a mnie słowa uskrzydłają. Jeśli jestem kobietą wyzwoloną, to przez słowa bardziej niż przez seksualność. A przecież ten mord i to nieszczęście spowodowały, że żyję w więzieniu. Tragedia to to, co nieodwracalne. A przeto, będąc nieodwracalną, przynosi zniewolenie. Nie mogę nic na to poradzić, jestem rzeczywista, ale tylko fikcja mnie uduchawia. Nie mogę przecież powiedzieć, że jestem szczęśliwa, ale nie mogę powiedzieć też niczego innego. Czy sądzi pan, że milczenie jest wyższą formą, czymś lepszym, niedzielnym, bardziej bogatym? Milczenie może też być z ubóstwa czy głupoty. Ale milczenie literatury jest straszne. Jak można je tłumaczyć?”



Wróciła do swego pokoju i co tam robiła nie wiedział. Stał w oknie, odbity w mgle światła na szybie, za szybą noc. Potem usiadł przy stole i kartkował słownik. Apofiza. Oskórek poczwarki. Epifurka, coś z ciastek, albo dziewczęcej lekkości. Wszystko tłumaczyło się samo w sobie. Henia wysuwająca okolicę. Pole analne. Chorda. Sursum corda i zapasy dwu ciał splecionych. Je-

stem uskrzydłona, czy tak ona powiedziała? *Henia*? Boska czystość, pomyślał, i nie wiedząc, co czyni, zsunął się z krzesła. Trwał na kolanach bez obrazów i bez życzeń. Potem się podniósł i zaczął szatkować kapustę i kroić mięso i przygotowywać kolację.

Poszukał garnków i znalazł pordzewiałą patelnię, którą odskrobał, i użył oleju słonecznikowego ze stołu, tego z zatyczką z gazety zamiast korka, nalał oleju na patelnię i zajął się wygrzebaniem popiołu z kuchenki i załadowaniem w nią szczapek i gazet zebranych z podłogi, ale nie rozpałił ognia, tylko odłożył zapalki, i napił się wódki, i poszedł korytarzem do pokoju, w którym ona była, a gdy wszedł zgasił światło, tak aby smuga elektryczności z kuchni stłumiona i wąska szła przez drzwi za nim, i żółtym, jakby mokrym światłem wyodrębniała łóżko z pomroki, na tyle by je widział nie widząc jej (jej czarnej głowy) siedzącej z rękoma splecionymi spokojnie na kolanach biało, i niczego więcej.

Usiadł obok niej i chciał powiedzieć, jak bardzo jest nieszczęśliwy, ale ona podniosła oba tęgie ramiona (szpiczaste łokcie, biała jaśniejsza skóra obnażonych przedramion), i wyjęła z włosów liczne spinki i zatrzaski, i jej czarne farbowane włosy sypnęły się wokół krągłej twarzy na kark i ramiona. Dotknął jej głowy, a ona przechyliła się z ruchem jego ręki do jego kolan i ud, i wyję-

ła jego płeć ze spodni uwierających go sztywno, i wzięła jego płeć w usta, nie pamiętał, że cudze ciepłe usta mogą być tak miękkie i nieoczekiwane, pomyślał, a gdy wstał, ona osunęła się na kolana, tyle że on podniósł jej głowę oboma rękoma ku sobie i powiedział „słyszę samochód. To zajechał samochód, przecież czekam na mojego brata”. Wyszedł, podczas gdy ona spinała sobie spokojnie włosy w kok, objął ją tylko szybko w szeroką talię i pocałował w pulchny policzek, i poczuł śmieszny żal, że nie uwolniła tych pięknych idiotycznych piersi dla niego. Poszedł korytarzem do drzwi na podwórze, i zobaczył jak brat pomaga wysiąść z mercedesa kobiecie szczupłej i jasnowłosej, obracającej się od razu tyłem do domu, jak brat wyjmuje torby z bagażnika, które pochwytuje w jedną swą mięsistą rękę, by drugą ją za łokieć podprowadzić do wejścia. Odsunął się nieco w drzwiach, gdy przechodzili, ta kobieta zwróciła twarz w bok, by na niego nie spojrzeć, a brat wyduł usta w grymas milczącej zgryzionej niepewności, na znak owego czegoś nieodwracalnego, co on rozpoznał między nimi, i co z nimi weszło do domu.



Wrócił do kuchni i starał się upitrasić coś z jajek, warzyw i sałaty, i starał się usmażyć drobno pokrojony schab w przyprawie „Winiary” z dodatkiem cukru, soli i octu, ale doszedł brat i wyjął mu

patelnię z ręki, i szybkimi tęgimi dłońmi zaczął uprawiać hokus pokus w poszatkowanych ingrediencjach, a na stole postawił papierową torbę z ziołami, bo brat nigdy się nie poruszał bez dodatków ulepszających strawę; brat biskup gotował spośród nich najlepiej. Więc on odsunął się od kuchni i myślał, pomyślał – była to pierwsza artykułowana myśl w wielu słowach od przyjazdu tutaj – że dlatego nie umiał niczego od siebie powiedzieć studentom o pisarstwie Gustawa Herlinga-Grudzieńskiego, iż za parawanem jego skromnych i surowych słów kryła się grafomania, opowiadania takie jak *Pietà di Isola* były pisane stylem pompatycznym, który był patetyczny, a nieustanne uskoki smaku – stylu – tego myśliciela, sam tytuł na przykład tomu szkiców (tak się nazywało owo) „Wyjście z milczenia” wskazywały na głuchotę czy ślepotę literacką, czy też jej płaskość. Jak można dziś napisać, zapytał sam siebie, że coś jest w kolorze farbki, czyli w barwie barwy, czy że noc podnosi się jak wachlarz, albo że Neapol jest na kształt skorpiona? Jak można poważnie brać pisarza, którego każdy opis jest niejasny, zaciemniający topografię, azmysłowy? Owszem, politycznie lub religijnie, dlatego mógł o tym z przyjaciółką porozmawiać. Moralność była grafomanią. Literatura w odróżnieniu od etyki nie jest zależna od śmiertelnego kultu jednego Bóstwa, ale od bożków i boginek koziołkujących w biały dzień, w trawie i powietrzu i kobiecych zmysłach, tak wtedy uważał.

Otwarł usta, ale brat odezwał się pierwszy, energicznie potrząsając tym, co wrzało na patelni: „przemykaliśmy od kruchty do kruchty zupełnie jakby to była konspiracja” powiedział, „i w sensie prawnym była, ale w sensie ludzkim nie” powiedział, a on zapytał „jakże?” „Bo jej potrzeba była z miłości, a co jest bez miłości?” zapytał brat. „Nic, nic” sam sobie odpowiedział „jak moje życie”. Zaczerwienił się od żaru fajerek, ale zimno, jakie miał w sobie, pozwalało mu mówić, bo jej nie było przy nim, nie było jej martwoty i dokonania, było jego niedokonanie białe i ciężkie, niespodziewanie odkryte, a wyrażające się czymś w rodzaju podniecenia wobec samego siebie.

On był starszym bratem, i chciał powiedzieć „uważaj, co robisz, uważaj co z tobą”, ale nie wiedziałby w imię czego to mówić, i przypominał sobie milczenie ojca, gdy brat szedł do seminarium, żadnego komentarza, nigdy żadnego komentarza, gdy on sam przyniósł ojcu pierwsze próby literackie, żadnego komentarza, gdy ich zaniechał, żadnego komentarza wobec ich żon, dzieci, szczęść i nieszczęść, nic, raz tylko milcząca zaślepiła furia, z jaką ojciec uderzył, a potem skopał najmłodszego ich brata za nieuczciwość, kłamanie, za – pomyślał – bylejakość. Nie powiedział nic i starał się nakryć do stołu obłomkami talerzy i aluminiowych sztućców z powykrzywianymi zębami, tymi, co znalazł w kredensie, nalał bratu i sobie

wódki i napili się, jednym ruchem podrywając wstecz szklankę do siebie, jastrzębie ptasie głowy, brata bardziej obrośnięta tłuszczem, obaj płynący w swym odkryciu, brat teolog i on poganin.



Obie kobiety weszły na raz do kuchni, tęga przodem w białym swetrze i uśmiechnięta przyjaźnie, tamta – sucha – ścierpnięta i sztywna i nieodpowiadająca na uśmiechy, więc gdy usiadła (od przyjazdu nie zdjęła płaszcz: płaszcz był zapięty pod szyję, najzupełniej schludny i gładki), tęga czarnowłosa (Henia) pochyliła się nad nią i zapytała: czy coś pomóc? Czy źle się czuje? a brat biskup odwrócił się do niej od kuchni i powiedział „o, pani Henia, co za miła niespodzianka”, i on sobie przypomniał, że gdy brat szedł do seminarium, mówił ze śmiechem, że zostanie generałem jezuitów. Brat wytrzepał to, co usmażył, na talerze i sam wziął się do jedzenia, i wciąż buzowało (szło) od niego chłodne podniecenie, jakby go energia rozpierała, choć ładna i szorstka kobieta, którą przywiózł, nie jadła, raz i dwa dzióbnęła koślawym widelcem w talerz. Włosy miała szaroblade i twardo zwętnione, niby z drucianej gąbki, i trzymała głowę pochyloną, a on czuł, jak w miarę napływającego od niej milczenia brat się zmieniał, jak zalegał w nim znowu niecierpliwy ciężar. Jakby to ona na niego swą martwą i pustą sieć zarzucała.

Tęga kobieta przy nim jadła delikatnie i krągło swym połamańcem, a on patrzył jak brat – wprzód z apetytem, a potem, pomyślał, obsesyjne – jadł, żarł, więc wstał i podszedł do swojej torby i wyjął kolejną butelkę i nalał wszystkim wódki. Sucha kobieta podniosła kieliszek i wypila cały, nie jednym haustem, ale nie odrywając kieliszka od ust, i odstawiła go i powiedziała; czy możnaby przygasić światło? Głos miała schryplę od długiego niemówienia, cichy, wysoki i pospolity, i on wstał i zgasił światło w kuchni i siedzieli przez chwilę przy stole i widzieli w oknach białe światło czarnych gwiazd, a potem kobieta powiedziała: jestem gotowa, czy możemy pójść się wypowiedzieć?



Jego brat wstał, ta kobieta wstała i poszli do sąsiedniego pokoju, a idąc w korytarzu też zgasili światło. Nie domknęli za to drzwi, i po chwili dobiegł z pokoju do ciemnej kuchni szmer głosu kobiety, równy, równie sztywny co cała ona, suchy choć lejący się jak drobny deszcz. O parapet okna rozstukał się deszcz, oślizgły deszcz o szyby, rzęsisty deszcz tam wyżej, o dachówki, dom jak bęben, miękki deszcz tonął w gałęziach drzew, nim pocznie się z nich, przeciążonych, zsuwać w mech i ściółkę, i tworzyć w nich węzowe szkliste ścieżynki, wężyki, dorzecza. On nie mówił nic do tęgiej kobiety, zaledwie mającej

w białym swetrze, do jej niewidocznej twarzy (plama), do jej długiego nosa, do jej ciepła. Jestem u samego progu czegoś. Nie umiem nazwać tego nowego świata, który staje się dzięki tamtemu, staremu. Czy trzeba było prób, czy cierpliwości, czy tylko nieczekania. Czując próg, co w łaskę mnie wyposaża. Ona wyciągnęła rękę, i wzięła go za rękę. Nasłuchiwali szumów i szelestów, niewyraźnej spowiedzi i wyraźnego deszczu. Potem wstali i wrócili, trzymając się za ręce, do pokoju kobiety, gdzie w ciemności rozebrali się, pozostawiając rozrzucone ubranie na podłodze, i objęli się na łóżku.

Nie było chłodno, i kobieta w mroku nie była wstydliva, tylko bardzo biała, krótka, obfita i niespodzianie (gimnastycznie) giętka. Jej piersi były zwieńczone maleńkimi sutkami, i przypomniał sobie, że niczego nie mówiła o dzieciach, więc dzieci chyba nie miała. Znów przegięła się do jego płci, ale on ją obrócił na sobie, sam leżąc na wznak, tak aby go okraczyła, i by mógł zająć się nią. Opanowało go, jak w Berkeley, zapamiętanie miłosne, ale wszechmocne. Wjadał się w nią, sprawiało mu to lotną przyjemność i zapomnienie siebie, jakby bezboleśnie i bez znaczenia biegli w czystym krajobrazie. Czuł bardziej ją niż siebie, uczucia zlały się w jedno, ona zakrzyczała i on zrozumiał, że chciałyby go kobieco wziąć w siebie, ale wciąż wpierał się w nią i wymazywał sobie twarz jej szybkoschnącą mu

na ustach i oczach mokością, a kiedy ją obrócił i wszedł w nią nie było to lepsze, może dla niej, spazmatycznej pod nim i rzucającej się twardym i coraz twardszym ruchem całego ciała, nie był w niej dla niej, ale coraz bardziej dla siebie, bo dotknął tej samej tajemnej radości, tego samego przejścia na drugą stronę, co w lesie.



Wstał, i poszedł do kuchni napić się wody, ale zarazem by nie być przy tej obcej kobiecie, i w świetle żarzącego się spod fajerki płomienia (pomarańczowym i rudym i fioletowym na ścianie) zobaczył słownik morfologii owadów odsunięty na kraniec stołu i usłyszał szelest głosu suchej kobiety z sąsiedniego pokoju (czyżby wciąż się spowiadała?), więc wyszedł cicho na korytarz i podszedł do otwartych – rozchylonych – drzwi, i zobaczył, oczyma nawykłymi do mechaty ciemności i światła deszczowego, kobietę klęczącą na podłodze przy łóżku i jego brata stojącego w kącie pokoju przy oknie, obrysowanego tym nocnym mokry światłem, z twarzą wykrojoną białoseledynowym poblaskiem i otwartymi nieruchomo, pośniewającymi oczyma.

Koszyczek, grzebień, szczoteczka, powiedziała schrypła kobieta. Przyłga i noga analna. Diafragma i kąt humeralny, a Humer było nazwiskiem kata z UB, który tak strasznie torturował wię-

źniów. Gonokoksa, powiedziała. Wyrostek rylcowy ósmego sternitu. Ramus, jak ósma pieczęć z Apokalipsy. Padło z jej ust słowo hamowidło. Narząd oddechowy, jakby przez cały czas mówiła o sobie. Otwór genitalny. Odwłok. Wyrostek szczytowy. To o jej partnerze? Pseudopodia. Prozopodia. Pseudomiłość. To, co uprawiała, gdy zdradzała męża? Posuwka, powiedziała, tak to było, ale on był młody. Jej kochanek. Zacięty. Chmurny. Prowincjonalny. I, wydało jej się, zły. Uszko. Które lizał. Fałd, którego nigdy mąż nie wysycił, mimo że na początku, tak, uczciwie się kochali. Nigdy się nie dowiedział, jak go zdradzała. Przewód wytryskowy. Jej szaleństwo w ramionach młodego kochanka. Tyle czasu zapamiętania. Ile? Dwa miesiąc? Rok? Naprzód przez wakacje, kiedy przyszedł za rekomendacją z seminarium przygotować jej dzieci do egzaminów powtórkowych, zwłaszcza z angielskiego. Była słabą matką. Na prowincji. Mąż partyjny, ko-much, ale czy ona wiedziała, co to jest partia? Zawsze była wierząca, zawsze wszystkim ulegała. Chodziła do kościoła w niedziele i święta, mężowi nie wypadało, ale też nie przeszkadzał. Zара-biał dobrze w administracji, mieli co trzeba i samochód. Czasy szły ku lepszemu, męża mieli przenieść, trzeba było synów doksztalcić do wyższej szkoły. Poprosiła proboszcza, chciała kogoś uczciwego, ci partyjni to przecież byli same chamy.

To się wszystko działo pod Wałbrzychem, w górniczym terenie. Ów chłopiec, seminarzysta, był synem górnika i chłopki, która, młoda, przyjechała zza Buga. Był wdzięcznym młodzieńcem. Delikatnym, nieco dziewczęcym, jedynakiem. Któż wiedział, jakie go ambicje pożerały? Przeżerały? Matka oddała go do seminarium, gdy bardzo późno, w wieku lat trzydziestu sześciu urodziła drugiego chłopca. Seminarium było tradycyjnie pierwszą drogą dla pierworodnego, mógł zostać proboszczem, sufraganem, ba, kardynałem. Ale miał wiarę umiarkowaną, ba, okresowo nie miał jej wcale. Był też uczciwy i przyznał się do tego. Seminarium go wypuściło zarobić parę groszy. Rektor powiedział, że odczeka, aż wiara do niego powróci. Więc nie był w sutannie, o nie, wtedy by ona się nie ośmieliła. Bo kto kogo uwiódł, jak to się stało? Mąż w rozjazdach, w wódce i aparacie. W tym niedołącznym żłopiącym u brogu aparacie. Kiedy to było? Lata temu, powiedziała. Ile trwało? Z przerwami rok. W nocy ją ujął za rękę. Nie, powiedziała, skłamałam: to ja jego.

Z ogrodu zaprowadziła go do sypialni, obnażyła piersi, była jak oszalała. Czy nigdy nie był z kobietą? Coś przebaknął o narzeczonej, która puściła się z chłopakami, co z Niemiec przewozili wraki samochodów na lawetach. Albo kradzione. Jechały na Wschód dalej, albo sprzedawano je wyklepane. Mieli szmal, on nie. To stało się

wtedy, kiedy on powiedział, że pójdzie na księdza. Tu też niejasne było, co pierwsze, a co skutkiem czego. Tę dziewczynę ona raz widziała. Trochę ryżą, puciołowatą, z grubymi łydami. Poczula żądło zazdrości, choć była o wiele ładniejsza. Ja byłam piękna, powiedziała. Zadbana, umalowana, wypachniona. Cała zaczęłam pachnieć seksem, już tylko o tym myślałam. Czy czułam wyrzuty sumienia? Przecież mój ślub nie był kościelny, a mąż zbyt zajęty machlojami, by się ode mnie domagać. Zresztą, proszę księdza biskupa, czy można z dwoma na raz? Kiedy to z mężem robiłam, doznawałam na przemian wstępu i orgazmu, myśląc o tamtym, korepetytorze, śpiącym w pokoiku na poddaszu segmentu, w którymśmy mieszkali.



Stał i słuchał przez szparę drzwi uchylonych. Jego żona powiedziała to samo. „Czy wiesz o kim myślałam?” W nocy, na piętrze, gdy wziął ją w opuszczeniu i rozpaczy, i wypróżnił się od razu, ciałem tak rozdrażnionym, jakby było ze szkła. To było za drugą zdradą. Za pierwszą (nie można z dwoma na raz) w małym białym domku tam, za oknem, w lesie, gdy przyjechali ratować to, co było do uratowania, czego nie można uratować, co staje się niewyczerpalnym wstydem, upokorzeniem i organiczną wyobraźnią, było tak samo. Jej długie silne ciało. Jej jasne włosy. Jej potęga. Jej seksualność.

Brodawka płciowa, powiedziała klęcząca kobieta. Appendix genitalis. Basiperifallus. Penis. Człon nasadowy. Interwlvula. Hak supranalny. To robili. Dodatkowymi sklerytami kopulacyjnymi. Przyłgą. Ustami. W jamie titillatora. Chłopiec czy czuł, tamtej letniej nocy, fallotremę? Przytrzymała go, przywiązała kotwicą i hakiem i mówiła ancora ancora, jeszcze jeszcze. W jej zaćmieniu drżał lobus papillatus. Vomer subanalis, coś z wymiotów, gdy przestraszony podniósł się nad jej rozmiotanym ciałem. Leżała rozczwiartowana, rozdarta, i krótkimi spazmatycznymi oddechami oddawała powietrze z torebki kopulacyjnej. Złąły się ze sobą krańce warg pokładełka. Lingula i westybulum. Ptyche ventralis, brzuszna psyche, pycha seksualna. W stresie zginania gonepofizy. W miłosnym zmaganiu. W niekończącym się zmaganiu. Używał jej, przeszywając ją hipofallusem, który rozkwitł mu z chłopięcego pseudopenisa, epifallusem, tubą, tendonem. Obejmował ją narządem chwytowym. Bez dna, adscensio, wniebowstąpienie. Obnażony bezwstydnie worek prenupcjalny. Gruczoł wonny i kloaka usztywniająca fallosomę. Miłosną strefę, bazykonjuktywę ich ciał zakochanych. Na pewno zakochanych. Przy najmniej tak uważała. Forceps, otwierający ją przed nim. Anaprocessus, gdy mu się tak oddawała, jak chciał. Hypocuspis, jak bardzo go pożądała. Róg prącia. Pensifilum. Jak potężnie, jak miłośnie się oddawała. Insula, tak, to była wy-

spa. Cybarium, salivarium, ślina, tłok, labirynt, ampułka.

Po miesiącu stracili miarę. Jakby skandalu szukali. Raz na oczach synów ona go pocałowała. Wiedząc, że mąż ma wrócić z delegacji, zasnęły nadzy. Ona się o tyle opamiętała, że zaczęła się bać o niego, nie o siebie. Był o siedem lat od niej młodszy. Pomyślała, że nie może go zgubić. Przeżuwał czarne myśli. Co miał zrobić ze sobą? Po wakacjach znikł, tak było bezpieczniej. Powracał kilkakrotnie, nocą, ukradkiem. Dzieci za nim nie tęskniły. Był nieważnym korepetytorem, choć słuch miał dobry, i mówił po angielsku niemal bez akcentu. Dlatego go polecono. Sam się nauczył, z kaset. Był inteligentny, czy raczej: bystry. Groziło mu wojsko. Wrócił do seminarium. Skłamał, że posiadał wiarę. Że już wie na pewno. Teraz szybko się przebijał. Studiował zawzięcie. W stanie wojennym, patrzył na mundury w telewizji, na oficerów wysiadających z samochodów pod bramami kopalń, i skrycie, nieoczekiwanie dla samego siebie, poczuł zazdrość i żądzę bycia jednym z nich i takim samym. To samo czuł, gdy patrzył na wizytujących seminarium młodych twardych hierarchów, i na ich zdobne krzyże.



Jak ksiądz to wytłumaczy? zapytała klęcząca kobieta. A jemu się wydało, że jego milczący w kącie brat odpowiada, jakby ślina mu prysnęła bąbelkami, z rozchylenia warg: gonangulum, walvifer, harpae. Cęgi hippigalne. Bulla, billa i papilla. Solum, powiedział brat, carina. Kochana. Czyż nie dlatego poszedł do seminarium, że chciał bić się z diabłem? Diabeł, powiedział ojcu, ma fizyczną obecność, najbardziej zaskakujące rozmigotanie. Skąd jest, czym jest, z czego się składa? W rok po seminarium brat poprosił o udzielenie mu pozwolenia egzorcyzmowania. Tego mu nie dano: przeznaczano go do kariery. Był zbyt cenny, zbyt zdolny, z za dobrej rodziny. Nie miał zostać ofiarą, ani utracić inteligentnej łaski. Teraz, pomyślał on, stojąc półnagi w korytarzu za drzwiami, czyżby brat dotykał tego, o co naiwnie wtedy zabiegał? Diabeł przemawiał ustami tej kobiety, słowami słownika, którego przecież nie czytała, jak i jego ustami?

Brat milczał, kobieta klęczała na twardych deskach podłogi, odgłosy burzy przewalały się w odległe dudnienie poza jeziora. Obmyte z leśnego pyłu drzewa załśniły za oknem, bo chmury zrzędy na niebie i zrobiło się jaśniej. Nie usłyszał, jak podchodzi do niego tęga kobieta w korytarzu. Objęła go od tyłu, głowę oparła między jego łopatki. Tamta klęcząca podjęła szmer spowiedzi, a jego przeszłyło zrozumienie, że to nie ona mówi tym słownictwem, że to

w nim jest dziura i szaleństwo, z niego to wypływa i wylewa się w noc jak puste pomyje, resztki ciężaru, którego nie umiał być znieść. Popatrzył po sobie, bo bał się, czy to nie kiszki w nim popuściły, ale też sięgnął ręką wstecz i natknął się na jej gładkie, zimnośliskie ciało, a jej ręka dotknęła jego podołka, jakby sprawdzając.



Znikł z seminarium, zapisał się do komunistów. Tak, w tym okresie pozornie kończącej się ich ważności. Powiedział, że wzruszyło go, jak w telewizji widział wynoszenie sztandaru z Sali Kongresowej. Przyłgnął do elity tamtej partii, przemianowanej na socjaldemokrację: oni to stali się pierwszymi kapitalistami, oni wiedzieli gdzie są pieniądze i jak nimi poruszyć. On się przy nich, giętki, usłużny, obrotny i otwarty, szybko wspinał. Sekretarzował, ale i wzbogacał na własne konto. Jego nazwisko pojawiło się w prasie. Przyznano mu tytuł młodego biznesmena roku, gdy rozwinął pod Wałbrzychem montownię samochodów. Całe samochody, chyba koreańskie, rozmontowywano gdzieś w Jugosławii, by zmontować je na powrót w Polsce, nie płacąc cła ani podatku. Był jednocześnie w takich układach, (czy ksiądz w to uwierzy?) że się na powrót zbliżył do kościoła. Mam wiarę i tracę ją, jestem grzeszny. To jest borykanie się. Jestem więc prawdziwym chrześcijaninem, wierzę w ła-

skę i w odkupienie. Ich znaczenie kolejno pu-
chło, czarnych i czerwonych, panoszyli się bez-
prawnie, byli dla jego postaw tolerancyjni. Wa-
żyli jego użyteczność. Zakładał im to i owo,
pośredniczył, załatwiał. Czarni skierowali go do
Opus Dei, do cywilnej służby sprawie Chrystu-
sa. Znał języki, był niezonaty i schludny. Gdy do
rządów wrócili neokomuniści, przecież i z nimi
był zblatowany. (Tak właśnie powiedziała: zbla-
towany). Jak poznał tę dziewczynę? W jakim sa-
lonie? U jakiego dygnitarstwa? Podobno ją
podebrał z przystanku. Jechał tym mercedesem,
było zimno, ona stała. Podwiózł ją na uniwersy-
tet. Była szczupła i bardzo młoda. Ale zapalił się
dopiero, gdy mu powiedziała o sobie.

Jej ojciec był – jest – bardzo bogatym człowie-
kiem, a wtedy ambasadorem. Byli w Polsce od
roku, studiowała filozofię zaocznie, a tramwa-
jem jeździła by żyć jak wszyscy, powiedziała.
W Ameryce, powiedziała, wychowywała się
w świecie zbyt uprzywilejowanym, ale tam tyl-
ko są dwa światy, taki i nędzny. Była wierząca,
tylko nie wiedziała w co. W buddyzm, w sekty,
w New Age? Ożywiła się, gdy powiedział, że
pracuje dla Opus Dei. Katolicyzm ją mierzył i fa-
scynował, chciała poznać głębię polskiego zjawis-
ka. Umówili się na spotkanie. Zaczął się ro-
mans. Powiedział jej, że jego ojciec jest bez-
robotnym, co było prawdą. W wałbrzyskiem
ostatnie kopalnie zamknięto, tysiące górników

poszło na czarną trawkę. Przywiózł tę dziewczynę, wtedy ją zobaczyłam. Mąż mój przerzucił się w nową karierę w UOP-ie, czy jak tam, mieszkaliśmy w tym samym segmencie, jego rodzina w tym samym domu co wtedy. Zobaczyłam ją wysiadającą z jego samochodu, jego rękę na jej ramieniu. Zmartwił, gdy mnie zobaczył, wprowadził ją do swoich, potem wybiegł i powiedział mi, że mnie kocha. Że tylko mnie kochał i kocha, i że mnie pożąda. I że będziemy jeszcze razem. A ja tam stałam, i jemu się trzęsły wargi.



I mnie, proszę księdza. Bo to była prawda. Wtedy napisałam list na niego. Że mnie, mężatkę, przed laty uwiódł. Dałam na plebanii z prośbą, by proboszcz przekazał dalej. A w nocy on do mnie przyszedł. Nakłamał, że ma spotkanie w interesach. Ta dziewczyna była dziewicą. Nie sypiał z nią. To miało stać się po ślubie. A może też tak kłamał. Powiedział, że nie czuje do niej nic, i pół nocy ze mną został. Tak że w liście potem napisałam, że po raz drugi jestem z nim w ciąży, a pierwsze dziecko spędziłam. Odwiózł dziewczynę do Warszawy i pojechał na KUL, gdzie u księdza biskupa pisał swój doktorat. Chciał mieć do nazwiska dodane doktor. Pisał z teologii, czy nie tak? Brat ledwo wyraźnie skinął głową. „Z patrystyki” powiedział bardzo cicho. Jakże ich wszystkich wchłonał problem oj-

ca. List, że jestem w ciąży wysłałam też do ojca tej dziewczyny, który miał wrócić do Ameryki i zostać wiceprezydentem, powiedziała. I że jestem wierząca w wierzącym kraju, w którym ciąży się nie usuwa, nie to co kiedyś. Kopię listu wysłałam do Opus Dei, na adres Episkopatu. Wezwali go, ksiądz biskup też. Brat ponownie kiwnął głową. Pojechałam do Lublina i umówiłam się z nim w tym kościele, gdzie zwykł był ostentacyjnie się modlić. W telefonie powiedział, że mnie wykończy, że ja mu życia nie złamie. Nazwał mnie rozpustnicą. Powiedział, że to ja go zgwałciłam. Usidliłam, zdeprawowałam, że to przeze mnie wtedy stracił wiarę. To też była prawda. Więc dałam mu do zrozumienia, że może można będzie wszystko wykręcić, załatwić. Czy to nie przeze mnie wiarę odzyskał, potem, i czyż ja nie wpadłam w dewocję? W to uwierzył łatwo. Że nie mam pieniędzy, że zabiję siebie i płód, że dopiero wybuchnie skandal. Żebyśmy razem się pomodlili, i przebaczyli sobie nawzajem. List prowincjonalnej psychopatki, starzejacej się i zazdrosnej. Zgodził się od razu, w słuchawce powiedział, że jakoś to będzie, że zawsze jakoś będziemy razem. Kocham cię, powiedział.

Patrzyłam, jak klęczy w tej ławce. Był jasnym młodym mężczyzną, wszystko było przed nim, to ode mnie zależało. Ukłękłam przy nim i pomodliłam się, a potem dotknęłam go i sprawdziłam, że się podniecił, i powiedział: chodźmy

stąd. Wtedy wstałam, odstałam o krok i wyjęłam nowy służbowy pistolet mojego męża z torbki, obróciłam się do niego i strzeliłam do niego, i strzelałam, póki były kule, do tego chłopca, którego kochałam. I chcę to zrozumieć. Chcę zrozumieć, co to jest miłość, nim mnie zaczną sądzić. Ja dlatego chciałam na osobności, powiedziała. Dlaczego ksiądz biskup ma ambicje i mężczyźni mają ambicje, a kobiety mają miłość? Gdyby ksiądz jej nie miał, to nie byłby biskupem? „Już nie” powiedział brat. Już nie. Już nie mam żadnej. Nawet tej, co wypatruje, wysławia, określa rysy Pana Boga.



Cofnął się w korytarzu. Zmarzył i zdrętwiał. Tej kobiety ciężkiej i białej za nim nie było. Stała w kuchni i przerzucała słownik morfologii owadów. Miała tylko ten sweter na sobie i nie wstydziała się tego. Jej obfita białość pod jego zrębkami była piękna, tylko twarz teraz dramatyczna, ściągnięta, nieładna. Ja czuję, jak wielkie wrażenie robi na tobie ta kobieta, którą brat tu przywiózł. Może ona ci pomoże napisać tę powieść? Gdzieś daleko, za szarym i burzliwym oceanem, jego żona reżyserowała film z „Czerwonego i czarnego”. To *ruiny* Gustawa Herlinga Grudzińskiego napisały, że poleca ów tytuł literatom tu i teraz. Pomylenie polega na tym, powiedział on w tej kuchni tej niemłodej

grubej kobiecie, że wszystko było potrzebne, i pozostanie tu i emigracja, wewnętrzne ucieczki i małomieszkańskie akceptacje, masoni, Żydzi, półpodlcy i pederasci. Paweł Hertz, powiedział, podyktował wspomnienie, w którym występuje jak upudrowana kokota. Taka zesnowowana pani w olimpijskiej wieży nad korytem Nowego Świata. A przecież i on, niby Herling-Grudziński, siedział w łagrach. Potem wstąpił do partii. I wyszedł z partii, a wstąpił do kościoła. I wydał i przetłumaczył ocean literatury. A co opracował Gustaw, prócz siebie samego? A mój ojciec? zapytał. Liżydupstwo i haniebny komfort dla podszytej podłością, ale skalistej samotności? Samotności takiej samej, proszę pani, powiedział.

Czy podobają ci się moje wibrysy? zapytała kobieta. Wyrostek kuprowy, kremaster, pulvinus? Żreniczka, przepaska, lusterko? Strzępina? Komórki odbijające światło, komórki świetlne? powiedziała. Zona tranzytowa, powiedziała. Twój brat się spełnia w tej kobiecie. Już nie słyszeli, poprzez korytarz, szumu spowiedzi. Słyszeli ciszę, jakby ci dwoje, tam w pokoju, byli naprzeciwko siebie z pustymi i pękniętymi i żądnymi sercami. Albo jakby brat stanął w oknie, duży i ciężki, i oparł się o parapet rozłożonymi rękami, a ta kobieta tylko podniosła się z klęczek i stanęła za nim, i tylko złożyła mu głowę między łopatkami.



Wrócili do pokoju i zagrzali się pod kocem i zasnęli, a gdy się przebudzili, w najbledszym świetle przedświtu, powtórzyli akt miłosny. Jej białe pośladki wparły się w niego i było to dokładnie jak trzecia modlitwa. W oknach od strony kuchni światło obdzierało się z szarej skórki, w różowej siności i porannym miesiączkowaniu. Przez chwilę kolory wybuchły, żółte i czerwone, i w tym blasku brat wchodzący do kuchni wydał mu się rozogniony i piękny, prawie zdrowy. Jego koszula rozchełstana była pod szyją, a zęby szczyrzyły się w uśmiechu. Brat założył sobie ręce na potylicę, patrząc na las za oknem, pod światło, bardziej niż na niego. „Teraz będę mógł ją odwiedzić” powiedział. „Dzięki niej powiedziałem sobie to, czego się tak długo i tak panicznie bałem. Stało się to w jedną noc, w jedną chwilę. Przestałem wierzyć w Boga” powiedział brat z tym samym uśmiechem, w cichej euforii.

Na podwórze zajechał czwarty samochód, a po klekocie rozdartej rury wydechowej poznali, że to ich młodszy brat. Wyszli na dwór. Brat gramolił się niewyspany i wymięty z grata, w którym było składowisko wszelkiego śmiecia. Brat nie widział na lewe oko, i gdy wyłaził z samochodu zazwyczaj uderzał się o framugę drzwiczek głową, i teraz też tak się stało. Wyprostował się i przebiegł rękoma po włosach

rozburzonych uderzeniem, a spiętych na karku w siwoczarny koczek. Ręce miał szerokie i krótkopalczaste. „Próby trwały do trzeciej nad ranem” powiedział „ale zrobiłem im genialną dekorację”. Lubił się chwalić. Lubił świat. Wszystko było jak mogło najlepiej. Tym prawym szarym okiem patrzył na nich, dużych jak on, i równie tęgich. „Dworzec” powiedział „kolejowy. Straszny Dwór będzie się dziać na modernistycznym dworcu, z którego wszystkich wywiozą na Sybir”. Zaśmiał się, jakby nabroił, ale i zadowolony z siebie. „Z krzesel na premierze ci kołtuni pospadają” powiedział. Zagmerał po kieszeniach, by znaleźć tytoń i bibułkę. Chwytliwymi palcami lepił skręta. Już nieobecny, zajęty, z rozchylonymi wargami. Potem podniósł to jedno widzące oko i powiedział „martwiliśmy się o ciebie” do niego. Po to przyjechał. Po to mieli się tu skupić. Ale teraz miało być inaczej.

Zza ich pleców, biskupa i jego, wyszła na stopieńki progu kobieta na biało ubrana (białe spodnie nienagannie odprasowane, jak ona to robiła?), w białym swetrze z wywijką, złotym zegarku, złotych sandałkach. Była tęga, tak, i w zdecydowanie złym guście. Włosy miała znów zalakierowane w krągły hełm, usta podbarwione. „Jak miło tu panią zobaczyć” powiedział przyjezdny brat. „Czy wiecie” powiedział „ze ta dzielna i niesłychana kobieta była aż na Żmudzi, w żuławach Dźwiny, by odnaleźć

ślady po nas, po rodzinie, leśne dwory, miejsca osiedlenia?”. „I?” zapytał brat biskup. „Ponoć są dwie gałęzie” powiedział brat malarz, przychyłając się do jej pulchnej ręki: „linia Dorzeczných i linia Poleśnych, zwanych też Polakami. Czy tak, pani Heniu?” zapytał, uśmiechając się do kobiety. Zadowolona, kiwnęła głową. Na niego nie spozierała. Umyślnie, dyskretnie, jakże przejrzyście. Tylna, błoniasta część przewodu torebki kopulacyjnej niektórych motyli, umożliwiająca wysuwanie okolicy → *ostium bursae*. Por.: *hypostema*. *Hypostema*: proksymalna, zesklerotyzowana część struktury, umożliwiająca, wysuwanie → *ostium*, wejścia do narządu. *Ostium penis*. *Ostium tympani*. Segmentalny otwór seksu i słuchania „Pani Heni się popsuł samochód, nie może odjechać” powiedział, i poczuł, że robi jej przykrość.

Brat podniósł klapę maski samochodu, a ona patrzyła uparcie w głąb brudnego silnika. Brat wsunął głowę pod maskę. Nie gmerał długo. „Rozłączył się kabel z rozdzielnika” powiedział, „widać spadł, o, to łatwe”. Założył kabel tam gdzie trzeba. „Proszę spróbować” powiedział. Kluczyki tkwiły w zameczku, i Henia uruchomiła silnik od pierwszego przekręcenia. Nie patrząc na nich, patrząc przed siebie przez szybę powiedziała „to takie proste, nieprawdaż?” Gdy wsiadała i wysiadała, brat malarz wymienił z nim pełne uznanie spojrzenie. Na widok jej

piersi i talii i bioder w tym białym oblepieniu, brat malarz miał wesołą ochotę zagwizdać. „Przywiozłem wędki i osprzęt” powiedział, „i nawet starą dubeltówkę ojca, to będziemy mogli zakłusować”.



Brat malarz podszedł do swojego samochodu i otworzył drzwiczki i powiedział, wychylając swój zbójcki łeb do środka: „pobudka”. Wsunął rękę w stronę tylnego siedzenia i poruszył tym czymś zawiniętym w kupę szmat, co zaczęło wstawać. Była to dziewczyna duża, kudłata, rozspana i w piegach. „Pani śpiewa w chórze w Operze i namówiłem ją na weekend nad jeziorem” powiedział brat „ale lękałem się, jak się poczuje wśród starych samców, bo nawet ty” powiedział do brata biskupa „jesteś nasieniem szatana”. Dziewczyna wyszła z samochodu i przeciągnęła się i kiwnęła głową ku nim, a była o tę głowę prawie wyższa od nich. Była też ładna. Niegdyś o takiej urodzie mówiło się, że hoża, jędrna, kariatyda czy jak tam. Na peronik u drzwi wyszła trzecia kobieta, ta w sztywnym płaszczu. Mrużyła oczy pod słońce i dopiero teraz on zobaczył, jak była skończenie piękna. Wilczy uśmiech pojawił się na ustach brata malarza. Podszedł do niej i ujął ją za rękę i pochylił się, i zobaczyli to, co tak w nim ujmowało kobiety: męskość, miękkość, urok, zamiłowanie. Brat ko-

chał urodę i kochał las i widział w kobietach to, co one chciały, by było widziane. Stali tak, bo ciężka biała kobieta wyszła ze swojego samochodu, i powiedziała do pięknej suchej: „ja mogę po drodze podrzucić panią na stację”, a ruda dziewczyna powiedziała: „ja pójdę się umyć i dospać”. Było tak jak kiedyś, słońce silnie podnosiło się nad podwórzem i zalewało im oczy, las rozgrzewając się począł wydawać swój zapach. Nie były to te kobiety co wtedy, ambitne czy niepewne siebie, ale było tak samo. Nim najmłodszy brat nie schroni się do lasu, a średni nie zapowie, że wybiera się do seminarium, i nim ojciec nie przeniesie na nich obojętnego i okrutnego swego spojrzenia, paląc papierosa na tejże ławce, co pod ceglaną stała ścianą, ani mniej ani więcej kośława. Nim wszyscy trzej nie zatoną w śmierci, z której cudem będą zmartwychwstać, jeden w chaosie picia, narkotyków, kradzieży i żebractwa, drugi w religii, bo to też to samo, a on nim pogrzy się w szaleństwie ogołacania się ze wszystkiego, aż nagi pozostanie pomiędzy wodą a niebem, w tym przestworzu, którego nikt nie wyraził słowami.



Poszli pieszo nad jezioro i brat malarz się wykąpał, rześko prychając, bo woda była wystygła. Oni siedzieli pod skarpą na brzegu, a on myślał o tamtych dźwińskich lasach, odludnych i ciem-

nych i rozwierających się nad samym morzem na żuławskich napływowiskach rzek, pomyślał, i pomyślał, że lubi te słowa. Kukulus, gonangulum, tergit: część powtórnie oddzielona. „Nawet chcieliśmy ci zaproponować leczenie w zaufanym szpitalu” powiedział brat malarz, nim zanurzył się w wodzie. Lśniące krople na jego ramionach, tam gdzie zza wierzchołka skarpy dosięgało go słońce. Niżej, w cieniu, odbicie nieba w wodzie, woda miękka, ołowiana. Pod wodą, gdzie nurkował brat, było żółtawo i gęsto, ciemno, niewyraźnie. Jakieś kształty przepływały, brat wynurzył głowę z włosami spływającymi mu na szyję, i tym jednym zatroskanym okiem patrzył na nich. Potem podniósł głowę i przysłonił oko ręką i popatrzył na skarpe. Usłyszeli samochód tam przystający, ale żadna z dorosłych kobiet nie wyszła, by się pożegnać. Samochód odjechał, a ze stromizny schodziła ruda dziewczyna, którą brat przywiózł. „Nie chce mi się spać” powiedziała do nich, do niego. Odeszła kilka kroków na bok, tam się rozebrała. Koszulę i spodnie złożyła schludnie na okorowanym balu. Złożyła ręce na piersiach, skrzyżowała je, weszła do szarej wody. Była bardzo biała.

„Nie mogłem jej rozgrzeszyć” powiedział brat przy nim. „Po prostu niczego takiego nie ma. Ale pojedę na jej proces, będę świadczył w jakim znajdowała się stanie, Będę ją odwiedzał. A jeśli wyjdzie z więzienia i mąż się z nią rozwie-

dzie, ja się z nią ożenię”. Roześmiał się. Credo quia absurdum, wierzę, bo to absurdalne. On powiedział: ja chyba tu zostanę. Tu lub w podobnym miejscu, wszystko jedno. Przedtem jednak wejdę do tamtych białych domków, gdzie się z żoną tamtych nocy kochałem. To znaczy: jeśli czyn tak rozpaczliwy, tak rozplakany można nazwać kochaniem. Brat położył się na wznak przy nim, i ciężką rękę zmiętą w kułak oparł sobie na piersi, tam gdzie biskup normalnie ma krzyż, a gdzie serce mu zanadto biło. Na palcu nie miał pierścionka. Kardioblasty, pomyślał on, z których serce się tworzy, a nie rozpęka. *Blast* po angielsku znaczy wybuch, eksplozja, tyle pamiętał.



Brat malarz wdrapał się na gładki pień, okręcający się pod nim to szybko, to leniwie, i starał się na nim utrzymać równowagę, przywołując dziewczynę, która wypłynęła na jezioro. Płynęła równo i silnie, metodycznie rozgarniając wodę ramionami. Była tak daleko na jeziorze, że cień bindugi jej nie dosięgał. Wypłynęła z cienia w błyszczenie słońca i obróciła się na plecy i przysłoniła sobie oczy szklście mokrą ręką, patrząc w ich kierunku. Jej białe piersi wystawały z wody, a jej włosy ociążyły się i zrobiły czerwono-czarne. On położył się na wznak w trawie obok leżącego brata i przymknął oczy, i serce się

w nim też rozrywało. Usiłował sobie przypomnieć imię ojca, ale nie potrafił, bo wszystko było z wszystkim tożsame. Ile czasu temu umarł ojciec, z tą pigułą niezassaną przy ustach, leżąc na podłodze? Ile czasu temu jego pohańbiono? Ile czasu temu został sam i wydobywał się z przygody i jej chaosu? Ile czasu? I ile czasu? W czarnej torebce z napisem Nike zadzwonił telefon na brzuchu brata, i śmiech dziewczyny pobiegł, wesoły, po fali jeziora, i on otworzył oczy, i w ulotności nieba zobaczył to samo.

1997

IV

Podnosiny

„Gdyby był pisarzem, pracowałby
nad Historią Deszczu”

Jim Harrison, *Warlock*

Mój najmłodszy brat był profesorem, i nosił (na astygmatyzm) skomplikowane wielosoczewkowe okulary, i był schludny i mył się po kilka razy dziennie, a zęby to po każdym posiedzeniu w ubikacji, dworowaliśmy sobie przy stole (brat i jego obyczaje byli ulubionym, tak twierdził mój syn najstarszy, tematem rodzinnych rozmów, na przykład podczas Wigilii, której brat nigdy nie spędzał całkowicie z nami, tylko kolejno z kilkoma ze swych żon uprzednich i kochanek, jeżdżąc nawet do Łodzi czy Bytomia, bo czuł się za nie wszystkie, te przez niego porzucone czy te, co go porzuciły, odpowiedzialny), toteż gdy znikł (zapodział się, szczeźł), wywołał konsternację.

Miał czterdzieści dziewięć lat i prawo do zniknięcia, pomyślałem, i zadzwoniłem z wiadomością o jego nieobecności do naszego brata średniego, tego co żył i malował i palił marihuanę w Nowym Jorku, odkąd mu zabroniono alkoholu, bo na alkohol umarł parokrotnie i raz wydobyl się nagi z plastikowego czarnego worka – śpiworu śmierci – w kostnicy, i uciekł nagi przez okno, by go nie ścigała policja, bo zginął w wy-

padku samochodowym spowodowanym ze swojej winy i bez prawa jazdy, a kierowca, w którego strzelił swym rozpędzonym pijanym samochodem leżał w tym samym szpitalu, do którego brata jako trupa zwieziono (dobrze, że nie wszczęto sekcji zwłok), zaś brat, który odkąd umarł, palił hasz, więc był jasnowzroczny i praktyczny, zapytał tylko, czy nasz młodszy brat zostawił swój samochód punto, a gdy odpowiedziałem, że punto też zniknęło, brat odpowiedział, że samochód znikł *wraz* z bratem najmłodszym, bo trzeba by nielada trafu, by w dniu ucieczki brata ukradziono mu spod domu samochód, na co powiedziałem, że brat może uciekł, *bo* ukradziono samochód fiat punto, jako że brat w swym skomplikowanym a pełnym brzydkich i wymagających kobiet życiu lubił właściwie i prawdziwie i wiernie tylko swoje punto.

Jednak wiedzieliśmy obaj, po dwu stronach telefonicznej linii, że brat po prostu nawiał, a że nawiał samochodem, znaczyło, że nawiał aby żyć, tylko jak? Tylko gdzie? Samochód wytyczał apetyt na życie brata, a kobiety zniechęcenie i stagnację tego życia, mimo że zaspokajały jego silne i nieprzeparte potrzeby erotyczne, równie częste i systematyczne, co mycie zębów czy posiedzenia w ubikacji (brat był chronicznie zatwardzony). Więc brat z Nowego Jorku powiedział, że brat nareszcie zrobił to, co powinien był

od dawna, i roześmiał się z satysfakcją, bo sam od dawna robił tylko to, co powinien, to znaczy nie pracował (miał kliniczny dyplom wariata), tylko malował i zajmował się wychowywaniem syna, podczas gdy pracowała jego nieefektowna ale oddana, roztargniona i nieobecna jakby, i zajmująca się profesjonalnie starcami w domu starców żona. Ja też się uśmiechnąłem i poszedłem do ubikacji, i myśląc o bracie otwarłem ostatni numer Playboya, i po raz pierwszy mi się spodobała dziewczyna, sfotografowana w Playboyu, naga i nieduża, o pięknych piersiach i odsterczającym tyłku, co rzadko idzie w parze, a przynajmniej nie z podobną determinacją, o twarzy nieco krzywej, ale zuchowatej, może trochę żydowskiej, spodobała mi się nieoczekiwanie i z taką siłą, że zaczęło bić mi serce, i siedziałem na sedesie z rozkładówką Playboya w rękę, i przypomniałem sobie, jak brat wyszedł w Wigilię rozkojarzony z tego klozetu, poczerwieniały i jednocześnie poblądły, i jak się w tym niemym zamyśleniu ubrał starannie w szalik i beret na dole, i jak odjechał, i pomyślałem, że może to ta dziewczyna spowodowała ucieczkę brata i jego zerwanie z tym, czym było jego życie, pracą i związkami z kobietami.

Nie wszystkie były głupie, o nie! Ale nieznośne, o tak! A najnieznośniejsza była, twierdził brat, najmniej spośród nich głupia jego jedyna żona legalna, po której na tyle zmądrzał, że się nigdy

więcej nie ożenił. Ta konwersowała w kilku językach i знаjomiła się z pisarzami, których nazywała na przykład Głowa czy Goleń, nigdy chuj, na przykład mówiła: *wpadł do mnie Głowa i powiedział, że, choć właściwie powinna powiedzieć: wpadła do mnie Głowa i powiedziała, albo drażył mnie chuj*. Była płowa, ładna i miała rozstawione na znak szczęśliwości zęby przednie i była, po ojcu ordynatorze szpitala i specjalście od krajania kiszek (dwukrotnie kroił naszego ojca, ratując mu życie, czy też wpędzając w zacieśniającą się spiralę komplikacji i niewyleczeń, jak kto woli, aż w kiszkach ojca zrobiła się przetoka, i z dziury w bliźnie na brzuchu począł sączyć się jadownicie i trująco kał, który ojciec zmywał wacikiem i zatykał bandażem, a mimo to tkwił wokół niego przykry słodkockny zapach w ostatnie lata, zapach kału) niska i szeroka, tęga odkąd rozrosły jej się nieelegancko biodra, więc która kryła się pod olbrzymimi jedwabnymi kapeluszami najczęściej czerwonymi, pod którymi wyglądała jak grzyb. Ta – żona – zabrała bratu wszystko, co miał, i odtąd brat koczował na Kinowej w trzydziestu metrach kwadratowych z kolejnymi konkubunami i niekiedy ich dziećmi, co okazało się szczególnie uciążliwe z dzieckiem przed-przed-ostatniej, które chorowało na patogeniczną chorobę skóry i jadziło się, mimo że pokryte było maściami, i nie chciało się wygoić, tylko jęczało i głupiało od odurzających środków, jakimi ból mu uśmierzano. Tę konku-

binę, jak i kilka innych, brat poznał w domu wczasowym *Włókniarz* pod Kołobrzegiem, gdzie jeździł co roku na wakacje, przy ping-pongu, konkubiny poznawał przy ping-pongu w ciepłe letnie wieczory i podrywał przy ping-pongu, albo one go podrywały, bo brat przy ping-pongu nie wyglądał ani na profesora, ani na czterdzieści pięć lat, tylko na złotowłosego atletę, jako że uczęszczał do firmy Herkules gwoli opięcia ciała mięskami, bo nie mogąc być wyższym – był najniższy z nich trzech – chciał przy najmniej być szerszy.

Co mu się nie udało, bo brat prowadził higieniczny tryb życia i nie pił, tylko prowadził po trzeźwemu samochód punto, a my nie, a także żywił się w stołówkach niesmacznymi potrawami, bo żadna z jego kobiet nie umiała gotować, nie umiały gotować bo były histeryczne, ta z chorym dzieckiem z hysterii została kiedyś Miss Łodzi, bo nie z urody, chyba że z nóg, skoro brat twierdził, że zakochał się w jej nogach (jak można się kochać w nogach?), więc brat wyglądał jak Apollo na wczasach i jak trup obwieszony mięśniami od jesieni, chudy i coraz chudszy, szary i coraz bardziej szary, i zapadał na kolejne nawroty choroby brzucha, trzustki czy jelit, której nikt, a zwłaszcza były teść ordynator szpitala nie umiał rozpoznać, tym bardziej wyleczyć, skoro choroba brata była psychiczna, jak większość naszych chorób, *psychè* mordowała

brata, a brat miał wrażenie, że z jednego ślepego zaułka przechodzi w drugi ciaśniejszy, aż zaułki zawarły się w labirynt ścian i gruzu bez wyjścia.

Brat nienawidził swojej pracy, a trzymał się jej kurczowo, twierdząc, że niczego innego w życiu nie umiałby robić, i nigdy by tyle nie zarobił co tam, gdzie wykładał, choć już nie na uniwersytecie, gdzie po studiach (lingwistycznych) był został, a skąd odszedł zbulwersowany, gdy w wyniku represji na syndykacie Solidarność (tym pierwszym) romanistyka została przyłączona do katedry rusycystyki, prowadzonej przez żonę komunistycznego dyktatora, generała Jaruzelskiego, jedyne go członka Partii w naszym kraju, który się od wojny piął niepohamowanie i bez zakłóceń w politycznym zbrodniczym aparacie wzwyż, do ogłoszenia stanu wojennego i prezydentury włącznie. Brat wówczas pisał doktorat, więc wyjście z uniwersytetu bezpowrotnie zła mało jego naukową karierę, zaś katolikiem solidarnościowym stał się pod wpływem swej doraźnej żony (tej jedynie ślubnej), która, powiadał, gdy jako świeżo upieczona studentka weszła do sali wykładowej, to mu słońce zaświeciło przed oczami (i na ścianach), i stracił wątek.

Wyobrażam ją sobie, jak wchodziła tylnymi drzwiami i szła pod ścianą, płowa i w białej bluzce, a ponieważ nie zamykała ust nigdy, wydawało się, że się stale uśmiecha, podczas gdy ona

tylko stale gadała, do siebie i do innych. Szła, i brat o dwadzieścia lat od niej starszy zaniemówił, i stał tak na przodku przed studentami, i czuł, że wyrastają mu skrzydła u ramion. Jeśli, to szybko mu je przycięła, i brat mówił, że gdy otwiera szafę, to wysypuje się na niego bezładny kłęb wepchniętych tam jedwabnych sukni, pończoch i kapeluszy, co było dla niego nie do wytrzymania, bo brat był maniakiem akuratności. Sam laubzegą przycinał kafle w przedpokoiku, w tym ciasnym, a znanym nam – braciom – kolejno, mieszkaniu (ona z brzuchem coraz większym i coraz większymi wymaganiami: przynieś, podaj, kup), i sam wmontowywał pralkę w drzwi od szafy, bo się nigdzie indziej nie mieściła, a historia tego mieszkania przy ulicy Kinowej była taka, że gdy w 68 roku frakcja nacjonal-faszystowska w rodzimej partii komunistycznej wyrzuciła z Polski resztkę Żydów (30 000), tych splamionych zbrodniami stalinowskiego czasu, prokuratorów, katów wojskowych i cywilnych i partyjnych umoralniaczy, i tych niewinnych, to wyjechała też z Warszawy przyjaciółka naszych rodziców, chuda, wątła i nerwowa Żydówka biochemik, na szczęście dla siebie uwodzona przez rosłego, dobrodusznego i chorego na serce zakochanego w niej Niemca, zaś mieszkanie, które po ucieczce od swego pierwszego męża posiadała wraz ze swym krótkowzrocznym opasłym bladym synkiem, odsprzedała za bezcen moim rodzicom, ot tak na wszelki wypadek.

Wypadki zaczęły się od razu po zakupie sypań na rodzinę, i owo trzydziestometrowe mieszkanie na wysokim piętrze w obskurnym betonowym (wczesny Gomułka) bloku w przykraj pijackiej i nędzarskiej dzielnicy Praga Grochów stało się kolejno portem i azylem dla wszystkich nas trzech braci, a w wypadku naszego brata profesora jego jedyną własnością, bo był, pomimo swych czterdziestu paru lat i mycia zębów po każdej kupie, organicznie niezdolny do zarobienia większych pieniędzy gwoli kupienia sobie czegokolwiek na własność, czego natychmiast nie odebrałyby mu kolejne jego kobiety. I tak brat utrzymywał w Łodzi byłą miss Łodzi, którą rozwiódł był z mężem jej gangsterem, i kupił jej maszynę do dziergania skarpetek, jakie ona sprzedawała na straganie (rynek Bałucki), i z dumą pokazywał na swych stopach skarpetki, twierdząc, że teraz ma skarpetki i przestał mieć kłopoty z powodu ich braku, aczkolwiek gdy raz podwoziłem skądś dokądś byłą miss Łodzi na prośbę brata, rozgadała się swym brzydkim bałuckim głosem w samochodzie i zaczęła obłaskawiona mi opowiadać, jak to z koleżanką jeździła do arabskich emiratów, Dubai czy Quataru, a co tam obie białe dziewczyny eks-misski mogły robić, łatwo zgadnąć.

Więc z ulgą przyjąłem, że brat maniak pozbył się eks-miss Łodzi po przeżyciu z nią, a raczej z zawoźdzącym i zacadzonym jej synkiem, trzech lat

w tym mieszkaniu tak małym, że dziecko choro-
wało im na głowach, i ze wzruszeniem ramion
przyjąłem, że brat maniakalnie obliczył, ile eks-
misska straciła na połączeniu się z nim, z czego
wywiódł, że będzie ją utrzymywał przez nastę-
pne trzy lata, na odległość, ale z prawem dojazdu
do jej łóżka i ud otwartych, bo eks-miss, twier-
dził, miała tam taki fajer, jak żadna inna, prócz tej
jedynej, która miała być fajer niesłychany, tej, dla
której się rozwiódł i przestał być wyciszonym ka-
tolikiem, tej, która fikała nogami w rewii „Metro”
i była ordynarnie aktorska, alkoholiczna i kurew-
ska, oszukująca brata profesora, że się z mężem
(zawsze mierzył w mężatki) rozwiedzie, podczas
gdy mąż właśnie odmalowywał w ich mieszkaniu
klozet. Ta – aktorka – doprowadziła brata profe-
sora do stanu takiego, jak Marlena Dietrich za-
cnego profesora Unratha w „Błękitnym Aniele”,
toteż brat skutecznie pod koniec rozbił nią klatkę
schodową domu naszych rodziców, nim ojciec
wyprowadził się do Drohomila, a nawet zrzucił ją
ze schodów na tej klatce, łamiąc jej rękę i parszy-
we (piękne) nogi.

A potem było (z bratem) coraz gorzej i gorzej.
Najstarszy brat zrozumiał, co siedzi w najmłod-
szym, gdy zabrał go – najmłodszego – na przyję-
cie z okazji zakończenia prac nad filmem o nim,
najstarszym, i gdy brat – najmłodszy – w tym
rozłożystym staroświeckim dworze w Milanów-
ku, pełnym dzieci, kundli, przybłąkanych kotów

od wejścia wypatrył sobie, spośród grona sześćdziesięciu osób, w tym trzydziestu pań, jedyną, która była obłąkana, jedyną zwariowaną i w pretensjach, i w życiowych nieustannych przejściach, jedyną w śmiertelnym przeciągu, jedyną schizofreniczkę, i spędził gruchając cały wieczór przy niej, podczas gdy oni – jego ojciec i brat najstarszy – patrzyli na to ze zgrozą i bez zrozumienia. Instykt brata najmłodszego był nieomylny. Może konspirowało w nim szaleństwo (maniakalność), które ojciec rozładowywał pisząc (był pisarzem), podczas gdy brat najmłodszy był nauczycielem języka francuskiego, i co dzień od dwudziestu dwu lat uczył tego samego tych samych, lub podobnych, bez cienia możliwości zmiany, awansu, przemnożenia zarobku, wyjazdu, czekając (ze strachem) na co? Śmierć, śmierć za życia, skąpą emeryturę? Nihilizm, rozpacz, czarna ściana, którą likwidował (ułaska-wiał) jak mógł szczotkowaniem zębów, erotycznymi związkami, chodzeniem do kina i szybką jazdą wieloma tandetnymi samochodami?

A potem i ci właściciele dworku w Milanówku, który rozbudowywali przez lata, obwieszając go trumiennymi portretami, kilimami, skrzyżowanymi na kilimach szablami, buzdyganami, lancami, obstawiając ławy siodłami (na których się śpi, pod głowę) i kawaleryjskimi derkami, obradzając w dzieci: pani domu ze szczupłej erotycznej dzierlatki przemieniła się w potężną matro-

nę, tak szeroką jak wysoką, ale wciąż zaciękwioną, choć już feministyczną (mieli trzy córki, a mały synek umarł im tuż po porodzie, w czasie gdy kręcili film „Borys Godunow”) i wyrażającą się z pogardą o mężczyznach i ich bezdusznej tępcie, a przecież obsługującą męża i jego kawalerskie manie; więc i oni, on w bryczesach i pod wąsem i w przedwojennym ułańskim płaszczu i z fajką, i ona szeroka i do czterech lat karmiąca dziatwę piersią (czyli ją dopadały a to w sklepie, a to podczas przyjęcia, i wygarniała tłusty ciężki cyc spod fałd przez siebie zaprojektowanej sukni), więc i oni – ci – się rozstali, rozeszli, pięćdziesięcioletnia matka wyszła z domu i pojechała po trzydziestu latach małżeństwa do swojej matki do Łodzi, gdzie w bloku ze staruszką zamieszkała, a gdzie staruszka swą starością i egoizmem zjadała ją żywcem, powiedziała. Trzeba wielkiej odwagi, pomyślał wówczas, determinacji lub pustogłowie, by tak sobie odejść z wszystkiego do niczego, a gdy zapytał ją: dlaczego? powiedziała, że przez trzydzieści lat brała udział w komedii (czy dramacie), w każdym razie w przedstawieniu na okaz i pokaz tak dalekiemu od rzeczywistości, jak tylko to być może. Zapytał: a jaka była rzeczywistość?, i ona wybałuszyła nań zza okularów krótkowidzące oczy i zmarszczyła nos w krągłej twarzy i powiedziała: żadna, nie było żadnej rzeczywistości, gdy milkłam on milkł, i gotowałam pod nami jak gotowałam w kuchni, a wszystko dlatego, że po

(bujnym) młodym życiu się naprawdę raz jedy-
ny zakochałam. Mąż był kawalerzystą z zamiło-
wania a etnografem z wykształcenia, i pracował
w kinematografii jako specjalista od militari-
i, najchętniej konnych, prowadził też, mimo –
a może dzięki – krótkowzroczności, husarskie
szarże i tatarskie zagony w filmach, wówczas
musiał zdejmować okulary i ukazywały się jego
szaroduze dziecięce oczy, a zamiast grubych ra-
mek okularów można było zobaczyć, jak puszy-
ste i gęste są jego rzęsy.

Ona przy tych filmach projektowała kostiumy,
po czym nocą barwiła je w wielkich kadziach
z farbami, i wówczas garderoby i garderobiane
wyglądały jak pieczary i czarownice z Makbeta,
a gdy wyszła z dworku w Milanówku, gdzie kul-
tywowali staropolski obyczaj i rubaszną choć po-
wściągliwą gościnność (spanie na ławach z sio-
dłem pod głową i tupoty chmary psów po
rozłożystych drewnianych schodach w pośrodku
nocy) to więcej tam nie wróciła, po prostu wy-
szła i odjechała i powiedziała, że odłoży pienią-
dze na kupno japońskiego domku pod Łodzią
z ogródkiem zen, o czym od zawsze marzyła za-
miast ław i kilimów. O córkach swoich nie
mówiła nigdy, raz tylko mu powiedziała, że naj-
starszą od dawna wysłała, by mieszkała u babci
i nie stykała się z mężem, a jej przyjaciółka, rów-
nie jak ona obfita, lecz Francuzka, powiedziała
swą śmieszłą polszczyzną (mówiła na przykład,

że pewna skrzypaczka z orkiestry zakochała się w skrzypcu), iż ciemne chodzą słuchy co do seksualnych zachowań się męża kawalerzysty wobec tych córek, w co on nie wierzył, znał babską mściwość i kurzą ślepotę i wiedział, jak bezwzględna trzymają sztamę.

Ta francuska przyjaciółka była jego asystentką przy filmie o Szopenie, jaki we Francji nakręcił, i była uzdolnioną pianistką i rozumiała muzykę, ale na swoje nieszczęście ukończyła szkołę filmową w Łodzi i chciała sama robić filmy, więc zarzuciła fortepian, a filmów nie robiła, bo była organicznie nieposkładana i żyła w świecie mar, pełnym wibracji i sił kosmicznych i poetyckiego roznegliżowania, co wszystko cierpliwie utrzymywał przyziemny mąż operator, poznany w tejże Łodzi na studiach, Niemiec polskiego pochodzenia, odznaczający się tym, że w środku otwartej płowej twarzy miał duży czerwony przerośnięty nos. Francuzka była bizantyjskiej urody (nos łączył się jej w prostej linii z czołem) i była piękna z profilu, ale gruba i poniekąd niedomyta na wprost, z sypiącym się cieniem wąsa i nawet włosami hormonalnie jej wyrastającymi spod szpiczastego (bizantyjskiego) podbródka, i popierała decyzję przyjaciółki co do wyprowadzenia się z domu: te kobiety były obdarzone bezwzględnymi siłami.

Zastanawiał się, jak je – te siły – nazwać, i pomyślał, że nienawiścią, a potem pomyślał, że obojętność jest silniejsza od nienawiści, i szczerzej wypełniająca tym czymś pustym a białym, przejrzystym, jak powietrzem.

Lubił ciężką marzycielską Francuzkę, która unosiła się, pomimo wymiarów, w powietrzu, jakby jej drobne (drobne też miała ręce) stópki nie dotykały gruntu, grunt dotykał jej pracowitego męża, którego matka wywiozła z Polski do Niemiec (dlaczego?), gdy miał osiem lat, i który łożył na rozpoetyzowanie żony a to jadącej do Chin, a to wynajmującej dom w Zalesiu Górnym, gdzie komary, a to zajmującej się ofiarnie dziadkiem męża pod Łodzią, i wysyłającej listy i telegramy zawsze tej samej treści, o wibracjach i dobrych energiach i świetlanej przyszłości, nigdy o złym. Zło żarło jej niewinne ciało od wewnątrz, i gdy ją w Paryżu zoperowano, wydobyto z niej tumor wielkości strusiego jaja, to dlatego była taka ciężka, nie tylko dlatego, że kupowała po dziesięć kilo jabłek (takie piękne), które gniły w koszu, i dziesięć kilo kartofli, które zjadała za jednym posiedzeniem, niby Horpyna.



Odsiedział swoje w tej ubikacji z rozkładówką Playboya na kolanach, a gdy wyszedł, postanowił zadzwonić do tych młodych kobiet z dużymi

biustami, jakie ostatnio poznał (jego żonie po urodzeniu dziecka biust zmalał do wielkości rodzynka, i zwiśł); był uczulony na biusty, lubił biusty, biusty go podniecały, był maniakiem biustu i maniakiem inteligencji kobiecej i pomyślał, że gdyby mógł znaleźć krzyżówkę biustu z inteligencją, byłby zupełnie szczęśliwy, cóż, kiedy jedno miały to a drugie owo, a jeśli już miały i to i owo, to były stare i cudzymi żonami, przeważnie żyłastych katolickich inżynierów o sportowym trybie życia, nadgiętych jazdami rowerem i na nartach, higienicznymi w nylonowej koszuli i roniącymi łzy podczas porannego (śniadanie) słuchania Radia Maryja.

To ta znajoma mu powiedziała, gdy żona wróciła po dokonaniu spustoszenia swym romansem „ona cię wybrała”, i to on jej odpowiedział, że marzy tylko o tym, by żona sobie poszła raz na zawsze. Teraz żony nie było, i pamiętał ostatnią noc trzy dni temu, gdy leżała w łóżku obok niego i trzymała otwartą książkę przed oczyma, były to *Maksymy La Bruyère’a*. Żona miała na sobie biały podkoszulek z japońskim nadrukiem, a gdy zapytał ją, co to za nadruk, odpowiedziała, że to z przeglądu filmów francuskich w Jokohamie. Żona była w Jokohamie i była Francuzką i gwiazdą filmu już nie tak w Azji popularną, jak za dzieciństwa (perwersja Japończyków i akty seksualne na nieletnich: zresztą ta perwersja ogarnęła cały świat, i dzieci się więzi i torturuje

i jebie i przymusza podczas najkrwawszych ceremonii, tych, w których biorą udział ministrowie i dygnitarze w cieniu, kręgiem wokół areny, a potem dzieci się zapomina w piwnicy bez okien ni jadła, i umierają, zdychają wyjąc i skomlać i jęcząc na ciemnym betonie, jak w Belgii, jak w Polsce, jak we Francji), ale wciąż popularną. „Posłuchaj”, powiedziała żona leżąc w łóżku obok niego, i przeczytała mu definicję La Bruyère’a, która wydała jej się trafna, „kobieta słaba” przeczytała, „to taka, która raz popełniła błąd i ponosi za ten błąd niekończącą się karę, spod której nie może się wywinąć”. Czy coś takiego przeczytała, nie zapamiętał dokładnie, zapamiętał wyraz jej twarzy: popatrzyła na niego spoza książki, przechylając głowę w bok (jej czarne słabe włosy na poduszce), żółtymi oczami, żółtymi jak u dzikiego psa, i powiedziała z inteligentnym uśmiechem „jestem więc słabą kobietą”, bez samozadowolenia i bez przykrości, nieco szorstko czy też przezornie, poważnie, rozważniej niż jak od tamtego lata rozmawiali.

Wróciła do Paryża, a stamtąd do Hollywoodu, bo tam, wiedziała, istniejesz tylko gdy istniejesz w ich polu widzenia, materializujesz się, uwodzisz. Przyleciała na wspólne ich urodziny do Starej Miłosnej (leciała siedemnaście godzin), i to wtedy znajoma powiedziała, że to *je- go* wybrała; daty ich urodzin były o pięć dni i trzydzieści lat od siebie, i zwyczajowo zaprasza-

li gości pisząc na przykład, „zapraszamy na nasze dziewięćdziesiąte urodziny”, bo była od niego o trzydzieści lat młodsza, a gdy to zliczył pomyślał: o trzydzieści lat starsza, bo była przyziemna i twarda i płakała tylko nad sobą i skarżyła się, i czyściła posadzki, a na ekranie była smutna, gęsta i pewna siebie. Kupiła mu obiektyw do Nikona drogi i bezużyteczny, a on jej telefonik przenośny, zaś ich znajoma przyniosła barometr z oberwanym drewnianym zakończeniem ramy u dołu, ponemiecki z Wrocławia (Breslau), na pewno wyszabrowany i odsprzedawany wielokrotnie.

Potem wstał i nie patrzył więcej, jak żona śpi na księżycowej poduszce, ostry nos, obłe cienie, zbliżająca się (już wykreślona) groźna dorosłość, tylko zszedł jak najciszej na dół (przykrywając rozkopane dziecko w łóżeczku po drodze: dziecko, które nad ranem włąziło mu w pościel anonując: „tatusiku, już idę”, i zasypiało natychmiast, krągła twarda głowina, orzech kokosowy, krągła twarzączka z wielkimi zamkniętymi powiekami) i ubrał się – ubranie nawykowo zostawił na kanapie w bawialni – i wyszedł na dwór, włożył kurtkę i wyszedł, bo też był maniakiem, był maniakiem biustów ale i wolności, maniakoalność (mania) kipiała w nim teraz stale, uruchomił samochód w ciemnej trawie i pojechał przez zamarty las, gdzie pod drzewem na zakręcie paliły się zniczyki, bo ktoś się na tym drzewie roz-

bił i zabił, i bliscy zabitemu ludzie zapalali tam pogańskie świece, by czcić drzewo, czy czcić duszę zabitego, która się z drzewem złąła.

Jechał szybko w obok Macdonaldsów i Statoiów wyludnioną Trasą Łazienkowską i wypukłością mostu ponad Wisłą równie szarobrudną co noc, i równie śliską, a potem jechał nie myśląc i ocknął się skręcając na znajome podwórze pod blokiem na Koncertowej (wiele znaczące nazwy, Kinowa, gdzie zaczynał pracę przy filmach, Koncertowa, gdzie reżyserował opery, Stara Miłosna, gdzie dogorowywała jego piętnastoletnia miłość). Matka nocą nie spała, sypiała w dzień, w nocy patrzyła w telewizor albo rozpamiętywała swoje życie, albo starała sobie przypomnieć nazwy dwu dopływów Amazonki dla ćwiczenia mózgu, mówiła, więc prędko odezwała się w domofonie, i on wszedł na piętro. Było trudno matkę przekonać do wyprowadzenia się ze smrodliwego i hałaśliwego mieszkania przy Marszałkowskiej, w morderczym zwięzieniu między placem Zbawiciela a Konstytucji, gdzie nawet gołębie zdychały od trucizn wyziewanych w powietrze, spadały z parapetu okna matki jak odurzone, lub jakby im kto w nagie oko wprysnął kroplę śmiertcionośnej nikotyny, i bezładnie leciały, szmatka nieforemnego pierza, sześć pięter w dół i uderzały lekkim ciałem o beton i drgały ze skrzydłami w pół uniesionymi na znak agonii. Wyobraził sobie matkę, która miała osiemdzie-

siąt osiem lat, podobnie spadającą i jej rękę uniesioną, i oczy zawleczone nieprzejrzystością świata i czerwone niby oko umierającego ptaka, więc matce lepiej było w niskim bloku otoczonym drzewami i w ciszy, i z ptakami dziubiącymi okruchy na balkonie (bo miała tu balkon), choć matka się do tego nie przyznawała, i mówiła, że synowie wyzuli ją z jedynej rzeczy, jaką w życiu posiadała na własność, z pięknego mieszkania w *centrum* Warszawy, tak jak nie przyznawała się do żelaznego zdrowia i złego charakteru, tylko chwiała się w drzwiach otwierając mu, i wykonywała parę zamaszystych a teatralnych ruchów rękoma, jakby miała się przewrócić, choć nie przewracała się wcale, leżała na puchu i jadła banany i zamierzała pobić rekord świata w długowieczności.

Póki ojciec żył, krył zaciętość matki (matka wcale się nie uśmiechała) ilekroć się widywali, ale i tak spędził ostatnie siedem lat życia w domku pod Drohomilem, który odbudował własnymi rękoma, ciosząc i utykając, domku, który swym zapachem chociaż przypominał mu drewniany dwór rodziców jego matki pod Lwowem, tak jak nazwa Drohomil przypominała mu Dobromil, gdzie się przez wiele lat wychowywał, a dokąd nie było powrotu, skoro Dobromil pozostał po tamtej stronie naniesionej przez polską klęskę wojenną granicy. Tego drewnianego domku – tej budy, jak mawiała – matka nie odwie-

działa nigdy, bo nie było tam centralnego ogrzewania ani elektryczności, tym bardziej telewizji (ojciec w telewizor patrzył tylko, gdy przyjeżdżał na Marszałkowską, a i to, żeby czas prędkiej spłynął), tylko były tam zydle i stół, przy którym ojciec pisał, i ławka na zewnątrz przy przyzbie, na której ojciec siadał, i na której myślał, co napisze dalej, jutro, i na której cieszył się zmiennością pogód i rozległością nieba i płynnymi barwnymi cieniami po miękko sfalowanej aż hen, do horyzontu, gdzie Ukraina, równinie. Pręga białej rzeki opasywała wzgórze, i ojciec mrużył oczy pod słońce, gdy powierzchnia płynącej wody szyła złotem i skrzyła.

On odwiedzał tam ojca regularnie po kilka razy w roku, i zrzucał wierzchnie ubranie, kurtkę a potem sweter, a latem i koszulę, i pomimo nieuleczalnej niezdarności pomagał ojcu przy pile i kołkach, dopasowywał deski podłogi albo dźwigał strop, podczas gdy ojciec podkładał i podbijał i czytelował z tym zimnym suchym wyrazem szczupłej twarzy, jakim zastąpił poprzedni dobroduszny i rozleniwiony, jakby kościotręp wylazł spod ludzkiego mięsa. Ojciec, tamten ojciec, młodszy, ubabrany, oszustny umarł i objawił się nowy ojciec, ten, który podał się do dymisji z uniwersytetu i Akademii Nauk i z wszystkich funkcji, jakie piastował, ten, który przestał zgadzać się i pozwalać, a zaczął kłąć, zaczął przez zaciśnięte w grymasie zęby syczeć

i monologować, ten, z którego cienką nieustanną strugą się wylewało, jad, nienawiść i gniew, „rozebrać” syczał ojciec „niech tym razem przyjdą nas ubezwłasnowolnić ostatecznie, a nikt palca nie podniesie” i pochylał głowę i patrzył w stronę miasteczka Drohomil, gdzie po rynku wałały się pijane kołtuny, a w brudnych sklepach oblepionych napisami Coca-Cola śmierdziały niemytym potem utlenione sprzedawczyni sprzedające zachodnie przemysłowe gówno, ten szmelc i te ochłapy, mówił, a ponad rynkiem panoszyły się białe i miedzią okute wieżycy dwu kościołów i arcybiskupstwa, i seminarium duchownego z jego czeredą przaśnych sietniaków wyciągających od ludzi każdy grosz w zamian za udzielenie religii śmierci, religii strachu, religii nienawiści i skorumpowania, a składających słodkie zjęłczałe usteczka do słów o miłości, tylko tej, tylko nie tej, do ślubów mistycznych z ciałem ich bóstwa, do samotrysku.

Ojciec zamknął się w swoim pokoju ze wzrokiem białym od wściekłości, a on poszedł pod farę, gdzie w jedynym kinie ośmielono się wyświetlić na nocnym seansie jego film „Grafo-manka”, i zobaczył księdza proboszcza (jednego z dwu) stojącego przed salą i głośno nawołującego widzów, by nie szli na ten bezbożny i pornograficzny obraz, i widział, jak młodzież chętnie i chichocząc korzysta z ciemności, by się do kina wślizgnąć, i wiedział, że owego proboszcza za-

resztowano za kradzież dwu butelek wódki w samoobsługowym sklepie, i wiedział, że ksiądz proboszcz grzywnę zapłacił z tacy, tak jak wiedział, że drugi urzędujący ksiądz proboszcz był ojcem dwojga dzieci, z którymi, jak i z ich matką gospożą, zbożnie mieszkał na drugiej plebanii, ten jednak, nie będąc pokutującym alkohikiem nie wystawał o północy na rynku, a grzmiał z ambony tylko wtedy, gdy hierarchia nakazywała, słowami nauczonymi na pamięć z ich pisemnego przykazania, co przekazywał drewnianym dukającym niepewnie monokordem, tak by parafianie mieli świadomość, że to drętwowowa taka, jakiej w przeszłości (ledwo zakończonej) rozpaczliwie używali *sekretarze* i kacykowie partyjni. Ludzie jednak woleli czynny zapal księdza alkoholika, kobiety na jego kazaniach klękały i unosiły rozczapierzone ręce do kopuły nieba, gdy krzyczał, że opanowani jesteśmy przez Żydów i masonów, że wszyscy rządzący nami i na nas się bogacący są Żydami i mordercami, że Auschwitz cały wymordowanych dzieci nienarodzonych leży na naszych polach, i śmiertelnym swym ministerstwem zatruwa nam dusze.

Ów był nieusuwalny. Opat bractwa, do którego należał, poparł go u Episkopatu, gdy zażenowani kolejnym kazaniem (ksiądz w nim powiedział, że w symbol swastyki, jak i w symbol sierpa i młota wpisana jest tarcza Dawidowa) hierar-

chowcie jednak delikatnie go zganili, i od teraz ksiądz jeździł do Warszawy dwa razy w tygodniu umoralniać rzesze zbrodniczych matek i pokrzywdzonych nacjonalistów połajankami w Radiu Maryja, które po to zostało stworzone, aż on przeczytał w gazecie *Rzeczpospolita* list najstarszej ze swych przyjaciółek, teatrologa, wynoszący pod niebiosą dobroć serca owej radiostacji i zżymającej się na kalumnie rzucane na księży, i poruszyło to nim: list był napisany bełkotliwie i nieskładną polszczyzną, czego się po swej przyjaciółce nie spodziewał, nie spodziewał się, że przyjaciółki i przyjaciele dokoła dostaną po kolei obłąkania i ślepowzroku, nie spodziewał się, że czterdzieści milionów ludzi, dręczonych kolejnymi falami zbrodni i złoczynienia zachowa jako znak rozpoznawczy, jako stempel przynależności, jako esencję duszy wariację i nienawiść, i że tylko w tym będą się czuli dobrze. I nie spodziewał się, że elegancki układny ojciec na starość ucieknie od żony i zajmie się ciesielką i budowaniem fosy septycznej, i że będzie warczał i syczał jak wściekłe pokłute zwierzę, jak popsuta od wewnątrz zabawka, jak Wolter. Albo jak ojciec księcia Andrzeja w „Wojnie i Pokoju”, księżę kostyczny i suchy, skrywający uczucia, pedant i ironista, który na noc kazał przenosić w coraz to inne miejsce wąskie połowe łóżko, na którym spał pod jednym kocem i przy otwartym oknie, by wdychać świat.

Gdy wyszedł – nazajutrz – z ubikacji z otwartym numerem Playboya w ręku, poczuł miły zapach spalonej grzanki, wciąż od śniadania trwający w powietrzu, zapach domowy, do którego się uśmiechnął, jakby ten zapach też go poparł, jakby mu powiedział: jedź, tu jest ciepło i możesz tu wrócić, nie stanie ci się nic złego. Nie lubił zapachu mieszkania matki, które pachniało inaczej, gdy było jego mieszkaniem, bo matka była stara, i lepki zapach starości wisiał u niej w powietrzu pomimo stałego wietrzenia, nie tak przyklepny jak zapach ojca w śmierci i tuż przed nią, ale prawie. Oczy matki były przeszklone długim nieumieraniem i teraz prawie okrągłe, a nie skośne i zielone jak niegdyś, i nie pamiętał zapachu matki młodej, choć pamiętał, że lubił ten zapach, bo to był zapach matki. Matka czy wtedy się uśmiechała? Teraz usta wyginały jej się w swawolny grymas tylko, gdy mówiła o kimś – na przykład o Marii Dąbrowskiej – że był to *kurwizjon pierwszej klasy*, albo o Nałkowskiej, gdy mówiła, że ojciec (jak większość młodych pisarzy) miał z nią romans. Zdjęcie młodego ojca stało na stolyczku pod ścianą, a przy nim stały bukietki kwiatów, które synowie, lub synowie jej synów, matce przynosili, lub bukietki od rzadkich znajomych, których do siebie dopuszczała.

„Myślę o swym dzieciństwie” powiedziała matka
„i dochodzę do wniosku, że byłam nieszczęśli-

wym dzieckiem”. Usiadła na łóżku zapomniawszy się zachwiać i jęknąć scenicznie. „Jak bardzo chciałam lalki” powiedziała „to mi mamusia ją szyła z gałganków, i ołówkiem chemicznym malowała jej oczy. Potem zgruchotałam nogę i przeleżałam tyle miesięcy w szpitalu” powiedziała „tylko w Nazarecie u sióstr byłam szczęśliwa, miałam własny pokój i chodziłam o kulach, i byłam kulawa, i siostry za to mnie kochały. I potem byłam szczęśliwa z wami, dziećmi, twój ojciec miał podróżę, a ja miałam was. Twojego ojca to całe życie się bałam. Był z tej rodziny i twoja babka mnie ułomnej i ubogiej nie chciała. Była groźna i straszna i szarpała mną. Dopiero mnie na łożu śmierci po rękach całowała”.

To było nieprawdą. Matki nie było przy śmierci teściowej, która nastąpiła w Górze Kalwarii, w domu dla nieuleczalnie chorych i starych. Nie była tam ani razu. Ojciec jeździł z rzadka, gdy już wrócili z placówek PAN-u czy ambasadorowania we Francji, Urugwaju czy Afryce, on był z wizytą dwa czy trzy razy. Babka nie wiedziała, ile czasu tam przebywa, na tym łóżku, z którego, ciężka i zbyt leniwa, nie podniosła się więcej, i tylko opowiadała z subtelną miękkością o swych bajkach scenicznych, rymowanych a pisanych pięćdziesiąt lat temu, że byłaby pora je wznowić, i o swej przyjaźni do Kazimierzy Iłakowiczówny i o swej przyjaźni z pierwszą żoną Józefa Piłsudskiego, i o samym rewolucyjnym

i bezzębnym Piłsudskim, i o kulturze tych młodopolskich lat, o teozofii i o poezji i o tych wszystkich książkach, których jego matka nigdy nie czytała, bo czytała kryminały i „Przeminęło z wiatrem”, i w najlepszym – zamierzchłym – przypadku „Krystynę, córkę Lawrance’a” lub „Księgę z San Michele” oszusta Axela Münthe.



Wyszedł i wsiadł do samochodu pod blokiem matki i patrzył na noc i na włóczące się cienie, i widział kartki książki, którą przepisywał przez cały dzień nałożone na noc, na szarość bloków przed nim mżących i wzdrygnął się, kartki były bezradne, niedokończone, nie wyczerpujące niczego, a ostatnia była już tylko biała, i wiedział, że taką pozostanie. Zasnął – zdrzemnął się – na siedzeniu, a rano pojechał zdrętwiały do miasta i chodził po ulicach, a gdy zajechał do domu w Starej Miłosnej był wieczór, i żona popatrzyła prosto i z wewnątrz siebie na niego, była twarda i zamknięta i wiało od niej papierosowym czadem, a gdy zbudził się rano żony i dziecka w domu nie było, wezwała wczesną taksówkę i pojechała na lotnisko i odleciała od niego.

To tego dnia okazało się, że zniknął jego brat, o czym powiadomiła go obecna narzeczona brata, osoba młoda, brzydka i głupia, histerycznym płaczem i łamliwym głosem psychopatki, którą

była. Nikt nie wiedział, gdzie brat wytrzasnął tę wyższą od siebie o dwie głowy, wyższą od kogokolwiek zamaszystą sprzedawczynię, do której mówił per „dziecko”. *Dziecko* miało końską twarz i wysadzone w przód zęby i toporne, choć długie nogi, i czerwone ręce, i pracowało we francuskim sklepie Géant, skąd on wydedukował, że brat poznał *dziecko* podczas lekcji języka francuskiego we francuskim Instytucie, gdzie nauczał po rezygnacji z wszelkich ambicji. Uczył od dwudziestu pięciu lat tego samego tych samych, ale co rano twierdził, że musi się przygotować do lekcji, a co wieczór wracał z lekcji bardziej błądy i zdesperowany i smutny, chyba że przyprowadził ze sobą dziewczynę, która stawiała się, jak ta pierwsza, jego żoną, lub, jak ta ostatnia, jego właścicielką.

Nie było szans na awans w tym Instytucie, ani szans na zmianę, język francuski nie zmieniał się i Francuzi bardzo byli z jego doskonałości zadowoleni, a brat nie mógł stać się ani wyższym wykładowcą, ani dyrektorem, bo był z naboru miejscowego, brat do Instytutu przeszedł z warszawskiego uniwersytetu, i mimo że posiadał prócz polskiego obywatelstwo francuskie (urodził się w Paryżu, gdy ojciec był ambasadorem), mógł najwyżej zrezygnować z pracy w Instytucie, i wówczas jako podległy francuskiemu ministerstwu oświaty, stać się nauczycielem francuskiego we Francji, co jak na Polaka było

absurdalne, a że był – brat – oporny i legalista, stałby się nauczycielem francuskiego w jednym z ponurych beznadziejnych pseudo-liceów wokół Paryża, w dzielnicach bloków dla bezrobotnych Arabów, w murzyńskich podmiejskich dzielnicach narkotyków i nędzy; więc brat kurczowo się trzymał Instytutu i oglądał kolejno zmieniających się i panoszących się w Warszawie beznadziejnych niekompetentnych dyrektorów, i kładł się do łóżka z czeredą kolejnych młodych dziewczyn jako jedyne zadośćuczynienie i jedyłą ulgę.

A przedtem, czyli od jakiegoś czasu, brat zaczął zapadać na przeróżne dolegliwości i choroby, dostawał gorączek albo zatruchiwał się jadem kiełbasianym w restauracji Samson, i gdy on go odwiedzał w szpitalu widział, jak brat słabnie, skłuty kroplówkami i popielatożółty na twarzy, jak pęcznieją mu do zdrewnienia podziurawione igłami żyły, jak odwodniony i bezsilny leży i czyta jakąś beznadziejną trzeciorzędną francuską książkę, bo wszystko, co było francuskie, było samozadowolone i trzeciorzędne, zwłaszcza ich wychwalany sposób życia, w którym brat się kochał, i w którym tylko – twierdził – dobrze się czuje, jakby nie widział zimnej twardości i oschłej bezwzględności Francuzów, ich nienawiści do wszystkiego, co nie ichnie i ich nienawiści między sobą, tej właśnie, co doprowadziła do opasania ich miast betonowymi obozami

koncentracyjnymi dla wykorzystanych i zbędnych cudzoziemców, i co doprowadzało do erupcji rewolt i podpalań, wielodniowych bijatyk z policją i całożyciowego wycia rozpaczliwych sprasowanych tu jak ponure bydło analfabetów. Paradoxem było, że to nie brat, ale on miał żonę Francuzkę, więc, że cechy przyziemności i oszustwa i ponurości tak silne w jej narodzie i ją ogarnęły, odkąd dorosła, cechy, z którymi bratu byłoby do życia, bo brat by ich nie zauważył, albo je tłumaczył, jak ojciec ich tłumaczył cechy złośliwości, egoizmu i głupoty utrzymujące tak długo ich matkę przy życiu.

Stał z tym Playboyem i z tą piękną krępką krótką dziewczyną sfotografowaną w nim i wdychał zapach domu, spalonego chleba i sosen w mroźnym otwartym oknie, i poczuł, jak jest wolny, jak w ten słoneczny poranek jest po raz pierwszy nadspodziewanie wolny od zmór niekochania i urazów, od perspektyw niechęci, i poczuł, że to ucieczka brata bardziej od wyjazdu żony go rozkuły, i pomyślał, że zadzwoni do tych dziewczyn z chóru w Operze, które miały największe biusty. Jego żona miała przez wiele lat największy najpiękniejszy biust, ale po rocznej przygodzie seksualnej z młodym kochankiem straciła go bardziej niż po karmieniu dziecka, myślał, zasłaniała teraz biust w łazience rękoma i przygaszała wieczorem światło, choć on i tak tego nie chciał, pił wódkę aby mieć powód do niechcenia jej,

czy też odwrotnie, myślał o piciu i pisaniu i zaśnięciu, bo chciał napisać trzecią powieść polską tak, jak namawiał ojca do napisania prawdy o sobie i okupacji i komunizmie i samotności, prawdy o nich, prostej prawdy, i ojciec nigdy tej powieści nie napisał, wprzód uśmiechając się uprzejmie, a teraz klnąc i sycząc i łupiąc siekierą, a gdy siadał przy swym stole do pisania, pisał okruchy małe i czułe, układające boleść świata i umajające to, co mu się zdarzyło, zapachami i tęsknotami i łagodnościami kłamstwa.

On nie umiał łupać siekierą w przerwach pisania, był niemanualny i nietechniczny, więc gdy nie pisał szukał pracy w filmie czy w operze, reżyserował film „Grafomanka” czy operę „Straszny Dwór”, ale nikt z krytyków nie chciał zauważyć ani lekkości, ani śmieszności, ani aroganckiej wiedzy tego, co robił, krytycy pragnęli mogiły i cmentarza i narodowych świętozań, więc się brali za jego niepowagę jak zawsze, a on jedyną czerpał przyjemność z patrzenia na te dwie dziewczyny w chórze, które w miarę tygodni poczęły wyłaniać się z bezkształtnej masy jako rozśpiewane i wesołe, jedna na pozór starsza od drugiej, choć były w tym samym wieku, tę starszą przywoził do pracy elegancki macher mercedesem, a ta młodsza przyjeżdżała tramwajem, ta starsza miała za ciężki, za stary makijaż i wyglądała nowobogacko i obcinała sobie i farbowała włosy coraz bardziej absurdalnie, by

się upodobnić do tych skutecznych warszawskich damulek żyjących z dzianymi wulgaryzatorami, a ta młodsza była tęga i obfita, i miała za długi choć poddarty nos, i jak obie zobaczył na generalnej próbie już w kostiumach – jedną w balowej sukni z pięknymi obnażonymi ramionami, drugą w wiejskiej kiecy z obnażonym nabitym dekoltem – poczuł, jak bardzo są podniecające i żywe, i nie wiedział, czy to dlatego, że są teatralne, choć wiedział, że całe życie jego było teatralne, literackie i filmowe, czyli nic nie warte, należało sceną zatłuc czas i nieszczęście życia, i obserwować maniakalnie, schizofrenicznie i potem to spisywać i umieć i tyle.

Więc na premierze, po której publiczność stała i się cieszyła, póki się nie dowie od krytycznych pluskiew, że nie należało, wziął od obu podnieconych dziewczyn numery telefonów i sfotografował się z nimi, jak sfotografował się z wieloma dziewczynami z chóru, fotografowały ich siostry i matki, a w wypadku tej dziewczyny otartej o brzydki świat pieniądza fotografował przystojny i powściągliwy i gładko pachnący starszy macher. Gdy zapytał jej, dlaczego nie była na ostatnich próbach przed generalną (brak mu było jej ciężkich piersi i białych zębów i spojrzenia i pamiętał jak ona, po szczególnie egzaltowanej scenie, przebiegając wyciągnęła niespodziewanie rękę i pochwyciła go za rękę w przelocie) odpowiedziała, że była ze swym partnerem w Londy-

nie, i że to pierwszy raz była w Londynie i jak było czysto i schludnie, i jak ludzie byli uprzejmi, że aż się popłakała wracając tutaj do złości i głupoty i szarego złego brudu. Ta druga – wiejska – miała jeszcze większy biust, ale cała też była bardziej tęga i nieprzyzwoita, pośladki miała równie odstające, co piersi, a gdy trzymał ją przy zdjęciu za spoconą rękę, przygarnęła jego rękę do swej talii i poczuł rozbuchane wilgotne ciepło od jej ciała i poczuł, że ma ona wałek tłuszczu na brzuchu, i widział jej mocny biały nagi kark i rumieniec i błyszczące wiewiórcze oczy i poczuł w tym hallu pożądanie, cały zamienił się we własnego chuja, chuj sterował nim i sterczał przed nim z całkowitą wolnością i swobodą, i mierzył w nią, odrywał się niezawisłe od niego i zmierzał do niej i chciał jak najoczywiściej i z namiętną siłą w niej być.

A potem odezwali się krytycy, oskarżając go chóralnie o pornografię i szarganie narodowych świętości, jako że pozwolił rosyjskim carskim cenzorom, obecnym na pierwszym przedstawieniu „Strasznego Dworu” chodzić po scenie już podczas uwertury, i oskarżono go o wyinaczenie kretyńskiego libretta niejakiego Choińskiego („nie ma niewiast w naszej chacie” śpiewane przez bohaterów w akompaniamencie licznego chóru żeńskiego), oskarżano go o najgorsze i łgano, a potem zaczęły grzmoty i popierdy dobiegać z Ministerstwa Kultury nowo opanowanego

przez niedoukich populistów z eks-Solidarności Karierowiczów i Popłuczyn, i psychopatów obasypanych złośliwym łupieżem i łgarzy ściskających mu prawicę w zachwycie po premierze, a udzielających nazajutrz wywiadów na temat jego beztalencia, i

Więc nie zadzwonił przez kilka tygodni do żadnej z piersiastych dziewcząt z chóru, dopiero teraz, gdy wyjechała żona i uciekł brat, i dlatego, że wpatrzył się w piękne piersi niewielkiej dziewczyny sfotografowanej w Playboyu, i dlatego, że było za oknami ładnie, świeciło słońce, jakby to było lato, a nie zima, podszedł do telefonu i zadzwonił do tej bardziej cycatej, ale nie zastał jej w domu, więc zadzwonił do tej starszej, wyrafinowanej postarzałej i małowieszczańskiej, z nosem, który byłby orli, gdyby nie rozłaził się u końca w kartoflaną klupkę, ale kto jest doskonały? I czy nos jest ważny? Była w domu, i powiedziała efektownie, że właśnie odwiozła Wacka czy Sławka na lotnisko, bo leciał za interesami do Pragi, i żałowała, że nie poleciała do Pragi, jak poleciała do Londynu, gdyż przygotowywała się do egzaminu wstępnego na prawo, i wzięła urlop bezpłatny w Operze i będzie studiować prawo, i on ją zapytał „po co?”.

Umówił się z nią popołudniu, ale wiedział, po sobie jej noszenia się i przesadnego malowania i czesania i pretensji do bezguścia, że należy zapro-

ponować drogą i uczęszczaną przez cudzoziemców kawiarnię, i umówił się w Bristolu, gdzie kawa kosztowała tyle, co gdzie indziej obiad, ale gdzie wchodzili i wychodzili cudzoziemcy i siedzieli bogacze z telefonami przy uchu i dziewczynami w minispódnicach pod futrem, a kelnerki szczupłe i utlenione promenowały nonszalancko na długich obnażonych po samo łono nogach, i nie utrzymywały się długo, i gdzie panowała komputerowa atmosfera dorwania się do wszelkiego zachodniego dobra, seksu i pieniądza, pod polewką europejskiej sofistykacji takiej jak lukier na ciasteczkach sprowadzanych skądś, a do kawy podawanych. Spóźniła się pół godziny, i gdy weszła wyglądała jak karlica, jak garbus, bo krótką szyję obłożyła kołnierzem w formie przerośniętego tulipanu, poszerzającym jej i tak szerokie plecy i ramiona, i widać było, że jej głowa jest za duża w stosunku do krótkiego ciała, a nogi są za krótkie do wybujałości torsu. Zdjęła brunatnozłotą polśniewającą kurtkę z tulipaniem w szatni i podeszła w chuście od Diora i zapachach i złotym zegarku, a gdy ją zapytał ile ma lat, powiedziała dwadzieścia.

Przez chwilę było o czym mówić, bo mówiła o Operze i plotkach i zawiściach, a potem roześmiała się, i powiedziała, że była przez rok w cyrku i robiła najróżniejsze rzeczy, i twarz jej się rozjaśniła pod centymetrową warstwą makiżażu, więc powiedział jej, że prawnikiem może zostać byle kto, kto nic nie umie, a cyrkówką,

śpiewaczką czy aktorką nie, i że ona jest z tego brzegu, z naszego brzegu maniaków i lunatyków i kurew i reżyserów, i żeby nie stawała się nowobogacką nałożnicą lewego biznesmena, tylko szła za anomalią swego talentu, za swą przygodą, powiedział, a ona była ładna i młoda i słuchała patrząc na niego ciemnymi oczyma i łyskając białymi pięknymi zębami w ustach rozkrojonych tak wyraźnie, że aż znaczących doświadczenie kobiece i wiedzę seksualną, wiedzę o losach, których nie była ofiarą, tylko w których chłodno i, jeśli trzeba, okrutnie się rządziła.

Przywiózł ją do domu i pokazał jej dom i nie wstydził się zdjęć żony rozstawionych; było mu wszystko jedno, a potem pocałował ją na kanapie i ona oddała mu pocałunek, i przestrzeń za nimi była taka, jakby od razu mówiąca, że to też jest seks, jakby skalibrowana na twardą płęć, wymiarowa, a gdy sięgnął po jej wymarzoną pierś i powiedział „masz piękne piersi”, ona powiedziała „wiem”, i powiedziała „to jest trudne”. Byli sami i poza teatrem i poza świeżym fizycznym życiem sceny, byli na kanapie i ona powiedziała „odwieź mnie do domu” i pocałowała go, a nie pozwoliła już pieścić swych pięknych piersi, już tylko milczała i patrzyła w bok na dryfującą ciemność, więc wysadził ją w centrum i sam wyszedł z samochodu i przeszedł się ulicami, i idąc słyszał z półmroku i spod pionowego światła latarni głośne „kurwa, kurwa”.

Napisać o tym facecie, który pracował w FSO na Żeraniu (ostatnio Daewoo, jako że nasz naród ma szczególne zamiłowanie – czy talent – do podpisywania największych umów, oddających co nasze, z plajtującymi, zapadającymi się kryminalnymi kapitalistycznymi reżymami kanciarzy, tandeciarzy i megalomanów), jako objeżdżacz – tester – schodzących z taśmy samochodów, i jak wsiadł ów, by zjechać ostatnim wyprodukowanym tu beznadziejnym, rozlatującym się już w chwili zjazdu polonezem, i zamiast na parking zasłany tysiącem nie sprzedanych nie sprzedających się polonezów, pojechał prosto przez bramę przed siebie (może dlatego, że ten polonez się nie rozleciał), i jak przejechał w ten pogodny słoneczny dzień pół Polski, jadąc dokąd, dokąd? I że był po wyższych studiach i delikatny, i samotny, i tylko taką pracę znalazł, i jechał po tropie nieszczęśliwej inteligentnej młodej kobiety, którą poznał, a która zbiegła ze szpitala wariatów w Pruszkowie i uciekła dokąd? I gdzie ją znalazł, jak nie w puszczy, w której postanowiła – wyjąc – żyć jak wilczyca, dziko i swobodnie?

Jesteś myśliwym, powiedziała jego znajoma, która miała wszystko plus męża a minus młodość, twój instynkt jest intynktem polowania, jest to instynkt łowcy, powiedziała, wiążący zmysły, każący ci pójść za tym, co wytropisz, pójść i zabić i powiedzieć: ja inaczej nie mogę.

To bezwzględny męski instynkt, powiedziała, i dlatego każdą rzecz poznaną czy doznaną opowiesz, bo inaczej nie możesz, a on powiedział – siedzieli w fotelach i zapadał zmierzch, a ona przyjechała, by go wyciągnąć paplaniem z katonii lodowatego smutku, z zapaści w strach i niemotę, by go ze śmierci wyciągnąć na przyjazną chwilę – że ceną tego jest wolność; „jestem jedynym znanym sobie wiednym człowiekiem, powiedział, i dlatego jestem w jednej jedynej przeciwnej osobie całą kulturą polską, powiedział, a oni są niczym”, a ona rozpoznała (ale zmilczała) maniakalną depresyjność i agresję jego stanu, i kiwnęła głową, i powiedziała, że brat (ten, co zniknął) ją w ostatniej rozmowie zapytał: *to gdzie on teraz pojedzie? Dokąd ucieknie, gdzie wybędzie, na Antypody?*

Na pody, pomyślał, nie na anty, a zniknął nie on, tylko brat. Milczał, gdy wyszła, i przerzucał obrazkami w telewizorze, jak milczał, gdy wrócił do domu po odwiezieniu pretensjonalnej młodej kurwy z chóru o pięknym biuście, żałował tylko tego pięknego biustu, jędrności i ciężaru jej piersi, ich szerokości i poddarcia sutek. Dalszą część nocy spędził na myśleniu o nich, i o innych wybujałych piersiach, i pomyślał, leżąc w swym ascetycznym, oblanym księżycową bielą pokoju o piersiach swojej żony i pomyślał, że może brat profesor uciekł do niej, do Paryża, do Paryża, o którym marzył, i pomyślał, że tak się

nie stało, bo żona traktowała brata jak młodszego brata, jak on go traktował, choć brat był o dwadzieścia dwa lata od niej starszy, i że to byłoby literacko zabawne, ale po prawdzie niemożliwe, bo brat nie miał w sobie erotycznej wulgarności ani ulicznego wdzięku, ani też samczej pewności siebie, w których jego żona gustowała, w których się seksualnie spełniała, arogancja brata była suchą pewnością siebie sztywniaka i urzędnika, a to, co w nim buzowało było zaledwie niechęcią do tego kraju i jego wstecznej, niefrancuskiej miernoty, mitomanii i kłamstwa.

Nie wiedział, kiedy zasnął, a gdy się zbudził, Playboy z tą krótką piękną rozebraną dziewczyną leżał na łóżku koło niego, zimny i wyglansowany, więc wydzwonił młodszą z dwu dziewczyn o wielkich piersiach i umówił się z nią w skromniejszej kawiarni, a gdy dojechał do kawiarni zobaczył z przykrością, że ze śnieżnoczystobiałej, białej jak beza, kawiarnia stała się brunatna, przemaalowano ją ponuro i brudno na bury brąz, położono burobrazowe chodniki, i nie rozumiał, dlaczego to zrobiono, sala z prostej stała się dworcowa, było to w ramach uwulgarniania i odbarwienia wszystkiego co jasne, tak jak nocą głowił się przed telewizorem, dlaczego rząd tego kraju obraduje pod orłami utkanymi na makatkach, z których zwisały dodatkowe frędzle i ogonki, dlaczego ściany obrad władz i gabinetów obite są krwawopąsowym i drażniącym oko

brokatem w złociste esy-floresy, dlaczego oficjalność jest równie brzydka i bezgustowna, co niechlujna prywatność ich wyglądu – psychopatyczne włosy sterczące z potylicy nad czaszką ministra kultury Weissa (weiss – wiedzieć), gdy przeciąg rozwiął pożyczkę, i łupież na jego ramionach i jego syczenie, gdy ganił operę „Straszny Dwór”: „czy *on* mógłby się porwać” wyszczał „na naszego Papieża?”, bo Papież nie był ogólny, tylko był ich, własny, i rząd właśnie zamówił tysiąc pięćset czarnych mogilnych krzyży do wywieszenia na tych makatkach.

Zrobiono to, bo kawiarnia nosiła nazwę Nowy Świat, a tu nic długo nie mogło być nowym światem, tylko miało stać się starym, złudzenie rozłaziło się i pryskało i zamieniało się w grymas, w powrót do brzydoty, w pryszcz i w tłuszcz, i w pot i w sutannę, w mierność i w oszustwo, i w wzgardę. Toteż nie zdziwił się, gdy dziewczyna, gdy weszła przebrana odświętnie w deformujący ją strój, sztywny granatowy kostium opancerzający jej miękkość, a uwydatniający, że jest równie szeroka, co wysoka, że ma za tęgie nogi i grube uda, że wszystko to, co w niej piękne, jest brzydkie, nie zdziwił się, że ma ociupinę za szeroki nos, i nie poddarty, tylko płaski nad podnośnikiem, jak dziób nieinteligentnego ptaka, nie zdziwił się, że jej wymalowane na żółto paznokcie są za drobne, za długie i za szpiczaste w stosunku do mięsistych pospolitych palców i nie

zdziwił się, że gdy mówiła, używała zwrotów takich, jak „piękne aż do bólu”. Była ze Szczecina, powiedziała, jej ojciec dobrnął tam spod Lidy, gdy Polaków wyrzucano, a matka była z Tomaszowa, czy coś takiego, nie dosłyszał. Odwrócił wzrok i patrzył w roztargnieniu na wchodzące panie w beżowych kapeluszach z wątłym ścierwem liska zakręconym wokół szyi, i na facetów w nylonowych kurtkach i na brzydkie kelnerki i na fortepian z niechlujnie rozłożonymi na jego czarnym obłupanym blacie numerami Frankfurter Rundschau. Dziewczyna wyczuła, że się mu dziś nie podoba, ale on jak karabin maszynowy terkotał pytaniami, więc odpowiadała, odpowiadając ożywiła się na mówienie, studiowała fortepian, powiedziała, przez wiele lat była cudownym dzieckiem i rodzice (cudowni rodzice) robili wszystko dla niej, matka raz w tygodniu jeździła z nią pociągiem ze Szczecina do Łodzi, do wybitnej pianistki dodatkowo: przesiadały się w Kutnie, tak, jechały całą noc i całą noc z powrotem, ale ona – dziewczyna – już nie gra na fortepianie, bo przy fortepianie trzeba siedzieć, a ona nie może usiedzieć, nosi ją, więc jest w chórze przypadkowo, biega po scenie i śpiewa.

Głos miała głęboki, mięsożerny, mezzosopran wpadający w alt gdy była stanowcza, stanowczo w samochodzie powiedziała „nie”, głęboko i stanowczo i ujawniając (odtajniając) rąbek tego

charakteru, który powodował, że nie miała narzeczonego, „jestem dziewicą” powiedziała do niego w kawiarni, a potem – w domu, gdzie ją zawiózł podobnie, jak tę starszą – gdy starał się ją objąć skryła krągłą głowę w ręce i ramiona i powiedziała „krępuje mnie to”, „dlaczego?” zapytał, a ona powiedziała „ja właśnie nie wiem”. „Nie mam cię dotykać?” zapytał, a ona odpowiedziała „nie”, i powiedziała „miło się z panem rozmawia” i było to dlatego, że on był stary, i on odwiózł ją do miasta i zostawił pod Operą, tam powiedziała „nie” głębokim i stanowczym i wulgarnym głosem operowym, choć pod domem, gdy wyszli, dała dotknąć i objąć kule swych piersi, a one nie mieściły się w dłoni i nie dawały się popieścić, bo były doskonale krągłe i doskonale twardo wypukłe, że aż bez formy innej, niż krąg, a dłoń nie jest okrągła. „Nie dojrzałam emocjonalnie do tego” powiedziała, i on ją wysadził i wrócił do domu, a pod domem siedziała ostatnia narzeczona brata, chuda i w hysterii, i on ją wpuścił do domu (przyjechała taksówką) i przez chwilę wysłuchiwał, jak dziewczyna krzyczy i bryzga śliną, i potem przeprosił ją z domu, właściwie usunął i było mu wszystko jedno, jak i czym wróci do Warszawy.

Noc spędził na kartkowaniu swych własnych ostatnich książek i wczytywaniu się z wielką mocą w rozstrzelone akapity, a potem na zebraniu w kupkę książek, które chciał wziąć ze sobą,

nie znanej mu powieści Jima Harrisona „Farmer” (Harrison pisał wąskie książki) i ponad osiemsetstronicowej książki Dona DeLillo „Zaświaty”, o której wiedział, że będzie nad-napisana, przez długie lata pisana, Amerykanie tak piszą *trzecią powieść amerykańską* na komputerze rozrysowaną, ale pisząc dostają zapomogi i nagrody i pensje z fundacji i uniwersytetów, i nie wziął książki Williama Gassa, którą Gass grubo i pracowicie pisał przez ostatnie dwadzieścia lat (*wszyscy na nią czekali*), bo zaczął był ją czytać, i zakatowując się inteligentną pijacką nudą zrozumiał, że Gass opowiada tylko skromną i małą anegdotkę, a funkcja pisarza wymaga odeń, by ją w te siedemset stron solenności usmarował, że jak to pisarz przez dwadzieścia lat zamknięty w swym pokoju pisząc myślał tylko o tym, jakby pod tym pokojem wykopać tunel i uciec nim i zniknąć na zawsze. Gdy to zrozumiał, zapisał w zeszytiku z notatkami, które mu służyły do podjęcia wątku następnego dnia: *miała dupę jak dzwon, a cyce jak donice i była dziewicą*. Dodał do kupki książki, których nie będzie czytał, surrealistyczny tom opowiadań T. Coraghessiana Boyle’a, i esej Lwa Gumilowa – syna Achmatowej – „Dzieje Etnosów wielkiego stepu”, i pretensjonalne „Zwłoki Mickiewicza”, które prócz tytułu i zdjęć trupa nie zawierały niczego. „Próba nekrografii poety”, słowa, słowa, słowa, ale trzeba było to sprawdzić, i „Listy z zesłania”, tom 1, „Archiwum Filomatów”, i gorszą

od jego poprzednich, ale o niedźwiedziach, książkę Ricka Bass'a „The lost Grizzlies”, i nie wziął żadnej powieści polskiej, nie było polskiej powieści, nie było polskiej prozy, były nudy na pudy i drobne oszustwa i minoderie, nie było po polsku nic z literatury do czytania, nie było trzeciej polskiej powieści.

Zaczął po szafach szukać torby, w którą by książki mógł wpakować (nie ruszał się nigdzie bez książek), gdy zadzwonił telefon, i zamarł, bo pomyślał, że mogła to być żona z Paryża, i nie chciał jej słyszeć, ale podszedł do telefonu, bo pomyślał, że mógłby to być zaginiony brat, lub policja dająca znać o wypadku, lub rozhisteryzowana żyrafa, ostatnia konkubina brata, tryumfująco meldująca, że brat właśnie (z podwiniętym ogonem) powrócił. Ale była to – w słuchawce – starsza z obu piersiastych dziewcząt, ta pretensjonalna, i zapytała (rozlanym, zmazującym afektowanie spółgłoski głosem) „dziwisz się?”, i on powiedział, że tak, dziwi się, a ona powiedziała, że jest ładnie i mroźno, i wychodzi tylko na krótki spacer i wraca do podręczników, bo przygotowuje się do tego egzaminu, powiedziała, a on zapytał bezmyślnie, i raczej z uprzejmości (te formy), kiedy się zobaczą, na co ona powiedziała, że po egzaminie za tydzień. Zadzwonił, powiedział, i wiedząc, że go nie będzie, że będzie gdziekolwiek, tylko nie przy telefonie, nie z nią w kawiarni czy na kanapie, nawet nie z nią

w łóżku, ani ze swoją żoną, choć na myśl o kształtnych bogatych delikatnych piersiach dziewczyny sterczących mu w dłoń doznał przelotnego dreszczu, naglej krótkiej odruchowej żądz, odłożył słuchawkę.

Zamknął torbę i krótko pomyślał o tej młodszej z dziewczyn, i pomyślał o historycznej żyrafie, która na brata czekała w mieszkaniu na Kinowej wypełnionym obecnością tylu poprzednich kobiet i nieszczęść (brat profesor nie wyrzucał nigdy niczego, i szafy miał pełne baniek po oleju do kolejnych samochodów, czy butelek po wodach toaletowych – wszystkich – które od pierwszego golenia trzydzieści lat temu na siebie wylał, i pism samochodowych i książek po ojcu i słowników, bo książek sam nigdy nie kupował ani czytał, i dlatego w szpitalu czytał byle co i byle jak, byle po francusku) i pomyślał, że wie, jak ta ostatnia młoda kobieta brata mogłaby być z którymkolwiek z nich, byle by nosił to nazwisko, bo wpatrzona była nie w brata, ale w ród, i chętnie by zamieszkała na Kinowej, gdy tam mieszkał obity i porzucony ze starszym swym synkiem, wówczas trzyletnim, albo z drugim bratem wariatem, gdy tam koczował z przygodną odbitą komuś żoną, nim ostatecznie uciekł i stał się trampem i bandytą, a później malarzem w Nowym Jorku.

Poszedł do pokoju telewizyjnego, bo ściany w nim obłożone były książkami o historii i pomyślał, przerzucając książki, jakie myślał dodać do zabieranych („Unia Brzeska, geneza, dzieje i konsekwencje” etc., i „Panie Polskie XVIII wieku” Rudzkiego) o paradoksalnym rozziwieniu pomiędzy telewizorem a tymi książkami. Więc zapalił telewizor i bezmyślnie patrzył na powtórkę programu Pegaz, w którym na temat wczoraj utworzonej komisji do spraw wydawania lub nie książek, i dofinansowania lub nie czasopism wypowiedział się sekretarz, człowiek młody i glistowato wygląający, i zawijający długą chudą katolicką nogę jedną na drugiej, który zapytany, dlaczego to komisja owa jest skrajnie prawicowa powiedział, że to zależy z jakiego punktu widzenia. On tego młodego a starego człowieka znał od lat, i zawsze patrząc na niego zastanawiał się, jak mogła być jego żoną młoda literatka, pisząca erotyczne erudycyjne strzępiaste książeczki, choć byli – glistowaty i chudziusia – podobni do siebie, z krakowskiej bladej piwnicznej plasteliny, póki glistowaty chudziusia nie porzucił ze swymi długami, tak twierdziła, choć on powiedział – zapytany – o ich małżeństwie (dlaczego się rozpadło), że jak długo można było trwać w splocie sadomasochistycznym? Sadysta czy masochista (ona uważała, że młody mąż w nic nie wierzył) był u przedproża władzy i wypowiedział się z niechrześcijańską niecierpliwością o eks-komuchach, i z szyderstwem, aczkol-

wiek przewodniczącym Komisji stał się eks-komuch Paweł Hertz, w swoim czasie żywcem nadający się do portretu w „Umyśle Zniewolonym” Miłosza, ale to się nie liczyło, skoro Paweł Hertz się wychrzczył, i z komunistycznego wojowniczego politruka stał się malowaną i pełną dąsów starą kokotą, upudrowaną umysłowo i w okopach Świętej Trójcy, zaś była żona glistowatego wyjechała właśnie z kraju do pielęgniarza z domu wariatów pod Uppsalą (Szwecja), pomimo jego dziewięciorga dzieci, i przesyłała – spod lasu, pisała, z bloku nędzy, doprawdy – do pism teksty coraz płytsze, bo pielęgniarz podobny był do seksualnego Banderasa, jak wzmówiła w pismo *Oto Ona*, by to on odpowiadał na listy w rubryce nieszczęść sercowych, co uczynił ze zdjęciem swym na czele i w bezbarwnej topornej polszczyźnie.

Kiedy wyjeżdżał spod domu nie pamiętał, czy pozostawił telewizor zapalony, czy nie, choć nie było to ważne, pomyślał, jeśli nawet, to obrazy wypłuczą się z ekranu i dźwięk się zużyje na mówieniu, ekran zwolna zetleje i zamrze i zacichnie aż do wypranej białości, a potem do czystej przezroczystości, tej którą się osiąga w najlepszym wypadku przed śmiercią, a potem zagaśnie spokojnie i cicho do martwej głębokiej czerni, a potem do płytkiego powierzchniowego połysku szkła

... po premierze „Strasznego Dworu” głuchy jak pień, sklerotyczny i zły pederasta, starzec Waldorff napisał w lewicowym tygodniku „Polityka”, że *on* dokonał zbrodni na kulturze polskiej, zaś na dyrektora Opery zaproponował swego młodszego kolegę pederastę, dotychczasowego dyrektora Operetki.

Myślał o ojcu i o milczeniu ojca, i o wściekłości ojca, i o tym, że ojciec za komunistów zrobił karierę, i że wysłano go do Paryża, bo od razu w gazecie Rzeczpospolita napisał po zaarrestowaniu ostatnich władz Polski podziemnej (jego władz) i ostatniego dowództwa AK (jego dowództwa) artykuł pochwalający ich proces (w Moskwie) i ciężkie na nich wyroki, myślał o tej drużbie skrajnie lewicowej wobec zła i niesprawiedliwości, która powodowała młodymi inteligentami po przedwojennym lwowskim uniwersytecie, jak im w rezultacie dwu ohydnych okupacji i przegranej wojny i obozów koncentracyjnych i głodu i śmierci wypadło iść w służbę katom, i jak kaci zamieniali się w satrapów, a młodzi intelektualiści przynajmniej wypisywali to po polsku, pisali i służyli i indoktrynowali – jak Paweł Hertz – i jak krwawe błoto zamieniało się w plugawą szarą lawę, tę lawę od Mickiewicza tę samą, aż się starła na pył, szary brudny pył leżał w żłobinach miast i bruzdach po polu, i pokrył żyjących.

I jak ojciec z wściekłą pogardą syczał i prychał, siepiąc siekierą po okorowanych balach, drobny, chudy – wychudzony – i prawie mały, w rozchełstanej i wymiętej, a potem przepoconej koszuli, i jak sięgał wieczorem (światło było naftowe) po książkę stale tę samą, jedną, gwałtownym suchym ruchem niezgodnym z treścią ani tytułem tej książki, a było to „W poszukiwaniu straconego czasu” Marcela Prousta, ale nie pierwsza powieściowo układna jej część „W cieniu zakwitających dziewcząt”, ani nie korpus o zazdrości i zdradzie, ale po ostatnią część o zepsuciu i rozkładzie, i obnażeniu amoralności i ułudy, pryśnięcia europejskiej ułudy i prywatnych złudzeń, w części „Sodoma i Gomora”.

Wyjeżdżając z domu samochodem (tyłem z garażu), należało za bramą wykręcić się na piaszczystej dróżce dziobem do przodu, i on zobaczył, że się nie wykręcił, że nie zamknął bramy, że nie jedzie, tylko stoi (siedzi) nieruchomo z zapalonym silnikiem, a plamy słońca jaskrawe jak latem leżą na kurzu szyby i dróżce, plamy pionowe i białe na pniach sosen i nieruchome i obłe i skomplikowane na białych fasadach sąsiednich domów i na murze zamykającym jego dom, i wyszedł z samochodu i wrócił do domu przez otwartą bramę i zobaczył, że nie zamknął domu na klucz, i poszedł na parter, gdzie od dwu lat brat profesor starał się urządzić sobie mieszkanie, bo byłoby siedmiokrotnie większe

od nory na Kinowej, gdzie się gnieździł, ale albo nie miał pieniędzy, albo i do tego talentu i wyobraźni, bo mieszkanie stało zapuszczone, tynki nieskończone, podłoga zerwana, bo z marnie położonych rur kaloryferowych wyciekła pod nią woda, zaś na środku zerwanej podłogi i gdzie bądź piętrzyły się kartony z rzeczami po ojcu, jego papierami i orderami i wszystkimi tymi politycznymi propagandowymi zakłamanymi artykułami, z tymi setkami napastliwych artykułów, które ojciec umieszczał w partyjnej i barbarzyńskiej (czy była inna?) prasie, a których ze wstydu nie zebrano w tomie jego dzieł pośmiertnych, a obejmującym całą prozę.

Cała proza.

Pamiętał wściekłość brata na marnotrawców i partaczy hydraulików i murarzy niefrancuskich lecz polskich, i pamiętał jego długą kościstą narzeczoną (żyrafę) w szlochach zrywającą podłogę i wysuszającą lepik pod nią za pomocą szczotki z wyciskaną gąbką (wszelkie czynności spełniała krzycząc albo szlochając) i pamiętał chudą ostrą twarz brata i niezdrową bródkę pokrywającą mu niby rzadka sierść policzki, i patrzył na kurz i brud i nieroztropny rozkład ścian i pokoi, którego brat dokonał za pomocą lewych murarzy, i na płataninę zwisających niewymiarnych rur po ścianach, i na dziury w ścianach, i na bezład, na bezwład, na nieporządek i na to

coś, co mówiło, że brat tego nie zakończy nigdy, że tego się nie da, że wszystko jest źle i bez sensu, i brzydko, że po co, i pomyślał, że brat tu nigdy nie zamieszka, i pomyślał, że wie dokładnie, gdzie jest brat, i że on tam go odnajdzie, że tam pojedzie, tylko że trzeba bratu dać nieco czasu na znalezienie się samemu, na oddech czy wściekłość czy wyciszenie się czy nic, trzeba mu dać czas, więc wrócił na górę po ten numer Playboya i tę rozkładówkę i patrzył w nią siedząc na kanapie, a potem podniósł się i po raz ostatni doszedł do telefonu.

Doszedł by zadzwonić, ale to telefon zadzwonił, gdy kładł rękę na słuchawce, takie rzeczy się zdarzają, rzadko ale jednak, i C.G. Jung nazywał je synchronizmem. Dzwoniła ta, do której miał zadzwonić, dzwoniła, by powiedzieć, że się namyśliła, i powiedziała głupim głosem w słuchawce „zawsze strugam idiotkę, taki sznyt”, że mogłaby przyjechać, bo ona już zupełnie nie wie, co ze sobą zrobić, ile razy przychodzi jakiś kumpel do domu to ojciec mówi do psa, że ma nowego tatusia, a matka tylko czyha, kiedy pojawi się ten dziany, powiedziała „i teraz też tu pojawiła się ze ścierą do kurzu” powiedziała. Dziewczyna studiowała prawo i anglistykę w Poznaniu, ale mieszkała w Bydgoszczy, ojciec był bezrobotnym proletariuszem a matka brudną idiotką (ze ścierką w ręku) i ekspedientką sklepową (mięso), i dziewczyna wróciła ze Stanów Zjednoczonych, gdzie spędziła let-

nie miesiące w ciepłe Florydy, też sprzedając w sklepach, i lepił się do niej mężczyźni, bo była ładna, szczupła, długa, i miała piękne nogi (coś dla brata profesora) i jeszcze piękniejsze piersi, i blade proletariackie wymyte oczy i wydłużający się szpiczasty nos i jasne włosy. Chciała zachować coś w rodzaju godności własnej, więc odpędzała się od żydowskiego adwokata z Chicago, który proponował jej załatwienie stałego tam pobytu za dupę, i wróciła dokończyć studia (*jestem starą klemką i wszystkie dziury już są sekretarkami szefa i mają lodówkę i bachory*), i on myślał o niej, przypadkowo poznaney, często, i ona tylko raz była z nim w łóżku, i było to łatwe i pogodne, i gwałtowne, ale mógłby być jej ojcem, jego starszy syn był w jej wieku, i przez ten rok niewidzenia on się zestarzał bardziej, niż powinien.

„Przyjadę tym samym pociągiem” powiedziała „może pan mi coś powie wreszcie, bo sama nie wiem, kim jestem i czego chcę”, więc odłożył słuchawkę i został, ale nim został pojechał wyprowadzonym na uliczkę samochodem do miasta, nie wiedzieć czy po to, by zabić czas, czy by coś zobaczyć, by coś się przydarzyło, by nie było tak dręcząco i dławiąco. Była sobota po czternastej, zamykano sklepy, i widział na puściejących ulicach pozostałą ilość pijaków i pijanych, ludzi o rozbitych twarzach i kobiet pokracznych, czerwonołębnych i tęgogłowych i brudnych, kaczonogich, z siatkami w ręku i butelkami w siatkach, i widział

stare kobiety nie wyższe od krzaczka w męskich pepegach i płaszczkach bez guzików, wciętych w talii, i w kapeluszach wyjętych ze zgniłego śmietnika, i choć ulice pustoszały z zamożniejszych, oni pozostawali, stali po bramach i chodzili po szarych wybitych płytach, i słyszał znowu „kurwa kurwa” i „pierdoli” i „odpierdol się”, i widział jak zapijaczona kurwa o żółto-czarnych tłustych włosach miała oczy równolegle podbite sinymi worami, i miała rozbite żółto i sino usta, i jak szła za dygoczącym młodzieńcem o twarzy przestraszonej i chytrej, i jak tu, ruchem narkomana czy konkubina uderzył ją jeszcze raz w twarz, odwrócił się i odszedł, jak przebiegł jezdnię, i widział psy ciągnięte na sznurku, a nazajutrz rano widział na dworcu całą ludność rozdygotanych i bezdomnych, stojących z torbami i poharatanych i porzyganych i biednych, wystających i powłóczących wokół peronów i hal, i kiosków z pornograficznymi kasetami, niemieckimi z grubymi niewstydzającymi się swych ohydnych brzuchów kurwami, i amerykańskimi, i dla pederastów.

Ale nim wrócił do domu, i spędził ostatnią część popołudnia czytając książkę „Zaświaty” Dona DeLillo, i intensywnie myślał, dlaczego ta *trzecia amerykańska powieść*, oklaskana i podniesiona pod niebiosa, inteligentnie złożona z postaćościowych kawałków układających się uczenie w mozaikę sensu i rozpląnięcia sensu, nie jestże tą trzecią amerykańską powieścią, którą

tylu myślało napisać, lub przeczytać, i pomyślał – zapadał wieczór i było ciemno i nikle na drodze, i psy szczekały – że to, co mu najniewygodniej brakowało i przez co mu się jakby z powierzchni czytało, to aseksualna narratywność tej prozy bez jakiegokolwiek opisu, który nie byłby zewnętrznym obrazkiem, higiena tych opisów, rzadkich, higiena tej prozy. Amerykańska obsesja higieny i powierzchowności i podobieństwa rządziła ich życiem, ich ba, pomyślał, prawami do telewizyjnych seriali, do wypadków i zdarzeń i oczywistości, którymi snadź żyli tam w większości, skoro najbardziej wyszukane nieprawdopodobieństwa były im prawdopodobne, ach ba, higienicznie banalne.

Obliczył, że „Zaświaty” zawierają ponad trzysta tysięcy słów, i obliczył, podnosząc się z kanapy i dochodząc do półki z książkami, że jego najgrubsza zawiera słów tylko dwieście tysięcy, *circa*, i obliczył po dacie przedostatniej wydanej książki Dona DeLillo „Mao II”, że pisarz spędził blisko dziesięć lat na pisaniu „Zaświatów”, i wiedział, jak to jest, gdy chce się opisać cały świat, cały swój świat, wiedział, jak to jest, gdy ma się ten apetyt i tą wolę, i ten szum w sobie, ten obowiązek, pomyślał, to wyśnienie, tę wyższość, pomyślał, i pomyślał, że nie chciałby mieć w sobie świata Dona DeLillo, tak jak myślał to, ile razy stykał się ze światem noszonym przez swoją żonę, nie chciałby żyć w jej świecie

i w jej głowie, nie chciałby płynąć w jej krwi i elektrowstrząsać się pustką jej nerwów, nie chciałby żyć w jej martwym mięsnym świecie targanym niewypowiedzianymi pragnieniami i niezaspokojoną (zaspokajalną) żądzą, nie chciałby mieć jej tępego rozkojarzenia i jej przyczepności, nie chciałby. I pomyśleć, jakie to szczęście, że ona nie czyta po polsku, że zaledwie mówi, że nie pisze on – gdy pisze – *pod nią* i wobec niej, że może się nie cenzurować, że może być zuchwały i arogancki i nie liczący się, gorzki i obelżywy – i bolesny.

Starął się mniej pić, i nawet zaprowadził na kartce papieru skaletkę, coś w rodzaju rozkładu jazdy codziennego picia, co dzień opóźniając początek picia o pół godziny, tak aby w trzy tygodnie (założył trzy tygodnie) przestać pić wcale; nie miał pilnej potrzeby picia, z wyjazdem żony i ustąpieniem samotności we dwoje nie musiał się głuszyć, pozostało mechaniczne przyzwyczajenie nerwów i ciała (pije się metodycznie), i należało je metodycznie i bez szoków wytrzebić; wiedział jak bardzo woli być trzeźwy i bez żony, jak bardzo woli pamiętać i rozpamiętywać i chłonać choćby powietrze, tak było lepiej.



Obudził się zamroczony i zmęczony, i z wyschniętym językiem i ustami, i wstając z kanapy poczuł, jak źle i chaotycznie zległ w nim alkohol, poczuł się chory na alkohol, i zapach alkoholu z przewróconej butelki przyprawił go o mdłości. Poszedł na górę i rozebrał się, i spędził resztę nocy, tych kilka krótkich godzin przed świtem na myśleniu o duchach i majakach, i bolało go całe ciało, i nie umiał się zgnieść i zagnieść i wyprostować tak, by mu ulżyło, i

Było białe, gdy się obudził, i ledwo zdążył się umyć i zmienić koszulę, i pojechał na dworzec przez opustoszałą Pragę Północ, i widząc opustoszenie i poprzez dźwięki samochodu słysząc ciszę przypomniał sobie, że jest niedziela, w niedzielę gładko i pusto się jechało przez puste rozległe miasto, i samochód szczególnie ślisko się przesuwiał przez powietrze, czysty jeszcze i błyszczący od ostatniego umycia, nieschlapany błotem ani szary, bo nie było zimy, zima wyglądała jak lato tego roku, nawet kurz nie wisiał w powietrzu, tylko leżał skuty z asfaltem i jego dziurami, bo w skrzącym słońcu tkwił mróz. Ukrainka, która umyła samochód wróciła ze swym synkiem do Lwowa, czy raczej to on ją odesłał, bo niepotrzebna mu była jej obecność w wielkim pogodnym domu, i za co miałby jej płacić, skoro został sam, jadł z jednego talerza i pił z butelki, chyba że za usługi seksualne, w których celowało (jak twierdził brat profesor, długie z nią spędzający

sympozja w niedokończonym mieszkaniu na dole) jej brzydkie, nieco pokraczne ciało, o zwiędłych młodych piersiach i długim mięsistym tyłku i przepastnej, twierdził brat, piździe, wewnątrz której nizała się wokół wyprężonej, opowiadał, szyjki macicy stercząca z niej niteczka. Ukrainka była o głowie kozy i sposobie chodzenia przypominającym strusia, ale bratu, mówił brat, było wszystko jedno, nagrodą za to był niezgodny z niczym koci łagodny wdzięk i pewnośc siebie Ukrainki w łóżku, tyle że nie chciała go – do czasu – brać w usta, to ją brzydziło, wszystko co pieprzne i słone lub mające smak przyprawiało ją o mdłości, powiedział, a gdy coś mówiła, to głupoty, głowa i usta służyły do niewysmakowania i niemówienia, przemawiała piżdą, powiedział, i otworem dupnym, równie czującym i rozedrganym, co jej płeć.

Starszy brat odesłał ją do Lwowa, gdzie miała męża pijaka i uczęszczała do unickiego kościoła, ale nie zrobiłby tego, gdyby brat był nie zniknął, bo spędzała godziny na rozmowach z nim przy myciu i szczotkowaniu, czy co tam robili, podczas gdy jej milczący krągłogłowy synek bawił się na piętrze samochodzikami albo śpiewał cichutko sam sobie, bo nie była zdolną ani oddaną matką, i nie wiedziała, co z tym synkiem zrobić. Ale brat zaginął i on Olenę odesłał, i teraz omijał wyziębniętych żebraków w dworcowej hali i przeczytał, że pociąg będzie o czasie, i zszedł

w dół i stanął w przewiewie nad peronem, a że głowę miał po myciu mokrą, włożył kaszkiet, w którym wyglądał staro i beznadziejnie, ale który zamierzał ściągnąć do kieszeni, gdy ona się z ruchomych schodów wynurzy.

Oczywiście nie zdążył, bo z krótką jasnością zobaczył trzy określenia, których szukał w mętym chaosie swojej głowy, krótkie jasne słowa co do tego, dlaczego książka zasłużonego Dona DeLillo nie była tym, czym chciała być: *too clever, too cute, too astute*, i starał się powiedzieć to sobie po polsku, gdy ona dotknęła mu pleców i odwrócił się w tym kaszkiecie i okularach, i zobaczył z miejsca, w sekundę, w pierwszej milisekundzie jej spojrzenia, w półmilisekundowym jej stanięciu i zamrozie, jak bardzo ją zawiódł będąc sobą, jak ciężko się przez ten rok zestarzał, rok podczas którego ona przyjechała tylko raz, i tylko raz byli ze sobą. Ściągnął kaszkiet i udał, że jest jak ma być, ale rozumiał jej złudzenie i wiedział, jakim lodowatym szydłem jest zrozumienie, że się pomyliło, że iluzja nadziei pryska, złudzeniem przypominającym śmierć.

Była więc niedziela i pojechali ogrzać się na kawę do Bristolu, ale kawiarnia Bristolu była wyjątkowo – jak głosiła wywieszka – otwarta dziś dopiero od jedenastej, i był mróz, więc poszli naprzeciw do kawiarni Europejskiego zatłoczonym niedzielnym wystrojonym tłumem katoli-

ków jedzących ciastka z dziećmi przed pójściem na mszę do jednego z rozlicznie wokół obecnych kościołów, i siedzieli na niskim szerokim parapacie okna wystawowego z zamówionymi kawami i ptysiami, za firanką, ona wychudła i zszarzała, z kościstym zawiasem szczęki i ładnymi i bardzo cienkimi palcami rąk o wydłużonych eleganczkich (po Stanach Zjednoczonych) paznokciach.

Zbyt chytra (wdzięczna), sprytna, zbyt wdzięcząca się (wdzięczna). Zbyt przebiegła. Starał się być rzeczowy w tej kawiarni Hotelu Europejskiego, nim zaproponował jej ślub, co wiedział, że się nigdy nie stanie (że ona nigdy za niego nie wyjdzie, już on za nią), i po wyjściu z kawiarni poszedł z nią statecznym spacerkiem po lodowato wysłonecznionym chodniku (pałac prezydencki – Namiestnikowski, utrwaliło się) po prawej, ministerstwo zmagają z kulturą, ministerstwo zaciemniania kultury po lewej, ciemnogrodem rozjarzonym zimowym rażnym słońcem do najbliższego sklepu jubilerskiego, by obejrzyć wystawione (srebrne, jesteśmy światowym potentatem srebra) pierścionki, ale ona – dziewczyna – powiedziała, że lubi *takie duże kawalki*, a nie subtelnie wąskie, więc wyszedł z ulgą; a dalej starał się pojąć, czego ona chce i do czego się nadaje, i zrozumiał, że prócz bladej urody, do niczego, że do niczego, że będzie żyła swym marginesem, jak on, że swój margines będzie przносиła ze sobą tam, gdzie się znaj-

dzie, do Poznania czy Kalifornii, że studiuje nie wiedzieć po co i żyje licząc na co? Na nic, że się wyostrza, błednie i rozplywa jak wszystko, pomyslał, jak wszyscy, „trzy paki ksiazek przywiozlam z tej Florydy” powiedziala, i tyle.

Pojechali tym czystym umyтым samochodem do domu w Starej Miłosnej, i dobrze, bo był zapomniiał, że o trzynastej miała zajechać ekipa telewizyjna, by nagrać z nim rozmowę, rozmowę o czym, zapomniiał, ale przypomniał sobie absurdalny abstrakt tej rozmowy, gdy zobaczył prowadzącego wywiad (ów też wrócił po długim pobycie ze Stanów), już niegdyś z nim rozmawiał, ach tak, było to w Bydgoszczy, gdzie poznał dziewczynę na festiwalu teatralnym, i ów dziennikarz rozmawiał z nim, tak jak teraz, o *sacrum* i *profanum*, co go rozśmieszyło wtedy, jak rozśmieszyło dziś. Dziewczynę zamknął w pokoju obok, gdzie wiele ksiazek stało w regale na całą ścianę, i przyrządził jej koreańskiego makaronu (*hot taste*) zalanego wrzątkiem w przemyślnym białym styropianowym pojemniku, tak że słyszał, jak krztusi się – ona – i kaszle podczas wywiadu (*hot taste*), a sam napił się winiaku prosto z butelki w swoim gabinecie, choć obiecywał sobie (patrzac na skaletkę), że dziś zacznie pić aż o dziewiętnastej, było to niemożliwe, miał się pobudzić do mówienia byle czego w intelektualnej bezsensownej audycji o niczym, o *sacrum* i *profanum*, więc powiedział, że można sakralizować i ciężarówkę, i przyszłość,

a profanować głupotę, i nie wiedział, czy to dobrze czy źle, i co chciał przez to powiedzieć.

Sacrum i profanum. To jest to, jak detal i ogólność, abstrakcja i jej powód, życie i historia, przebieg i los. Najłagodniejszy los, dlaczegóż czas nie miałby być najłagodniejszy, dlaczego nie miałyby się nie dbać o jego przebieg, o swój przebieg, przypadkowo wrzucony w życie, najłagodniejszy i możliwie wypełniający szmat

Potem przeczytał w skąpej a nadętej książce niemieckiego historyka Dermandta o rzymskich Cezarach jedną zajmującą informację na trzystu stronicach petitem z odsyłaczami, że Pliniusz Starszy uznawał tylko dwie moce: przyrody i przypadku, co *go* z Pliniuszem Starszym na chwilę (dotknięcie) delikatnie i ulotnie zaprzyjaźniło

Telewizjoniści odjechali i trzeba było odwieźć dziewczynę na pociąg powrotny, więc przez chwilę całowali się bez przekonania na kanapie, a potem on poszedł do swego gabinetu i wyciągnął spomiędzy książek tysiąc złotych w niebieskich banknotach z jakimś absurdalnym królem na licu (resztką zarobionych w operze pieniędzy) i włożył je w kieszeń kraciastej koszuli dziewczyny, na piersi (piersi nie miała zgoła wcale, bo schudła) i ona wzbraniała się chwilkę pro forma, a potem pocałowała go w usta moc-

niej i bardziej szczerze, a on powiedział, że wie, iż jej nigdy nie zobaczy. Wydzwoniony taksówkarz zjechał punktualnie (on pił) i dziewczyna odjechała z piersiami czy bez, a on stojąc w oknie pomyślał o filmie Woody Allena „Cyc”, o wielkich piersiach i o ślepych piersiach pięknych obłąkanych kobiet w filmach Felliniego, który żył jednocześnie z chłopięcą żoną wyglądającą jak skaut, i z czeredą kochanek o olbrzymich wulgarnych piersiach, i który umarł od tego, i o książkach Philipa Rotha, maniaka seksualności i znawcy literatur (w tym polskiej), o jego książce też pod tytułem „Cyc”, i pomyślał, jak to z wściekłości na tę jej głupotę i nieuczciwość tego, co zgraja oszołomów przedła o jego operze „Straszny Dwór” udzielił na tej kanapie wywiadu do gazety postkomunistycznej („Trybuna”), którą redaktor Michnik nazwał gadzinówką, podczas gdy to w jego gazecie („Wyborczej”) gadzili podobni do tych, co gadzą w paryskiej „Libération”, postlewicowe snoby rodem z marksizmu, i miłośnicy kryminalnego generała Jaruzelskiego, bo nic nie było prawdą i nic nie było jasne i nic nie było czyste ani moralne, prócz

„W końcu się uczysz, że pewne rzeczy nie są do zagojenia” napisał Jim Harrison w „Dalvie”, ale to odnosiło się bardziej do historii jego małżeństwa niż do historii Polski, pomyślał, i dlatego to zapamiętał, pomyślał, i dlatego że Jim Harrison

bardziej – bo nie starając się o to – wypisywał nieskładną i dorabiającą się (dochrapującą) trzecią powieść amerykańską, niż zamierzony i wysubtelniony na nią pupil miejski Don DeLilo, którego literatura była – jakby to powiedzieć – obowiązkowa, taka z obowiązku bardziej niż z

Dżungla, pomyślał, ale maniakalna dżungla. Przynajmniej w dżungli się morduje, aby się najeść, aby się nasycić, a gdy są syci, odpoczywają. Wtedy antylopy podchodzą pić wodę przy samej paszczy krokodyla, między łapami lwicy, delikatnie stąpając. Pomiedzy splotami węża dusiciela, czy czegoś tam. W tej człowieczej dżungli chodzi nie o to, by się najeść, to dla biedaków, ale się wyżyć. Nieprzeparate jadowite brutalne gazy miotają nerwami od środka. Zabić to mało. Obłąkany lis, rozszarpujący kłami cały kurnik, byłby bliższy. Ogarnięty szałem. Borsuk. Krwawa łaźnia. Starców torturować jest łatwiej, nawet gdy pilnują siebie w domu i nie wychodzą, otwierają na łańcuchu, nieufni. Przez szparę drzwi. Wejść po bluszczu na balkon. Uderzyć tępym ostrym żelaznym narzędziem w głowę. Aż ręce bolą. Dziury w głowie. Kobietę związać ostrą linką, by się linka wżarła w ciało. Strzelić. Zastrzelić. Iść ulicą, i założyć się, że pierwszy przechodzień będzie twój. Nożem. W gardło. Wygodny inwalida, broczący. To łatwe, Albo prac ją baseballowym kijem tak długo, aż. I też dodźgać nożem. Dwa złote, trzy złote. Zawsze

tak było? Co robili innego rzymscy imperatorowie? Byli ludźmi w warunkach całkowitej swobody. Wolności najzupełniejszej. Pisze ten Niemiec, Demandt. *Demandt* znaczy w językach, że o coś pyta, albo że jest obłąkany. Obłąkani naukowcy, ukryci w kronikach. W wyprasowanych koszulach. A tu jest dżungla, co się sperwersowała.

I co ten Don DeLillo, pomyślał? Niby dzisiejszy, a staroświecki. Był taki film Maxa Ophülsa, o przedmiocie przechodzącym z rąk do rąk przypadkowych ludzi. Ten przedmiot tworzył opowieść, był lepikiem, naprowadzał kolejno na różnych, o których miano opowiadać. *Carnet de bal*? Wachlarz? Zegarek? Nie pamiętał. A Don to samo: piłka baseballowa w posiadaniu kolejnych. Chytrze wymyślone ich zawody: śmieciarze, na dużą i małą skalę. Największe wysypiska odpadków, technologia, ekologia, przyszłość. Cywilizacja śmieci. Bombowce na pustyni, przestarzałe, które stara malarka maluje w dzieło sztuki. Post-moderna. Wszystko z głowy. Post-moderna to królestwo głowy nad żebrami, i perswersyjna dżungla, która straciła swój sens. Ameryka najbogatsza, i leżąca na śmietnikach zbrodni i nędzy i codziennej ohydy. Drobnicy ohydy. Wszędzie krew, na schodach, klatkach wylepionych gumą do żucia i spermą i wydzielinami. Jak w Rzymie, głębokie na pięć piętér warstwy gnoju, ażeby tam u góry zaśnił całko-

wicie swobodny, kość słoniowa, złoto, brokat, literatura, Cezar

Jechał nieszybko początkowo, a szybciej coraz dłużej i dalej, aż wpadł w ten rytm podróży, w którym słowa, jego uwaga, ruchy rąk, ruchy samochodu na równo się przemieszają z myśleniem. Abstrakcja jazdy i konkret myślenia. Lub odwrotnie. Odwrotnie prościej prostaczkom, łatwiej im będzie zrozumieć. Oni rozumieją tylko co prostackie, już powiedziane, zakute w banał. Są konwencjonalni, skurwysyńskością utajoną, za

Butelka piwa spada z czwartego piętra, i rozbija się na chodniku przy butach trzech znajomków. Bryzg. Słońce w szkle rozbryzgującym się. Piana. Znajomki są na przerdzewiałym balkoniku pijane i młode. Osilki. Obok jest kantor, przed który o tej samej porze zajeżdża ta sama ruda niebrzydka dziewczyna. Na parterze domu biały napis: *firanki z gipiurą*. Co to *gipiura*? Znajomi nie rozchodzą się, piją piwo dalej, a ten, co wypuścił butelkę z czwartego piętra, w półkoszulku siatkowym i bosy (widział jego stopy z dołu, z samochodu) macha ręką ze zniechęceniem, i chwiejnie wraca do pokoju

Chwiejnie jak matka, która

Na dworcu też bezrobotny włóczęga (stał z czterema bradiagami) zrzucił butelkę w dół z balko-

nu nad schodami, niechący, bo piwo drogie, i trafił w głowę wchodzącej z tobołami. Czy ją zabił, czy

Lało się spod jej czaszki i sprowadzili do niej policjanta, który niespiesznie i nienerwowo wydzwonił służbę felczerską. Czy coś takiego w spranych brudnobiałych kitlach, co opatrzyło jej głowę. To było wtedy, gdy ta obiecująca młoda kobieta (25 lat) przyjechała po raz pierwszy rok temu z Bydgoszczy. I gdy myślał, że prócz wątego powietrza będzie w niej ucieczka i odgrozienie od

Jadąc myślał, czym się zajmowała, gdy udzielał idiotycznego (*idiotia* to po grecku człowiek prywatny, nie podejmujący funkcji społecznych) wywiadu o *sacrum* i *profanum*. Łaziła po pokojach, patrzyła na zdjęcia, odczytywała jego notatki? Biała kartka w maszynie do pisania, wielomówna. Trzecia powieść polska. I tak by się nie sprzedało. Z czego miał żyć teraz? Oszczędności miał, obliczył, na trzy miesiące. Może to ją, wyblakłą, zniechęciło? Jej piersi w jego ręku zmalały przez ten rok. Spokorniałe. Piersi. Ząbki z dużych stały się mysie. Dziąsła większe od zębów, co to znaczyło?

Wyjechał jak tylko ona wyjechała, i zajechał do Krakowa w cztery godziny, o czwartej w ciemności, bo w zimie ciemność tak zapada. Kraków

wyglądał jakby w nim padał nieustanny, niewidzialny a czarny deszcz. Nie zabezpieczył sobie miejsca w hotelu, więc nawet nie próbował we Francuskim, ani w Cracovii komunistycznej, ale dobrze położonej przy muzeum malarstwa, tylko pojechał do stojącej na odludziu ale pakownej Panoramy, gdzie w razie czego znał dyrektora, albo jego znali. Dostał pokój, i w pokoju był koszyczek z jabłkami i bananem, za oknem widział błądy Wawel i czarnozieloną Wisłę, i jedyną pustą w Krakowie przestrzeń, którą można było oddychać. Wyjął książkę Dona DeLillo i żmudnie przeczytał kilka kolejnych stron, i natrętnie się zastanawiał, dlaczego oni chcą spisać *wszystko* co jest, wszystko, co wiedzą, jakby od tego zależało

Co? Zawsze chcieli? W jednym grubym masywnym tomie, „USA”, Dos Passos, potem pięćdziesiąt lat przeczekiwania, czyli strzępików najbliższych możliwie realności, i teraz nowa fala ataku, wojna literatury z rzeczywistością, z cywilizacją, z jej brakiem. Nawet śliski John Updike dał się porwać na to, i wypichcił, on klerk, „In the beauty of the lilies”, gdzie historia (bohaterów, czyli Ameryki) utkana jest na nitce historii filmu fabularnego, od Griffitha począwszy do

Aż natrafił, w rozdziałiku o starej zakonnicy pracującej w dzielnicy Nowego Jorku zdewastowanej, wypalonej, wygniłej nędzą (South Bronx)

na opis jej (i młodej zakonnej siostry Gracji, w cywilu) wizyt u ludzkich parchów, i jak rozmawiała z jednym takim, co zobaczył w swej własnej żrenicy pentagram Szatana, więc wyłuskał sobie gałkę oczną z orbity i przeciął śluzowate delikatne nerwy i ścięgienka utrzymujące ją, podczas gdy zwisała (krągła, mokra i patrząca) na jego policzku, by

I to było to. To było bardziej to, na osiemset ileś dużych stron (widział bardziej odbicie wnętrza pokoju niż bladość po drugiej stronie rzeki) i poczuł, jak siedzi w tym fotelu, więc wstał, niezgrabnie się poruszając w tym małym pomieszczeniu (a przecież dano mu apartament, to znaczy dwie klitki, w jednej łóżko salonowe, by sobie sprowadził kogoś na noc, w drugiej telewizor, gdyby znudzony tym kimś chciał w nocy oglądać na niemo obrazy (który to uzyskał, bo go poznano, bo był znany, bo był w telewizji i gazetach) i

Wyszedł i przeszedł pustą przestrzeń pomiędzy zmarzniętym błotem, czy mułem rzeczonym, a tępym i twardym asfaltem, bo mało kto jeździł tędy, ale też mało kto szedł przez szaroburą ciemność, para wyrostków, która się za nim obejrzała, nie wiedzieć czy szacując jego ciężar i usportowienie, czy ot tak, bo nie jechał, tylko szedł, czyli że mu się nie powiodło. Skręcił przy księgarni, którą pamiętał, nazywała się Świato-

wid, i szedł skosem i pod górę w ulicę Grodzką, aby dojść do Rynku, i widział wypindrzenie tych wszystkich sklepów, takich samych jak na Zachodzie, z którego uciekł, uciekł, by ratować co? Resztkę czego, tak jak niegdyś ratował tego resztkę tu za komunizmu i też musiał uciec, czyli wyjechać, i długie lata

Gdyby Marsjanin przeczytał książkę Dona DeLillo nie zrozumiałby ani linijki, ani paragrafu, ani opisywanej rzeczywistości, bo była ona napisana dla tych, co ją znali, nie dla innych, nie dla właściwych, była jak film telewizyjny o tym samym co za oknem, o tym samym co na ulicy, a co to była ulica? I co to był film, i co to jest

Exclusiv, nazywał się sklep z firankami na Grochowie. *Exclusiv*. Obok był *bar restauracyjny*, tak się to nazywało, *grill bar* Rondel. A na czar-noceglastym murze naprzeciw, pamiętającym jak stało tu w 44 ruskie wojsko i patrzyło (i polskie bezradne wojsko) na drugą stronę rzeki, jak Niemcy dorzynali, dobijali powstanie warszawskie, aby

Na tym czerwonoceglastym murze rozplakowano wielki spłacheć kolorowej reklamy opon Dębica Frigo, na śniegu sfotografowanej, ale pod murem nie było śniegu, była to bezśnieżna sucha zima, dopiero od wczoraj było mroźniej i jaśniej, jaśniej, bo świeciło słońce i jaśniej, bo

urwał się jego maniakałny brat i uciekła żona,
ta co

Poszedł wzdłuż Rynku do katedry pełnej mrocznego i dymnego tłumu ludzi, bo coś wystawiano dodatkowego, coś dodawano do sytego dusznego wystroju, jakąś figurkę czy obraz

Było ciemno i duszno i pełno w nawie, i ołtarz gdzieś stał zamknięty, a nad nimi wysoko wymalowane były zwykle gęste gwiazdy w niebieskości nieba

Taka koncentracja, w tym kraju rozproszenia i rozbicia i opustoszenia i wiatru i płaskości, koncentracja drzewa, farby, kamienia i znaków, gęsta zupa ludzi i znaków

Którzy wychodzili gęstym tłumem na chodnik i noc i Rynek ociemniały, duszący się, okopcony ich szaroczarną obecnością, rozchodzili się wkładając kapelusze, a to coś trwało, mżenie, czarna mgła, dym

Przeciął róg rynku w skos i u bramy domu przy aptece nacisnął na guzik domofonu tak mniej więcej w połowie szeregu (dom był niewysoki), i zapytał, gdy usłyszał „tak?”, czy to mieszkanie numer cztery i głos powiedział „pan się pomylił”, więc nacisnął guzik nad tym guzikiem

To było mieszkanie numer cztery, ale musiał dość długo się tłumaczyć, ustami dotykając nieprzyjemnie zimnego metalu (zapach metalu i zapach szpar w nim, i zapach palców, a może i ust lgnących do domofonu przed nim) kim jest i czego chce, tłumaczyć się z nazwiska, *żuławczyk* to przymiotnik od żuław, jak w urodzajach *żuławskich* czy na pływiskach rzek, Herburto-wiczowe *żuławy*, powiedział, bo byli też Leśni i Polski, Poleśni czyli Polacy, a on był z dorzecznych i herbowych, niedorzeczny przy tym domofonie, zgięty, ciężki, za stary, za

Żuł to leśne muły, mamuły, często rude, chciał wytłumaczyć tej osobie, która ociągała się, by go na górę wpuścić, z tego mułu i żułu są żuławskie ziemie, a żuława to brzeg rzeki wielkiej i spławnej, płaska i żyzna, bo zalewana powodziąmi i pokryta więc iłem, i są żuławy nadrzeczne i mogą być *tessalskie* (Thessala, morze), nadmorskie, a zamieszkujący je ludzie mogą nazywać się Żuławczykami, Żuławiakami, Żuławnikami czy nawet Żuławianinami. Żmudź na przykład to *żuławskie* rozlewisko rzek, ziemia nawleczona przez wodę, tłumaczył, między Prusami a Inflantami, na Północ, przy morzu, powiedział

Choć Żmudzin to *mały* (koń czy człowiek), a on był duży i tęgi, miał krótką szyję i kwadratowe, jakby stale obronnie uniesione, ramiona, i poru-

szał się (bracia się tak poruszali, nawet chory najmłodszy) jak forteca

Konstanty, Walenty, Waław, Kazimierz, Hieronim, Jerzy, Krzysztof, Sławomir, Kacper, Zygmunt, Nikodem, Ilja – o tak – niestety, Ilja Rożanin, który

i Żydzi, z drugiej strony (Paulina), i tylko dwie kobiety (córkę), Isia i Nela, prócz żon, oczywiście, żon i dzieci, synów Joachima, Mirosława (ze Sławomira) i Wawrzyńca, tego co wyszedł ze Elfriedę Faust i się wynarodowił, on jedyny tam na brzegu Pregoty, ich podział na rachmannych i nierachmannych, z jednej strony bracia Maciej i Szcęsny (*Feliks*, co wziął udział w rewolucji po stronie Łotyszów, czyli bolszewików i oprawców), a z drugiej Stanisław, Seweryn, Zbigniew, Jan i Leszek, i jak musieli to wszystko rzucić i odjechać, leśne dwory i połacie lasu żyzne, i dobre rewiry, i nieliczne kobiety, wciąż nieliczne, bo rodzina obradzała w mężczyzn, i ich przydomki Lis, Kot, Sęp, Korda, Jan Lis Herbutowicz Dorzeczny, Joanna, Aleksandra, Halina, Eleonora, Wanda i Walentyna Herbutowiczówny Tessalskie, i mały Ziemowit (Zimek), którego wszyscy kochali, wesoły i chłonny, i który

Z tej całej rodziny, z tej odnogi tylko Walentyna się uratowała, ostała, jeszcze nie zamężna, już narzeczona, kiedy rozćwiartowywano ich, wya-

resztowywano, wywożono na Sybir na osiedlenie (tylko Zimek uciekł), i gdzie tam, potem, w czasie wojen biało-czerwonych, bolszewickich wojen, wyginęli do reszty, chwyceni w dwa ognie, bo do kogo się przyłączyć? Tylko Zimek wrócił, bo ukrył się w tajdze i nauczył przeżycia, i gdy generał Dowbór Muśnicki

A Walentyna poszła pieszo na Zachód i Południe, przeszła przez granice i kordony, aż doszła do Płynnego pod Limanową, gdzie druga gałąź rodziny, ta sucha, nieobrotna, podgórska i zapoznana miała majątek, dużo płonej ziemi, i gdzie na rynku w Limanowej powieszono ich dziada za powstanie 1846 roku, a oni sami ostali się rabacji i rzezi Polaków dokonanej przez chłopstwo (chłop to nie Polak), bo żyli gromadą zawsze. Jedenastu braci w pokoleniu pradziada, dziewięciu w następnym, i wciąż mało kobiet, te, co się rodziły wychodziły dokądś za mąż i rozplływały się, zmieniając nazwisko na męzowe, i nie były już

Narzeczona zabitego przez ruskich, Walentyna, wyszła w Płonnym pod Limanową za Marcina, bo tak im nakazał pradziad, jako że Marcin był w tym samym wieku co tamten Szczepan, którego tu nikt nie znał i nigdy nie widział, bo żyli w różnych zaborach, i z Walentyny poczęły rodzić się dziewczynki, Anna, Magdalena i Zuzanna, i tylko jeden syn, Jaromir, z którego

W tym pokoleniu dziewięciu braci stryjecznych wychowywało się w wielkim drewnianym dworzyszczu przypominającym tamten nad Dźwiną, tyle że nie w lesie, tylko w miękkich pagórkach

Aż w 1915 akurat tu rozegrała się ciężka bitwa, bo i tu następowali Rosjanie, i dwór został spalony, a mężczyźni się rozpierzchli (Jerzy zginął w bitwie legionowej pod Konarami, zostały po nim sztuki teatralne, futurystyczna powieść o księżycu i chwała namiętnego kochanka pięknych aktorek krakowskich), a Janusz stał się nawet generałem, tak jak generałem (i szefem sztabu Andersa pod Monte Cassino) stał się brat babki Rachel-Maryi, która umarła, ciężka i niekochana, chyba tylko przez

I tak obie linie się połączyły, ojcowie znów wychowywali się razem, gdzie się dało, i rozpierzchali się, i stawali intelektualistami, i żyli z własnego talentu, wychowani do rąbania drzew i orania słonych pól, uniwersyteccy teraz i socjaliści i

Brzęczyk zabrzączał i mogłem popchnąć drzwi i wejść wąskimi schodami na krętą górę, ale otwarto mi dopiero, gdy po uciążliwym tłumaczeniu kim jestem, powiedziałem, że to ja wyreżyserowałem „Straszny Dwór” w Operze Warszawskiej, o tym było głośno i w telewizji, huk był taki, jak ile razy coś zrobię, za coś się wezmę,

aż dziw bierze, że ten samotny człowiek, porzuceny przez żonę i mieszkający na odludzi w Starej Miłosnej wywołuje tyle

Gdy



Nie myślał tak z napuszenia (sam przed sobą), czy kokieterii, czy manii ważności. Jego manie były gdzie indziej i były silniejsze: manie trzeźwookie, wzroczne, ślepe lub łatwowierne, z którymi

Kobieta siedziała w drzwiach, w cienkiej szparze drzwi przegrodzonych od jej strony łańcuchem i sprawdziła, czy on to on widziany w telewizji, i dopiero otworzyła, gdy uniósł twarz w światło zwisającej z sufitu klatki żarówki. „To pan” powiedziała, a on odwrócił oczy od szpary w drzwiach i jej twarzy, i zapytał „czy pani jest z naszej rodziny?” na co ona odpowiedziała „tu od wielu lat nikt już nie mieszka z waszej rodziny, właściwie odkąd tu zmarł”

– Zygmunt – dopowiedział.

– I Miejska Rada Narodowa odebrała jego wdowie mieszkanie

– To było w czterdziestym którymś

– Chyba tak – powiedziała.

Domknęła drzwi i zdjęła łańcuch z zawleczonej, i otworzyła drzwi i powiedziała:

– Ja tylko podnajmuję, więc jestem przypadkowa

– Istnieje szczęśliwy rodzaj przypadków – powiedział uprzejmie, jakby dziękował, że go wpuściła.

Była dość piękną zadbaną kobietą mniej więcej w jego wieku, i rozumiał, dlaczego się bała obcego. Nie farbowała włosów, i to mu się też spodobało, stały białym śliskim puchem wokół niedużej głowy. Była ani duża, ani mała, foremnej jakości, na wysokich obcasach i w kaszmirowym swetrze szarym, czy też szaroliliowym, który mu przypomniał ulubiony kosztowny sweter pierwszej dziewczyny, w której się w życiu kochał. Ta dziewczyna była Żydówką, i wyjechała w 68 do Szwecji, a ponieważ była znajdą z getta, poprosiła swą przybraną matkę w Warszawie, by jej znalazła dziecko do odchowania, tak jak kiedyś znalazłaś mnie, powiedziała, a po odchowaniu dwójki udanych dzieci (mąż jej był architektem, a ona mieć dzieci własnych nie mogła) poprosiła matkę, by jej znalazła dziecko upośledzone, nie szczęśliwe i kalekie.

Czuł, że ta siwowłosa kobieta na kogoś czekała, bo ubrała się, opancerzyła, spięła ciało elegancko i ozdobnie, i czuł też, że mieszkała w tym mieszkaniu sama. Poznał to po ciszy i mżeniu zza okna, ni to wody, ni to latarni, po rodzaju wilgotnej ciszy. Chyba, że lubiła wyglądać ładnie

sama dla siebie, a może wróciła skądś i nie zdążyła się rozmalować i rozbabrać, chociaż gdy patrzył na nią, wydało mu się, że ona nigdy się nie rozbabruje, nigdy nie poddaje rozmamłaniu, nigdy nie poddaje

Była wylakierowana i stalowa i czekała, aż on wytłumaczy cel swojej wizyty w tym mieszkaniu. Obracała się sprawnie i gładko wśród ludzi i obracała sporą ilością ludzi, pomyślał, bo nie wyrażała ani przykrości ani przyjemności z jego stania pośrodku sieni, nie zaproponowała mu, by zdjął kurtki i tylko stała

– Szukam brata – powiedział – to znaczy szukam tropu brata, to znaczy idę po śladzie ojca, i chociaż wiem, przypuszczam, gdzie brat się znajduje, chcę pójść po tych śladach na ile mogę od początku i odnaleźć go z odnowionym bagażem tego co – zaciął się.

– Czego?

– Tożsamości – powiedział – i tego, co się tu zaczęło, bo

Cofnęła się o krok i odwróciła bokiem, by mógł wejść do pokoju, gdzie tylko jedna lampa paliła się na stoliczku pod oknem, na którym rozłożone były kanapki i rozstawione szkło.

– Ja czekam na kogoś – powiedziała.

– Nie będę długo – powiedział.

Podszedł wprost do okna i patrzył na ciemne lodowisko Rynku poniżej i żółto oświetlone Su-

kiennice. Czarnolodowe. To coś śliskiego a czarnego leżało tuż nad brukiem, jak głowy ludzkie stłoczone.

– Ja urodziłem się we Lwowie, gdzie ojciec ukończył studia, ale ja już za sowieckiej okupacji, i noszę w sobie nieliczne obrazy, przeważnie śmieci, te złe obrazy – powiedział – choć rozmazane na fragmenty, i krótkie – powiedział – ale pierwszy obraz, od którego zaczęła się toczyć maszyna pamięci, pierwszy, który jak w kinie uwolnił ciąg dalszy, czego nie można ani przerwać, ani opanować, to było jak mój ojciec został wezwany do Zygmunta, wezwany, zrozumiałem, bo stał chudy i taki psi i hardy, czy raczej zdeterminowany, pewien czegoś, co nie było jego, ale było, a Zygmunt groził mu palcem, takim artretycznym i sękatym i starym, i widziałem wyraz ręki Zygmunta, miałem siedem a może osiem lat i widziałem karcący ruch ręki starego pana, i jego pańskość, gdy mówił cichym ostrym głosem, jakiego nie słyszałem do tej pory nigdy, a mój ojciec nie odpowiadał, stał w tym nowym garniturze w paski, który pamiętam, za obszernym dla siebie, wyfasowanym, ojciec wciąż taki chudy po tym paroletnim karmieniu wszy zakażonych tyfusem we Lwowie i po wojnie i milczący, był bardzo podobny do Zygmunta, który był jego stryjem, miał to samo czoło i nos, tylko usta nagie, a Zygmunt, jak ojciec ojca, jego brat, mój dziadek, nosił wąsy skrywające piękny i surowy wyraz ust.

Tylko na chwilę zamilkł.

– Nikt na mnie nie zwracał uwagi – powiedział
– chociaż nie, ojciec zwracał na mnie uwagę całym sobą, całym łajzającym ciałem, nieco zgarbiony w ramionach i nieruchomy, i czułem, jak podnosi się w nim irytacja, że stary pan go ruga tymi słowami przed synem, słowa były niezrozumiałe ale ostateczne, rozumiałem, nieodwracalne, i stary pan powiedział, zapamiętałem to, „zdrajca”, i ojciec wtedy tylko podniósł głowę i popatrzył na niego swymi bladymi i niebieskimi oczami.

– Proszę, niech się pan uspokoi – powiedziała.

– Ja jestem bardzo spokojny – powiedział – jestem jak na sobie najzupełniej wyciszony i w równowadze. A pani mi przypomina moją pierwszą i być może jedyną miłość

– Pochlebia mi to

– Pierwsze są zawsze jedyne? I zawsze źle się kończą

– Nie kończą

– Czyli nie kończą – powiedział – i pozostają złudzeniem

– Bo są czyste – powiedziała

– Gdy są czyste – opowiedział.

Milczeli przez chwilę razem, każde z osobna, on zwrócony twarzą do zimnego okna, a ona twarzą do jego pleców.

– Tej dziewczyny nie rozpoznałbym chyba, na pewno, z twarzy, ale rozpoznałbym ją z piersi – powiedział

-
- Niech pan nie mówi takich rzeczy – powiedziała
- Poznałbym ja po piersiach, bo widziałem jej piersi, a potem ona wyjechała, a ja od jej czasu wiem, jak piękne są piersi, i od tego czasu jestem maniakiem tych kilku rzeczy, i maniakiem pięknych piersi
- Niech pan dokończy, co pan opowiadał – powiedziała spokojnie
- Tak
- Niech się pan uspokoi
- Ja jestem najspokojniejszy, jaki byłem od lat
- Co to musiało być
- Tak. Nie. Tylko czas przelatywał z taką natrętną niewyraźnością. Tyle się działo, a nic się nie działo. Dopiero wstecz wychwytyuję z pamięci, która wtedy nie funkcjonowała. Nie wiedziałem, kiedy to się dzieje i co jest ważne
- Co? – zapytała
- Miłość, na przykład. Jeśli to ona zostaje.
- Widziałam pana w telewizji – powiedziała – i czytałam w gazetach. Pełno jest pana. Ile razy pan co zrobi, mówią, piekło jest pana
- Dopiero wstecz się dowiem, co zrobiłem. I czy opadła ta mania.
- I wpadnie pan w depresję
- Skąd ta pewność?
- Zajmuję się psychologią. Zawodowo – powiedziała.
- Po medycynie? – zapytał.
- Zamiast.

- Psychologia bez medycyny nic nie jest warta
- Pan już jest w depresji. Tyle że w jej stadium maniakalnym
- Czarnowidztwo
- Roześmiała się lekko, i on się do niej odwrócił. Patrzyła na niego z uwagą, ale bez tej pustki, jak gdy wchodził. Bawił ją. Lubiła przebywać z pacjentami.
- A co by pan powiedział, gdybym się przyznała, że na psychologię poszłam po architekturze?
- Że to jeszcze głupiej – powiedział – I co?
- Co co?
- Co pani tu robi?
- Jestem w komitecie zajmującym się badaniami – przerwała – i wynajmuję to mieszkanie, bo jestem przyjezdna.
- Skąd – zapytał.
- Ze Szwecji.
- Teraz on milczał, obserwując ją i jej stanie. Podniosła wypielegnowaną rękę do szyi i skręcała drobny łańcuszek na palcu.
- De facto – powiedziała – to było mieszkanie, w którym mieszkała moja matka, gdy pana stryj
- Stryj mojego ojca. Zygmunt
- Tak. Zmarł. Wtedy ją tu zakwaterowano.
- Kiwnął głową. Tak jak się głową kiwa.
- Moja matka była prokuratorem – powiedziała
- i Żydówką. Albo Żydówką i prokuratorem. Pastwiła się nad AKowcami i ludźmi niechętnymi komunizmowi, i nad niewinnymi ludźmi. A przedtem – powiedziała – kierowała obozem

koncentracyjnym dla Niemców w Ząbkowicach. I tam osobiście torturowała Niemców, którzy jej zdaniem brali udział w zagładzie jej rodziny. W zagładzie Żydów. Czyli wszystkich Niemców. Ja się o tym dowiedziałam – powiedziała – gdy matka umarła. Trzy lata temu, mówiąc dokładnie. Wyszła książka żydowskiego historyka Johna Sacka. Nawet po polsku wyszła. Matka jest tam po imieniu i nazwisku, innymi niż znałam. Pod prawdziwym swym żydowskim imieniem i nazwiskiem. I jest jej zdjęcie po wyjściu z Oświęcimia. I jej zdjęcie w mundurze, i takiej, jaką pamiętam.

Zawahała się.

– Matka miała kruczoczarne włosy, a może je zamalowywała? Bujne i czarne, i czarne oczy i była bardzo ładna.

– Pani jest bardzo ładna – powiedział.

– Ale nie tak jak ona, bo nie jestem jej córką.

– Tylko?

– Tylko znajdą. Wiele dzieci czekało w sierocińcach, aż ktoś się po nie zgłosi.

– Pani jest Żydówką? – zapytał

– Nie wiem – powiedziała po przerwie – ale myślę, że moja matka była przekonana, że tak. Umiałam kilka słów w jidisz, ale w sierocińcu były dzieci porozumiewające się w jidisz, albo mi rodzice zabronili mówić w jidisz póki żyli, albo mówili ze mną tylko po polsku ze strachu, albo

W wywiadzie z Donem DeLillo przeczytał (przypomniał sobie), że Don nie posiada (nie udziela) adresu, nie jeździ z odczytami, rzadko rozmawia, nie pisze na komputerze ani nawet na maszynie elektrycznej i najchętniej zmieniłby nazwisko, najchętniej chciałby zniknąć, rozpułnąć się, uciec, i żeby go

A potem słuchając jej pomyślał o krytykach i ich maniakalnej woli błysnięcia sobą, i że nie chcą błyszczeć (jak księżycy) światłem odbitym, że chcą błyszczeć swoim słonecznym światłem jaśniej niż tysiąc słońc, a zajaśnieć tak na tle cudzego słońca można tylko niby bomba atomowa, niszcząc

I pomyślał o słowie *dresiarze*, o dresiarzach, ostatniej odmianie młodzieżowego munduru bandyckiego, trampki, dresy i złote łańcuszki, i telefony komórkowe

Zaczął znów słuchać, co ona mówiła

Bo to nie miało znaczenia, jak nie miało znaczenia, że jego pierwsza dziewczyna, wtedy w Warszawie, była Żydówką, nie miało znaczenia choć wówczas miało, i głowił się (miał 15 lat), jak będzie miał żydowskie dzieci i czuł wstręt i niechęć ojca do Żydów, z którymi przecież musiał kolaborować, a którzy go kreowali na to wszystko, czym stał się za krwawego komunizmu

I jak nie rozmawiał z ojcem przez lata z powodu komunizmu i z powodu zbrodni komunizmu, i jaką czuł nienawiść odkrywając prawdę komunizmu, jaką gęstą ołowianą zasypującą jak gnuśny kurz nienawiść, zanim

– Bella Ruczaj – powiedziała wylakierowana piękna kobieta – moja matka nazywała się Bella Ruczaj, a czas mszczenia się na Niemcach był krótki, za krótki, mówiła, do jesieni 45, gdy to Niemców pozostałych przy życiu wyrzucono z Polski, i cała służba obozowa i więzienna, żydowska służba zemsty albo prysnęła za granicę, albo służyła dalej i teraz męczyła Polaków.

Patrzył na nią jak patrzył cały czas, tylko teraz ją widział

– Moja matka została. To wtedy mnie wzięła z sierocińca, bo nie mogła mieć dzieci, bo niemieccy lekarze przeprowadzili na niej te eksperymenty w obozie, a jej krótkie wojskowe i partyjne małżeństwa rozpadały się jedno po drugim, bo były – zawahała się – niemożliwe. A potem już tylko pisała, pisała książki dla dzieci i podpisywała się Stefania Sama, Sama Stefania do snu

– Ach, to ona – powiedział – To nie były złe książki

– A pan – zapytała – co się z panem potem stało?

– Stało się – powiedział – że stryj ojca Zygmunt podszedł do tego okna – pokazał – i otworzył je na

oścież, i głos z megafonów i milczenie, szum milczenia tego ogromnego szarego tłumu na dole, dobiegły wyraźnie, a nie głuche jak do tej pory, i to wtedy usłyszeliśmy, myślę, albo nałożyłem to sobie później, bo wtedy jakże bym mógł zrozumieć co to za słowa i kto to mówi, usłyszeliśmy jak Gomułka mówi w mikrofon, a megafony mnożyły to, zapienione i oschłe stukocząc przez cały plac: *my władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy*, i mój ojciec uśmiechnął się, uśmiechał się takim wąskim i ostatecznym też uśmiechem i patrzył na swego stryja i nic nie mówił, jakby tryumfował, jakby zło tryumfowało, i nie było ucieczki ani odwrotu, przecież po to przyjechał do Krakowa na ten wiec w reprezentacji młodych uczonych i pisarzy, i poszedł na górę do stryja, niby żeby lepszy mieć widok na trybunę, bo przecież był jeszcze za młody i za mało znany, by sam na trybunie wystawać, ale tak naprawdę, zrozumiałem to niedawno, tak jak pani niedawno, żeby Zygmunt, który był seniorem rodu mu powiedział, kim być i jak

Podszedł do kobiety i pocałował ją w usta pomimo oczekiwanego smaku szminki, i zdumiało go, jak te usta są miękkie i nieoporne i łagodne, pomyślał, bierne

– Gdybyś zdjęła sweter zobaczyłbym, czy ty to ty, czy ktoś inny

– Jestem niemłodą kobietą i niech pan nie oczekuje cudu – powiedziała

Przez chwilę całowali się, stojąc pośrodku poko-

ju, i było to podatne i przyjemne, przypadkowe, a potem ona oswobodziła się wprawnie i powiedziała:

– Niech pan dokończy opowiadać, bo przecież nigdy pan nie dokończy, jeśli

– Już nic – powiedział – Zygmunt wygłosił jedno jedyne przemówienie w Sejmie przeciwko zainstalowaniu aparatu represji i hańby, i zamknięty został w areszcie domowym w tym mieszkaniu, bo nie ośmielili się go tak od razu zamknąć w więzieniu, może jeszcze liczone, że się przekabaci, może Stalin tak kazał, sam Stalin, który go był wezwał z Krakowa na Kreml, by Zygmunt stał się pierwszym prezydentem wasalnej Polski, a nie agent Bierut, o którym Stalin mówił z pogardą, że to kreatura, i Zygmunt umarł, zasechł się, zapadł, zasunął w cień i zgryzotę i zmarł, a mój młody ojciec nie wyszedł z Partii nigdy, nigdy do śmierci, to Partia się pod nim rozeszła, i to coś, co w nim było – powiedział – to coś jak zadra, to coś jak odtrutka czy trucizna po wielu niegodnych czynach i słowach, to coś niby hamulec, bo kariera jego była lekkopółśrednia

– I rozmawialiście ze sobą? – zapytała

– Kiedy?

– Teraz, potem, gdy pan wydorósł

– Gry wydorósł, nie. Potem. Tak. Bo widzi pani

– Tak?

– Ja myślę po tym wszystkim, poprzez to wszystko, że ojciec miał rację

– I pan Zygmunt?

– Zygmunt mógł sobie pozwolić, bo umierał. Bo czekała go śmierć, życie miał za sobą. Przed śmiercią mógł mieć taką rację

– Nie przed życiem

– Nie – odpowiedział.

Stali przed sobą i nie uśmiechali się, ani seksualnie ani nerwowo. Wymienili swoje sekrety.

– To Gomułka nie pozwolił na zaarrestowanie mojej matki, Belli Ruczaj – powiedziała ona – gdy sam wyszedł w 56 z więzienia, tylko

– Tak

– Może dlatego, że sam miał żonę Żydówkę, a może dlatego, że sam był w tym, jak Bella, i wierzył, że tak trzeba. Czy myśli pan – zapytała – że my żyjący w tym jak w krajobrazie, który został dla nas stworzony z klocków bardziej posępnych, żelaznych niż te, którymi dzieci mogą się bawić, że my i teraz

I jak ojciec opowiedział, że weszli do cel na Zamarstynowie po wyjściu (po ucieczce) Sowie-tów a przed wejściem Niemców, i jak zobaczyli piwnice zalane do pół łydki krwią (czy to było możliwe) i jak ojciec rozpoznał Zimka, to znaczy starego Ziemowita, ochłap Zimka z flakami w ustach i kawałkiem nieobitego czerepu

– Myślę, że mój ojciec wtedy Zygmuntowi powiedział, że jego ojca, to znaczy brata Zygmunta, jednego z jedenastu braci, którzy się razem

chowali w Płynnem pod Limanową, Sowietci wyrzucili z pociągu, wiozącego go na Sybir, tak że nie wiadomo, w jakim stepie przy jakim torze kolejowym jest jego grób, a może nie ma go wcale, tylko go zwierzęta zżarły, wilki, dzdizcałe psy, kuny, albo

– Powiedział pan, że ojciec miał rację

– Tu trzeba być

– Czy moja matka miała rację? – zapytała.

– Choć poszedł na daleko idącą kolaborację, tak powiedział stryjowi Zygmuntowi, i pisał panegyryki zbrodniarzy, i mówi się o nim, że sypał, w pierwszym okresie sypał, czy inaczej zostałby ambasadorem w Paryżu, taki mam obraz w głowie, obraz stalowych słupów powbijanych w pokoje naszego dzieciństwa, i jak uciec od nich, zamieniając wszystko na miękką niepoważną wojnę, i tak stałem się reżyserem

– Ja lubię mężczyzn – powiedziała

– Na przykład wojnę z kobietami

– Raz wysłałam za mąż – powiedziała, i powtórzyła – ale ja lubię mężczyzn, więc nie mogło się to

– Teraz też? – zapytał

– Czekam na młodego mężczyznę, który pracował z nami w tej komisji przez ten rok

– Jesteś tu od roku?

– Tak, i jutro wyjeżdżam – powiedziała.

Pokazała stoliczek, kanapki i trunki.

– Pożegnalna kolacja – powiedziała – Jutro on mnie odwiezie na lotnisko

- Czyli zostanie na noc
- Tak to jest zaplanowane. Choć nie wolno wjeżdżać na Rynek, rano się wślizgnie na trzy minuty samochodem. Mam walizy pełne papierzysk, które ciężko ważą

Powiedział:

- Czy mogę na chwilę zostać sam w tym pokoju? Przecież po to przyszedłem

- Oczywiście – powiedziała

Odwróciła się, i była zgrabna, i poszła korytarzykiem do kuchni, łazienki? Sypialni?

On zgasił światło na stoliczku, i przez chwilę stał się z nocy dzień (wewnętrzny dzień), a nie ta noc. Pamiętał ojca i jego uśmiech prowokacyjny i zaszczuty, czy tylko taki, bo tak miało być, czego innego nie było, czego innego nie było wcale. Kiedy wyszedł, skręcił w bok korytarzykiem, i zobaczył, że ona siedzi przy stole z formiki w kuchni i pije kawę w kubku.

- Ale błędem byłoby psychologiczne zrzucenie tego na ojca czy matkę – powiedział – i kiedyś dobiję się do tego, że się dowiem czy jestem zupełnie zdolny i zupełnie wolny, i napiszę książkę uwolnioną od siebie, czyli od nas, o czym innym i kim innym i pełną

Kiwnęła głową i nie odpowiedziała, a po chwili powiedziała:

- A ja przez rok byłam w tej komisji do badania zbrodni Żydów nad Niemcami, albo jeśli pan pozwoli nad SS-manami, albo gestapowcami, tymi ludźmi

– Życzę dobrej nocy z tym młodym człowiekiem

– Na pewno

Uśmiechnęła się, i odłożyła kubek z kawą, i popatrzyła na niego z przyjazną ironią.

– Nie pękaj – powiedziała

– Ja tak zawsze – powiedział

– Masz żonę?

– Tak – powiedział – mam żonę, która nie wie co myślę i nie czyta tego, co piszę, i to jest męczące i niewdzięczne i nieseksualne.

Odchyliła się w bok i wstecz na krześle i ściągnęła przez głowę ten miękki sweter, kręcąc nieco łokciami i biodrami. Popatrzyła na niego ze swetrem na kolanach, i on powiedział:

– Tak.

– Żyjesz w świecie silikonu – powiedziała – a stare kobiety

Wyciągnął rękę po nią, ale ona pokręciła głową przecząco, i powiedziała:

– Pora. Proszę, niech pan sobie już pójdzie.

Usłyszał brzęczyk domofonu w korytarzyku, a ona, siedząc nieruchomo, białowłosa i gładka, z obnażonymi piersiami należącymi do kobiety młodszej od siebie, powiedziała:

– Widzisz? Akurat.

Minął się z tym młodym mężczyzną na wysokości drugiego piętra, i rozmyślnie nie spojrzał mu w twarz, aby nie zapamiętać jego rysów, bo mogłyby go nachodzić boleśnie czy przykro,

dostrzegł tylko (kątem oka), że śpieszący w górę młodzieniec nie nosi okularów, i pomimo ziąbu nie ma czapki na głowie, a on nosił okulary i kaszkiet, ale w chwili mijania poczuł, że jest nieco wyższy od młodego mężczyzny, na pewno cięższy, że niezręcznie zajmuje więcej miejsca, i że schodzi wolniej niż młody człowiek wbiega, i poczuł obcy świeży zapach wody pogoleniowej od twarzy młodego człowieka, bo ów się ogolił przed miłosną nocą z tą seksualną kobietą o młodych pięknych piersiach, która wyjeżdżała

I pomyślał o tym pisarzu, co się nazywa *Łosoś na Ruszcie*, o Salmon to *łosoś* po angielsku, a na ruszcie, bo on po angielsku obraził Mahometa

Łosoś albo Salomon, to na jedno wychodzi. Teraz go chcą zabić i on się ukrywa, angielska policja go chroni i nie śpi on nigdy dłużej niż dwa dni w jednym mieszkaniu (ile mają mieszkań w Anglii, to znaczy policja?) hop, wypływa tu i tam, w Australii czy Norwegii, i wygłasza odczyty i jest bardziej słynny teraz niż przedtem, a żona go rzuciła podczas tego ukrywania się, żona blondyna, i problemem nie jest Mahomet, ale to, że *Łosoś* jest złym pisarzem, a obraźliwa jego książka bardzo złą książką, i że nie należy przywoływać Jego imienia w żadnym tytule, *Wersety Kalafiorowe* lepiej jest napisać, niż

Poszedł Sławkowską przez plac Szczepański i dotarł do Plant, i dalej do drugich Plant, o których nie pamiętał, czy nazywają się tu już – jeszcze – Plantami Dietla, a tymi drugimi Plantami w lewo ciemnomokrym półkolem, wydłużając sobie w ten sposób drogę, ale nie oglądając już sklepów i towarów, tu nie było sklepów, było czarnomżawo, jak to w Krakowie, i cicho, ciszzej, szadz leżała u dna ulic i w zimnej trawie pod drzewami, ani sklepów ani pieniędzy, ale też ani jednej młodej kobiety o dużych piersiach, ani jednej przygodnej przechodzącej, którą mógłby zatrzymać, prosząc ją, by z nim została choćby na

Ta wilgoć krakowska nie była mokra, ale jakby pyłem zsypującym się z zimnej nocy i oklejającym twarz, wsypującym się nieprzyjemnie za kołnierz, a gdy dotarł do hotelu, nie czuł się ani zmarznięty ani głodny ani śpiący, stał przez chwilę z kluczem w ręku w hallu pełnym amerykańskich wycieczek i rozhałasowanych kobiet, przecież nie było późno i dokąds się wybierali, choć u końca hallu była restauracja w preten-sjach i kasyno, i galeria fatalnego malarstwa, i pojechał windą na swoje piętro i z trudem odnalazł swój numer pokoju w rzędzie pokoi jak kajut

A w nocy otworzył opasłą książkę Dona DeLillo i przeczytał: „miała męża demona, jeżeli demon

oznacza pewnego rodzaju siłę, towarzyszącego jej ducha dyscypliny i samoopanowania, drobny przytyk zdystansowania, jaki udoskonalił, niby wyłączenie radia. Wiedziała o zniknięciu jego ojca, ale było tu coś więcej, twardego i osobnego. Oto co ją pociągnęło w pierwszym rzędzie, erotyczna i ryzykowna propozycja”. I poprzez zadrukowaną kartkę widział swoją żonę i jej czyny, i jej drewnianą niekomunikatywność, i nieprzebijalność jej wąskich kobiecych i oszustnych granic, a może nie oszustnych, tylko po prostu obcych, naprawdę obcych. Żyjemy obok siebie jak Marsjanie i przierzucamy na siebie swą Marsjańską wiedzę w kawałkach, w strzępach, nawet gdy przierzucamy całą, ale tylko niezbędne nieprzychylnie strzępy zostają zarejestrowane w knującej migrującej jaźni drugiego, w jego pamięci już zajętej czym

A potem czytał długi fragment o kupie, o kiszkach bohatera i jego kale coraz bardziej śmierdzącym i przykrym, im dalej wjeżdżał (z żoną) we Wschodnią Europę, Polskę aż do Ukrainy, i czytał o statku od dwu lat płynącym z ładunkiem ludzkiego gówna od portu do portu, i o zdradzie, i wciąż nie chciało mu się spać, czuł sypkie światło pod powiekami i jeśli się zdrzemnął, to nie wiedział kiedy, było szaro w oknie, ale dzień zanosił się słoneczny, trwały słoneczne bezśnieżne dni pośrodku suchej zimy, jakiej nie było, jakiej nigdy nie było, więc się umył i zszedł

i zapłacił i wsiadł do samochodu, i powoli, ostrożnie ruszył, jakby prowadzenie sprawiało mu nowo nabytą poranną trudność, czy może

Było tak wcześnie, że jeszcze Kraków nie zatkał się tym absurdalnym ruchem stojącym w tamach i śmierdzących jeziorach gazu i brudu, i wyjechał powoli i spokojnie na południe przez Myślenice i Lubień do Mszany Dolnej, a stamtąd na wschód do Limanowej, a z Limanowej wskroś krajobrazu rozgrzędzających się wzgórz (rzędów wzgórz równych i krągłych jak fale), toboganiem łagodnych wzgórz w dolinę, gdzie była wieś Płynne jeszcze na wpół drewniana (odtąd przez całą drogę jechał przez drewniane, bo biedne, zabudowania), bo za nią było miejsce, gdzie stał do 1915 roku dom jego pradziadów, tych jedenastu pradziadów, co się wychowywali razem

Było to pole jak pobojuwisko, było to pobojuwisko, i nigdy dziadowie dworu nie odbudowali, po prostu rozjechali się każdy do swego, jakby w tej samej gorzkiej, a może obojętnej chwili pojęli, że nie są hreczkosiejami, że są artystami, że muszą do miast i do działania w partiach, jak Zygmunt, do pisania i malowania i do ginięcia, jak Jerzy, z karteluszkami papieru w kieszeni austriackiego legionowego munduru, na których był zapisany szkic wiersza do synka, który

Stał w prostokącie tych ruin, z których po tylu latach wyzierały tylko kąty podmurówki, jakby stał na podłodze z zeschniętych i miodowych traw jesiennych, na zimowej leśnej podłodze wciąż bardziej płaskiej od krajobrazu dookoła, jakby tego domu nie dało się wymazać zupełnie z powietrza, dom trwał i był ważniejszy i bardziej obecny od tego co trwało i zmieniało się w nim, i on to rozumiał

Wokoło nie było nikogo i nikt mu nie przeszkadzał, a gdy ruszył i pojechał znowu przez wieś widział ludzi (kobiety w chustach) wchodzące i wybadujące z progu swych drewnianych brunatnych niewybielonych domów, ludzi na przyzbach, ludzi

Dalej domy były coraz częściej białe i niebieskie (błękitne), z dachami z gontu albo ze strzechami z pogniętej ciemnej słomy, bo jechał na wschód przez Nowy Sącz, Jasło, Krosno i Przemyśl, była to długa nieśpieszna jazda, i był to krajobraz jego ojca, to tu kolejno ojciec jego ojca starostował, i wyczytywał jadąc nazwy miejsc, po których jego ojciec łąził, Lesko, Suche Rzeczki, nazwy gór, Połonina Caryńska i Suchy Obycz, te miejsca suche a wysokie, i niskie jak Nisko, i mniejsze, jak Nowosiółki Dydyńskie, Malhowniki czy Huwnica, i przejechał przez Przemyśl, który wyglądał podobno jak Lwów, tylko był mniejszy, mniejszy Lwów, do Jarosławia, a stamtąd już wiejskimi co-

raz węższymi drogami przez Tomaszów Lubelski na skróty do Czerkasów i Dołhobyczowa, jako że pomiędzy Dołhobyczowem a Hołubinem leżał miękki zakręt rzeki, która stawiała się tam granicą, a w łuku rzeki po drugiej stronie granicy widać było – lepiej zimą niż latem – dach i park i korpus wielkiego dworu, w którym wychowała się jego babka, w którym, gdy nie w Płynnem, wychowywał się na Słowackim i Steinerze i ze strzelbą ojca jego ojciec

Wciąż było niewiarygodnie słonecznie i nie napotkał nikogo, kto mógłby go zatrzymać czy zająć, nie przydarzyło mu się nic, a gdy wspiał się na strome, nieledwie pionowe wzgórze, zostawiając na dole samochód, usiadł na krągłym grzbiecie wzgórza z wiatrem pokłuwającym mu uszy i tył głowy, i popychającym go, poszturkiwającym w plecy, patrzył przed siebie na jedwabisty pejzaż niby z dna morskiego, smugi błękitnego powietrza nad równiną delikatną i płową, i coraz to opuszczał wzrok w gęstwą szarych pni parku i gęstwą nieciętych gałęzi, i widział wielkie białe domostwo, i nie widział stanu zniszczenia, a potem wydało mu się, że wiatr nawiewa od domostwa głosy dzieci, że wiatr się obrócił jak rękaw albo zacichł, bo pamiętał, że w domostwie była szkoła

Benzyny nabrał w Dołhobyczowie, więc pojechał spokojnie drogą wzdłuż Bugu aż do miejsca,

gdzie mokradła nadrzeczne się kończą, a po stronie, którą jechał, zwolna poczyną się wznosić majestatyczna skarpa, i dojechał do Drohomila, a że jadąc na północ widział gromadzącą się ciemność przed sobą, widział ją wyraźniej, gdy wjeżdżał na wyżynę, równą niską szerokość nadciągających chmur zimowych, szarość nie do przebicia, przepastną, i gdy wjechał do Drohomila i skręcił od fary do

Zaczął padać śnieg, od razu gęstymi miękkimi płatami i kłębami, i zrobiło się ciemno jak na noc, zawierucha śniegu waliła w światła samochodu i zasysała go w lej, pędząc na szybę

Ta skarpa kończyła się zalesionym pagórem, pośrodku którego, niby w kraterze wulkanu, była dziura, a w tej dziurze – w tym leju – sterczał betonowy bunkier niemiecki po niemiecko-rosyjskiej granicy z 1939 roku, a dół nadrzeczny, pas łąk żyzny i podmokły nazywał się Żuława i to dlatego

Zaś książka Dona DeLillo nie była dobra tam, gdzie pisarz udawał, że zna się na śmieciach, śmieciarzach i murzynach, ale gdzie dawała wyraz jego delikatnej miejskości, nagiemu intelektualizmowi, besserwiserstwu kulturalnemu: taki jest pisarz, reszta jest *useless*, nie służąca do niczego

gdy opisuje usta Micka Jaggera jako usta,

w które od trzydziestu lat wszyscy wkładają
wszystko to, co zjedli
albo gdy je opisuje jako *anus*
wielokobiece rozstroboskowane usta Micka Jag-
gera w czasie koncertu ssące mikrofon, pisze
Don DeLillo
i gdy opisuje dźwięk filmu dokumentalnego
o Rolling Stones'ach, niechlujny fragmentarycz-
ny dźwięk, który gubi się po kątach tych hotelo-
wych pokoi, gdzie wbijają w siebie igły i kopulu-
ją z młodymi, zawsze tylko młodymi kobietami,
które przy nich stają się wszystkie dziewczyni-
skami
i o dziewczynie, co liże sobie rękę odjętą od pi-
zdy
i o tej kobiecie, co zapada na wszystkie choroby,
na które zapadały jej ulubione filmowe gwiazdy,
egzemy, zapalenie płuc i raki, te stygmaty, bo
gwiazdy były jej świętymi – wtedy jest dobry
DonDeLillo, znaczy

Samochód wspina się dokoła wzgórza wąwozem
i drogą w wąwozie naokoło, i jego światła biją pio-
nowo w górę w buroczarne niebo i w ulewę śnie-
gu bijącą na wprost, aż wjeżdża na płaskość pola
u góry i podjeżdża z boku do budy ojca wpartej
o wydrążony wierzchołek wzgórza z tym bun-
krem

1998

V

Trzecia powieść polska

„Przeszły drogą trzy kaczuszki
Grzeczne, że aż miło,
Jedna biała, druga czarna,
A trzeciej nie było”

Jan Brzechwa

a dalej jest las ze złożonymi w nim płytami grobowymi z żydowskiego cmentarza, pionowo poprzerastanymi przez drzewa pionowo wśród drzew stojącymi, i nie miał kto się o nie upomnieć, a samego Drohomila w tej śnieżycy nie widać, wież ani dachów, tylko widać, ile nbudowano paskudnych betonowych domów niżej i w bok na skarpie, jak gęste są te za wysokie za wąskie domy nuworyszy, podchodzące pod budę ojca i zabetonowujące krajobraz, który tylko można wyczuć, namacać jego obły spadający zarys oczami w brązowej wichurze

Oblepiony śniegiem i od razu mokry wysiadł z samochodu i przeszedł obok fiata punto o szybach już puszyście zaklejonych świeżym gęstym śniegiem, i zatupał butami na rogóźce pod okapem przed wejściem, i otrzepał sobie ramiona i rękawy i strzepnął śnieg z kaszkietu, ale okulary mógł wytrzeć dopiero, jak wejdzie do ciepłego i suchego. Ciepło czuł poprzez drzwi do sieni, i gdy wszedł owionęło go niezdrowo, skoczyło na niego jak choroba, od której się wy-

prażasz zewnątrznie, skóra jak skórka i polewa, wewnątrz dygoczesz zimno, i zobaczył, że brat leży na łóżku, i że piec jest rozpalony, i że brat patrzy na niego rozognionymi lodowatymi oczami dużymi i czystymi bez okularów, porcelanowo śliskimi i ze szklaną żywą precyzyjnie obtoczoną tęczęwką. Ludzie tylko niekiedy i przez chwilę mają takie piękne oczy, pomyślał, i zobaczył szpiczastą wątlą bródkę brata sterczącą w sufit, i zobaczył, że brat nie może się podnieść ku niemu, ręka brata pastelowa i koścista wykonała znak rozpoznania na kocu, więc usiadł na wąskim łóżku w nogach i nie wycierał okularów, a brat powoli, jakby ostrożnie, skąpo, dokładnie założył sobie drugą rękę pod głowę i powiedział: – Zdaje się, że to już będzie na tyle.

– Jadę po lekarza – powiedział.

– Ja odjechałem od lekarzy – powiedział brat – to znaczy, oni mi powiedzieli i to jest to

– Przecież nie umieli ci powiedzieć – powiedział

– i nie znaleźli

– A ja umieram – powiedział spokojnie brat – teraz i tu

– Ale – powiedział – jak, i

Przerwał i powiedział:

– Nie wierzę

– Tak jak ja – powiedział brat – Ale na wszelki wypadek byłem w banku i zostawiłem dla ciebie upoważnienie na te resztki oszczędności, żeby one łapy

Brat zassał powietrze, bo mówienie go bolało, albo tępiło, bo było niepotrzebne, chociaż

– Wiesz – powiedział – ja tu przyjechałem, bo

– Tak?

– Załatwiałem przez tą Olenę, co u ciebie sprzątała, z tym synkiem

– Bohdanem

– Bohdanem, tak. Ja ją prosiłem, żeby mi znalazła tam u nich dziewczynę, z którą mógłbym się pobrać. Wszystko jedno, doświadczoną czy nie. Pośrodku. Na początku są głupie i niczego nie wiedzą, a potem też. Pośrodku. Tylko żeby była piękna. I biedna. Żeby tego potrzebowała – powiedział brat – żeby mógł ją uratować.

– I? – zapytał on.

Znów po chwili powiedział brat:

– Dziś niedziela czy poniedziałek?

– Poniedziałek.

– Jutro rano – powiedział brat – przyjedzie autobusem ze Lwowa. Na rynek. Gdyby

– Tak?

– Odbierzesz ją. Przecież nie można jej tak zostawić.

Po chwili.

– Na imię ma Oresta. Wie, jak ja wyglądam. Ty jesteś podobny. Tu mam dla niej

Sięgnął ręką na stół, ręką przełożoną przez pierś, i syknął.

– List – powiedział – że ją przepraszam. Ma dwadzieścia lat

Zamknął usta. Otworzył usta z wolna.

– Możesz popatrzeć na zdjęcie – powiedział
Zdjęcie stało na nocnym stoliku poza kręgiem światła z naftowej lampy, oparte o ścianę, i dlatego go od razu nie zauważył, czy dlatego, że patrzył tylko na twarz i ręce brata, czy dlatego, że nie wytarł okularów.

– Przepraszam cię – powiedział brat, odwracając głowę do pokoju – ja zrobiłem pod siebie, mimo że nic nie jadłem

Nie było wody w dzbanie, więc wyszedł na dwór do studni i stał przy studni i jej oblepionym miękkim śniegiem łańcuchu i patrzył na pędzące tunele i gwiazdy śniegu, meteory i kamienie śniegu lecące na niego i przelatujące poprzez niego tam, w rozległość ciemności i krajobrazu

Wrócił i rzucił kurtkę i umył brata i zobaczył, jak bardzo wzdęty ma brzuch i chude nogi, wklęsłe pośladki, i jak sterczą mu kości biodrowe i kolana, i pochylił się i pocałował jego stopę

Umył twarz brata i jego ręce, i podłożył świeże prześcieradło, znalezione w szafie, i brat leżał przez chwilę oczyszczony i pogodny, jakby odpoczywał czy spał z otwartymi oczami, czy intensywnie delikatnie i precyzyjnie myślał, i usta miał ścięte tym myśleniem, jakby dochodził do samej głębi tego, co miał jasno i przejrzyście wiedzieć

On wstał i poszukał w kuchennym meblu, i znalazł ocet, który wlał do garnka, i garnek postawił na piecu, by zapach octu

Natarł bratu skronie ciepławym ostrym octem, i brat powiedział:

– W imieniu Oresta można się zakochać, nie? Choć w sztukach Moliera występuje *Oreste*, taki facet

– Tak – odpowiedział

– Popatrzmy trochę na jej zdjęcie – powiedział brat

– Tak

Wychylił się poza lampę, i wziął zdjęcie w palce i przytrzymał je, a potem pokazał bratu. Położył się na łóżku bokiem przy ścianie, obok brata, i obaj patrzyli na zdjęcie.

– Będziesz musiał mi zrobić zastrzyk – powiedział brat – bo zaczyna mnie

Starał się sięgnąć do szuflady stolika nocnego

– Zastrzyk czego – zapytał starszy brat

– A jak myślisz – odpowiedział

Starszy brat przechylił się przez płaskie żebra młodszego i wyciągnął z szuflady strzykawkę i naciągnął w nią dawkę z buteleczki o gumowym korku

– Słaby jestem w zastrzykach – powiedział

– Lepszy niż ja – powiedział surowo młodszy brat.

Wbił igłę i wcisnął płyn w odporne ciało, jakby wduszał w twardą nieprzychylną litą kość, i po chwili brat powiedział:

– Z piorunującą szybkością, tak to określił mój były teść. Że to nastąpi. W dwa, trzy dni, i to się zgadza. Bo się wypróżniam z wszystkiego, prócz

– Prócz?

– Prócz miłości – powiedział brat profesor Takich rzeczy się nie mówiło między nami. Ani z ojcem, ani między braćmi. Młody brat leżał cichy i ciężki, wybielony zastrzykiem i trucizną, i powiedział:

– Muszę ci się przyznać do ostatniej rzeczy

– Mów

– Myślałem, że przyjedziesz, więc się śpieszyłem

– Myślałem, że pojedziemy na Ukrainę, Litwę i Łotwę, w ujście Dźwiny

– Po co?

– Szukać śladów – powiedział.

Młodszy brat zamyślił się nad tym, i powiedział:

– Pojedziesz z nią

– Z kim?

– Z Orestą – powiedział młodszy brat

I po chwili:

– Będzie ci dobrym przewodnikiem, bo jest też piękna

Nad jego profilem stało żółte światło z naftowej lampy, i starszy brat widział sadzasty dym nieobjaśnionego knota, jak w nieruchomym powie-

trzu wije się w górę, i jak skręca się w ich oddechu, gdy rozmawiają

– Ja – powiedział młodszy brat – spieszyłem się, by spalić tę książkę

Starszy brat uniósł się na łokieć, jednak

– Jaka?

– Ta książka tu była, ja ją znalazłem

– Jaka?

– I przeczytałem

– Jaka?

– Tę, o której stale mówiłeś, żeby ojciec ją napisał – powiedział młodszy brat

– Prawdę

– Być może prawdę

– I? – zapytał

– Ona tu chyba leżała od dłuższego czasu. Ale ojciec nie pokazywał jej. Czyli może nie chciał jej pokazać

– Może

– Więc ją spaliłem. Żeby nikt nie wiedział

– Czy była taka

– Nie odpowiem ci. Zabieram ten sekret ze sobą – powiedział brat

– I było tam

– Tak – powiedział brat

Milczeli chwilę, a potem młodszy brat wsunął głębiej palce pod poduszkę, i wyciągnął nimi zmiętą kartkę papieru, która po rozwinięciu okazała się dwoma kartkami, i on rozpoznał na nich rozstrzelony druk starej maszyny ojcowej,

do pisania. Były to kartki jakby pierwsza i ostatnia. Na pierwszej był tytuł: *Podnosiny*. Podnosiny. A na ostatniej były w lewym rogu napisane trzy słowa: trzecia powieść polska. I w drugim rogu była cyfra, oznaczająca ilość stron napisanych, 828

A kiedy zwrócił się do brata, zobaczył, że brat śpi, albo udaje, że śpi. Miał zamknięte cieniuchne powieki i nic mu nie drgało pod powiekami, a w oknie robiło się nie ciemniej i czarniej, ale coraz jaśniej

To znaczy, że zawieja śnieżna przeszła i zapanaował wielki spokój. Było cicho i białe, i on położył głowę obok głowy brata, a gdy się zbudził było znowu jasno, inaczej jasno, jasno tuż przed świtem, i kamienne zimno szło od brata, od jego twarzy i ciała, i ciało brata było

Naprzód wyszedł na dwór i patrzył na białą polewę i szklaną biel gałęzi, i na śnieg zlodowaciały w lukier tam na dole, i rzekę zamienioną w cieniasty lód, i w kryształowym powietrzu widział czysto i do nieskończoności wyraźnie.

Wrócił do wnętrza i podniósł ciężkie, nieporęczne i twarde ciało brata, i położył je jak mógł na śniegu, na ziemi. Przez chwilę stał nad nim, i zamknął oczy, by ojciec mógł podnieść ciało swego syna z ziemi, *de terra tolere*, i uznać go

Pomyślał, że idąc na Rynek zadzwoni z automatu do Nowego Jorku do brata, ale że mu nie powie o tym, co dotyczyło narodzenia, a nie śmierci, choć on teraz pomiędzy nimi nie rozumiał różnicy, tylko

1998

I.
Co się z nami potem stało / 5

II.
Nad wodą wielką i czystą / 103

III.
Czerwone i czarne / 201

IV.
Podnosiny / 297

V.
Trzecia powieść polska / 397